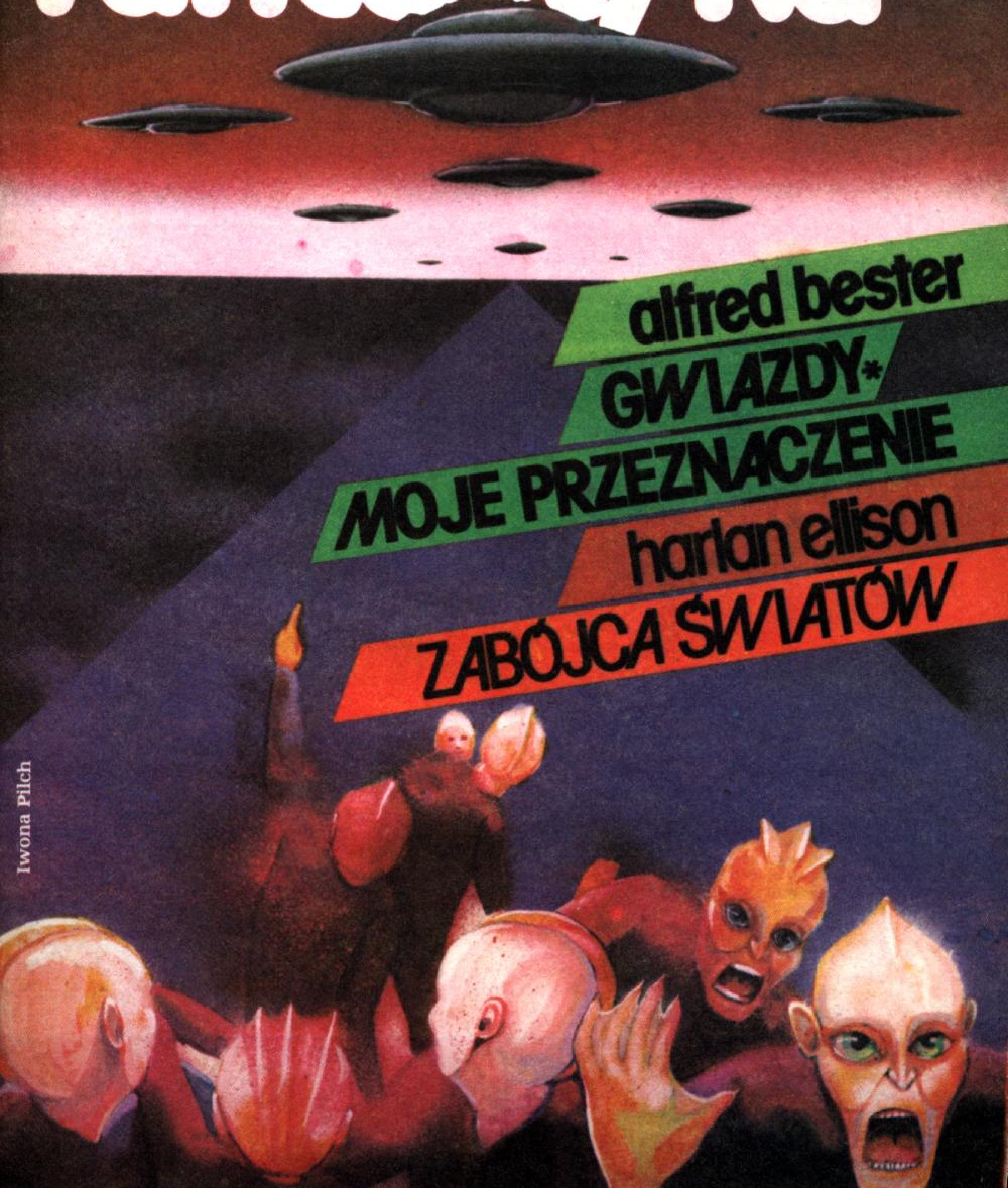
MIESIĘCZNIK 8 (11) SIERPIEŃ 1983 CENA 50 ZŁ

Fantastyka



alfred bester

GWIAZDY* MOJE PRZEZNACZENIE

harlan ellison

ZABÓJCA ŚWIATÓW

Iwona Pilch

WORLD SF

Podczas 6 Światowego Zjazdu Profesjonalistów SF (World SF) powołana została polska sekcja narodowa World SF. Jej przewodniczącym został Adam Hollanek, sekretarzem Andrzej Wójcik, zaś obowiązki skarbnika będzie pełnił Jacek Rodek.

WYDAWNICTWA

Polska

Edycję nowych serii SF zapowiedziały aż trzy wydawnictwa.
Serię fantastyki naukowej rozpoczyna startujące w dziedzinie wydawnictw książek beletrystycznych Wydawnictwo „Alfa". Redaktorem edycji jest Marek Nowowiejski.
Serię zeszytowych antologii prezentujących dorobek nowelistyczny w dziedzinie SF polskiej i obcej zapowiedziały „Iskry" Redaktorem serii jest Janina Zielonko.
Trzy nowe typy wydawnictw fantastyczno-naukowych ma zamiar swym czytelnikom zaproponować w najbliższym czasie KAW. Są to: seria współczesnej światowej literatury SF i seria wydawnictw poświęconych sprawom z pogranicza nauki i fantazji.

Bułgaria

Nakładem warneńskiego wydawnictwa „Georgi Bakałow" ukazało się bułgarskie tłumaczenie powieści Janusza A. Zajdla „Cylinder van Troffa".

Francja

Nakładem Editions Fleuve Noir ukaże się niebawem powieść Konrada Fiałkowskiego „Adam jeden z nas". Autorem przekładu jest Henryk Kurta.

NRD

„Das Neue Berlin Verlag" – wydawnictwo od dawna specjalizujące się w upowszechnianiu na rynku NRD fantastyki krajów socjalistycznych, przygotowuje nową, drugą już po „Galaxiesspatzen" antologię polskiej science fiction. Autorem wyboru i redaktorem tomu jest Erik Simon.

RFN

Kolejnymi polskimi autorami, którzy po Stanisławie Lemie, Adamie Wiśniewskim-Snergu i Konradzie Fiałkowskim opublikują swoje samodzielne książki w wydawnictwie Heyne Verlag są: Krzysztof Boruń (Toccata), Ryszard Głowacki (Paroksyzm numer minus jeden), Adam Hollanek (Jeszcze trochę pożyć), Andrzej Krzepkowski i Andrzej Wójcik (Obszar nieciągłości). Wydanie jest planowane na 1984 rok.

* * *

Nakładem „Suhrkamp Verlag" we Frankfurcie/M ukazała się nietypowa antologia polskiej fantastyki w wyborze i przekładzie Klausa Staemmlera zatytułowana „Phantasma". W wyborze znalazły się opowiadania fantastyczne i fantastyczno-naukowe: Kornela Makuszyńskiego, Jarosława Iwaszkiewicza, Wiktora Woroszylskiego, Henryka Voglera, Andrzeja Szczypiorskiego, Stanisława Zielińskiego, Ernesta Dyczka, Janusza A. Zajdla, Świątopełka Karpińskiego, Piotra Wojciechowskiego, Zbigniewa Doleckiego, Konrada Fiałkowskiego, Adama Kreczmara, Witolda Zegalskiego, Julii Nideckiej, Czesława Chruszczewskiego, Andrzeja Czechowskiego, Adama Wiśniewskiego-Snerga i Romana Bratnego.

* * *

Europejską karierę robi wydana w 1982 roku, nagrodzona Kurd Lassawitz Preis powieść Wolfganga Jeschkego „Der letzte Tag der Schöpfung". Obok polskiego przekładu przygotowywanego przez KAW, wydanie jej zapowiedziało na 1984 rok angielskie wydawnictwo „Century". Jest to piąta książka SF RFN na hermetycznym rynku angielskim, a pierwsza od 1978 roku.

* * *

Wilhelm Heyne Verlag, o którym szerzej pisaliśmy w numerze 2/82 obchodzi swoje 25-lecie. Wśród jubileuszowych wydawnictw znajdzie się również tysięczny tom serii SF. Jest to wybór najlepszych światowych opowiadań SF.

USA

W 1981 roku na amerykańskim rynku SF ukazało się między innymi: w ACE Books – 381 książek SF, w Berkeley – 188 książek SF, w love – 180 książek SF, w Playboy Books – 126 książek SF. W lipcu 1982 roku wszystkie te wydawnictwa, ze względu na zbyt małą siłę przebicia, zostały włączone do koncernu Puntam Books.
Obecnie najbardziej ofensywnymi wydawnictwami SF są na rynku amerykańskim: Arbor House, Atheneum, Ballantine/Del Rey, Congdon and Weed, Dial, Doubleday, Knopf, Macmillan, Puntam Books, Random House, St. Martins, Simon and Schuster, Stackpole, Viking, Pocket/Timescape, Popular Library, Tor.

CZASOPISMA

Znany autor i popularyzator SF Ben Bowa zrezygnował z funkcji redaktora naczelnego największego światowego pisma poświęconemu zagadnieniom związanym z SF – magazynu „OMNI" (miesięcznik – 780 000 nakładu), motywując swą decyzję faktem, iż OMNI z pisma specjalistycznego stało się po prostu jeszcze jedną gazetą poświęconą, jak większość dużych zachodnich magazynów – wszystkiemu.

* * *

Europejski Komitet Science Fiction opublikował listę ukazujących się w Europie fanzinów – amatorskich pisemek poświęconych tematyce SF. Według danych z końca ubiegłego roku w Europie ukazywały się 94 regularnie wychodzące pisemka, w większości drukowane techniką powielaczową. Na początku 1983 roku lista wzbogacona została o 95 pozycję – jest to miesięcznik Śląskiego Klubu Fantastyki „Fikcje".

* * *

Według danych opublikowanych w „Science Fiction Jahresband 1983", wydawanym przez jedno z największych europejskich wydawnictw zajmujących się fantastyką naukową „Bastei-Lübbe", „Fantastyka" jest drugim pod względem wielkości nakładu w świecie i pierwszym w Europie pismem specjalistycznym poświęconym SF. Żaden z magazynów amerykańskich nie przekroczył w 1982 roku nakładu 100 000 egzemplarzy, a jeden z zachodnioniemieckich ma 105 000.

* * *

Wychodzący w Berlingen (RFN) magazyn „Solaris" opublikował ostatnio wespół z Niemieckim Klubem SF sensacyjną książeczkę zawierającą nieznane nowele, stanowiące efekt uboczny wspólnej pracy Stanleya Kubricka i Arthura C. Clarke'a podczas pisania scenariusza „2001 – Odysei kosmicznej". Jest to przedruk wydanej w 1982 roku książeczki „The Lost Worlds of 2001".

ZMARLI

Harold R. Foster (1892–1982) amerykański rysownik, twórca pierwszych komiksów opartych na scenariuszach Edgara Rica Burroughsa.
Alva Rogers (1905–1982) – amerykański rysownik, autor okładek wielu książek i magazynów „złotego wieku", autor monumentalnej pracy na temat rozwoju SF w USA „A Requiem for Astuonding" oraz „A Requiem for Unknown".
Paul Eldrige (1888–1982) – amerykański pisarz, autor między innymi bardzo popularnych w okresie międzywojennym powieści z gatunku „Fantasy" – „My First Twothousand Years: The Story of The Wandering Jew" (1928), „Salome: The Wandering Jewess" (1930), „The Invicible Adam" (1932), „Prince Pax" (1933).
Stanton A. Coblenz (1896–1982) – amerykański filozof, poeta, autor kilku powieści SF.
Claude Cheinisse (1931–1982) – francuski pisarz SF, autor ponad dwudziestu samodzielnych opowiadań, współtwórca licznych powieści pisanych do spółki z żoną – znaną francuską pisarką Christine Renard.
Joan Hunter Holly (Joan Carol Holly) (1932–1982) – amerykańska pisarka, autorka między innymi „The Grey Aliens" (1959), „The Green Planet" (1960), „The Dark Planet" (1962), „Keeper" (1976).
Gene Day (1951–1982) – kanadyjski wydawca SF, plastyk specjalizujący się w malarstwie fantastycznym, współtwórca „Heavy Metal", autor wielu rysunków zamieszczanych w „Galaxy" i „Amazing". Samodzielnie był autorem dwóch albumów sztuki fantastycznej: „Future Day" (1979), „All Things Dark and Dangerous" (1980). ■



10

Na Marsie, przystosowanym do życia, egzystuje dziwna społeczność ludzka, jakże daleka od cywilizacji, która potrafiła wyposażyć planetę w atmosferę. Zaś na marsjańskim niebie najbliższą od strony słońca planetą jest... Wenus.
Walter M. Miller, Jr.: „Wielki Joe i N-te pokolenie"

...3...2...1...



Nie wiem skąd się to bierze, że teraz w literaturze dzieje się niemal to samo, co przechodziła ona w czasach o sto lat wcześniejszych. Oto przykład „Poeta siedzący w betonowej norze, wierny SF – ślepy wobec rzeczywistej natury zjawisk, wystukiwał na maszynie do pisania donos na siebie i peany, na cześć zbliżającej się odmiany... czuł jak się wypełnia jego truchło – ciało, jak się rozdyma balonem mieszczącym postronną wrzawę i szmer prądów idących od środka wskrzeszonego ciała, czuł jak palący podmuch · zliżuje mu zmarszczki ze starczego czoła i pulsem dopełnia wiotki mięsień w kroku".

Albo: „Mieszkaniec owej samotnej wyspy, kiedy się wyłoniła ledwie w mnogojęzycznym Archipelagu, napisał kiedyś: piękno jest bowiem choroba, jest pewnego rodzaju dreszczem tajemniczej infekcji, ciemną zapowiedzią rozkładu, wstającą z doskonałości i witaną przez doskonałość westchnieniem najgłębszego szczęścia. Tak myślą ci, którzy wierzą jeszcze, że cokolwiek przemija bez śladu. Jesień nie umiera nigdy. Jeśli się wypali w jednym ognisku – pajęczy posiew przeniesie ją dalej, na inne długości geograficzne, w koordynaty innego continuum, zesle złoty przepych na każdą z najodleglejszych nawet wysp. Wysp. Państw. Albo planet". To Wiktor Żwikiewicz, pisarz współczesny, pisarz science fiction końca dwudziestego stulecia tworzy tak, jak ci z epoki Przybyszewskiego, Tetmajera, Żuławskiego. Smutni, wyalienowani, skłóceni z życiem, romantycznie nieszczęśliwi. I w dodatku porażeni seksem. Kto dziś to zna, kto to czyta? „Anioł śmierci", „Panna Mary", „Zatracenie", „Huksa, huksa erotoman". „Mów do mnie jeszcze, ludzie nas nie słyszą", „Idzie samotna dusza polem / Idzie ze swoim złem i bolem / Idzie jak widmo potępione..." Skąd my to znamy?. A właśnie poznajemy to dziś w powieści Żwikiewicza i jemu podobnych zdolnych młodych, przede wszystkim (ale nie tylko) twórców SF. Neoromantyzm findesieclowy powstaje nagle jak upiór.

Towarzyszy tej twórczości, zresztą nie tylko w naszym kraju zrodzonej, irracjonalizm, rozmiłowanie w zjawiskach „psi", wiara w obecność „ufo", we wróżby. To co wyśmiewał wiek dwudziesty opętany nauką, której tyranii aż bał się znakomity biolog profesor Bernal, to z czego kpili racjonaliści epoki atomu staje się jak gdyby rzeczywiste wbrew logice, na pohybel logice. A tu równocześnie z kart mniej lub bardziej unaukowionych dzieł i mniej lub bardziej wiarygodnych źródeł informacji naukowej, dowiadujemy się, iż życie ratuje i może ratować polski lek przywracający odporność organizmowi, otrzymywany z grasicy, dość tajemniczego gruczołu dokrewnego. Że John William Moffat może wkrótce wprowadzić zasadnicze poprawki, a nawet i zmiany do obowiązującej jako model wszechświata teorii Einsteina, poddając badaniom precesję asteroidu „Ikarus". Że wbrew jeszcze niedawno panującym przekonaniom o czynnikach ryzyka w chorobach sercowych – najgroźniejsze nie bywa palenie papierosów, lecz nagłe i niespodziewane podniesienie się poziomu hormonu żeńskiego, jednego z żeńskich hormonów obecnych zresztą zawsze i w organizmach mężczyzn. Albo – wystarczy wstrzyknąć do mózgu odrobinkę vasopressiny – hormonu wydzielanego przez przysadkę mózgową w każdym organizmie, wystarczy powiększyć w mózgu nieznacznie jej zawartość, a u doświadczalnych zwierząt (na razie zwierząt) pamięć staje się znacznie lepsza, wzrasta też zdolność do przyswajania wiedzy. Ile już wiemy, ilu różnych rzeczy się dowiemy jutro, pojutrze, popojutrze. Głowa od tego pęka. A przy tym, nawet gdybyśmy zwalczyli dzięki cudownym lekom raka i zawał, jak obliczono bezlitośnie, przeciętna długość ludzkiego życia wzrosłaby zaledwie o kilka lat – dokładna liczba nie istnieje, jest przedmiotem dyskusji.

W poprzednim wieku, u jego schyłku i jeszcze na początku naszego – człowiek był istotą nieznaną, według określenia bardzo słynnego uczonego i popularyzatora – doktora Carrela. I to rodziło neoromantyczne frustracje – było się u progu wspaniałej wiedzy, niejako u źródeł wiadomości „złego i dobrego", ale nie umiało się jej wykorzystać. Zdawało się, że można by ją w pełni wykorzystać, ale jeszcze nie teraz. A dzisiaj nauka tak nas zasypuje nowościami, tak stała się niebezpieczna i bogata zarazem, tak obiecująca i niszcząca jednocześnie, że pobudza wielu do ucieczek. Różne więc były i są powody schyłkowych nastrojów, ale reakcja podobna. I trudno mi się zgodzić z poglądami na science fiction, z osądem, że jest to nowy typ mitologii czy baśni, goła treść, sama przez swą nowość i inność interesująca. Może tak rodziła się kiedyś science fiction, lub przynajmniej niektóre jej gatunki. Dzisiejsza SF jednak daleko odbiegła od prymitywu, obrosła w tradycje literackie i filozoficzne. Bawi nie tylko treściami, ale w dużej, coraz większej mierze sposobami podawania tych treści, umiejętnością ich przekazywania. Staje się sztuką. Sztuką w gruncie rzeczy aż barokową, w sensie przerostu obrazów, metafor, ich dominacji nad sensem wypowiedzi. To już nie tylko moda. Jej początek dała literatura iberoamerykańska, końca nie dostrzegam.

To co tutaj piszę jest moją polemiką czy też moim uzupełnieniem zamieszczonej w tym numerze opinii „o naturze literatury fantastycznej".

I jeszcze jedno chciałbym powiedzieć na temat tej naszej literatury. Mówi się zwykle, że miarą literackości jest sama wartość dzieła, jego poziom, mierzony zresztą w bardzo różny i nieraz bardzo kontrowersyjny sposób. Co tam jakieś gatunki literackie, mówią krytycy, nie są one ważne, ważne jest to co autor potrafi nam powiedzieć. Nie da się jednak obalić odrębności i specyfiki niektórych gatunków prozy bez względu na to czy się tego bardzo chce, czy też nie chce. Marynistyka na przykład wyrosła na odrębną gałąź twórczości literackiej. Wiele w tej swojej odrębności zawdzięcza Josephowi Conradowi, podobnie jak wielkimi „słupami milowymi" odrębności SF byli Wells, Dick i Żuławski (tak jest, on również).

Kto wie, czy to właśnie nie trylogia Żuławskiego stała się zapalnikiem neoromantyzmu w polskiej science fiction. Na tej fali żeglują nawet najmłodsi pisarze. Macie Państwo w tym orbitowaniu „Fantastyki" przykład takiego charakterystycznego młodzieńczego nawiązania do stylistyki findesieclowej we „Wszystkich twarzach szatana" Jacka Piekary.

Na koniec dzisiejszej wspólnej podróży pragnę skierować uwagę Państwa na „Lądowanie siódme". Wasz Redaktor przygotował fragmenty listów z dezyderatami Czytelników. To oczywiście tylko cząstka korespondencji, jaką otrzymujemy i przyznam się, że lubimy otrzymywać. Gdy tylko nadejdzie, stół sekretariatu redakcyjnego, na którym pani Bożena dokonuje rozdziału poszczególnych listów, otacza zwarty wieniec redaktorów. Zaczyna się czytanie, czytanie, czytanie... Waszej fantastyki.

10 – 9 – 8 – 7 – 6 – 5 – 4 – 3 – 2 – 1 – 0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK
Fantastyka

02-784 Warszawa Ursynów
ul. Służby Polsce 2
tel. 43-88-91 (łączy wszystkie działy)

Redaguje zespół:
Adam Hollanek (red. nacz.)
Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Sławomir Kędzierski, Andrzej Krzepkowski (kier. działu ogólnego), Marek Kubala, Maciej Makowski (kier. działu techn.), Wiktor Malski (sekr. red.), Tadeusz Markowski (z-ca red. nacz.), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (kier. działu zagr.), Marek Rostocki (kier. działu nauki), Krzysztof Szolginia (z-ca sekr. red.), Darosław J. Toruń, Andrzej Wójcik (z-ca red. nacz.).
Opracowanie graficzne: Marek Zalejski i Andrzej Brzezicki.
Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-56-26.

Warunki prenumeraty:
● **dla zakładów pracy**
– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach,
– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy.
● **dla prenumeratorów indywidualnych**
– osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy,
– osoby zamieszkałe w miastach – siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych przy użyciu „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy: Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki w Łodzi, ul. Kopernika 53, nr konta NBP I O/M Łódź nr 47018-1603,
● **prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę** przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Terminy przyjmowania prenumeraty:
● od prenumeratorów indywidualnych zamieszkałych w miastach – siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" do 31 sierpnia 1983 r. na IV kwartał br.
● od instytucji, zakładów pracy i prenumeratorów indywidualnych zamieszkałych na wsi i w małych miasteczkach do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72.
Druk i oprawa P.Z.Graf. RSW Łódź.
Zam. 2036/83 r. N. 150 000 egz. M-6

ZABÓJCA ŚWIATÓW

Harlan Ellison

(Worlds to Kill)

I

Jego Ekscelencja Pan Push, Arcykapłan Jedynej Prawdziwej Świątyni Boga, Spółka Akcyjna, ściskając w obu dłoniach diamentową rękojeść podniósł powoli ku niebu kamienny sztylet. Pokryte brązowymi plamami ostrze przepłynęło wzdłuż jego nagiego, wymalowanego ciała i zatrzymało się tuż nad głową. Zaintonował świętą litanię. Głos został chwycony przez wiszący na szyi mikrofon i rzucony ku wypełniającym ogromny stadion ludziom. Jednak tam, gdzie siedział kaleka, w najbardziej odległym sektorze z miejscami po 2,50, trudno było rozróżnić poszczególne słowa. W przejściu między rzędami sprzedawca słodyczy wykrzykiwał swoje: „Koola! Kasztany! Zimna koola! Gorące kasztany!" i śpiew Arcykapłana ginął we wrzaskach handlarza. Beznogi, przywiązany do małego wózka mężczyzna o twarzy opalonej na ciemny brąz podniósł do oczu lornetkę i skierował ją ku ołtarzowi ofiarnemu, próbując z ruchu warg Arcykapłana wyczytać choćby niektóre słowa.

Litania dobiegła końca i tłum w religijnym uniesieniu wykrzykiwał odpowiedzi. Beznogi mężczyzna przesunął szybko lornetkę wzdłuż stadionu i z powrotem spojrzał ku ołtarzowi. Arcykapłan wygiął się nieco do tyłu, żebra wypchnęły wymalowaną skórę. Błyskawicznym ruchem opuścił sztylet, mocno, wprost w czerwone koło pod lewą piersią nagiej dziewczyny. Sztylet zanurzył się po rękojeść. Tłum zawył, zrywając się na nogi i rzucając w powietrze ofiarne róże.

Kaleka schował lornetkę do pokrowca. Z plastykowej torebki wysypał wprost do ust resztkę prażonej kukurydzy. Wyprężone, podskakujące ciała były w tej chwili wszystkim, co mógł oglądać. Ryk narastał, głosy stawały się tak przenikliwe, iż wydawało się niemożliwe, aby mogły się zrodzić w ludzkich gardłach.

Gdy wrzawa nieco ucichła beznogi kaleka zwrócił się do najbliższych sąsiadów, prosząc o zestawienie wózka z siedzenia. Przenieśli go do przejścia między rzędami i kaleka z trudem potoczył się w górę, w stronę wyjścia. Z tyłu, za jego plecami składano ofiarę z następnej dziewicy.

Opuścił stadion i odpychając się przymocowanymi do rąk drewnianymi klockami skierował wózek w stronę ślizgów towarowych, połyskujących w pobliżu jak żywe srebro. Zbliżał się do stacji przeładunkowo-kontrolnej, jadąc wzdłuż najbliższego pasa. Pojemniki z towarami z wizgiem przemykały obok niego. Rampowy, mężczyzna w nieokreślonym wieku żujący czekoladowy obwarzanek, nawet nie podniósł głowy, gdy kaleka silnymi, wioślarskimi ruchami wtaczał się na krótką, metalową rampę. Jednak gdy wózek zatrzymał się przy jego kabinie, wychylił się, by spojrzeć w dół. Jego oczy zwęziły się w cienkie szparki.

– Czego? – rzucił opryskliwie.

– Ja... hmm... Nie stać mnie na ślizg pasażerski. Myślałem sobie właśnie, czy by mi pan nie pozwolił przejechać do 147 Okrężnej towarowym?

Rampowy pokręcił głową.

– Nie.

– Nie musi mnie pan nawet przywiązywać – nalegał kaleka. – Mogę to zrobić sam. Dla pana to żadna fatyga.

Rampowy odwrócił się plecami.

– Będę bardzo zobowiązany – naciskał kaleka.

Rampowy znów się odwrócił i spojrzał na niego ze złością.

– To wbrew przepisom, chłopie, sam to wiesz. Nie chcę o tym słyszeć. Turlaj się stąd.

Opalona na brązowo twarz kaleki pociemniała jeszcze bardziej, nozdrza zadrgały jak u zwierzęcia.

– Niezły z ciebie drań! – warknął. – Jak myślisz, ty skurwysynu, co mnie w ten sposób skróciło? Pracowałem na ślizgach, tak samo jak ty! Oddałem obie nogi tej robocie i teraz przychodzę prosić o jakieś gówno takiego samego faceta, jakim byłem i co słyszę? Stul pysk i spieprzaj! A wszystko, o co proszę to przejazd do Okrężnej! Taka cholernie wielka rzecz, ty bydlaku, co?

Rampowy otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Hej, przepraszam chłopie. – Wyglądał na zmartwionego.

Kaleka nie odpowiedział. Chwycił drewniane klocki i zaczął odwracać wózek. Rampowy zerwał się z krzesła, które z cichym westchnieniem przybrało pierwotny kształt. Zszedł na dół i stanął tuż przed wózkiem.

– Słuchaj, naprawdę mi przykro. Sam wiesz jak to jest, zamykają cię w przepisach i zakazach jak w pierdlu. Do diabła z tym wszystkim, wsadzę cię na ten ślizg, poczekaj tylko chwilę.

Kaleka mruknął potakująco, jakby dopiero teraz dostawał to, co mu się dawno należało.

Rampowy otworzył luk wejściowy i poszedł naprzód, kaleka potoczył się za nim na wózku. Zjechali windą tuż pod poziom roboczy i przeszli pod ślizgami; najpierw najszybszymi, potem pod tymi średniego zasięgu. Przedostali się przez luk przeładunkowy do najwolniejszych i rampowy opadł na kolana, przygotowując się do wepchnięcia wózka na ledwie przesuwający się pas.

– Dzięki – kaleka uśmiechnął się.

Rampowy machnął ręką, jakby chciał powiedzieć „w porządku, nieważne!" i pchnął wózek na taśmę. Wstał i przez chwilę patrzył za oddalającym się kaleką.

– Hej, chłopie, przepraszam! – krzyknął.

Trzy mile dalej kaleka przeskoczył na szybszą taśmę ze zręcznością, która wprawiłaby rampowego w osłupienie. Przejechał ćwierć mili na ślizgu średniego zasięgu i znów zmienił taśmę. Teraz był na najszybszej. Policja Arcykapłana nie miała urządzeń szpiegowskich dostatecznie precyzyjnych, aby wyselekcjonowały słowa spośród szumu i stukotu urządzeń napędowych. Kaleka tarł skórę na prawym bicepsie aż ukazały się zarysy umieszczonego pod nią komunikatora. Zaczął mówić:

– Końcowe wnioski. Puście to od razu do maszyny. Wstępne ustalenia wydają się być prawidłowe. Osiągnęli siódme stadium rozwoju technicznego, ale społecznie znajdują się gdzieś koło czwartego. Silny mistycyzm i więzi religijne. Wydaje mi się, że to wszystko łatwo może runąć. Nie. Jestem tego pewien. Przygotujcie atak typu religijnego, może objawienie się boga słońca albo powtórne zstąpienie, czy coś w tym rodzaju. To spowoduje duże zamieszanie i pierwsze uderzenie będzie można przeprowadzić przy minimalnych stratach własnych. Bardziej szczegółowe dane podam kodem, ale jest tu coś, czego się nie da zakodować. To są barbarzyńcy, prawdziwe zwierzęta w skórze cywilizowanych ludzi. To może być nasza najlepsza broń. Zakodujcie z tego co się da, a resztę niech ekstrapoluje analizator. Możecie postawić w stan gotowości oddziały Arnaka i powiedzcie Folgerowi, że będziemy potrzebowali tylko lekkiego i średniego uzbrojenia, nic ciężkiego. Mam tu jednak długą listę wyposażenia, które Nord będzie musiał przygotować dla zadań specjalnych. W porządku, teraz czekam na sygnał, że maszyna jest wolna...

Przejechał w milczeniu następne trzy mile. Wreszcie rozległo się ostre, przykre buczenie i kaleka bezbarwnym głosem zaczął mówić w stronę swego bicepsa:

– Przewidywany początek inwazji czas pokładowy pięć kreska dwa pięć kreska zero dziewięć kreska godzina trzynasta zero zero...

Zanim zakończył nadawanie 147 Okrężna została daleko z tyłu. Słowa przecięły atmosferę i pomknęły przez próżnię. Stacje pośrednie przechwyciły je, wzmocniły i wysłały dalej. W innym systemie gwiezdnym transmisja została przyjęta i potwierdzona.

Beznogi kaleka na ślizgu towarowym podniósł się z wózka, rozprostował nogi i szybko zmienił ubranie. W nędznych, wiejskich łachach wyglądał jak zbieracz wodorostów z jakiejś zapadłej, nadmorskiej dziury. Przeskoczył z powrotem od najszybszych do najwolniejszych taśm ślizgu i zniknął bez śladu w podmiejskiej dzielnicy rozrywkowej. Zostało mu jeszcze dwanaście dni do chwili, w której ta planeta miała umrzeć.

II

Mieszkańcy nazywali ją Rafa. Nazwa pochodziła z czasów, gdy pierwsi ziemscy emigranci, śmiertelnie wymęczeni próżnią i tułaczką po kosmosie, osiedlili się na pełnej światła, obiegającej biało-błękitne słońce, planecie. Rafa, na której zbudowali własny świat. Rafa, która teraz stała w obliczu inwazji.

Najpierw wypuszczono gaz. Nasycił wiatry duchem alienacji, który rozerwał wszelkie więzy łączące człowieka z drugim człowiekiem, odepchnął żony od mężów, matki od dzieci. Rafa rozpadła się na małe społeczności, składających się z samotnych, przerażonych istot ludzkich. Potem nadleciały ogniste kule i mieszkańcy Rafy drżeli w zabobonnym strachu.

Później pojawiły się statki Folgera. Średniego kalibru broń zniszczyła urządzenia wojskowe, węzły komunikacyjne, porty morskie i jedyne na planecie centrum lotów kosmicznych. Lekka broń orała tam i z powrotem powierzchnię planety, oślepiała telewizję i radary, bawiła się w znajdź-zniszcz z każdym prawdopodobnym ogniskiem zorganizowanego oporu. Wszystko według spisu, dostarczonego przez zwiadowcę, beznogiego kalekę, człowieka znanego jako Jared.

Budzący się dzień zastał na niebie wielkie, czarne owale platform desantowych. Płynęły wraz z wiatrami, czekając na rozkaz lądowania, a na nich czekali komandosi Arnaka.

Na siedemdziesiąt uprzednio wybranych miejsc spadły psychostacje. Wbiły się w planetę, zrzucając powłoki ochronne. Połączyły się w jedną całość i utworzyły sieć nadawczą, która natychmiast rozpoczęła zagłuszanie myśli we wszystkich mózgach na planecie. Modulując intensywność sygnałów, psychostacje prały mózgi beznadzieją, wstydem, tchórzostwem, depresją, przerażeniem, paranoją, wstrętem, zmęczeniem, głodem, pragnieniem powrotu do łona matki, świadomością, że taki powrót jest niemożliwy... i znów całym cyklem od początku.

Potem wylądowali komandosi.

Atak rozpoczął się 5-25-09 - godz. 13.00.

Na statku flagowym „Tempest" Sygnał Bezpieczeństwa odebrano 5-25-09 - godz. 06.44. Rozpoczęcie, przeprowadzenie i kompletne zakończenie podboju planety, zwanej Rafa zajęło 41 godzin i 44 minuty. Była to 174 planeta, którą Jared podbił na zlecenie klienta.

Półokrągła ściana mostku kapitańskiego była zatłoczona dwoma setkami precyzyjnych ekranów dwustronnej łączności, ukazującymi każdą fazę przeprowadzanej operacji.

Jared, który się w nie wpatrywał przez ostatnie kilka godzin, odwrócił się teraz do stojącej za nim humanoidalnej istoty o głowie mątwy i powiedział cicho:

- Zapłać mi.

Ram, niekwestionowany władca trzydziestu milionów podobnych mu istot, toczących całe życie w ciemnościach, na pogrążonej w wiecznym mroku planecie tego samego biało-błękitnego słońca, skierował na opalonego na brązowo mężczyznę swoje jedyne oko i szybko zamrugał. Zwisające na piersi i plecy macki zaczęły wić się, drgać i skręcać.

- Wykonałeś wspaniałą robotę, Jared - przekazały ruchy macek.
- Zapłać mi - powtórzył Jared.

Macki znów się poruszyły.

- Akcja nie została jeszcze w pełni zakończona.
- Słyszałeś Sygnał Bezpieczeństwa. Jesteś mi winien drugą połowę należności. Zapłać.

Ram splótł tylne macki w rozkazie dla drugiej, stojącej przy drzwiach istoty. Asystent wyszedł.

- Za chwilę przyniesie pojemniki.
- Dziękuję, Ram. - Jared odwrócił się w stronę ekranów.

Ram przyglądał mu się dłuższą chwilę, potem podszedł i stanął tuż za jego plecami. Jared nie był wysoki i mątwopodobna istota przewyższała go prawie o głowę. Jej aparat głosowy składał się niemal wyłącznie z membran i był w pewnym stopniu zdolny imitować ludzką mowę. Ram uważał się za kosmopolitę i był dumny, że posiadł umiejętność wydawania artykułowych dźwięków.

- Dyyy bochooocisss zzz Zeemmmyyy brrrauuda?

Jared patrzył na ekran 133, na którym komandosi oddzielali kobiety od mężczyzn i wpychali je do siłowych kontenerów.

- Tak. Jestem ziemianinem. Tam się urodziłem.

Powiedział to tonem, który nie zachęcał do dalszej konwersacji. Ram rozpoznałby ten ton, gdyby pochodził z Ziemi. Ale nie pochodził.

- Jaaggg daammm eeezzd nnaaa Zeeemmyyy?

Jared odwrócił się powoli i spojrzał na Rama. Patrzył, aż macki zaczęły powtarzać zadane przedtem głosem pytanie. Nie odpowiedział i powrócił do studiowania ekranów. Chwilę później Ram odsunął się do tyłu. „Bezczelny najemnik! Morderca!!!" - zafalowały macki za plecami Jareda.

Wszedł asystent, a za nim, dźwigając metalowe pojemniki, jeszcze dwie mątwogłowe istoty. Postawiły pojemniki u stóp swego władcy.

- Otwórz je - podchodząc bliżej powiedział Jared. Ram poruszył mackami w kierunku swego asystenta, który powtórzył rozkaz dwóm tragarzom, podając jednocześnie jednemu z nich klucz szyfrowy. Przyrząd został włożony do zamka i pojemniki otworzyły się, sycząc cicho pneumatycznym mechanizmem. Jared nachylił się nad pierwszym, potem nad drugim.

- Dziękuję ci, Ram - powiedział.
- Całoroczna produkcja Metalu - powiedział Ram powoli, ruchami przypominającymi falowanie wodorostów w cichej, spokojnej zatoce. - Wystarczająca ilość Metalu, by przez tysiąc lat oświetlać planetę. Wystarczająca, by dostarczyć energii milionowi statków, lecących na kraniec nieskończoności. Wystarczająca, by kupić świat.
- Kupiłeś za niego Rafę - powiedział Jared.
- Ta połowa... i ta druga... dwuletnia produkcja mojej planety. Największa transakcja, jaką dotychczas zrobiliśmy. Jak masz zamiar go użyć?

Jared spojrzał na niego zimno. Milczenie przedłużało się. Ram odwrócił wzrok.

Jared wziął klucz szyfrowy i wystukał na nim nowy kod. Potem, nie patrząc już po raz wtóry na Metal, zamknął pojemniki.

- Nie jesteś ciekawy, czy zapłaciłem ci tyle, na ile opiewała umowa? - zafalował mackami Ram, sygnalizując czułkiem interpretacyjnym cierpką ironię.

Jared posłał mu uśmiech. Nie było w nim nawet śladu ciepła.

- Nie odważyłbyś się mnie oszukać, Ram. Chcesz mnie znów wynająć. By podbić Signę II.

Macki asystenta zatańczyły gwałtownie. Ram uciszył go i zrobił krok w stronę Jareda.

- Tak, tak. Chcę.

Jared odwrócił się do ekranów. Wskazał jeden z nich, oznaczony numerem 50.

- Patrz, Ram. Nadchodzi koniec świata nazywającego się Rafa.

Z nieba Rafy, malowanego w żółto-purpurowe pasma przez czerwoną plamę zachodzącego słońca, zstępował Gubernator. Humanoidalne ciało schował w miękkiej krezie, wiszącej wokół pożyczonej od mątwy głowy. Wielkie oko błyszczało promienną zielenią. Macki falowały zadowoleniem. Spływał w dół ze statku, bezpiecznie unoszącego się w strefie rażenia inwazyjnych sił Jareda, by przejąć z rąk najemników kontrolę nad podbitą planetą.

Ram położył jedną ze swoich macek na ramieniu Jareda.

- Teraz w tym systemie mam już dwie planety - powiedział. - Signa II będzie następna. Potem Gila, Karthes, Vale i Kalpurnika. Moi ludzie będą rządzić całym systemem. Tu jest skrzyżowanie najważniejszych dróg handlowych. Połowa zysków jest twoja, Jared?

Najemnik nie zareagował. Stał nieruchomo jak kamienny posąg. Zimny i martwy.

- Wiem, że dla innych robiłeś takie rzeczy - nalegał Ram. - Mam dokładne raporty na temat twojej pracy. Dlatego zgłosiłem się do ciebie. Wiem, że dla niektórych klientów dokonywałeś kilku podbojów w tym samym systemie. Potrzebuję tych pozostałych pięciu planet, by wzmocnić moją pozycję w tej galaktyce. Odbiorą mi Rafę, jeżeli...

- Nie - powiedział Jared. Krótko i ostatecznie.
- Dlaczego?

Jared odwrócił się i ruszył ku przeciwległemu końcowi sali. Ram przez chwilę śledził go wzrokiem, potem poszedł za nim. Nagle wyciągnął macki i owinął je wokół piersi i talii Najemnika. Odwrócił go twarzą ku sobie i wysyczał:

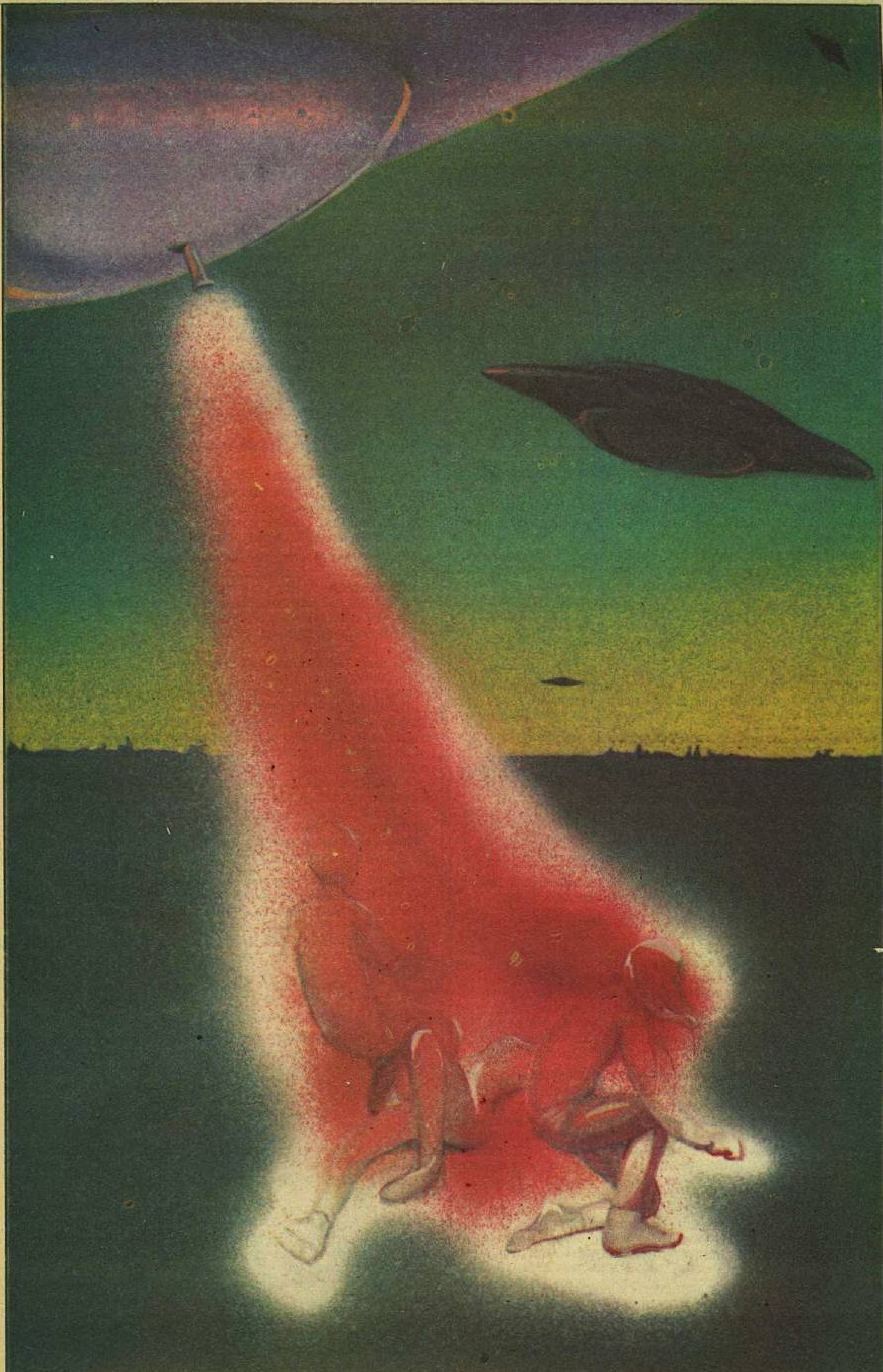
- Ssssrrooobissss dooo dlaaa mnneee!

Ruchy Jareda były błyskawiczne, prawie niezauważalne. Jedną dłonią chwycił macki opasujące mu talię, drugą owinięte wokół piersi i wykręcił się z ich uchwytu. Przysiadł gwałtownie, natychmiast z powrotem wyprostowując nogi i jednocześnie pochylił górną połowę ciała do przodu. Był to nieoczekiwany i po mistrzowsku wykonany manewr. Ram pofrunął w stronę ściany, zwijając się w powietrzu w kulę. Wstał dopiero po dłuższej chwili. Jared wyciągnął ku niemu palec.

- Przyjąłem zlecenie tylko na jedną robotę. Na jedną, Ram. Wykonałem ją, ty mi zapłaciłeś. Warunki kontraktu zostały wypełnione. Teraz idź objąć w posiadanie twoją nową prowincję. Ram poszedł szybko ku wyjściu i zniknął, żadnym gestem nie zdradzając gotującej się w nim wściekłości. Pozostałe trzy istoty stały przez chwilę nieruchomo, jakby czekając na polecenia człowieka. Jared się nie odezwał. Asystent zafalował mackami i wszyscy trzej podążyli za Ramem.

Kilka minut później Jared obserwował opuszczający „Tempesta" prom. Z kamienną twarzą śledził go na kolejnych ekranach. Jednak dużo później, gdy komandosi Arnaka zostali wycofani, a Ram wprowadził własne siły, twarz Jareda już nie była spokojna. Patrzył na krwawe jatki, dokonujące się na zamkniętych w siłowych kontenerach mieszkańcach Rafy. W ciągu kilku godzin trzy czwarte populacji Rafy było martwe. Pozostałe miliony pędzono do obozów pracy.

Jared wprowadził do automatycznego pilota dane drogi powrotnej i wyszedł. Włączone ekrany płonęły obrazami dalekich gwiazd i galaktyk.



Iwona Pilch

III

Dwieście obojętnych, usianych kraterami twarzy księżyca zbliżało się, rosło na dwustu ekranach. Jared patrzył na nie pustym wzrokiem. To nie był jego dom. To była tylko baza, do której się wraca. Zamknął oczy.
Ogromny płat ponurej, ospowatej skorupy drgnął i rozchylił się jak wielka paszcza. „Tempest" wleciał do środka i paszcza zamknęła się.

Jared opuścił statek, podszedł do jednego z szybów komunikacyjnych, przecinających ścianę doku, został wessany i przeniesiony na poziom miejski.
Księżyc był tylko pustą, wypatroszoną skorupą. W jej środek, w miejsce jądra, wstawiono maszynę, a wokół niej zbudowano miasto. Powstała niezniszczalna forteca.
Jared poszedł prosto do swego miejskiego domu. Rozebrał się, wykąpał i wziął masaż. Potem spał przez 26 godzin.

Obudził się, gdy w mieście panowała sztuczna noc. Ściany, sufit i podłogę wypełniał ledwo uchwytny, monotonny pomruk. Maszyna myślała. Usiadł przy stole i zjadł śniadanie. Potem wyłączył wentylator pompujący świeże powietrze do sypialni, jeszcze raz się wykąpał i zszedł na dół, by sprawdzić zapisy umieszczone w pamięci automatycznego sekretarza. Było ich sześć, wszystkie poprzedzone znakiem priorytetu.

Pierwszy: delegacja Bractwa Galaktycznego przybyła dwa miesiące przed terminem z zamiarem wniesienia formalnego zażalenia.

Drugi: klient z Kim. Zadanie: podbój oceanicznej planety Wahwhiting w tym samym systemie solarnym.

Trzeci: klient ze Stowarzyszenia Siedmiu. Zadanie: podbój trzech światów z Pierścienia Dziesięciu, które nie chcą przyłączyć się do Stowarzyszenia.

Czwarty: były klient Ragish z Tymalle, żądający zwrotu części wniesionej zapłaty w związku z buntem na podbitej planecie. Forma płatności: cudowny lek Y-Kappa.

Piąty: klient z Bunyana IV. Zadanie: podbój rządzonego przez kobiety świata Khaine w pobliskim systemie gwiezdnym.

Szósty: przedstawiciel podbitej planety EElax. Zadanie: odzyskanie władzy nad planetą.
Jared zastanawiał się przez chwilę, potem ustalił kolejność przyjęć: cztery, sześć, trzy, dwa, jeden, pięć. Automatyczny sekretarz zapewnił go, że każda z delegacji została starannie sprawdzona i poddana rewizji. Na jego powrót z Rafy czekali w komfortowych apartamentach.

Przeszedł do swego miejskiego biura. Siedział, otoczony ciężkimi, dębowymi meblami, przewiezionymi przed laty z Ziemi, paląc i rozmyślając o Rafie.

Rzeźnia, jaka się tam dokonała była potworna, większa niż się spodziewał. Jednak nie większa od przewidzianej przez maszynę. Przewidywania, dokonane na podstawie danych charakterystycznych Rama i jego rasy oraz natury praw, rządzących przebiegiem wypadków w czasie inwazji, sprawdziły się z dokładnością do drugiego miejsca po przecinku. Maszyna nigdy się nie myliła.

Jared przypomniał sobie czas, gdy rozpoczynał organizację swego przedsiębiorstwa. Pierwsze zlecenie, niewielkie, wykonane przy użyciu starych i niemal już zapomnianych technik walki partyzanckiej, przyniosło mu dostateczną ilość pieniędzy, by mógł za nie kupić wiedzę potrzebnych mu naukowców i rozpocząć budowę maszyny. Prototyp był dostatecznie sprawny, by opracować dokładne plany drugiej inwazji, dzięki której stworzył pierwszą bazę i zorganizował pierwsze oddziały komandosów. Przedsiębiorstwo rozrastało się, jego reputacja była znana w coraz większej ilości grup gwiezdnych.

Dziesięć lat temu rozpoczął drążenie wnętrza księżyca, obiegającego jedyną planetę wygasłego słońca. Teraz, otoczony pancerzem i nieosiągalny, był poszukiwany przez setki klientów rocznie. Z nie tych którymi rozmawiał osobiście, większość odsyłał z kwitkiem. Dane z którymi rozmawiał, segregował jeszcze raz i tylko niektóre wprowadzał do maszyny. I dopiero spośród tej niewielkiej garstki wybierał do realizacji jedno lub dwa zlecenia. Jednak gdy umowa została podpisana, zawsze wywiązywał się z niej bez najmniejszego potknięcia. 174 planety zmieniły właściciela dzięki specyficznemu talentowi Jareda, jego oddziałów i jego maszyny. Miasto było teraz wielkie, a maszyna przekonstruowała się i dodała sobie nowe części. Używano tylko najnowocześniejszego wyposażenia i najbardziej efektywnych technik.

Do wynajęcia. Jared, zabójca światów.
Na początku zapłatą były oszałamiającej wielkości sumy pieniędzy, ale z upływem lat coraz niechętniej przyjmował gotówkę. Obecnie jedno zlecenie przynosi mu ogromne zapasy przywracającego życie leku, inne dawało prawa własności na planetoide, dzięki jeszcze innemu umieszczał swojego człowieka na odpowiednim stanowisku rządowym. Przypadkowe formy płatności, przypadkowy wybór klientów, całkowicie pozbawiony wewnętrznego związku czy logiki. Jedynie imię Jared było stałe, obrosłe legendą, budzące strach i nienawiść.

Usłyszał zbliżające się przez hall recepcyjny kroki. Spojrzał w górę, na szczyt kilkunastu stopni prowadzących od wejścia ku zastawionemu dębowymi meblami salonowi. Stał na nich Denna Gill.

– Witaj w domu – powiedział.
Zaczął schodzić ze schodów. Kuliste, pokryte puszystą sierścią ciało podskakiwało na trzech długich, strusich nogach. Para wielkich, bezbarwnych oczu, osadzonych w płasiej twarzy wpatrywała się w Jareda z niepokojem.
– Coś niezbyt dobrze wyglądasz.

Jared zanurzył się głębiej w wielkim fotelu. Odepchnął automatycznego sekretarza ku wyłożonej drewnem ścianie. Rozstąpiła się, urządzenie wtoczyło się do niszy, ściana zamknęła się. Pokój znów stał się osiemnastowiecznym salonem.

– Jestem trochę zmęczony.
– Jak poszło?
– Myślę, że nieźle.
– To znaczy, że przewidywania maszyny były dokładne?
– Wszystko się sprawdziło z dokładnością do jednej setnej.

Gill zgiął nogi i jego doskonale kulista głowa znalazła się na tym samym poziomie, co twarz Jareda.
– Spodziewałeś się tego.
– To wcale nie znaczy, że się tam dobrze bawiłem, patrząc na to wszystko.
– Tak. Też tak myślę.
Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Potem Jared spytał:
– Ta delegacja z Bractwa, kto w niej jest?
– Becker z Ziemi, Stieglitz z Alfy C Dziewięć, ten młody człowiek, jakże on się nazywa... Mosey, Morrisey...

– Ten z Kraba? Mosier, francuskie nazwisko.
– Tak, to ten.
– Ktoś jeszcze?
– Jak zwykle. Przedstawiciele zastraszonych planet.
– Nie wyglądasz na specjalnie zmartwionego.
– Wprowadziłem dane tej sprawy do maszyny.
– I co?
Głowa Gilla podskoczyła lekceważąco.
– Nieistotne.
– Widzę, że w końcu udało nam się zwabić tych z Bunyana IV.
– Staraliśmy się o to przez trzy lata. Musieli zareagować po tej robocie dla Coopera. To było bardzo ładnie rozegrane.
– Tylko nie przypominaj mi, ile nas to kosztowało.
– Ale w końcu tu przyszli i tylko to się liczy. Myślisz, że uda nam się wyciągnąć od nich to, co chcemy?
– Oni potrzebują Khaine. Oni muszą ją mieć. Będą gryźli, ale w końcu się zgodzą. A co na to maszyna?
– Na razie nic.
Jared wstał.
– No to zaczynamy ten cyrk.

Człowiek i jego towarzysz wyszli z salonu przez ukryte w ścianie drzwi. Po 70 sekundach jazdy jednotorową kolejką wzdłuż wyciętego w tkance księżyca tunelu, dotarli do niskiego pomieszczenia. Otworzyli potężne , metalowe drzwi i weszli. Miliardy Jaredów i Gillów zatańczyły wokół nich, pobłyskując w srebrnym świetle, rozszczepionym przez gigantyczny, niewiarygodny diament, tworzący salę przyjęć. Jego średnica wynosiła prawie jedną ósmą mili. Został starannie wybrany przez geologów Jareda właśnie w tym celu. Pochodził ze Szklanych Gór na Isopii i był zapłatą za podbój tej planety.

Każdy potencjalny klient mógł w rzeczywistości być mordercą, nasłanym przez jakąś podbitą planetę, by uwolnił kosmos od człowieka, mordującego światy na zlecenie. Jared skomplikował to zadanie tak bardzo, jak to było możliwe. Kto potrafi zabić w sytuacji, gdy istnieją miliardy łudzących celów.
Usiedli za konsolą i Gill wydał polecenie wprowadzenia pierwszego interesanta.

Przez drzwi w przeciwległym końcu diamentu, niemal identyczne z tymi, przez które dostali się tutaj Jared i Gill, wszedł Ragish z Tymalle. Był bardzo daleko, ale jego odbicie nagłą kaskadą, skacząc i drżąc, objęło całą salę.
Trzy minuty zajęło Jaredowi wytłumaczenie, dlaczego niemożliwy jest choćby częściowy zwrot należności, którą Ragish uiścił za podbity świat. Jared nie brał na siebie żadnej odpowiedzialności za niezdolność klienta do utrzymania w swoich rękach tego, co zostało dla niego zawojowane. Ragish wyszedł.
Minutę zajęło odprawienie z niczym byłych władców planety EElax.

Minutę trwała, zakończona odmową Jareda, rozmowa z przedstawicielami Stowarzyszenia Siedmiu. Odeszli jednak z nadzieją, polecił im zgłosić się powtórnie za cztery lata.
Minuta została stracona na uporanie się z rzekomą delegacją z

Kim, której w jakiś sposób udało się przejść przez wszystkie kontrole. Plan zamachu został obmyślony starannie, jednak trzej obcy zostali wyparowani, nie zdążywszy nawet wypuścić samonaprowadzających się pocisków, które kryły się w ich bogato zdobionych szatach.

Potem weszła bardzo elegancko ubrana grupa przedstawicieli Bractwa Galaktycznego.

Ich rzecznik, Becker, był potężnej postury człowiekiem z długą, białą brodą, podświadomie kojarzącym się z uczciwością, mądrością, dobrocią. Święty Mikołaj.
Jared znał tego człowieka i nie ufał mu.

Mimo iż stali w najbardziej odległym końcu sali mikrofony na ścianach przekazywały Jaredowi ich słowa czysto i wyraźnie.
– Dzień dobry – zaczął Becker.
– Powiedziano mi, że chciałby pan złożyć zażalenie, panie Becker.
Jared mówił spokojnie, ale odstępstwo od protokołu wyraźnie zbiło Beckera z tropu.
– No cóż... hmm... właśnie dlatego przybyliśmy.
– A więc do rzeczy.

Becker wziął kilka teczek od stojącego za nim młodego człowieka. Wyciągnął je w kierunku Jareda. Był to nonsensowny gest i Becker zaraz cofnął rękę z powrotem.
– Mamy tu dokładny wykaz zarzutów.
– Niech je pan wymieni, panie Becker, mam mało czasu.
– Musi pan skończyć raz na zawsze z pańskimi niegodnymi praktykami. My, zrzeszeni w Bractwie Galaktycznym, zebraliśmy się w duchu pokoju i harmonii, by przynieść zjednoczenie wszystkim znanym światom. Odkąd człowiek opuścił Ziemię, przez Kosmos toczy się fala wojen i podbojów...

– Znam historię mego gatunku, panie Becker. Być może lepiej niż pan. Ostatecznie sam wniosłem do niej niemały wkład.
– Arogancja sprowadzi na ciebie śmierć i potępienie!
– A hipokryzja na ciebie.
Becker zatkał się na chwilę.

– Powiem panu jasno i bez ogródek, panie Becker. W ciągu ostatnich dwu lat dostałem dziesięć propozycji od członków tego pańskiego Bractwa. Głosicie wolę pokoju i to jest bardzo chwalebne. Jako myślący człowiek zgadzam się z tym całkowicie, mimo iż z punktu widzenia moich interesów... Gdybyście osiągnęli to, co głosicie, że chcecie osiągnąć, ja zostałbym bez pracy, a ta perspektywa nieszczególnie mi odpowiada. W każdym jednak razie idea jest bardzo wzniosła. Z przykrością muszę jednak stwierdzić, że pan jest oszustem, panie Becker, a to pańskie Bractwo szalbierstwem obliczonym na naiwnych. Nazwa nie ma tu znaczenia. Bractwo Galaktyczne. Zjednoczone Światy. Związek Wolnych Planet. Widziałem jak powstawały i jak kończyły. W krytycznym momencie każdy z sygnatariuszy pańskiego paktu, jeżeli tylko będzie miał cień szansy na przejęcie kontroli nad szlakami galaktycznymi, zdradzi resztę i wynajmie mnie. A Ziemia, którą wszyscy powinniśmy darzyć głębokim i szczerym uczuciem, wcale nie będzie w tym ostatnia. Ta pańska dęta inicjatywa nie jest więcej warta, ani bardziej szczera od wszystkich innych, panie Becker. Wracając do konkretów, miałem wstępne propozycje od klientów z Ziemi, dotyczące Alfy C Dziewięć. Panie Stieglitz, jest pan tam...?
Wysoki, szczupły alfianin wystąpił naprzód. Jego jasnoczerwona skóra pulsowała furią.

– Jestem! – krzyknął.
– Może pan spyta pana Beckera o tę sprawę. Ostatnia propozycja pochodziła osobiście od prezydenta Spaaka. Była złożona za pośrednictwem Neutralnej Konfederacji Szwajcarskiej z Proximy C Jeden.

Nastąpiła natychmiastowa i gwałtowna wymiana zdań między alfianinem a Beckerem. Jared polecił wszystkim opuścić diament, ostrzegając jednocześnie, że każda próba ataku na jego bazę spowoduje kontrakcję, podjętą z zaangażowaniem równym temu, z jakim dotychczas przygotowywał i przeprowadzał podboje 174 planet.

Gdy wyszli ziemianin rozparł się wygodnie w fotelu. Gill przyglądał mu się uważnie.
– Chcesz zrobić krótką przerwę?

Jared potrząsnął głową.
– Zabierajmy się do głównego dania.

Delegacja z Bunyana IV weszła do sali i przedstawiła swoją propozycję. Jared słuchał, a gdy skończyli wprowadził za pośrednictwem kontroli dodatkowe dane do maszyny. Odpowiedź, jak się spodziewał, była pozytywna.
– Biorę tę robotę – powiedział.
– Jaka jest cena? – spytał klient.
– Najwyższa możliwa, oczywiście.

IV

Khaine nie była właściwie światem amazonek. Nie była nawet zdominowana przez kobiety. Po prostu stulecia wcześniej stwierdzono, że kobiety rządzą lepiej niż mężczyźni. W związku z tym rząd Khaine składał się niemal wyłącznie z kobiet, którym przewodziła Pierwsza, wybierana systemem łączącym powszechne wybory i komputerową selekcję. Obecnie władczynią Khaine była Irina – po części prezydent, po części królowa, po części rzecznik Senatu. Przede wszystkim kobieta. Odkryła, że Jared jest na Khaine w trzy miesiące po jego przybyciu. Osaczono go w Parku Kotów, w centrum Jerozolimy, stolicy Khaine. Oddział policji do zadań specjalnych, złożony z kobiet i mężczyzn, otoczył park i zaczął przesuwać się ku jego środkowi. Jared występował w nocnym lokalu jako komik, był gruby, głowę otaczał mu wianek białych, sterczących włosów. Pierwszy z policjantów odnalazł go, gdy Jared był bez przebrania, jedynie w czarnym, impregnowanym kostiumie, który nosił na gołe ciało. Policjanci mieli rozkaz brać go żywcem. Jared wspiął się na drzewo, powodując panikę wśród miejscowych kotów. Przeskakiwał z gałęzi na gałąź, z drzewa na drzewo, a ścigający usiłowali w ciemnościach ustalić kierunek, w którym Jared ucieka. Potem przyniesiono miotacze i policjanci podpalili park, próbując odciąć mu drogę. Osaczyli go i oświetlili reflektorami na czubku jednego z pierzastych drzew. I wtedy Jared zniknął. Wysoko nad nim, na nocnym niebie, rozbłysł błękitem jasny punkt, migotał przez chwilę i zgasł.

Jared pojawił się na nowo na lewym brzegu rzeki Ganges, która dzieliła Jerozolimę na dwie części, uzbrojony, z aparatem tlenowym na twarzy. Spojrzał na przyrząd na przegubie i zanurzył się w rzece. Popłynął w głąb jej zanieczyszczonych wód, usiłując dojrzeć cokolwiek w mętnej ciemności, rozpraszanej symbolicznie przez świetlne gogle. Tuż nad dnem został przechwycony przez radar i jeden z policjantów wyszedł mu na spotkanie. Jared przywitał go trójzębną włócznią. Policjant przyjął cios stali na piersi i zniknął w ciemnościach, padając i gramoląc się niezdarnie.

Jared odnalazł bez trudności podwodne wejście do schronu i równie łatwo je wysadził. Wypompował wodę z przejściowej śluzy i uporał się z zamkiem drzwi prowadzących dalej. W schronie panowała cisza. Jared spojrzał na przyrząd na przegubie, skręcił w prawo i poszedł wzdłuż metalowej ściany. Po pewnym czasie stanął na progu pomieszczenia kontrolnego, wypełnionego od podłogi do sufitu wskaźnikami, lampkami i czujnikami. Przy jednej ze ścian stała kobieta.

– Założę się, że to nie potrafi tyle, co moja maszyna – powiedział.
Kobieta odwróciła się, upuszczając kółko z nawleczonymi nań cienkimi, metalowymi płytkami.
– Upuściła pani klucze.

Była urocza, bardziej niż na zdjęciach z jej dossier, które Jared przeglądał. Nie ładniejsza, ale właśnie bardziej urocza, w sposób, którego nie potrafi oddać żadna podobizna. W młodości jej twarz była ładna, ale z biegiem lat uroda toczyła, już niemal przegraną, walkę o prymat ze skondensowaną mądrością, z odbiciem wewnętrznej siły i niezłomności charakteru. Teraz była urocza.

– Kim pan jest... w jaki sposób...?
– To samo źródło, z którego dowiedziała się pani, że jestem na Khaine dostarczyło mi wiadomości, gdzie można znaleźć schron z pani pomieszczeniami kontrolnymi.

– Zawsze uważałem szpiegostwo – dodał po chwili – za obosieczną broń. Zwykle uderza obie zainteresowane strony jednocześnie.
Zaczęła przesuwać się w stronę umieszczonego w ścianie przycisku. Złapał ją, zanim zdołała go dotknąć. Wywinęła się i pchnęła Jareda na ścianę. Zatoczył się i upadł. Znów ruszyła w stronę przycisku.

Strzelił. Promień uderzył tuż przed nią, paląc przycisk, obwody i połowę ściany. Wstrząs odrzucił ją w bok. Uderzyła tyłem głowy w kant szafki, jęknęła i osunęła się na podłogę. Jared podniósł się

Harlan ELLISON

urodził się w 1934 roku w Cleveland. Studiował na Uniwersytecie w Ohio. W latach młodości był między innymi wydawcą fanzinu „Science Fantasy Bulletin", z którego wzięło swój początek pismo „Dimensions". Po ukończeniu studiów przeniósł się do Nowego Jorku, gdzie wspólnie z Randallem Garretem i Robertem Silverbergiem zawodowo zajął się literaturą SF. Miał jednak duże trudności z debiutem. (Garret debiutował w 1951 roku, Silverberg w 1954, Ellison dopiero w 1956 roku). Pierwszym pismem, które zdecydowało się zamieścić utwór Ellisona było „Infinity", które w lutowym numerze z 1956 roku zamieściło krótkie opowiadanie **„Glowworm".** Debiut był udany i do 1960 roku Ellison opublikował ponad 100 utworów. Jako autor opowiadań zdobył siedmiokrotnie nagrodę HUGO i dwukrotnie nagrodę NEBULA.

W 1967 roku Ellison stał się czołowym propagatorem amerykańskiej „nowej fali". Wydał wówczas słynną antologię „Dangerous Visions". Działalność na tym polu kontynuuje w kolejnych tomach: „Again, Dangerous Visions" (1972) i „Last Dangerous Visions" (1978).

powoli. Była tylko nieprzytomna. Zakrył jej twarz aparatem tlenowym, przerzucił ją przez ramię i poszedł w stronę wyjścia ze schronu.

Dopiero trzeciego dnia lotu do bazy można było przerwać podawanie jej środków nasennych. Odzyskała przytomność, rozejrzała się wokół. Uświadomiła sobie, gdzie się znajduje i próbowała uciec. Jared znów ją uśpił. Nie mógł pozwolić, by Irina, Pierwsza na Khaine, umarła w mroźnej, pozbawionej powietrza próżni.
Gill czekał. Był zmartwiony. Nie okazywał tego w sposób, w jaki robiłby to człowiek, jednak Jared potrafił rozpoznać nastroje istot, należących do rasy Mexla. Gill był zmartwiony.

– A jeżeli ona nie zechce współpracować? – spytał.
– Nie sądzę, aby chciała.
Gill zgiął i natychmiast wyprostował nogi.
– Więc, jaki do diabła...
– Nie, ani pranie mózgu, ani narkotyki. Muszę sprawić, by sama chciała to zrobić.
– Jak, do diabła...
– To ty kiedyś powiedziałeś: „jeżeli nie będę miał niczego konstruktywnego do zaproponowania, odłożę sprawę i pozwolę tobie się nią zająć".
– Jared, mój Boże, a jeżeli... a jeżeli... – Nie mógł nawet wypowiedzieć tej myśli. Była zbyt niebezpieczna, zbyt straszna. Jared dotknął go delikatnie.
– Gill, dotarliśmy aż do tego miejsca. Jeśli się teraz mylimy i te wszystkie twoje „jeżeli..." są uzasadnione... jeśli gdzieś po drodze coś poszło nie tak i my tego nie zauważyliśmy... to jesteśmy tym, czym wszyscy twierdzą, że jesteśmy. A jeżeli przeprowadziliśmy wszystko prawidłowo, to tak czy inaczej musi się udać.
Gill zachwiał się z rezygnacją.
– Będziesz teraz rozmawiał z maszyną?
Jared przytaknął.
– Jest zaprogramowana? – spytał.
Gill potwierdził i odprowadził go do szybu komunikacyjnego. Jared znów go dotknął, delikatnie gładząc puszystą sierść.
– Musisz się uzbroić w cierpliwość, przyjacielu.
A po chwili dodał:
– Teraz już nie możemy się wycofać.

Szyb przerzucił Jareda przez jądro księżyca i zaniósł pod potężne drzwi, oddzielające ludzi od maszyny. Otworzył je jedynym kluczem, którym było to możliwe – przyrządem, zawierającym wzory jego fal mózgowych. Wszedł do środka i stanął przed ogromnym metalowym mózgiem, wznoszącym się w górę, poza zasięg wzroku. Kazał go kiedyś skonstruować, by mu służył pomocą w mordowaniu światów dla zysku.

– Cześć, Jared – powiedziała maszyna.
– Dawno się nie widzieliśmy – odpowiedział. Podszedł do zaprojektowanego specjalnie dla niego fotela. Usiadł i po raz pierwszy od kilku lat poczuł się całkowicie odprężony.
– Czy przywiozłeś Pierwszą?
– Tak, jest tutaj. Jesteś pewna, że to było niezbędne dla powodzenia inwazji?
– Czy kiedykolwiek się omyliłam?
Jared zaśmiał się cicho.

– Nawet jeżeli byś się omyliła, nie potrafiłbym tego sprawdzić.
Maszyna zamruczała do siebie, jakby się zastanawiając.
– Uważasz, że dałeś maszynie zbyt wielką siłę, mój twórco?
– Maszyny nie mają w zwyczaju kpić ze swych panów.
– Przepraszam. Tylko pytałam.
– Nie, wcale nie myślę, że dałem ci zbyt wielką siłę. Obawiam się jedynie, że jeśli przepali ci się gdzieś jakiś obwód i źle go przewiniesz, możemy wszyscy skończyć mówiąc „Tak jest, panie" do robotów.

– Nie pragnę rządzić ludźmi. Odpowiada mi taka sytuacja, jaka jest teraz.
Jared pozwolił jej kłamać. Maszyna właściwie nie mogła kłamać, nie mogła oszukiwać. Ale mogła zaprogramować się na specyficzny rodzaj prawdy.
– Martwisz się sprawą inwazji na Khaine.
– Tym razem niezbyt mi wiele powiedziałaś.

– Miałam powody. Wyznaczyłeś mi tylko jeden cel, Jared. Jestem zaprogramowana na jego osiągnięcie i muszę robić to, co jest konieczne. Dotychczas znajdowaliśmy się w pierwszym stadium programu, teraz wchodzimy w drugie, najbardziej niebezpieczne. Jest jednak jedno słabe ogniwo.
– I jest nim...?
– Jared – powiedziała maszyna.
Nagle wiele rzeczy stało się dla niego jasne. Zanurzył się w fotel, próbując uporządkować rozbiegane myśli.
– A więc potrzebujemy Iriny, Pierwszej na Khaine – powiedział w końcu.
Maszyna odpowiedziała natychmiast.

– Tak. MY jej potrzebujemy i TY jej potrzebujesz. Mężczyźni zbyt często stają się podobni do swoich maszyn, Jared. A potem oskarżają je, że przyczyniły się do ich dehumanizacji. Pracowałam wraz z tobą nad programem przez piętnaście lat. Przedtem, zanim zostałam zbudowana, przez siedem lat pracowałeś sam. 22 lata, Jared, duża część życia każdego człowieka, a twego znacznie większa niż innych ludzi. Ciężar, który wziąłeś na swoje barki niszczy cię i w końcu zabije. Stałeś się zbyt podobny do mnie. Tak, potrzebujemy Pierwszej.

Rozmawiali jeszcze przez wiele godzin. Potem Jared pojechał z powrotem do swego miasta, gdzie czekał na niego Gill. Zdobył się jedynie na blady uśmiech i wyszeptał:
– Zaprowadź mnie do domu, Gill. Potrzebuję snu.
Ale nie mógł zasnąć.

V

Gill nie mógł tego zrozumieć. Maszyna postawiła kategoryczny warunek, aby Jared osobiście przeprowadził rozpoznanie i porwał Irinę. Gdy to zrobił, ryzykując życiem, maszyna opracowała niesłychanie prosty plan podboju Khaine, w którym nalegała, aby Irina była obecna na statku i przyglądała się wszystkim etapom inwazji.

Potem Jared pojechał na dół, rozmawiał z maszyną i nic na temat tej rozmowy nie powiedział.
Gill denerwował się i martwił. To wszystko nie wyglądało dobrze. Była w tym jakaś straszliwa pomyłka.
Teraz, gdy na ekranach rozgrywały się ostatnie fazy podboju, a klient z Bunyana IV chichotał jak wariat za ich plecami, Gill sprawdzając pasy, którymi Irina była przywiązana do umieszczonego na wprost ekranów fotela, pragnął, żeby w ogóle nie podejmowali się realizacji tego zlecenia.

To był szybki podbój – Khaine była zupełnie bezbronna. Od pojawienia się w atmosferze planety statków Jareda nie minął nawet jeden dzień.

Przez cały ten czas Pierwsza nie odezwała się ani słowem. Teraz Khaine była martwa, a ona na to patrzyła. Milczała, gdy niebo nad Jerozolimą zapłonęło czerwienią i miasto zniknęło z powierzchni ziemi. Nie powiedziała ani słowa, gdy bomby obracały w gruzy zakłady przemysłowe, a na miejscu górskiej bazy wojskowej powstawał szklisty krater. Przyglądała się temu wszystkiemu z zaciśniętymi ustami, a gdy komandosi Arnaka nadesłali Sygnał Bezpieczeństwa zwisła bezsilnie na krępujących ją pasach.

Jared nie zwracał na nią uwagi. Stał nieruchomo przed dwustoma ekranami i nadzorował dobijanie planety.
– To wszystko, Siedemnastko – powiedział w końcu. – Robota zakończona.
Klient z Bunyana IV – wysoki i cienki, o guzowatych stawach i wąskich jak szparki zielonych oczach, między którymi sterczał jak ostrze noża długi nos – odwrócił się w jego kierunku.
– Wspaniale, po prostu wspaniale – powiedział, pozgrzytując z zadowolenia stawami. Śmiał się histerycznie przez cały czas trwania operacji. Jared nim pogardzał.

– Jeszcze tylko jedna malutka rzecz – powiedział Siedemnastka, wyjmując przyrząd, zakończony wirującym jak piła ostrzem. Odwrócił się ku Pierwszej. – Żegnaj, moja droga Irino.
Zgrzytając stawami zrobił trzy kroki i wyciągnął długie, cienkie ramię. Irina patrzyła na niego zimno. Nie bała się.
– Nie!
Słowo zgrzytnęło równie nieprzyjemne jak stawy Siedemnastki. Klient odwrócił powoli płaską głowę. Cienkie jak drut ramię z wirującym ostrzem nie obniżyło się nawet o centymetr. Jared patrzył na niego nieruchomo.
– Powiedziałem – nie!

Siedemnastka zaśmiał się wysokim, skrzekliwym głosem.
– To jest Irina, Pierwsza na Khaine, zabójco. Jest jedyną osobą, która może zorganizować i poprowadzić na mnie kontruderzenie. Musi umrzeć. Natychmiast!
– Jeszcze mi nie zapłaciłeś, Siedemnastko.
– W odpowiednim czasie, zabójco.
– Teraz.
– Najpierw muszę skończyć to, co ty rozpocząłeś.
– Nie zmuszaj mnie, abym cię zabił – powiedział Jared. Klient z Bunyana IV odskoczył w tył, widząc broń w jego dłoni.
– Co to znaczy?
– Chcę, żebyś mi zapłacił teraz, natychmiast.

Siedemnastka usiłował śledzić jednocześnie Jareda i Gilla. Mexla przesuwał się powoli wzdłuż mostka. Siedemnastka wiedział, że został osaczony, ale nie rozumiał dlaczego.
– Nie powiedziałeś mi jeszcze w jakiej formie mam ci zapłacić.
Jared skinął głową w stronę kobiety.
– Nie! – Siedemnastka powiedział to równie głośno i kategorycznie, jak przed chwilą Jared.
Jared podszedł bliżej, przesuwając się jednocześnie w bok, by wystrzelony promień nie uszkodził przyrządów za plecami Siedemnastki.

– Ona jest moja. To moja zapłata. Jeśli ją zabijesz w ciągu trzech dni będziemy koło Bunyana IV. To, co widziałeś tutaj może zostać powtórzone na twojej planecie.

Siedemnastka opuścił ostrze.
– Jest twoja.
– Dziękuję, Siedemnastko – odpowiedział Jared uprzejmym tonem. – Teraz idź i weź swoją własność.
Klient pośpiesznie opuścił mostek, a kilka minut później jego statek z równym pośpiechem oddalał się od „Tempesta".
– Potwierdź przekazanie planety. Niech ją sobie biorą – powiedział Jared do Gilla.

Gill podniósł się i podszedł do nadajnika, by przekazać Khaine flocie z Bunyana IV, wiszącej tuż poza zasięgiem detektorów podbitej planety.
Irina patrzyła jak obce statki wdzierają się w atmosferę jej planety. Teraz... odwróciła oczy.
Gdy je z powrotem podniosła, napotkała wzrok Jareda.

– Powinieneś mu pozwolić mnie zabić – powiedziała niskim, beznamiętnym głosem. Dopóki żyję, nie będziesz bezpieczny nawet przez sekundę.
Jared odłożył broń.
– Porozmawiasz z moim przyjacielem – powiedział i odwrócił się do niej plecami.

Wrócili do bazy. Próbowała go zabić natychmiast po zdjęciu krępujących ją pasów. Bezskutecznie. Gill zdołał jej wstrzyknąć środek nasenny w chwili, gdy przystępowała do rozbijania ekranów.
Obudziła się w fotelu, głęboko we wnętrzu księżyca, przed olbrzymim, metalowym mózgiem.

Maszyna udowodniła jej, że Jared płacił za swoje podboje znacznie większą cenę, niż każdy z jego zleceniodawców. Otworzyła w jej mózgu kanały, dotychczas zablokowane przez wychowanie, wiek i lojalność.
Już wiedziała kim jest Jared i co naprawdę robi...
– To była szlachetna, samobójcza idea – powiedziała maszyna.
– Była skazana na klęskę od samego początku. Dopiero gdy ja powstałam zjawił się cień szansy. 22 lata. Teraz ten cień jest już prawdopodobieństwem. Ład we wszechświecie. Światy, powiązane wzajemnym szacunkiem i etyką. Teraz to już jest prawdopodobne. Podbijaliśmy każdą planetę tak, by zagwarantować klientom Jareda władzę nad nią, ale nie całkowitą i ostateczną, a wybór tych planet podporządkowaliśmy generalnemu planowi. Dzięki temu, gdy nadejdzie właściwy czas, wszystkie elementy tej łamigłówki ułożą się w całość. W wielką, humanistyczną strukturę. Nie taką, jak te wszystkie Bractwa i Stowarzyszenia, ale w taką, która naprawdę będzie służyła każdej istocie z osobna i wszystkim światom jako całości.

Irina, już nie Pierwsza na Khaine, słuchała. Chłonęła głoszoną przez maszynę prawdę, gdyż jej umysł został wreszcie na przyjęcie prawdy otwarty.
– Jared jest samotny. Musi być samotny, gdyż wie, że ten plan może być zrealizowany tylko samotnie. Jeśli mu się nie uda lub jeśli umrze, nie dokończywszy pracy, jego imię będzie żyło w pamięci milionów światów jako imię największego mordercy, jaki kiedykolwiek pojawił się we wszechświecie. Dodatkowym zadaniem dla mnie jest utrzymanie go przy zdrowych zmysłach, ochrona jego uczciwości, a przede wszystkim życia. Każda zapłata, jaką przyjął służyła generalnemu planowi. Nawet ty. Szczególnie ty.
Irina wstała.

– Nie tylko jako jego kobieta – dodała maszyna – jeżeli zdecydujesz się zostać, ale by się nauczyć wszystkiego, co on umie i, jeśli on zginie, kontynuować jego pracę. A także by dać mu dzieci, które poprowadzą to dalej.

Wróciła do miasta. Czekał na nią Mexla.
– Zostaniesz? – spytał.
– Zostanę – odpowiedziała. Zawahała się, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze i nie mogła się zdecydować.
Gill zaprowadził ją do niego, do pokoju, w którym spał. Zostawił ją tam, patrzącą, jak Jared rzuca się przez sen, snującą ponure myśli o śmierci i beznadziejności. Patrzyła, zdając sobie sprawę, że nigdy nie pokocha, ani nawet nie polubi tego człowieka. Nie byłaby zdolna kochać czy lubić kogoś, kto pokazał jej obrazy na dwustu ekranach. Patrzyła, chcąc z nim jednak zostać. Szeptała słowa, których nie potrafiła powiedzieć Gillowi:

„Dlaczego temu bogu miałoby się udać, jeżeli wszyscy inni bogowie ponieśli klęskę?"
Ale w pustych przestrzeniach kosmosu nie było odpowiedzi. Jedynie nieme oczekiwanie milionów planet, pragnących stać się cząstkami jednej, wielkiej całości, wspólnego Wszechświata lub przeklinać po wieczne czasy imiona tych, którzy zabijali światy dla zysku.

Przełożył **Darosław J. Toruń**

■

chris achilleos

wyobraźnia i precyzja

Chris Achilleos należy do najbardziej wziętych grafików zajmujących się ilustrowaniem książek SF. Projektuje również plakaty filmowe i reklamy. Jest twórcą popularnego u nas plakatu z Bruce'em Lee. Jego okładki, czy to do książek typu fantasy, czy space opera, wyróżniają się finezją pomysłu, czystością kompozycji i precyzją wykonania. Poniżej i na IV stronie okładki przedstawiamy kilka jego prac.

Ilustracje pochodzą z albumuChrisa Achilleosa wydanego przez Haarlem Ltd.



WIELKI JOE I N-te POKOLENIE

(Big Joe and The Nth Generation)

Walter M.Miller. Jr.

Złodziej. Miał właśnie umrzeć jak złodziej.

Zwisał przybity do pała za przeguby dłoni. Czekał zaciskając mocno powieki, a promienie bladego słońca połyskiwały słabo na jego nagich plecach. Przycisnął twarz do szorstkiego drewna i poruszając wolno ustami stanął na czubkach palców, aby złagodzić narastający w ramionach ból. Gdy zabolały go kostki stóp, zwisł znowu na gwoździach przebijających mu przedramiona tuż nad przegubami.

Był młody. Jego wiek można było ocenić na kilkanaście marslat, a przystrzyżone krótko włosy, czarne i kędzierzawe, świadczyły, iż jest kawalerem, który nie spłodził do tej pory potomka albo nie dowiódł jeszcze, że to uczynił. Wisiał tak, gibki i gładkoskóry, o sprężystych węzłach mięśni i wysmukłych, jędrnych kończynach zwierzęcia na wpół sytego, a zarazem głodnego ostrym, szalonym głodem, które gotuje się do skoku czatując w zasadzce. Jego twarz, wykrzywiona bólem i strachem, pozostała twarzą czujnego szczeniaka.

Gdy otwierał oczy, widział przed sobą niskie, marsjańskie wzgórza skąpane w słońcu i szarozielone od drzew – drzew sprowadzonych tu z niebios przez Starożytnych Ojców. Ale widział też kata, który siedział na ziemi ze skrzyżowanymi nogami i czekał, żując spokojnie źdźbło trawy. Kat – przysadzisty mężczyzna o nalanej twarzy – zerkał od czasu do czasu na złodzieja błękitnymi, pozbawionymi wyrazu oczyma, zabawiając się niedbale rozłupywaniem nożem suchych gałązek. Wzrok miał nieobecny.

– Czyś już gotów, Asir? – mruknął wreszcie.

Nożownik siedział dalej niż można było splunąć, ale Asir splunął.

– Ty sukinsynu – wymamrotał, próbując otrzeć brodę o pal.

Kat zachichotał, dalej zajęty rozłupywaniem patyczków.

Po trzech godzinach zwisania na gwoździach tkwiących mu w przedramionach, Asir słabł, a tętniąca w jego skroniach krew wywoływała za każdym skurczem serca nowy impuls bólu. Czerwona lepkość przestała mu spływać po rękach; wiedzieli, gdzie wbijać gwoździe. Ale uderzenia serca waliły mu w głowie niczym młot kujący rozżarzone do czerwoności żelazo.

„Ile razy w życiu uderza serce – a ile tych uderzeń jeszcze mi pozostało?"

Jeknął i szarpnął się, zaczynając tracić wszelką nadzieję. Mara poszła do Naczelnika, aby błagać go o darowanie złodziejaszkowi życia, ale na Marze można było polegać tyle, co na dzikim hüffenie i wyobrażał ich już sobie, jak chichocą razem w chacie Tokry nad szklanką bursztynowego wina, gdy tymczasem tutaj życie z młodego złodzieja zwolna uchodziło.

Asir nie żałował niczego. Jego ojciec został renegatem, zanim on jeszcze przyszedł na świat. Jego ojciec wydał swą ostatnią formułę rytualną na zakup żony, po czym, zubożały, zabrał ją ze sobą na wzgórza. Asir urodził się na wzgórzach, ale powrócił do wioski swych przodków, aby pracować tu jako sługa i skradł swoim chlebodawcom rytualne frazy. Taki postępek żadnemu złodziejowi nie uszedł bezkarnie. Złodziej rytuału siał zamęt wśród społeczności. Prawowity właściciel świętej frazy, nie wiedząc, iż została już skradziona, próbował ją odsprzedać i wtedy okazywało się, że prawa do niej rości sobie też ktoś inny, a wtedy trzeba było zwoływać Wielki Sąd. Złodzieja zawsze demaskowano.

Asir skradł coś więcej niż majątek, skradł siłę ich dusz. Za to właśnie powiesili go za nadgarstki i czekali, aż zacznie błagać o ostrze noża.

„Kobieta pragnie męża
Mężczyzna pragnie żony
Dziecko pierś matki pragnie ssać
A dla złodzieja nóż jest upragniony".

Rym z dziecinnych lat, dziecięca piosenka, wyliczanka recytowana przy wyznaczaniu tego, który ma jako pierwszy spijać sok z nektarowego kaktusa. Jęknął znowu i spróbował przyjąć wygodniejszą pozycję. Dlaczego Mara nie wraca?

– Czyś już gotów, Asir? – spytał mężczyzna.

Asir posłał mu spod przymrużonych powiek pełne nienawiści spojrzenie. Prawo nakazywało katu czekać dopóty, dopóki jego ofiara nie poprosi o dopełnienie swego losu. Ale Asir nie wiedział, jaki los mu przeznaczono. Rada Starszych Krewnych sądziła go w tajemnicy i wydała wyrok, który postanawiał, co kat ma uczynić swym nożem. Ale Asirowi nie powiedziano, jaki zapadł wyrok. Wiedział tylko, że kiedy poprosi o jego wykonanie, kat zbliży się doń z nożem i wymierzy mu karę – pozbawi życia lub dokona amputacji, zależnie od decyzji radcy. Mógł stracić tylko oko, ucho albo palec, mógł też jednak stracić życie, obie ręce albo swą męskość.

W żaden sposób nie dowie się, co orzekła rada, dopóki nie poprosi o wykonanie wyroku. Jeśliby tego nie uczynił, pozostawią go, przybitego do pala, aby tak wisiał. Teoretycznie, po czterech dniach kara mogła być złodziejowi darowana. Po upływie tego czasu kat wyrwałby gwoździe z jego przegubów. Zdarzało się, że skazaniec dotrwał tej chwili, ale to, co zwaliło się na ziemię po wyciągnięciugwoździ, było już trupem.

Słońce kryło się już na zachodzie za widnokrąg i oślepiało go. Asir wiedział o słońcu – rozumiał rzeczy, o których nie miała pojęcia głupia rada. Złodziej, jeśli mu się powiodło, stawał się często człowiekiem mądrym, ponieważ pamiętał więcej bogactw, niż ludzie uczciwi. Cytaty ze starożytnych bogów – Fermiego, Einsteina, Elgermanna, Hansera – znała w rozproszonych frazesach większość mężczyzn, ale rozproszone frazy pozbawione były sensu i pozostawały niezrozumiałe. Złodziej jednak zapamiętywał wszystkie zasłyszane transakcje i przy odrobinie dobrej woli mógł poskładać sobie niezliczone strzępy fraz w pełne znaczenia idee.

Wiedział teraz, że Mars, niegdyś martwy, umiera ponownie, gdyż jego atmosfera uchodzi znowu w kosmos i jeśli coś nie zostanie zrobione, a do tego zrobione szybko, wraz z Marsem umrze Człowiek. Aby temu zapobiec, trzeba na nowo rozniecić pod ziemią Płomień Wielkiego Wichru, ale nie czyniono tego. Plemiona popadły w ciemnotę, chociaż święte księgi przestrzegały:

„Z góry wiadomo, że bez podstawowych narzędzi koloniści nie będą w stanie utrzymać wysokiego poziomu technologii, a jego odbudowa będzie wymagać świadomie ukierunkowanego wysiłku kilku pokoleń. Dysponując posiadaną wiedzą, koloniści będą zdolni do przywrócenia cywilizacji technicznej pod warunkiem jednak, iż wiedza ta będzie bez ustanku podtrzymywana jej żądzą. Jeśli jednak pokolenia trzecie, czwarte i N-te zaniechają dalszego, stopniowego odtwarzania parku maszynowego, wiedza ta stanie się bezwartościowa".

Cytat pochodzi z księgi *„Rozwój kultury marsjańskiej"* boga Rogginsa, której fragmenty Asir ukradł z rozmaitych źródeł. Same książki dawno już nie istniały, ale ich treść przechowała się, przekazywana z pokolenia na pokolenie w formie religijnych pieśni, których znajomość oznaczała bogactwo.

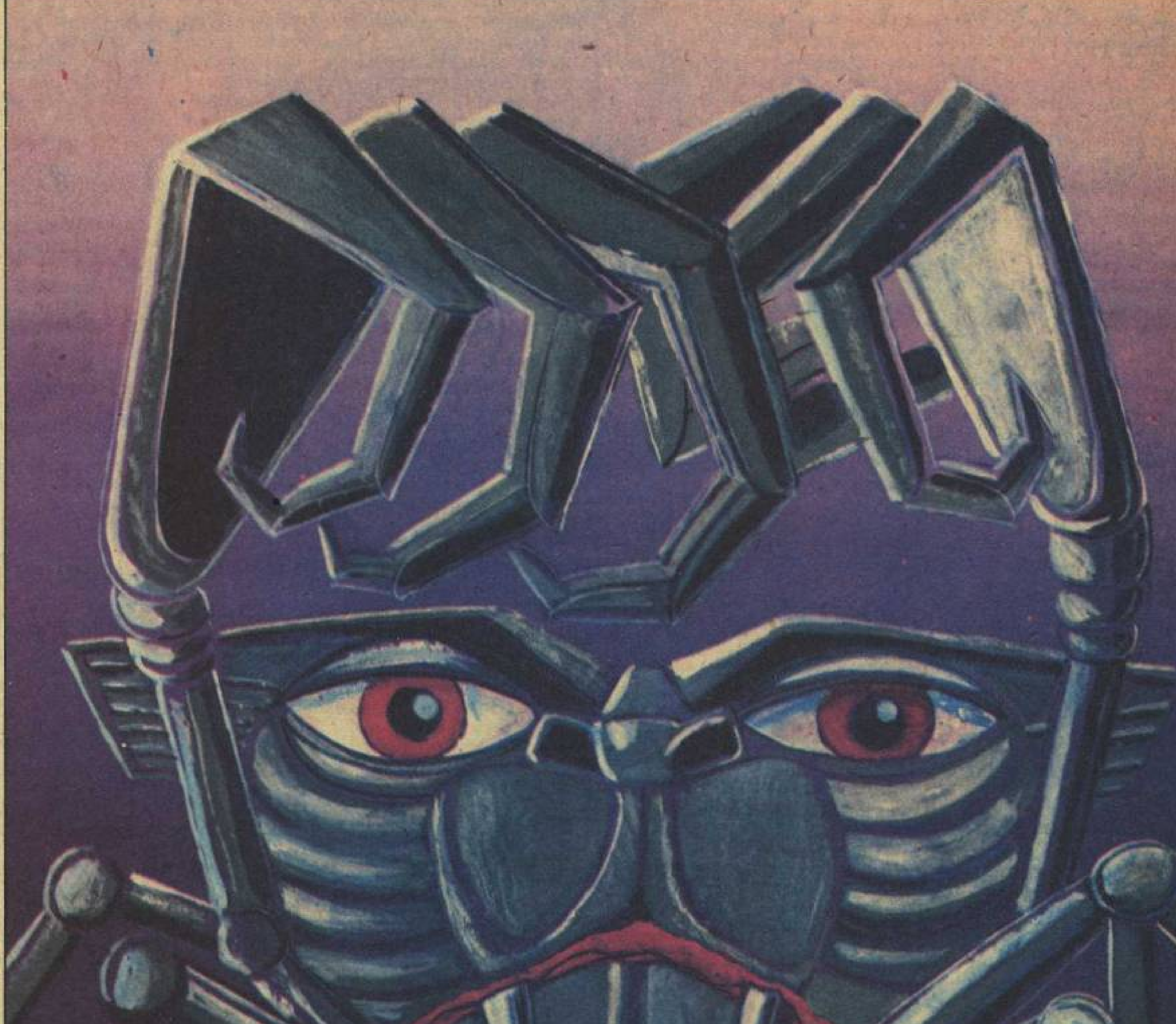
Asirowi zbierało się na mdłości. Ból i powolna utrata krwi osłabiły go i widział wszystko jak przez mgłę. Nie zauważył jak nadchodziła, dopóki nie usłyszał szelestu jej stóp na wysuszonej trawie.

– Mara...

Uśmiechnęła się z przymusem i plusnęła pogardliwie na pal. Córka Starszego Krewnego była wysoką, smukłą dziewczyną o dumnych ruchach i kpiących oczach. Stała przez chwilę z założonymi rękoma, mierząc go ironicznym spojrzeniem, po czym przymknęła lekko oko w porozumiewawczym mrugnięciu. Odwróciła się plecami do skazańca i przemówiła do kata:

– Czy mogę poszydzić z więźnia, Slubil? – zapytała.
– Rozmowa ze złodziejem jest zakazana – mruknął nożownik.
– Czy jest już gotów do błagania o wymierzenie mu sprawiedliwości, Slubil?
Nożownik uśmiechnął się krzywo i spojrzał na Asira.
– Czyś już gotów, złodzieju?
Asir wysyczał obelgę. Dziewczyna go zdradziła.
– Od razu widać, że to tchórz – powiedziała. – Może ma zamiar powisieć tu cztery dni?
– To niech wisi.
– Nie... Wolałabym chyba zobaczyć, jak błaga.
Posłała Asirowi długie, wymowne spojrzenie, potem odwróciła się, aby odejść. Złodziej przeklął ją w duchu i odprowadził wzrokiem. Przeszedłszy kilkanaście kroków, dziewczyna przystanęła ponownie, obejrzała się przez ramię i powtórnie zmrużyła powoli oko. Potem, nie oglądając się już za siebie, ruszyła w stronę domu swego ojca. Od tego mrugnięcia ciarki przeszły mu po plecach, ale po chwili...
„Przypuśćmy, że nie zdradziła. Przypuśćmy, że udało się jej wyciągnąć z Tokry treść wyroku i wie, jak mam być ukarany. Wolałabym chyba zobaczyć, jak błaga, powiedziała. Z drugiej jednak strony, ta płocha diablica mogła mnie prowokować do poproszenia o wymierzenie kary, wiedząc, iż zostałem skazany na śmierć lub amputację członków – ot tak po prostu, dla zabawy".
Zaklął w duchu i zadrżał spoglądając na znudzonego kata. Oblizał wargi i walcząc z zawrotami głowy szukał gorączkowo słów. Słysząc wydawane przez skazańca pomruki, Slubil podniósł wzrok.
– Czyś już gotów?
Asir zamknął oczy i zacisnął zęby.
– Czyń swoją powinność! – wykrzyknął nagle i przywarł do pala.
„A dlaczegóżby nie? Czy te krótkie chwile urywane śmierci można uważać za życie? Niech już się to stanie. Wieczność będzie słodka wobec tego upodlenia. Nóż może być dobrodziejstwem".
Usłyszał jak kat zachichotał i podniósł się z ziemi. Słyszał kroki zbliżającego się nieśpiesznie mężczyzny i śpiewny gwizd noża, którym Slubil zataczał błyskawiczne łuki. Kat krążył powoli wokół pala, drażniąc swą ofiarę świstem stali przecinającej powietrze tuż przy głowie skazańca. Oczekiwał błagania o litość. Przykładał co chwila ostrze do skóry Asira, potem je odejmował. Nagle Asir usłyszał szelest opończy kata i domyślił się, że ten bierze zamach. Otworzył oczy.
Kat uśmiechając się kpiąco trzymał klingę wysoko... mierząc w głowę Asira! Dziewczyna oszukała go. Jęknął i znowu zamknął oczy mamrocząc pod nosem na wpół zapomnianą modlitwę.
Spadł cios... i ostrze noża wbiło się w pal tuż nad jego głową. Asir zemdlał.

Gdy się ocknął, leżał jak kłoda na ziemi. Kat przekręcił go nogą na plecy.
– Mając na względzie twój bardzo młody wiek, złodzieju – warknął nożownik – rada darowała ci życie i skazała na wieczną banicję. Słońce zachodzi. Niech świt zastanie ciebie na wzgórzach. Jeśli wrócisz na równiny, zostaniesz przykuty łańcuchem do dzikiego hüffena i zawleczony na śmierć.
Dysząc słabo, Asir dotknął dłonią czoła i znalazł tam świeżą ranę, postrzępioną i natartą rdzą, aby pozostała po niej blizna. Slubil napiętnował go jako banitę. Ale poza dziurami po gwoździach wyciągniętych z przegubów był nadal cały.
Dłonie miał zdrętwiałe i ledwo mógł poruszać palcami. Slubil opatrzył mu rany po gwoździach, ale bandaże przesiąkły już krwią.
Po odejściu nożownika, Asir dźwignął się z ziemi i stanął niepewnie na nogach. W pobliżu zgromadziła się spora grupka wieśniaków przychających na jego widok. Zignorował gwizdy i obelgi, których mu nie szczędzono i powlókł się noga za nogą w stronę peryferii wioski oddalonych od miejsca kaźni o dobrych dziesięć minut drogi. Musiał rozmówić się z Marą i jej ojcem, jeśli ten sterczały staruch będzie go chciał w ogóle wysłuchać. Złodziejska wiedza ciążyła na nim i wywoływała u innych paniczny strach.
Gdy dotarł wreszcie do chaty Welkira, zapadł już zmrok. Mijani na ulicach ludzie pluli nań, a niektórzy ciskali w niego pełnymi garściami piasku. Przez szpary w drzwiach domostwa Welkira sączyły się migotliwe smużki światła. Asir zakołatał do drzwi i czekał.
Welkir wyszedł na ganek z lampą. Ujrzawszy Asira postawił lampę na ziemi i zastygł w bezruchu na rozkraczonych nogach, krzyżując ręce na piersi i patrząc wyniośle na złodzieja. Jego oblicze było surowe jak zwietrzały głaz. Nie odezwał się ni słowem, przeszywając chłopaka pogardliwym spojrzeniem.
Asir pochylił głowę w ukłonie.
– Przyszedłem przedstawić swoje racje, Starszy Krewniaku – powiedział.
Welkir parsknął z oburzeniem.
– Mało ci łaski, z jaką zostałeś potraktowany?
Asir podniół szybko wzrok i potrząsnął głową.
– Ależ nie! Za to jestem wam wdzięczny.
– O co więc chodzi?
– Jako złodziej, posiadam sporą wiedzę. Wiem, że świat umiera i że powietrze ulatuje zeń w niebo. Chcę, aby wysłuchała mnie rada. Musimy wspólnie zgłębić słowa Starożytnych i nauczyć się ich czarów, aby dzieci naszych dzieci nie narodziły się tylko po to, by udusić się w martwym świecie.
Welkir parsknął ponownie. Schylił się i podniósł lampę.
– Ten, kto daje posłuch mądrości głoszonej przez złodzieja, jest przeklęty. Ten, kto wprowadza ją w czyn, jest przeklęty po dwakroć i staje się wspólnikiem zbrodni.
– Podziemia – nalegał Asir. – Klucz do Płomienia Wichrów znajduje się w podziemiach. Bóg Roggins powiada...
– Dosyć! Nie chcę tego słuchać!
– Jak chcesz, ale Płomień i tak zostanie rozniecony na nowo, a powietrze odświeżone. W podziemiach... – zająknął się i potrząsnął głową. – Rada musi mnie wysłuchać.
– Rada nie będzie niczego wysłuchiwać, a tobie radzę odejść przed nastaniem świtu. Poza tym podziemi strzeże Śpiący Demon zwany Wielkim Joe. Wejść tam, znaczy umrzeć. Odejdź teraz.
Welkir wycofał się do wnętrza chaty i zatrzasnął za sobą drzwi. Asir osunął się z rezygnacją na próg, aby chwilę odpocząć. Noc była ciemna, rozświetlana tylko gdzieniegdzie migotliwym blaskiem lampy padającym na drogę z niezasłoniętego okna.
– Sssst!
Dźwięk dochodził gdzieś z mrocznego cienia. Rozejrzał się szybko dokoła, szukając jego źródła.
– Ssssst! Asir!
To była Mara, córka Welkira. Wymknęła się z chaty tylnym wyjściem i wyglądała zza węgła przywołując Asira.
Podniósł się cicho i podszedł do niej.
– Co zrobił ci Slubil? – spytała szeptem.
Asir sapnął ze złości i pochwycił ją za ramię.
– Nie wiesz?
– Nie wiem! Puść! To boli! Tokra nic mi nie powiedział. Kochałam się z nim, ale to nic nie pomogło.
Puścił dziewczynę z cichym przekleństwem.
– Kiedyś musiałeś się odważyć – syknęła. – Wiedziałam, że jeśli będziesz odwlekał ten moment, to tak osłabniesz wisząc, że nie będziesz miał nawet siły uciekać.
Rzucił jej w twarz plugawym przekleństwem.
– Niewdzięczny! – ucięła krótko. – A ja kupiłam ci hüffena!
– Co zrobiłaś?
– Tokra dał mi rytualną frazę i kupiłam za nią hüffena. Sam przecież wiesz, że nie możesz iść pieszo do wzgórz.
Asir zapłonął niepohamowanym gniewem.
– Spałaś z Tokrą! – warknął.
– O, jesteś zazdrosny! – zachichotała.
– Ja zazdrosny? Nie mogę wprost na ciebie patrzeć!
– No to dobrze. Zatrzymam tego hüffena dla siebie.
– A bierz go sobie! – rzucił ze złością. – Nie będę go potrzebował, bo nie idę na wzgórza!
Na chwilę zaniemówiła.
– Musisz tam iść, głupcze! Zabiją cię!
Odwrócił się do niej plecami czując wzbierającą w nim falę mdłości. Chwyciła go za ramię i próbowała odwrócić z powrotem twarzą ku sobie.
– Asir! Bierz hüffena i leć.
– Pójdę – odparł hardo – ale nie na wzgórza. Pójdę do podziemi.
Ruszył dumnym krokiem, ale Mara nie dawała za wygraną i biegnąc obok niego truchtem próbowała go zawrócić.
– Głupcze! Podziemia są święte! Wejścia pilnują kapłani, a wewnętrznych drzwi strzeże Śpiący Demon. Zabiją cię, jeśli spróbujesz się tam dostać, a jak będziesz zwlekał z odejściem na wzgórza, jutro zabije cię rada.
– To niech zabije! – warknął. – Nie jestem jakimś tam biadolącym wieśniakiem. Jestem ze wzgórz, a mój ojciec był renegatem. Twoja rada nie ma prawa mnie sądzić. Teraz ja ją osądzę.
Wyrzucił z siebie te słowa w chwili wzburzenia i zaraz zdał sobie sprawę, jakie są szalone. Oczekiwał pogardliwej reprymendy ze strony Mary, ale ta szła, uwieszona jego ramienia nie przestawała prosić. Odciągnął ją już spory kawałek od domu ojca. Z głosu dziewczyny znikła arogancka nuta. Stał się on teraz błagalny.
– Proszę cię, Asir! Odejdź. Posłuchaj! Jeśli zechcesz, pójdę z tobą.
Roześmiał się chrapliwie.
– A na co mi resztki po Tokrze?
Chlasnęła go silnie w twarz.
– Tokra jest starym, roztrzęsionym impotentem. Ma podagrę i ledwo się rusza. Jesteś idiotą! To dla ciebie siedziałam mu na kolanach i całowałam jego łysą pałę.
– Za co więc dał ci rytualną frazę? – spytał ozięble.
– Bo mnie lubi.
– Łżesz – ruszył przed siebie z dumnie uniesioną głową.
– Bardzo dobrze! Idź sobie do podziemi. Powiem wszystko ojcu i złapią cię, zanim zdążysz tam dotrzeć.
Puściła jego ramię i zatrzymała się. Asir zawahał się. Ona jest do tego zdolna. Zawrócił, podszedł do dziewczyny wolnym krokiem i znienacka sięgnął do jej gardła olbrzymimi dłońmi.
– Dlaczego cię po prostu nie uduszę i nie zostawię tutaj? – syknął.
Twarz Mary była tylko cieniem w ciemnościach, ale i tak widział jej drwiący uśmiech.
– Bo mnie kochasz, Asirze z Franic.
Opuścił ręce i wymamrotał ciche przekleństwo. Roześmiała się ledwo dosłyszalnie i wzięła go pod ramię.
– Chodź, pójdziemy po hüffena – powiedziała.
„Czemu nie" – pomyślał. „Zabiorę hüffena i ją razem z nim". Mógł porzucić Marę kilka mil od wioski i zawrócić do podziemi. Szła



Krzysztof Demianiuk

przytulona do niego, gdy wracali w stronę domu jej ojca. Okrążyli go z daleka i przekradli się na tyły, gdzie za rzędem chat znajdowała się mała polanka. Nisko nad zachodnim horyzontem wisiał Fobos. Jego maleńka tarcza użyczała spowitej w mrokach nocy planecie nikłej tylko poświaty.

Gdy podeszli bliżej do zwalistego cienia rysującego się na tle nocnego nieba, Asir usłyszał oddech hüffena. Czując ich bliskość rozpostarł majestatycznie skrzydła, wydając przy tym cichy, piskliwy dźwięk. To marsjańskie zwierzę w niczym nie przypominało stworzeń, które Starożytni sprowadzili ze sobą z nieba. Grzbiet miało pokryty cienką skorupą niczym żuk, ale brzuch był porowaty i miękki. Hüffen przyswajał pożywienie siadając na nim i wchłaniając je przez pory w brzuchu. Błoniaste skrzydła przypominały rozpięty na delikatnym kostnym szkielecie pergamin. Zwierzę było bezgłowe i pozbawione scentralizowanego mózgu. Funkcje nerwowe rozkładały się na całe jego ciało.

Wielki stwór nie protestował, gdy wspinali się na jego szeroki, płaski grzbiet i przypinali pasami, przeciągniętymi przez otwory wycięte w cienkim, twardym pancerzu. Płuca hüffena napełniały się powoli potężnym haustem powietrza, przez co jeźdźcy, w miarę rozciągania się ogromnych pęcherzy powietrznych, unosili się coraz wyżej. Obwód nadętego hüffena był niemal czterokrotnie większy, niż hüffena po wydechu. Napełniwszy płuca, stwór zaczął się ponownie kurczyć, napinając mięśnie i sprężając oddech, dopóki z tyłu nie rozległ się cichutki syk uchodzącego pod ciśnieniem powietrza. Hüffen czekał rozpostarłszy skrzydła.

Dziewczyna targnęła za kółko przewleczone z przodu przez ciało zwierzęcia. Rozległ się nagły ryk, po którym nastąpiło szarpnięcie. Eksperyment natury z zakresu napędu odrzutowego wzbił się gwałtownie w powietrze i pomknął jak wicher przed siebie. Gdy skończył się zapas powietrza z pierwszego wdechu, stwór zrobił drugi i znowu potężnym zrywem wyrwał do przodu. Jazda nie była płynna. Przy każdym zrywie siła bezwładności ciskała ich do tyłu. Przy wznoszeniu pozwolili hüffenowi kierować się własnym instynktem, potem Mara szarpnęła za taśmy przymocowane do skrzydeł i stwór zatoczył wielkie koło kierując się ku widocznym w oddali, ciemnym wzgórzom.

Asir siedział za dziewczyną uśmiechając się sardonicznie, a wiatr smagał ich po twarzach. Odczekał, aż odlecą od wsi na odległość krzyku i lekko uścisnął dłońmi jej ramiona. Biorąc to za pieszczotę, odchyliła się lekko do tyłu i oparła głowę na jego ramieniu. Pocałował ją, a jednocześnie wymacał delikatnie rękojeść noża tkwiącego

za pasem dziewczyny. Palce miał nadal zdrętwiałe, ale zdołał szybko go wyciągnąć. Przyłożył lekko ostrze do gardła Mary. Zesztywniała. Drugą ręką pochwycił ją za włosy.
– Teraz sprowadź hüffena na dół – polecił.
– Asir!
– Szybko! – warknął.
– Co chcesz uczynić?
– Zostawię ciebie tutaj i zawracam do podziemi.
– Nie! Nie porzucaj mnie tu w nocy!
Zawahał się. Na równinie cimeriańskiej żyły podstępne drapieżniki, które potraktowałyby córkę Welkira jako smakowity kąsek zesłany im z nieba – rozkosz dla podniebienia z rodzaju tych, jakimi rzadko mogły się cieszyć. Nawet przez świst wiatru słyszał co chwila wycie-wrzask zębatego komitetu powitalnego, oczekującego tam w dole swego obiadu.
– Dobrze – mruknął niechętnie. – Skręć w stronę podziemi. Ale pamiętaj: jeden krzyk, a poszatkuję cię na kawałki. – Odjął nóż od gardła dziewczyny i przystawił go do jej pleców.
– Nie rób tego, Asir. Proszę cię! – błagała. – Lećmy dalej na wzgórza. Dlaczego uparłeś się, żeby zejść do podziemi? Z powodu Tokry?
Ukłuł ją nożem, aż krzyknęła z bólu.
– Tokra będzie przeklęty i ty razem z nim! – warknął. – Zawracaj!
– Ale dlaczego?
– Schodzę do podziemi, żeby rozniecić Płomień Wichrów.
– Jesteś szalony! W podziemiach mieszkają duchy Starożytnych.
– Idę rozniecić Płomień Wichrów – powtórzył nieustępliwie. – Teraz zawracaj albo złaź z hüffena i wracam sam.
Po chwili wahania szarpnęła cugle i hüffen przechylił się majestatycznie na skrzydło. Przelecieli o milę na południe od wioski, minęli ją i poszybowali w kierunku klasztoru, gdzie kapłani i Wielki Joe strzegli wejścia do podziemnych krypt. W dole przed nimi klasztor odcinał się od ciemności plamą światła.
– Okrąż go raz – rozkazał Asir.
– Nie możesz tam wejść. Oni cię zabiją.
Wątpił w to. Nikt jeszcze nie próbował wtargnąć do podziemi, z wyjątkiem kapłanów, którzy znosili na dół małe zwierzątka w ofierze Śpiącemu Demonowi. Ponieważ nikt obcy nie ważył się nawet zbliżyć do wejścia, straż nie spodziewała się intruzów. Wątpił, czy będą czuwać.
Klasztor był pustym czworobokiem chat z niską wieżą wznoszącą się pośrodku dziedzińca. W tej właśnie wieży znajdowało się wejście do podziemi. Asir spoglądał z góry na dziedziniec widoczny w nikłym blasku Fobosa, wspomaganym przez żółte, migotliwe światła padające z okien klasztoru, który okrążali. Wydawał się być pusty.
– Posadź hüffena obok wieży! – polecił.
– Asir... proszę cię.
– Ląduj!
Hüffen zanurkował gwałtownie, przeleciał nad zewnętrznym murem i wpadł na dziedziniec. Wylądował z potężnym wstrząsem i zaczął kwiczeć żałośnie.
– Szybko! – syknął Asir. – Odpinaj pasy i idziemy.
– Ja nie idę.
Ukłucie noża kazało jej zmienić zdanie. Ześlizgnęli się szybko na ziemię i Asir kopnął hüffena w bok. Zwierzę zaczerpnęło powietrza i wzbiło się lotem strzały w górę.
Przez jasno oświetlone okna klasztoru wyglądały już jakieś wystraszone twarze, próbując przebić wzrokiem mrok panujący na dziedzińcu. Ktoś wezwał ich okrzykiem do zatrzymania się. Asir dopadł drzwi wieży i otworzył je jednym szarpnięciem. Dziewczyna, zmuszona teraz do dzielenia niebezpieczeństw, weszła za nim bez ponaglania. Wkroczyli na podest schodów. W sterczącym ze ściany uchwycie paliła się chwiejnym płomieniem świeca. Siedzący pod nią strażnik uniósł głowę, kompletnie zaskoczony i dopiero po chwili sięgnął po krótką halabardę. Asir kopnął go z całej siły w skroń, po czym wyciągnął bezwładne ciało z wieży. Przez dziedziniec biegli już ludzie z pochodniami. Asir zatrzasnął za sobą ciężkie metalowe drzwi i zaryglował je.
Przystanęli na moment, aby zaczerpnąć tchu i Mara spojrzała nań przerażonym wzrokiem. Wydawało mu się, że zaraz wybuchnie złością, ale ona oparła się tylko o ścianę i ciężko dyszała. Przed nimi rozdziawiała się mroczna paszcza klatki schodowej – kamienne gardło prowadzące do wnętrzności Marsa i królestwa Wielkiego Joe. Asir spojrzał w zadumie na Marę i zrobiło mu się jej żal.
– Mogę cię tu zostawić – zaproponował – ale będę musiał cię związać.
Oblizała usta, zerkając najpierw na schody, potem na drzwi, za którymi strażnicy podnieśli już szaloną wrzawę. Potrząsnęła głową.
– Pójdę z tobą.
– Kapłani nic ci nie zrobią, gdy przekonają się, że byłaś moim więźniem.
– Pójdę z tobą.
Był zadowolony z jej decyzji, a jednocześnie zły na siebie za to uczucie. Arogancka, fałszywa, złośliwa dziewucha, myślał. Kłamała co do Tokry. Burknął coś pod nosem, ujął w dłoń świecę i zaczął schodzić po schodach. Gdy ruszyła za nim, zesztywniał i obejrzał się szybko, przypomniawszy sobie halabardę.
Jak się spodziewał, podniosła ją. Ostrze znajdowało się teraz o stopę od jego pleców. Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa, wreszcie usta Mary wykrzywiły się w niepewnym uśmiechu.
– Masz – powiedziała i obojętnie wręczyła mu broń. – Może ci się przydać.
Znowu spojrzeli sobie w oczy, ale tym razem było to już inne spojrzenie. Zdezorientowany potrząsnął głową i zaczął znów schodzić po stopniach. Z góry dochodziło ich uszu potężne walenie w drzwi. Klatka schodowa była mroczna i wilgotna. Czerń spowiła ich niczym całun. Schodzili w milczeniu i po pięciu tysiącach stopni Asir przestał je liczyć.
Gdzieś tam w głębi spał swym niespokojnym snem Wielki Joe. Asir zastanawiał się ponuro, ile czasu zajmie strażnikom, tam na górze, sforsowanie metalowych drzwi. Muszą przejść jakoś obok Wielkiego Joe zanim tamci wyważą je i wściekli wpadną tu za nimi. Istniał sposób na ominięcie potwora: tego był pewien. Wiązał się z tym w jakiś sposób ciąg dwudziestu czterech liczb, który pamiętał ze skradzionego rytuału. Osobną sprawą był sposób ich wykorzystania. Wyobrażał sobie mgliście, że przed wewnętrznym wejściem ktoś musi do nich głośno zawołać.
Dziewczyna szła teraz obok niego i czuł, jak drży. Rozbieganymi oczyma przeczesywał nerwowo każdą plamkę gęstszego mroku, każdy zakamarek i wnękę w ściankach klatki schodowej. Panującą ciszę mącił tylko tupot ich stóp, a w ciemnościach rozchodziła się woń stęchlizny. Świeca dawała bardzo mało światła.
– Powiedziałam ci prawdę o Tokrze – odezwała się nagle Mara.
Asir nie odpowiedział, wpatrując się przed siebie. Wstydził się swego niedawnego wybuchu zazdrości. Schodzili dalej w milczeniu. Wtem Mara zatrzymała się.
– Popatrz – syknęła wskazując palcem w dół.
Osłonił świecę dłonią i spojrzał w tym kierunku. Daleko pod nimi rysował się wyraźnie nikły prostokąt światła.
– Koniec schodów – mruknął.
Światło było blade i rozproszone, z lekkim zielonkawym zabarwieniem. Asir zdmuchnął świecę i dziewczyna szybko zaprotestowała.
– Jak po ciemku wrócimy na górę?
Roześmiał się bez cienia wesołości.
– A skąd wiesz, że w ogóle będziemy wracać?
Jęknęła i jeszcze silniej przywarła do jego ramienia, ale poszła za nim, gdy zaczęli powoli schodzić w dół, w kierunku plamy światła. Schody kończyły się przy drzwiach prowadzących do długiego korytarza. Z sufitu spływało łagodne światło. Bladzi i przerażeni, zatrzymali się na ostatnim stopniu i spojrzeli w głąb korytarza. Mara krzyknęła cicho i zakryła dłońmi oczy.
– Wielki Joe! – szepnęła ze zgrozą.
Asir popatrzył jak urzeczony. Po środku dużej sali siedział Wielki Joe, śpiąc swym wiekowym snem pośród stosu połamanych i pobielałych kości. Ten metalowy potwór, dwa razy wyższy od Asira, został stworzony najwyraźniej po to, aby zabijać. Trójpalczaste dłonie zaopatrzone były w błyszczące szpony i monstrualna głowa ukształtowana na podobieństwo łba marswilka, z długimi, srebrnymi kłami. Do czego miałyby służyć te kły stworowi z metalu, jeśli nie do zabijania?
Potwór drzemał w przysiadzie czekając na intruza.
Asir przeciągnął dziewczynę przez drzwi klatki schodowej. Gdzieś znikąd doszedł ich monotonny głos:
„Jeśli przyszedłeś plądrować, wracaj!"
Asir zamarł rozglądając się na wszystkie strony. Dziewczyna zaskomlała płaczliwym głosem.
– Zostań tu przy schodach – nakazał jej i wypchnął z powrotem za drzwi.
Ruszył wolno w kierunku sali, w której czekał Wielki Joe. W drugim jej końcu dostrzegł jeszcze jedne drzwi, a zadaniem potwora było najwyraźniej niedopuszczenie intruza do krypt wewnętrznych, gdzie, zgodnie z rytualnymi frazami, można było rozniecić Płomień Wichrów.
Był już w połowie korytarza, gdy głos odezwał się znowu, intonując coś w rodzaju monotonnej pieśni:
„Wielki Joe zabije ciebie. Wielki Joe zabije ciebie. Wielki Joe zabije ciebie.".
Odwrócił się powoli, szukając wzrokiem mówcy, ale głos zdawał się wydobywać z czarnego krążka widniejącego w ścianie. To była chyba jakaś mówiąca maszyna, o których wspomniano gdzieś w rytuale.
Na kilka kroków przed wejściem do sali głos ucichł. Asir zatrzymał się w drzwiach i spojrzał na potwora. Potem wziął głęboki oddech i trzęsącym się, ale donośnym głosem zaczął nucić zapamiętany ciąg dwudziestu czterech liczb. Wielki Joe nadal trwał w swym nieruchomym przysiadzie. Nic się nie wydarzyło. Asir przekroczył próg.
Wielki Joe, prostując się z metalicznym stęknięciem, wydał z siebie ogłuszający ryk i z dziko pałającymi ślepiami ruszył prosto na Asira, wyciągając w jego kierunku szponiaste łapy. Asir wrzasnął, odwrócił się na pięcie i rzucił do ucieczki.
Po drodze natknął się na Marę, która leżała zemdlona w wejściu prowadzącym na schody. Walcząc z pokusą przeskoczenia przez bezwładne ciało i ratowania własnej skóry, zatrzymał się, aby podnieść dziewczynę.
I nagle uświadomił sobie, że nikt go nie ściga. Obejrzał się. Wielki Joe wrócił na swoje miejsce i zdawał się znowu spać. Asir, zdziwiony, postąpił do przodu i ponownie znalazł się w korytarzu.

„Jeśli przyszedłeś plądrować, wracaj"!
Jeszcze raz ruszył ostrożnie naprzód.
„Wielki Joe zabije ciebie. Wielki Joe zabije ciebie. Wielki Joe zabije ciebie. Wielki Joe zabije ciebie..."
Asir podniósł z podłogi halabardę i podkradł się ostrożnie w strefę ciszy. Tym razem przystanął, aby rozejrzeć się dokoła. Powoli wystawił przez drzwi drzewce halabardy. Nic się nie wydarzyło. Zrobił jeszcze jeden krok i pomachał drzewcem. Wielki Joe nie drgnął.
Stuknął drzewcem o posadzkę. Potwór zawył i zaczął się podnosić. Asir odskoczył do tyłu, a włos zjeżył mu się na głowie, lecz Wielki Joe znowu przykucnął.
Przezwyciężając paniczny strach, Asir znowu wystawił halabardę przez drzwi i stuknął nią o posadzkę. Tym razem nic się nie stało. Spojrzał w dół. Ostrze piki spoczywało pośrodku szarej płyty na lewo od wejścia. Stuknął w inny szary kwadrat i tym razem potwór ponownie ocknął się z drzemki.
Po chwili zastanowienia zaczął stukać piką we wszystkie płyty, do których mógł sięgnąć od progu. Dotknięcie większości z nich wywoływało reakcję Wielkiego Joe. Znalazł tylko cztery, na dotknięcie których potwór nie reagował. Ukląkł na progu, aby przyjrzeć się im dokładniej. Pierwsza była nie oznaczona. Pośrodku drugiej widniała kropka. Trzecia miała ich dwie, a czwarta trzy. Im dalej od drzwi znajdowała się płyta, tym większą ilością kropek była oznaczona.
Wstał i wkroczył znowu na salę stając na pierwszej płycie. Wielki Joe pozostał w bezruchu. Zrobił krok na ukos w lewo i stanął na drugiej płycie, potem krok na wprost na trzecią i krok na ukos w prawo, na czwartą płytę. Tu, drżąc ze strachu, zatrzymał się na chwilę i spojrzał na śpiącego Demona. Od drzwi dzieliły go już cztery stopy.
Upewniwszy się, że potwór wciąż śpi, Asir przykucnął, aby przyjrzeć się następnym płytom posadzki. Szukał długo, ale podobnych znaków już nie znalazł. Czyżby te kropki były tylko zbiegiem okoliczności?
Wyciągnął przed siebie halabardę, ale szybko cofnął ją z powrotem. Stał zbyt blisko Śpiącego Demona, aby ryzykować popełnienie błędu. Wstał o rozejrzał się dookoła, badając wzrokiem każdy szczegół sali, a zwłaszcza posadzki. Policzył liczbę płyt wszerz i wzdłuż sali – po dwadzieścia cztery w każdą stronę.
Dwadzieścia cztery – a w ciągu, który wiązał się w jakiś sposób z bezpiecznym przejściem przez tę salę były dwadzieścia cztery liczby. Zmarszczył brwi i powtórzył sobie cicho ten ciąg: 0,1,2,3,3,2,2,1,...
Pierwsze cztery liczby to 0,1,2,3. A płyty – pierwsza bez kropki, druga z jedną, trzecia z dwiema i czwarta z trzema. Ale te cztery płyty nie znajdowały się w jednym rzędzie, a za czwartą nie było już kolejnej, oznaczonej płyty. Wycofał się z sali i jeszcze raz przyjrzał się płytom z korytarza. Mara ocknęła się już i wciąż oszołomiona wołała go słabym głosem. Odpowiedział coś uspokajającego i dedukował dalej. Pierwsza płyta pusta, potem w lewo na ukos, potem na wprost, potem na ukos w prawo...
0,1,2,3.

Przyszło olśnienie. Wszedł na salę i stanął na drugiej płycie, po czym sięgnął jak mógł najdalej halabardą i dotknął kwadratu znajdującego się na ukos w prawo od płyty czwartej. Usłyszał grzmiący głos i ciarki przeszły mu po plecach.
„Jeśli intruz popełni błąd, Wielki Joe zabije".
Sprężywszy się w sobie, gotów jednym susem odskoczyć z powrotem do korytarza, dotknął ponownie kwadratu. Nieruchomy potwór powtórzył groźne ostrzeżenie.

Walter Michael MILLER, Jr.

urodził się w 1923 roku na Florydzie. Studia inżynierskie przerwało mu przystąpienie USA do II wojny światowej. Jako pilot bojowy brał udział w 53 dużych akcjach. W 1949 roku na skutek wypadku samochodowego został na dłuższy czas unieruchomiony w łóżku i wtedy właśnie zajął się pisaniem. Początkowo jego utwory nie miały wiele wspólnego z kierunkiem twórczości, który przyniósł mu popularność i uznanie. Pierwsze opowiadanie SF – **„Secret of the Death Dome"** opublikował w styczniu 1951 roku na łamach „Amazing Science Fiction". W 1955 roku zdobył pierwszą HUGO GERNSBACK AWARD za minipowieść **„The Darsteller"**. Autor wyraźnie najlepiej „czuje" ten rodzaj literackiej opowieści, gdyż jego największe dzieło i źródło światowej sławy – opowieść o ludzkości odradzającej się po atomowej wojnie **„A Canticle for Leibovitz"**, za którą w 1961 roku otrzymał ponownie nagrodę HUGO – to nic innego, jak połączone w jedną całość trzy minipowieści publikowane w latach 1955–1957 na łamach „The Magazine of Fantasy and Science Fiction".
W latach pięćdziesiątych Walter Miller był jedną z najwybitniejszych postaci światowej SF. Zbyt silny jednak wpływ dyrektyw wydawcy – Johna Campbella sprawił, iż w miarę pojawiania się nowych kierunków w światowej SF zaczął odstawać od czołówki.
Oprócz wymienionych powieści na uwagę zasługują również liczne opowiadania pisane na początku lat pięćdziesiątych, a wśród nich: **„Conditionally Human"** (1952), **„Dumb Waiter"** (1952), **„Command Performance"** (1952) i **„Crucifixus Etiam"** (1953).

Asir spróbował dotknąć kwadratu położonego na ukos w prawo od piątego, ale nie mógł tego dokonać, nie przeszedłszy przedtem na trzeci. Wstrzymując oddech stanął na płycie trzeciej od wejścia i z oczyma utkwionymi w Wielkim Joe wyciągnął przed siebie pikę. Ostrze stuknęło o posadzkę.
„Jeśli intruz popełni błąd, Wielki Joe zabije".
Ale ogromna postać pozostała na swoim miejscu.
Poczynając od pierwszego kwadratu, droga wiodła w lewo, na wprost, w prawo, w prawo, w prawo. A w ciągu, po zerze następowały liczby 1,2,3,3,3. Tak, chyba znalazł klucz. Jedynka oznaczała kwadrat na południowy wschód, dwójka oznaczała południe, a trójka południowy zachód. Drżąc z podniecenia przeszedł na piąty kwadrat, po dotknięciu którego potwór wyryczał swoje ostrzeżenie. Obejrzał się na drzwi i przeniósł wzrok na Wielkiego Joe. Szponiaste łapy pochwyciłyby go teraz, zanim zdążyłby czmychnąć na korytarz.
Zawahał się. Mógł jeszcze zawrócić albo ryzykować życiem w imię słuszności niepewnych domysłów. Mara znowu go zawołała.
– Idź do końca korytarza – krzyknął w odpowiedzi. Ku jego zdziwieniu wykonała polecenie niespodziewanie szybko.
– Nie! – wrzasnął. – Zostań za drzwiami! Nie stawaj na te płytę! Nie!
Powoli cofnęła stopę, która zawisła tuż nad płytą wyzwalającą.
– Nie możesz tu wejść, dopóki ci nie powiem jak – wyjaśnił jej dysząc ciężko.
Zamrugała powiekami i obejrzała się nerwowo przez ramię.
– Ale ja ich słyszę. Schodzą po schodach.
Asir zaklął pod nosem. Teraz musi brnąć dalej.
– Zaczekaj chwilę – powiedział. – Pokażę ci jak tu dojść.
Przeskoczył na ostatnią sprawdzoną płytę i zatrzymał się. Następnymi liczbami w ciągu były dwie dwójki – na wprost. A to zawiedzie go w bezpośredni zasięg długich, szponiastych ramion wartownika-mordercy. Spojrzał z trwogą na pokruszone kości walające się po podłodze. Niektóre były ludzkie. Inne należały do zwierząt – ofiar wrzucanych tu przez kapłanów.
Dotychczas zbadał tylko jedną dwójkę – tam przy samych drzwiach. Jeśli się pomylił, nie zdoła uciec. Nie ma co zawracać sobie głowy stukaniem w płytę piką.
Wszedł na następny kwadrat i zamknął oczy.
„Jeśli intruz popełni błąd, Wielki Joe zabije".
Otworzył oczy i odetchnął z ulgą.
– Asir! Zbliżają się! Słyszę ich.
Nastawił uszu. Doszedł go gwar wściekłych głosów.
– W porządku – powiedział spokojnie. – Stawaj tylko na tych płytach, o których ci powiem. Widzisz tę szarą na lewo od drzwi?
– Tę – wskazała palcem.
– Tak, wejdź na nią.
Dziewczyna weszła na płytę i wpatrywała się przerażonym wzrokiem w potwornego strażnika. Asir udzielając wskazówek prowadził ją do siebie.
– Teraz na ukos w lewo – jedną na wprost – na ukos w prawo. Uważaj, on teraz przemówi. Nie przeraź się...
Mara posuwała się zgodnie z jego poleceniami i po chwili stanęła na przedostatniej płycie tuż za Asirem. Jej krótki urywany oddech zlał się w jedno z narastającym gwarem okrzyków dochodzących z klatki schodowej. Asir spojrzał na Wielkiego Joe i dopiero teraz zauważył, że stalowe szczęki potwora pokrywają czerwono-brunatne, zaskorupiałe plamy. Wzdrygnął się.
Ponura partia szachów trwała nadal. Robił po jednym, ostrożnym kroku na raz, a dziewczyna posuwała się za nim, wciąż o jeden kwadrat z tyłu. Co będzie, jeśli znowu zemdleje? I upadnie na płytę wyzwalającą? Przeszli o stopę od ramienia Wielkiego Joe.
Zerknąwszy w górę zobaczył, że ślepia potwora poruszają się śledząc przechodzących badawczym spojrzeniem. Krew zastygła mu w żyłach.
– Nie chcemy plądrować – odezwał się do maszyny.

Wielki Joe patrzył nieruchomym wzrokiem, nie mrugnąwszy nawet powieką.
– Powietrze uchodzi ze świata.
Potwór nie odezwał się.
– Szybciej! – ponaglała płaczliwym głosem dziewczyna. Pościg przybliżał się bardzo szybko, a oni byli dopiero w połowie drogi do drzwi widniejących w przeciwległej ścianie sali. Posuwali się teraz wolniej, bo Asir musiał co chwila powtarzać sobie cały szereg liczb oglądając się, aby policzyć kwadraty, które już przebyli i upewnić, że następny krok nie będzie tym śmiertelnym.
– Nie ważą się wejść tu za nami – powiedział z nadzieją w głosie.
– A jeśli to uczynią?
„Jeśli intruz popełni błąd, Wielki Joe zabije" – oznajmiła maszyna przy następnym kroku Asira.
– Jeszcze osiem kwadratów! – mruknął i zatrzymał się, aby policzyć jeszcze raz.
– Asir! Są już w korytarzu!
Słysząc wrzawę obejrzał się i zobaczył mężczyzn w błękitnych szatach, wysypujących się z klatki schodowej i biegnących tłumnie w kierunku sali. W połowie korytarza kapłani zatrzymali się jednak – nie wierząc własnym oczom patrzyli w osłupieniu na rozgrywającą się przed nimi scenę: dwoje intruzów przechodziło bezpiecznie obok ich diabelskiego boga. Wściekłe okrzyki ucichły i teraz dawał się słyszeć tylko cichy szmer podnieconych rozmów. Asir zrobił

następny krok i maszyna znowu odezwała się monotonnym głosem:
„Jeśli intruz popełni błąd, Wielki Joe zabije..."
Słysząc głos swego bóstwa, kapłani Wielkiego Joe wydali pełen zgrozy pomruk i cofnęli się nieco, ale jeden z nich, bardziej porywczy od reszty zaczął wrzeszczeć:
– Zabij intruzów! Zetnij ich swymi mieczami!
Asir obejrzał się i zobaczył, jak dwóch kapłanów biegnie w stronę sali z uniesionymi wysoko nad głowami włóczniami, gotując się do rzutu. Jeśli włócznia spadnie na płytę wyzwalającą...
– Stójcie! – ryknął, odwracając się do nich twarzą.
Kapłani zatrzymali się. Nie będąc pewnym, czy nie skończy się to dla nich nagłą i straszną śmiercią, Asir położył delikatnie dłoń na ogromnym, stalowym ramieniu robota, po czym oparł się o nie całym ciężarem ciała. Patrzyły nań z góry ogromne ślepia, ale Wielki Joe nie wykonał żadnego ruchu. Włócznicy stali przez chwilę jak skamieniali, gapiąc się w niemym podziwie na poufałość złodzieja ze straszliwą kreaturą. Potem wycofali się wolno w głąb korytarza.
Blefując dalej, Asir spojrzał w górę na Wielkiego Joe.
– Jeśli rzucą swe włócznie albo spróbują tu wejść, zabij ich.
Odwrócił się plecami do tłoczącej się w korytarzu ciżby i ruszył ostrożnie dalej. Jeszcze pięć płyt, cztery, trzy, dwie...
Przystanął, aby zajrzeć do następnej sali. Wypełniona była błyszczącą maszynerią i wielkimi płytami z mnóstwem pokręteł i skal. Zrobiło mu się słabo. Jeśli to tu leżała pogrzebana magia, która kontrolowała Płomień Wielkiego Wichru, nie ma się nawet co łudzić, że zdoła go na nowo rozniecić.
Przekroczył próg. Dziewczyna weszła do pomieszczenia za nim i natychmiast rozległ się grzmiący głos robota:
„Tożsamość tych dwóch technologów została potwierdzona. Od tej chwili mogą tu wchodzić bezkarnie. Wielkiemu Joe polecono zapytać: Po co przyszli technolodzy, skoro jeszcze nie nadszedł czas?"
Obejrzawszy się, Asir dostrzegł, że głowa robota odwróciła się i ten patrzy teraz na złodzieja i dziewczynę. Dostrzegł również, że od pierwszych drzwi znowu ktoś się zbliżył. Tym razem nie byli to kapłani, ale wieśniacy.
Przyglądając się im uważniej, poznał Naczelnika i ojca dziewczyny – Welkira, trzech innych Starszych Krewnych oraz Slubila – kata, który przybił go gwoździami do pala.
– Ojcze! Zostań tam!
Welkir, patrząc na nich, nie odezwał się. Odwrócił głowę i szepnął coś do Naczelnika. Tamten z kolei powiedział coś cicho do Slubila. Kat skinął ponuro głową i dobył zza pasa krótki topór. Ruszył przed siebie i przekroczył próg sali stawiając lewą stopę na płycie zerowej. Zerknął na Wielkiego Joe'ego i widząc, że potwór nawet nie drgnął, uśmiechnął się do stojących za jego plecami i warknął w stronę Asira:
– Twój wyrok został zmieniony, złodzieju.
– Nie waż się przejść przez salę, Slubil – krzyknął w odpowiedzi Asir.
Slubil splunął, potrząsnął toporem i pełnym godności krokiem ruszył przed siebie. Wielki Joe, zerwał się z miejsca niczym uosobienie furii, a trzask jego prostowanych kolan zagrzmiał w podziemiach stukrotnym echem. Slubil zamarł na moment, a potem bezsensownie zamachnął się toporem.
Na widok zatrzaskujących się szponów, Asir wstrzymał oddech i odwrócił się szybko. Wrzask Slubila urwał się nagle wraz z odgłosem dartej skóry, po którym nastąpiła seria suchych trzasków pękających kości. Mara krzyknęła i mocno zacisnęła powieki. Głuchy łomot, potem drugi, powiedziały im, że Wielki Joe odrzucił od siebie szczątki Slubila.
Kapłani i wieśniacy – wszyscy z wyjątkiem Welkira – umknęli w popłochu z korytarza i wspinali się już po schodach, Welkir klęczał w progu, zakrywając dłońmi twarz.
– Mara! – jęczał. – Córeczko moja.
– Wracaj, ojcze – zawołała.
Oszołomiony starzec dźwignął się z trudem na nogi i przytrzymując się ściany poczłapał korytarzem w kierunku klatki schodowej. Kiedy mijał miejsce, w którym rozległ się pierwszy ostrzegający głos, robot poruszył się znowu – wstał wolno i odwrócił się przodem do Asira i Mary. Wycofali się szybko w głąb pomieszczenia wypełnionego dziwnymi maszynami. Wielki Joe, stąpając ciężko, ruszył powoli za nimi.
Asir szukał gorączkowo drogi ucieczki, ale potwór przystanął w progu, blokując swoim tułowiem przejście. Przemówił monotonnym, mechanicznym głosem, recytując jak gdyby zapamiętany rytuał.:
„Wielkiemu Joe polecono wyjawić inteligencji technologów funkcje, jakie zostały mu powierzone. Funkcją pierwszą jest niedopuszczenie jakichkolwiek organizmów destrukcyjnych do krypt, w których znajduje się aparatura sterująca reakcją termojądrową odnawiającą okresowo tlen w atmosferze. Drugą jego funkcją jest skierowanie technologów do archiwum zawierającego takie informacje, jakich mogą oni potrzebować. Jego trzecią funkcją jest wypełnianie prostych poleceń technologów, jeśli tylko wypełnienie takich poleceń nie będzie przekraczało możliwości jego prostej konstrukcji".
Asir wpatrywał się w zwalistego stwora i dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie jest to żywa istota, a maszyna zbudowana przez Starożytnych do spełniania określonych zadań. Pomimo świeżej czerwieni na dłoniach i szczękach, Wielki Joe nie był winien śmierci Slubila bardziej, niż byłby jej winien młyn, gdyby ten krępy sadysta wspiął się na niego nie zważając, iż obracają go zaprzężone do młyńskiego kamienia marsjańskie woły.
Być może Starożytni przesadzili w okrucieństwie budując takiego strażnika, ale przynajmniej zbudowali go tak, aby wyglądał na nieubłaganego niszczyciela i z nawiązką wystraszył intruza. Przypatrując się otaczającej go zewsząd maszynerii zaczął pojmować powód, dla którego stworzono Wielkiego Joe. Metale, które tu zgromadzono oznaczały bogactwo dla płatnerzy, kowali i szabrowników wszelkiej maści. Asir rozprostował ramiona i zwrócił się do maszyny:
– Naucz nas, jak rozniecić Płomień Wielkiego Wichru.
„Nauczenie nie należy do funkcji, jakie powierzono Wielkiemu Joe. Polecono mi powiedzieć: reakcji odświeżającej nie należy inicjować przed Marsrokiem 6000, według rachuby czasu konstruktorów".
Asir zmarszczył brwi. Nie liczono już lat. Były one nazywane na cześć Naczelników sprawujących władzę w wioskach.
– Jak daleko jeszcze do roku 6000? – zapytał.
Wielki Joe szczęknął jak maszyna sumująca.
„Dwanaście Marslat, technologu".
Asir gapił się na skomplikowaną maszynerię. Czy przez dwanaście lat nauczy się ją obsługiwać? Wydawało mu się to niemożliwe.
– Jak możemy rozpocząć naukę? – spytał robota.
„To jest właśnie sala instruktażowa, w której możesz zapoznać się z dokumentacją. Same mechanizmy sterujące zainstalowane są w najgłębiej położonych kryptach".
Asir nachmurzył czoło i poszedł na koniec sali, skąd drugie drzwi prowadziły do... drugiej sali z drugim Wielkim Joe! Gdy Asir otworzył je, drugi robot przemówił:
„Jeśli intruz nie posiadł stosownej wiedzy, Wielki Oswald zabije!".
Jak rażony piorunem, Asir odskoczył od drzwi i zatoczywszy się uderzył ramieniem o czołową płytę jakiegoś przyrządu. Płyta rozświetliła się i miły głos zaczął czytać coś o *„Roli prezydenta Snella w ósmej wojnie światowej".* Odskoczył jak oparzony od płyty i potykając się podbiegł do Mary, która siedziała z ponurą miną na płycie fundamentowej jakiejś masywnej maszyny.
– Z czego się śmiejesz? – mruknęła.
– Jesteśmy wciąż na pierwszym poziomie! – jęknął, wyobrażając sobie szereg podobnych sal. – Zanim przejdziemy na następny, musimy nauczyć się magii Starożytnych.
– Starożytni nie byli tacy znowu potężni – powiedziała mrukliwie.
– Popatrz na ten rysunek na ścianie.
Asir spojrzał we wskazanym przez dziewczynę kierunku i zobaczył tam dziwny wzór, na który składały się koncentryczne koła wyrysowane wokół jasnej, żółtej plamy wyobrażającej chyba Słońce.
– Widzę, no i co?
– Ojciec uczył mnie o planetach – odparła. – Tą są pewnie drogi, po których okrążają one Słońce.
– I co ci się w tym nie podoba?
– Tu jest o jedną planetę za dużo – powiedziała. – Każdy wie, że między Marsem a Wenus jest tylko pas asteroidów, a na rysunku zaznaczono w tym miejscu planetę.
Asir wzruszył obojętnie ramionami pochłonięty w tej chwili jedynie maszynami.
– Można im chyba darować jeden mały błąd.
– Chyba tak... – urwała, spoglądając z przygnębieniem w stronę, w którą odszedł jej ojciec. – Co robimy dalej?
Asir zastanawiał się długo, po czym przemówił do Wielkiego Joe:
– Pójdziesz z nami do wioski.
Maszyna nie odezwała się przez chwilę, a potem powiedziała:
„Istnieje wyraźna sprzeczność między funkcjami pierwszą i trzecią. Piorytet polecenia zależy od decyzji technologa".
Asir nie zrozumiał. Powtórzył polecenie. Robot odwrócił się powoli i przekroczył próg. Tam przystanął i czekał.
Asir uśmiechnął się.
– Wracajmy na górę – powiedział do dziewczyny.
Wstała skwapliwie. Przeszli przez salę na korytarz i weszli na schody. Wielki Joe człapał za nimi.
– Co z twoją banicją, Asir? – spytała ponuro.
– Poczekamy, zobaczymy. – Wyobraził sobie piekło, jakie się rozszaleje, gdy dziewczyna, mężczyzna i robot przemaszerują przez wieś kierując się w stronę domu rady i zachichotał. – Coś mi się zdaje, że zostanę nowym Naczelnikiem – powiedział. – A wszyscy członkowie mojej rady będą złodziejami.
– Złodziejami! – wykrztusiła. – Dlaczego?
– Będą złodziejami, którzy nie boją się kraść wiedzy bogów – i staną się technologami, aby rozniecić Płomień Wichrów.
– Co to jest „technolog", Asirze? – spytała z szacunkiem.
Asir zaczerwienił się w myślach, przyłapując się na używaniu słów, których nie rozumiał, ale nie dał tego po sobie poznać uwieszonej u jego ramienia Marze.
– Wydaje mi się – powiedział – że technolog to złodziej, który mówi bogom, co mają robić.
– Pocałuj mnie, Technologu – szepnęła cicho.
Wielki Joe szczęknął i stanął, aby na nich zaczekać. Czekał długo.

Przełożył **Jacek Manicki**

Już dwie godziny temu zawieziono zwłoki na sekcję, a my ze śledczym ciągle jeszcze siedzieliśmy w moim mieszkaniu i w żaden sposób nie mogliśmy dojść do porozumienia.
Głowa pękała mi z bólu. A poza tym ciągle jeszcze widziałem tę twarz o wytrzeszczonych oczach, mysi warkoczyk podpięty kawałkiem rogowego grzebienia i kałużę krwi na podłodze.
Podszedłem do szafki i wyjąłem butelkę koniaku.
– Pozwoli pan? – zapytałem śledczego.
– Nie pozwolę – odpowiedział śledczy.
– W takim razie niech się pan odwróci.
Nie odwrócił się, tylko z jakimś takim niedobrym uśmieszkiem patrzył, jak dwukrotnie pociągam z butelki. Potem powiedział:
– Starczy. Niech pan odstawi butelkę na miejsce. I na trzeźwo wygaduje pan brednie, a ja nie mam najmniejszej ochoty czekać z przesłuchaniem, aż się pan wyśpi.

chajłowskim, dałoby to wspaniały efekt, niezwykle korzystny dla miasta...
„Tak zapewne ci, których prowadzą na kaźń, przywierają myślą do wszystkich przedmiotów, które spotykają na swojej drodze" – przeleciało mi przez głowę szybko jak błyskawica.
...Odsapnąłem, przyciskając dłonią trzepoczące serce, jednocześnie obmacałem i jeszcze raz poprawiłem siekierę, potem zacząłem cicho i ostrożnie wchodzić po schodach, nadsłuchując nieustannie. Ale schody o tej porze były puste, wszystkie drzwi szczelnie zamknięte, nie spotkałem nikogo. Na pierwszym piętrze, wprawdzie, jedno puste mieszkanie było rozwarte na oścież, pracowali w nim malarze, ale na mnie nie spojrzeli. Postałem chwilę i ruszyłem dalej. „Oczywiście byłoby lepiej, gdyby ich tu wcale nie było... ale, nad nimi są jeszcze dwa piętra".
Oto już trzecie piętro, oto drzwi...

SUMA OSIĄGNIĘĆ (Summa dostiženij)

Ilia Josifowicz WARSZAWSKI

(1909–1974) był marynarzem, potem inżynierem konstruktorem. Jako autor SF zadebiutował dopiero w 53 roku życia. Preferował krótkie formy, zazwyczaj z elementami humoru i satyry. Wydał kilka zbiorów opowiadań, m.in. **„Molekulernoje kafe"** (1964), **„Czełowiek, kotoryj widiel antimir"** (1965), **„Trewożnych simptomow niet"** (1972). Ponadto jego opowiadania były drukowane w wielu pismach, almanachach i antologiach.

– Powiedziałem prawdę.
– Niech pan nie udaje głupiego, Jurowski. Ani pan, ani ja nie jesteśmy dziećmi i obaj świetnie znamy granicę między fantazją a rzeczywistością.
– Przecież cały czas mówię panu o tej granicy. I jeśli pan mi nie wierzy, to znaczy, że nie potrafi pan sobie wyobrazić, co tam może się dziać.
Po koniaku było mi jeszcze gorzej. Usiadłem w fotelu przy oknie i wyjrzałem na ulicę. Wszystko wyglądało jak zawsze. Był to znany mi dobrze świat z samochodami, tramwajami, reklamami świetlnymi. Szalona wydała mi się myśl, że kilka godzin temu...
– No więc jak, dalej zamierza pan milczeć?
– zapytał śledczy.
– Nie mogę już dłużej. Muszę odpocząć.
– Niech pan odpoczywa.
Zasnąłem, obudził mnie dzwonek telefonu. Śledczy podniósł słuchawkę.
– Tak? To ja. Ach więc tak?! Dobrze.
Usłyszałem, jak coś mamrocze odkładając słuchawkę, ale słów nie zrozumiałem.
Następnie śledczy zapytał:
– Jurowski, śpi pan?
– Nie śpię – odpowiedziałem nie otwierając oczu.
– Proszę opowiadać po kolei, wszystko od samego początku.
To było właśnie to, czego nie mogłem zrobić. Bo czy można przekazać w słowach te wszystkie uczucia, których wtedy doznałem? Można opisać chronologicznie działania, ale to tylko wzmocni podejrzenie.
– Wszystko po kolei jest zapisane na taśmie magnetycznej – powjedziałem.
Podszedł do aparatu i postukał paznokciem w deflektor.
– To jest ekran, tak?
– Tu nie ma ekranu, jego działanie opiera się na innych zasadach.
– Niech pan to włączy.
No cóż, miało to jakiś sens. Lepiej, jak się sam przekona.
– Proszę usiąść w fotelu – powiedziałem. – Niech pan oprze głowę w tym miejscu i stara się siedzieć nieruchomo. Dłonie trzeba zacisnąć na poręczach.
Podłączyłem fotel do sieci i śledczy krzyknął.
– Niech pan mocniej ściska poręcze, wtedy prąd przestanie kopać
– poradziłem. – Od czego zaczynamy?
– Potrzebny mi jest przebieg morderstwa.
Przysunąłem drugi fotel i podłączyłem go równolegle.

...Szedłem drogą, spokojnie, z godnością, bez pośpiechu, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Prawie nie patrzyłem na przechodniów, właściwie starałem się w ogóle nie spoglądać na ich twarze i być możliwie jak najbardziej nijakim. I w tym momencie przypomniałem sobie o kapeluszu. „Mój Boże, przecież miałem nawet pieniądze trzy dni temu, dlaczego nie zamieniłem go na czapkę?"
Przypadkiem zajrzałem do sklepiku; zobaczyłem, że ścienny zegar wskazuje już dziesięć po siódmej. Trzeba było się spieszyć, a jednocześnie nałożyć drogi, żeby podejść do domu od drugiej strony...
Poprzednio, kiedy zdarzało mi się robić to wszystko w wyobraźni, myślałem czasami, że będę się bardzo bał. Ale teraz właściwie nie bałem się wcale. Przychodziły mi chwilami do głowy jakieś całkiem oderwane myśli, tyle tylko, że nie na długo. Kiedy mijałem park Jusupowa, przez chwilę nawet zastanawiałem się nad budową wysokościowych wodotrysków i myślałem o tym, jak wspaniale odświeżałyby one powietrze na wszystkich miejskich placach. Z wolna doszedłem do przekonania, że gdyby powiększyć letni ogród o całe pole Marsowe i połączyć z pałacowym ogrodem Mi-

Brakło mi tchu. Jak błyskawica przeleciało mi przez myśl: „ A może odejść?" Ale nie udzieliłem sobie odpowiedzi i zacząłem nadsłuchiwać... Martwa cisza... Następnie obejrzałem się po raz ostatni, zebrałem się w sobie, wypróbowałem siekierę w pętli sznura. „Czy nie jestem blady... przesadnie?" – myślałem. „Czy nie jestem zbyt mocno wzburzony? Ona jest nieufna... A może jeszcze poczekać... aż serce się uspokoi..."

W tym momencie coś mnie rąbnęło jak pałką przez łeb. To śledczy wyciągnął kontakt z gniazdka. Tak nie wolno postępować, należy to robić powoli i stopniowo.
Śledczy rozpiął kołnierzyk i otarł dłonią spocone czoło. Wyglądał całkiem kiepsko. Dałem mu koniak i tym razem nie protestował.
Zresztą opanował się szybciej, niż oczekiwałem.
– Jasne, Jurowski – powiedział przesiadając się za biurko – wyobraził pan sobie, że jest pan Rodionem Raskolnikowem i zarąbał pan siekierą służącą, zgadza się?
– Nie – powiedziałem – to ona wyobraziła sobie, że jest tamtą staruchą.
Uśmiechnął się niewesoło.
– Znowu dokoła Wojtek? Jak długo jeszcze to będzie trwało?
– Tak długo, dopóki pan nie zrozumie. Mówił pan o granicy między fantazją a rzeczywistością. Kiedyś życie i sztuka znajdowały się daleko od siebie po obu stronach tej granicy. Obrazy odgradzały się ramami od ścian, rampa oddzielała widownię od sceny, nieme figurki w kinie były podobniejsze do marionetek, niż do żywych ludzi. Potem wszystko zaczęło się zmieniać. Na naszych ekranach oprócz dźwięku i koloru, pojawił się trzeci wymiar, zapach i wreszcie ten właśnie „efekt uczestnictwa". Cała suma osiągnięć technicznych sprawiła, że domniemane stało się rzeczywistym, iluzja przeplotła się z życiem. A czyż wszystkie nasze uczucia nie są iluzoryczne? Teraz położył pan rękę na biurku. Odczuwa pan jego twardość, temperaturę i nie zastanawia się pan nad tym, że pod pańską dłonią znajduje się kompleks cząsteczek elementarnych nieskończenie odległych od siebie, a to co pan odczuwa jako ciepło...
Nie pozwolił mi dokończyć i tak wrzasnął, że aż podskoczyłem.
– Dosyć! Mam pańskiej gadaniny wyżej uszu! Są już wyniki ekspertyzy. Śmierć nastąpiła w wyniku uderzenia w głowę. To już nie są żadne iluzje. Niech pan lepiej powie, gdzie pan ukrył siekierę?
– Już wyjaśniłem panu. Zostało to zaprogramowane dla dwojga ludzi. Chciałem sprawdzić, jaka będzie reakcja człowieka postronnego. Zgodziła się być tamtą staruchą. Na nieszczęście okazała się zbyt reaktywna. Czyżby pan nie wiedział, że jeśli człowiekowi w czasie snu hipnotycznego powiedzieć, że się go przypala rozpalonym żelazem – na jego skórze pojawią się ślady prawdziwych oparzeń? Gotów jestem ponieść odpowiedzialność za to co się stało, ale to po prostu wypadek przy pracy, nie do uniknięcia w każdej nowej dziedzinie.
– Gdzie pan ukrył siekierę?

Niestety, cierpiał na kompletny brak wyobraźni. Jedno co potrafił, to nieustannie gadać o siekierze. Taki śledczy był mi niepotrzebny. Skasowałem to intermedium i ponownie wprowadziłem do progamu Porfirego Pietrowicza. Jego sposób prowadzenia śledztwa dostarczał więcej emocji.
Musiałem się śpieszyć, ponieważ już wkrótce zaczynały się zawody w jeździe figurowej na lodzie i miałem ochotę poczuć się Gabrielą Seifert, a jeszcze przed tym – Napoleonem po zdobyciu Moskwy.
Jednakże nic nie wynikło z moich planów. Przyszedł dyżurny lekarz i powiedział, żebym skończył zabawę, odstawił krzesła na miejsce i poszedł spać, ponieważ jest późno.

Przełożyła **Irena Lewandowska**

motto:
„Niech więc każdy strzeże się pokus i czuwa w modlitwie, aby nie wtargnął którędy wróg i nie usidlił go, nie śpi on bowiem, ale krąży szukając kogo by pożreć"
Tomasz á Kempis

wszystkie twarze SZATANA

Jacek Piekara

Gdy stanęli przy moim łóżku, nad miastem świeciło już słońce. Było ich trzech, jak zwykle. Liczba ta miała tajemniczą moc zniewalającą umysły i ciała.
Bez wyglądania przez okno widziałem, że przy bramie czatuje jeszcze dwóch. Ich twarze były odlane z gipsu z czarnymi szpilkami oczu po obu stronach niedużej wypukłości. Byli obojętni, zimni i nieczuli. Zbudowane we wczesnym dzieciństwie mechanizmy odruchów i instynktów zachwycały precyzją. Odmierzali dokładne bezbłędne ruchy, przepuszczali krótkie zdanie przez filtry słowa.

Znałem ich, znałem sposoby, jakich używali. Po co przyszli? Dlaczego? To było obojętne. Ważne było, że czyjaś ręka skierowała ich w moją stronę wprawiając w ruch nieznane tryby, które zakręciły mym życiem.
Ich dłonie były stalowymi chwytnikami, pięści kamiennymi głazami. Nie znajdowałem w nich nienawiści czy złości. Wszystko co robili okazywało się odruchem, reakcją na nakaz, który stał się jedyną treścią ich życia. Byli mistrzami w swym fachu, nie można im było odmówić swoistego geniuszu. Nie miałem do nich żalu i wtedy, gdy wypluwając krew z rozbitych ust ujrzałem w lustrze swoje umęczone ciało. Istniało przecież coś, co pchnęło ich na tę zamkniętą drogę, a raczej tor, którym zmuszeni byli biec. Wiedziałem, że parę moich słów, kilka odpowiednich wyrazów podziała jak magiczne zaklęcie. I ja mogłem wejść na tę drogę. Ale mimo pozornej łatwości, najeżona byłaby ona przeszkodami nie do przebycia, przeszkodami ustawionymi przez moje sumienie.
Obok coraz wyraźniej rysowała się wąska, leśna ścieżka prowadząca od mojego lustra aż do krańców widnokręgu. Runąłem w przód rozbijając szkło. Nade mną szumiał sosnowy las, a w dali mgliście rysowały się trzy gipsowe twarze spychane w nicość podmuchami wiatru.

Znałem ich. Znałem sposoby, jakich używali, lecz oni nie znali siły, jaka nagle wypełzła z mojego wnętrza tworząc miriady niedostępnych zaułków. Właśnie tam mogłem się ukryć, a potem pchnięty niewidzialnym ciosem toczyłem się wzdłuż tysięcy splątanych dróg wpadając z jednej na drugą.
Ujrzałem przed sobą czoło pochodu sunącego wolno i ociężale. Czarne figurki, setki czarnych figurek z białymi maskami twarzy. Wstałem i podbiegłem do nich, a wtedy korowód zatrzymał się.

Wystąpili ci, którzy nieśli trumnę.
– Jeżeli przyszedłeś zobaczyć swą ofiarę, to pozwalamy ci. Lecz potem spoczniesz z nią w jednym grobie – rzekł mężczyzna w czarnym zawoju.

Wieko trumny skrzypiąc uniosło się i poczułem trupi odór. Nieboszczyk wychylił się, a jego na wpół zgniłe wargi przeżuwały przekleństwa.
– Poznał mordercę – dobiegły mnie szepty.
Szepty zamieniły się w okrzyki, okrzyki w wycie. Zasłoniłem uszy rękoma. Nadal je słyszałem; piski, jęki, wrzaski otaczały mnie ze wszystkich stron, wchodząc w głąb mózgu, rozrywając tkanki.

● ● ●

– Panie Słońca i Księżyca, królu Wschodu i Zachodu, panie nieba północnego i...
Emir el-Hebdi przerwał posłowi skinieniem ręki.
– Mów z czym przychodzisz – rzekł.
Siwowłosy mężczyzna w czarnym zawoju pochylił z uszanowaniem głowę.
– Panie, racz sprawić, aby twe boskie uszy przyjęły słowa...
Lecz emir el-Hebdi nie słuchał posła. Z przerażeniem obserwował trzy gipsowe twarze nasadzone na trzy czarne garnitury, z wolna materializujące się przed tronem.
– Kto ich tu wpuścił? – krzyknął

● ● ●

– Życie twe jest igraszką w ręku Losu – mówił Starzec – jesteś łódką kołyszącą się na falach oceanu. Znam twoją przyszłość i przeszłość. Czekałem na ciebie wiele lat.
– Na mnie? – wyjąkałem. – Powiedz mi, kim jestem? Czy aresztowanym bitym przez policję, czy przechodniem, który napotkał straszliwy pogrzeb, czy emirem el-Hebdi, czy też tym, który stoi przed tobą.
Starzec uśmiechnął się.
– Nie jesteś w pełni żadnym z nich i jesteś nimi wszystkimi. Znam drogi, którymi będziesz szedł, wiem ile zaznasz goryczy, a ile rozkoszy. Będziesz gubił się w domysłach i podejrzeniach, lecz nigdy nie zrozumiesz tego, co cię otacza. To wszystko bowiem może zrozumieć tylko Kreator.– Kim więc ty jesteś? – krzyknąłem.

● ● ●

Emir el-Hebdi nie siedział na tronie w srebrno-złoto-diamentowym pałacu. Leżał na garstce słomy w wilgotnym lochu. Na tronie Pana Słońca i Księżyca siedział dowódca straży pałacowej, młody kajmakan, który samozwańczo nazwał się sułtanem. Dziedzictwo tronu, które dzierżyli przodkowie emira, upadło. Razem z czekającym na wyrok emirem leżał poseł w czarnym zawoju.
– Władza, emirze, to tylko załudzenie. Pomyśl, iż przed chwilą byłeś panem świata, a teraz nie jesteś nawet panem siebie.
Emir el-Hebdi westchnął.
– Tak chciał Allach – rzekł.
– Mylisz się, emirze. Allach to los, ślepy los, któremu narzuciliście wierzchnią szatę. Może nie była pisana ci władza? Może powinieneś być zwykłym człowiekiem?
Emir el-Hebdi wzruszył ramionami i podszedł do niewielkiego zakratowanego okienka. Gdy dotknął dłonią prętów, te spadły wraz z ramą na drugą stronę.
– Tak chciał Allach – rzekł emir wyczołgując się na zewnątrz.
Kiedy siedzieli już wśród krzewów pałacowego ogrodu, poseł uśmiechnął się.
– Los chciał panie, abyś przeżył.
Emir el-Hebdi uważnie przypatrywał się twarzy swego rozmówcy. Jednym ruchem zerwał mu nagle zawój okalający połowę twarzy.
– Człowiek z pogrzebu! – krzyknął.
Poseł roześmiał się.
– Nie jestem ani wysłannikiem z dalekiego kraju, ani człowiekiem z pogrzebu. Jestem Spinger, szef tajnej ochrony – dodał twardym głosem.

Emir el-Hebdi chciał sięgnąć po kindżał, ale dłoń trafiwszy na pustkę cofnęła się.
– W imieniu prawa aresztuję cię. Jesteś winien zabójstwa prezydenta. Nagle w ogrodzie wszczął się tumult. Przez mury pałacowe wdzierały się oddziały żołnierzy.
Po chwili emir el-Hebdi otoczony oddziałem wiernego szejka Al-Katariego wkraczał w bramy pałacu Pana Słońca i Księżyca.

● ● ●

– Kim jestem? Trudno powiedzieć. Jestem Obserwatorem. Nie mam wpływu na bieg zdarzeń, ale obserwuję je znając przyszłość i przeszłość. Czekałem na ciebie, bo właśnie ty możesz stać się Obserwatorem, ale tylko wtedy, jeżeli gdziekolwiek na świecie znajdziesz...

Głos Starca ucichł, rozwiał się i zapanowała niczym nie zmącona cisza. Było tak ciemno, że nie widziałem nawet wystawionych przed twarz dłoni. Brnąłem więc coraz dalej i dalej, gdy nagle po długiej wędrówce wyczułem palcami oparcie fotela. Zmęczony usiadłem i w tym momencie snop światła uderzył mnie w oczy. Metalowe klamry unieruchomiły ręce, nogi i kark. Przed oczyma tańczyła tylko kolorowa plama.

– A więc witam – usłyszałem głos Spingera – dobrze, że znów pana spotykam. Mam nadzieję, iż tym razem nikt nie przerwie nam pogawędki.
Zgasił reflektor, ale przed moimi oczyma wybuchały ciągle kolorowe petardy. Wreszcie, gdy wzrok przyzwyczaił się do ciemności, ujrzałem wnętrze pokoju, w którym jedynymi meblami były biurko i fotel. Spinger siedział na biurku trzymając nogi na jednej z wysuniętych szuflad.
– Spinger?
– ...
– Spinger? Niech mi pan wytłumaczy...
– Zabił pan prezydenta. Chcę wiedzieć, do jakiej należysz organizacji. Chcę znać nazwiska i adresy. I będę je znał!
– Spinger. Ja nic nie wiem. Ja... to dziwne. Ja w ogóle nic nie wiem – rzekłem bezradnie.

● ● ●

Emir el-Hebdi zmęczony straszliwymi przeżyciami, półleżąc pod baldachimem oglądał taniec najpiękniejszej z hurys. W momencie, gdy miał dać znać, aby wszyscy oprócz niej opuścili komnatę, u wezgłowia łoża zjawił się drobny, zasuszony człowieczek. Emir spojrzał na niego z gniewem i nagle, na przekór sobie, dał znać dłonią. Dworzanie wyszli zostawiając emira z przybyszem i piękną hurysą.
– Wybacz, panie. Przychodzę ofiarować ci pomoc. Jestem... zresztą, nieważne. Ważne jest, że mogę ci pomóc. Ja jeden znam kłopoty, które cię nękają.

– Kim jesteś? – spytał spokojnie emir – w czym chcesz mi pomóc i czego żądasz w zamian?
– Nazywać mnie możesz, panie mędrcem...
Emir skrzywił wargi.
– ...a ja będę nazywał cię emirem, choć nim nie jesteś. A raczej jesteś nim, lecz jedynie w drobnej cząstce swej istoty.
Władca spojrzał uważnie na mędrca.
– Pomogę ci poznać, panie, tajemnice świata, w którym żyjesz. Jesteś ścigany przez wrogie siły. W każdej sytuacji, emirze, w jakiej się znajdziesz, napotkasz Spingera i zawsze będziesz musiał go pokonać. Dla ciebie bowiem, empirze, przytowano życie pełne trudów, porażek i rozczarowań. Wiem kim byłeś dawniej i obecne twoje cierpienia są pokutą za winy poprzednich inkarnacji. Skazany jesteś, emirze, na poszukiwanie śwata, w którym znajdziesz niezmącone niczym szczęście. Nie znam przyszłości, emirze. Zna ją tylko Obserwator, lecz wiem, że największym twym wrogiem jest Spinger. Póki istnieje, będziesz błądził.
– Kim on jest? – spytał władca.
– Podejrzewa cię, emirze, o zabójstwo prezydenta w jednej z rzeczywistości. Jest jedyną osobą, która w każdym ze światów będzie cię pamiętała. Lecz strzeż się...
Nagle mędrzec urwał.
– Wybacz, emirze. Wzywa mnie ktoś stokroć potężniejszy od nas obu.

Ściany komnaty odbiły echem słowa mędrca. Przed emirem stała tylko półnaga hurysa.
– Strzeż się – raz jeszcze zagrzmiały ściany, po czym emir zasunął kotary baldachimu skrywając siebie i tancerkę.

Niezbadane są wyroki Allacha jak niezgłębione jest morze i niepoliczalne są gwiazdy. W tym samym czasie bowiem młody kajmakan wymknął się z głębokiego podziemnego lochu i wydostał z pałacu Pana Słońca i Księżyca. Czekał nocy, aby uciec jak najdalej od czekającego już Żelaznego Konia – machiny która miała rozedrzeć jego ciało. Młody kajmakan wierzył w swe odważne serce i wiedział, że najstraszniejszy nawet Żelazny Koń nie strwoży jego duszy. Poprzysiągł, że powróci jeszcze do pałacu, aby zasiąść na tronie Pana Panów.

● ● ●

– Posłuchaj, Kersen – rzekł Spinger – i tak powiesz mi wszystko. WIEM, że zabiłeś prezydenta, ale muszę to udowodnić.
Milczałem. Pewność Spingera była zbyt niezachwiana, bym próbował się tłumaczyć.
Jego palec wcisnął klawisz w blacie biurka i w tym samym momencie do pokoju weszło dwóch muskularnych mężczyzn. Spinger opuścił stopy na ziemię.
– Nie lubię widoku krwi – powiedział zatrzaskując drzwi.

● ● ●

Kim jestem? Czy to moje ciało katują w małym ciemnym pokoju, palą kwasem i rozrywają gorącymi szczypcami? Czy to moja krew tworzy na ścianie mozaikę rozbryzganych kropel?
Jestem gdzieś wyżej. Patrzę na straszną kaźń obojętnymi oczyma widza. A może jestem emirem el-Hebdi, bogaczem, władcą trzymającym w swych objęciach najpiękniejszą z hurys?
Lecz może jestem tym, który napotkał tłum pogrzebowych postaci. Czy to mnie otaczają wykrzywione złością i okrucieństwem twarze? Czy to mnie podnoszą setki kościstych rąk i rzucają do trumny z rozpadającym się ciałem trupa? Czy w moje nozdrza uderza tchnienie śmierci, czy moją szyję oplatają zielonozgniłe ramiona, czy to z moją twarzą styka się ta przerażająca maska?
Nie! Nie! Na litość Boską! Nie opuszczajcie wieka!

● ● ●

Wrzask baraszkujących małp wyrwał Harveya ze snu. Szybko podniósł się, spłukał twarz wodą ze skórzanego kanistra i otrząsnął się jak mokry pies. Strużki zimnej wody ściekały po karku.
Spojrzał na zegarek. Nie miał czasu. Dokładnie w południe cień Wojownika pokaże drogę prowadzącą do Jaskini Śmierci.
Harvey przypomniał sobie o Paulu, który stamtąd nie wrócił. Ale Paul nie był sam. Wraz z nim sunęła wspaniale wyekwipowana stuosobowa ekspedycja. Wróciło tylko paru tragarzy. Żaden z Indian do końca krótkiego życia nie przemówił ani słowem, a ich oczy (Harvey widział ich oczy!) były szkliste i napełnione przeraźliwą trwogą.


Andrzej Grun

Harvey by sam i mógł liczyć tylko na siebie. Rozwiązanie zagadki Jaskini Śmierci było jego jedynym celem. Opieki szukał w Bogu, bowiem już od lat poświęcił Mu się bez reszty rezygnując z rozkoszy życia.

Harvey ufał Bogu i wierzył w Jego istnienie nie tylko sercem, lecz starał się również pojąć Boga rozumem, choć wiedział, że w ten sposób grzeszy. W jego rozumieniu Stwórcy nie było jednak nic obraźliwego, nic mogącego podważyć dogmaty. Harvey rozumem pragnął poprzeć swą wielką miłość do Boga. Chciał połączyć rozum i uczucia, a dopiero wtedy poznać bliskość Najwyższej Istoty. Łaknął złączenia się z Bogiem i liczył na Jego łaskę.

To za sprawą Jaskini Śmierci Harvey zamierzał poznać Boga. Według indiańskich legend tam bowiem, w miejscu otoczonym działaniem złych mocy, spoczywały księgi napisane przez Wiecznego Starca. Harvey często spotykał tę postać w mistycznych widzeniach, lecz nigdy nie zdołał zamienić z nią słowa. Teraz miał szansę poznać jej myśli spisane dla człowieka, którego niezłomna wiara odsunie wszelkie przeszkody.
Harvey nie bał się złych mocy, które czuwały, aby człowiek sprawiedliwy nie dostał w swe ręce tajemnic świata. Uzbrojony był w fanatyczną wiarę, w potęgę Krzyża z przygwożdżonym doń Chrystusem Zbawicielem. Za Jego łaską – Tego, który umarł za ludzkość, Hervey chciał doprowadzić swe dzieło do końca. Modlił się do Boga, aby nie odstępował go przez cały czas trudnej misji. Harvey wiedział (miał niezachwianą pewność!), że po wykonaniu tej misji połączy się ze Stwórcą i stanie na najwyższym poziomie. Najwyższym, do jakiego może sięgać człowiek, gdyż Pan będzie zawsze na niebotycznej górze zakryty przed ludzkimi dążeniami.

● ● ●

– No i co powiesz, Kersen? – spytał pochylając się nade mną Spinger. Spojrzałem na niego prawym okiem – jedynym, jakie mi zostało.
– Zabiję cię, Spinger.
Słowa z trudem przeciskały się przez zmiażdżone wargi, opuchnięty język z wysiłkiem poruszał się wewnątrz ust.
– Zabiję cię – powtórzyłem z nienawiścią.
Spinger jakby od niechcenia uderzył mnie otwartą dłonią w ranę po lewym oku.

● ● ●

Emir el-Hebdi przebierając palcami po złotej czarze napełnionej daktylami myślał nad znikomością swego istnienia wobec potężnego świata.
– Nie masz racji, emirze – rzekł Ktoś – to ty, właśnie ty jesteś przeznaczony do panowania nad światem.
Władca odwrócił głowę i ujrzał dziwną postać siedzącą na dywanie. Twarz tego mężczyzny podlegała nieustannym zmianom. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie młodej, ale gdyby uważniej jej się przyjrzał, dostrzegłby rysy dojrzałego mężczyzny, a nawet starca.
– Ja? – emir splótł dłonie na piersiach. – Jestem jedynie pyłem u stóp Allacha.
Nieznajomy uśmiechnął się.
– Są tajemnice, emirze, po poznaniu których staniesz się wielki, staniesz się panem całego świata, jedynym władcą wśród ludzi – dodał z naciskiem.
Emir przechadzał się wolnym krokiem. Na pozór zajęty wyłącznie obserwacją różnobarwnych kilimów wyścielających ściany komnaty, pilnie słuchał słów przybysza.
– Nie pytam nawet – rzekł – skąd wziąłeś się w tej komnacie.
– To proste – odparł nieznajomy.
Zniknął sprzed oczu emira i zmaterializował się w powietrzu mniej więcej w połowie drogi między sufitem i podłogą.
Twarz władcy rozjaśniła się w uśmiechu.
– To samo potrafi mój nadworny fakir.
– Panie, twój fakir to nędzny wyrobnik, ja zaś jestem mistrzem. Potrafię zabijać i wskrzeszać myślą. Umiem leczyć najcięższe choroby, być w tysiącach miejsc naraz, znam najbliższą przyszłość i całą przeszłość każdego z ludzi, czytam w myślach, nawet twoich, emirze, potrafię stwarzać i burzyć jednym skinieniem całe miasta i kraje. Nie ma zarówno wśród ludzi, jak i wśród demonów kogoś, kto dorównałby mi umiejętnościami.
Wymieniłem ci, emirze władzę, którą mam nad niektórymi tylko rzeczami. Dziś jeszcze nie zrozumiałbyś całej potęgi, jaką zdobyłem dzięki swej sztuce. I tę władzę chcę przekazać tobie, panie.
– Dlaczego? – zapytał emir.

● ● ●

Varden pieczołowicie oparł nóżki cekaemu na rozmiękłym pagórku. Jak okiem sięgnąć Gliniane Pola pokryte były rowami okopów. Varden wiedział, iż jego armia nie ma szans. Pozostawało tylko zginąć, aby zachować godność i honor.
– Nieprawda, Varden – rzekł Ktoś.
Żołnierz błyskawicznie obrócił się w stronę nieznajomego. Twarz mężczyzny podlegała nieustannym zmianom. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie młodej, ale gdyby uważniej jej się przyjrzeć, można było dostrzec rysy dojrzałego mężczyzny, a nawet starca.



Andrzej Grun

– Dużo rzeczy można jeszcze zmienić. Niekoniecznie trzeba ginąć.

Varden cofnął się. – Czyżbym myślał na głos? – rzekł do siebie.
– Nie, nie mówiłeś na głos. Po prostu wiem o czym myślisz.
Żołnierz szybkim ruchem odpiął kaburę, ale zamiast chwycić za rękojeść pistoletu palce jego zacisnęły się na zeschłym patyku.
– Bądź rozsądny – rzekł z naganą w głosie przybysz – chcę ci tylko pomóc.

Varden wzruszył ramionami.
– Możesz uratować życie swoje i innych.
Żołnierz obserwował go zimnym wzrokiem.
– Nic z tego, szpiegu. Lennik Jarvena nie dezerteruje – rzekł oschle.

Nieznajomy roześmiał się.
– Czytam w twoich myślach. Nie zapominaj o tym.
Varden raz jeszcze machinalnie sięgnął do kabury.
W tym momencie artyleria nieprzyjaciela rozpoczęła ostrzał. Tysiące pocisków rozrywały się na pozycjach wojsk Jarvena. Wybuchy stworzyły z ludzkich ciał, broni i gliny jednolitą masę wciąż mieszaną nowymi uderzeniami. Z mgły wysunęły się potężne Pancerne Słonie, których stalowe cielska nieubłaganie zbliżały się ku linii okopów.
Varden nie zwracając uwagi na przybysza klapnął w zamuloną kałużę i chwycił za broń.
Potężne, ognistoczerwone słońce zachodziło oświetlając sylwetki sunących kolosów. Varden spojrzał z naiwną nadzieją w to słońce i przycisnął spust.
Mimo iż z setek pozycji wojsk Jarvena prowadzono nieustanny

ogień, żaden ze Słoni nie został zatrzymany. Ich potężne, pancerne nogi miesiły glinę i wyrzucając fontanny błota sunęły, aby zmiażdżyć wojska buntowników. Olbrzymie brunatne przestrzenie pokryte były tysiącami sunących kolosów. Varden przygryzając wargi odrzucał jedną taśmę po drugiej. Wreszcie ręka zawisła w powietrzu. Amunicja wyczerpała się. Żołnierz wyszarpnął zza pasa granat i przywarł do miękkiej ziemi. Już tylko kilkadziesiąt metrów dzieliło najbliższego ze Słoni od jego pozycji. Nagle pancerny pojazd znikł. Po prostu znikł. Jak królik w cylindrze magika. Później znikł następny; i jeszcze jeden. Reszta nieprzerwanie sunęła naprzód.
– Co ty na to, Varden? – odezwał się przybysz.

Mimo huku wybuchów żołnierz wyraźnie usłyszał jego słowa. Odwrócił twarz w stronę nieznajomego, a ten pstryknął palcami. Następny ze Słoni rozwiał się. Varden patrzył oszołomiony.
– Zostało ich jeszcze dużo – mężczyzna nakreślił w powietrzu koło – ale mogę zniszczyć wszystkie.

Dłonie żołnierza gorączkowo zwarły się na rozgrzanej lufie cekaemu, jego oczy śledziły zbliżające się pojazdy przeciwnika. Jeden ze Słoni dostał się do okopu i uruchamiając miotacze płomieni zmienił w popiół pół plutonu Henricksa. Varden widział to i płakał z bezsilnej złości.
– Zrób coś! – ryknął w stronę obcego.

Ten lekko się uśmiechnął.
– Obiecaj, że spełnisz każde moje życzenie. Wiem, że wierzysz w Boga, a więc przysięgnij na Niego.

Varden milczał. Drugi ze Słoni pokonał zaporę ogniową i wdarł się do okopu. Varden widział oszalałe z bólu sylwetki płonących żołnierzy biegnące wprost pod karabiny przeciwnika.
– Przysięgam na Boga, że spełnię każde twoje życzenie – rzucił z jakąś wściekłą pasją.

W tym momencie stracił przytomność. Obudził się na łóżku w lazarecie.
– Co ze mną jest? – spytał przechodzącą pielęgniarkę.
– Lekki szok. Niedaleko pana wybuchł pocisk, ale nie ma obrażeń zewnętrznych.

Varden przypomniał sobie rozmowę z nieznajomym. Czyżby była tylko majakiem?
– Czy... czy... – zająknął się – wygraliśmy?
– Tak, wszystkie Słonie nagle stanęły w ogniu. Atakujemy.
Varden opadł na poduszki. Nagle w jego świadomość wdarła się obca myśl. Czuł się nie tylko sobą, ale i wieloma innymi osobami. Dziwne uczucie, jakby naraz oglądał kilka filmów. Nagle zrozumiał! Pojął kim jest i jaka jest jego rola. Nie sposób jednak nie dotrzymać obietnicy, którą dał nieznajomemu. Teraz zdał sobie sprawę ze swego błędu, ale był to błąd nie do odwrócenia.

● ● ●

– Dlaczego znów pragniesz mnie widzieć? Czyż nie popełniłeś karygodnej nieostrożności? Naraziłeś się na przegraną, a tym samym zubożyłeś świat o jego ważną cząstkę.
– Nie wiedziałem – rzekłem – dopiero po czasie zdałem sobie sprawę z tego, co zrobiłem. Nadal nie wiem, nic nie wiem. Jestem otoczony wrogością. Prześladują mnie siły wielokroć potężniejsze ode mnie. Nie dam rady. Chcę żyć spokojnie.
– Czy jest spokojne życie? Czym w ogóle jest życie, czy środkiem do osiągnięcia materialnego zadowolenia, czy też środkiem do zdobywania wyższych poziomów, wspinania się na szczyty wiedzy, miłości? Odpowiedz!

Jacek PIEKARA

(ur.19.05.64 w Krakowie) skończył w tym roku edukację w Liceum Ogólnokształcącym. Coś w tym być musi, że po fantastykę sięgają najczęściej ludzie młodzi, niedoświadczeni – zapewne postrzegają oni SF jako gatunek ł a t w y, lecz przecież także p o j e m n y. W tekście licealisty skrywającego swą twarz za scenerią Borgesa i Poego, za rozważaniami teologów, za wątkami kina przygodowego, za poetyką horroru – czuje się coś własnego, przeżywanego naprawdę. Kostium jest cudzy, przejęty z kultury masowej; emocje – egzystencjonalne rozterki, eschatologiczne wątpliwości, aksjologiczne poszukiwania – wyglądają na własne. Przyjmijmy więc te młodzieńcze wyznania z uwagą, mimo, że o „bólu przenikającym do najdrobniejszej komórki" wykłada nam autor, któremu los, jak ga razie, zaoszczędził najprawdopodobniej uczciwego bólu zęba.

(m.p.)

Milczałem.
– A więc nie umiesz mi odpowiedzieć.
– Nie – krzyknąłem z nagłą złością. – Dlaczego wprowadzono mnie do tej maszyny i zaprogramowano? Dlaczego pokierowaliście mną nie dając mi możliwości wyboru?
– Nieprawda, wprowadzony zostałeś do spełnienia swej misji, lecz reszta zależy od ciebie.
– Kłamiesz! Znasz przecież przyszłość.
– Tak, lecz to co znam nie jest pewnikiem. Potrafię przewidzieć, gdyż rozumiem świadomość, podświadomość i nadświadomość człowieka, wyciągam wnioski, obserwuję jego postępowanie i przewiduję to co się zdarzy, ale nigdy nie jestem pewny do końca. Nikt nie zna przyszłości, gdyż ludzkość wprowadzona została w pewien stan, w którym istnieć musi sama, w którym sama decyduje o swym losie.
– Bóg stworzył i odszedł pozostawiając nas na pastwę własnego losu.
– Nie – zaprzeczył – cały czas, w każdej sekundzie istnienia Wszechświata trwa niezauważalna dla was walka Dobra i Zła. Wy, ludzie, jesteście ciężarem, który może szalę zwycięstwa przechylić na jedną bądź drugą stronę.
Przymknąłem oczy.
– Dlaczego właśnie ja? Wciąż nie mogę tego zrozumieć.

● ● ●

– Jesteś twardy – rzekł Spinger – cholernie twardy. Nie widziałem nikogo takiego jak ty.
Patrzyłem na niego półprzytomnie, modląc się, aby choć na chwilę zniknął przeraźliwy ból.
– Posłuchaj, twój opór nie ma sensu. Parę słów wyzwoli cię. Pójdziesz do szpitala, odpoczniesz.
– Zabiję cię, Spinger – wychrypiałem.
Roześmiał się i wolnym krokiem podszedł do drzwi.
– Za chwilę przyjdę, Kersen – rzekł z uśmiechem – i zostanę tak długo aż wydobędę od ciebie wszystko. Wszystko – podkreślił z naciskiem.
Huk zamykanych drzwi stanowił wybawienie. Jednakże nadal całe moje ciało do najdrobniejszej komórki przenikał potworny ból.
– Boże – wyjęczałem – pomóż mi.
Nagle wyrósł jak spod ziemi mężczyzna w piaskowym garniturze. Jego twarz podlegała nieustannym zmianom. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie młodej, ale gdyby uważniej jej się przyjrzeć, można było dostrzec rysy dojrzałego mężczyzny a nawet starca.
– Bóg ci nie pomoże, Kersen – rzekł z szydrestwem w głosie – on patrzy na twoje cierpienie, ale cię nie wybawi.
Wiedziałem kim jest, lecz teraz strach i ból władały moimi uczynkami.
– Pomóż mi.
Roześmiał się.
– A więc jesteś rozsądny. Wiesz, że tylko ja mogę wyrwać cię z tego błędnego koła tortur.
– Ratuj – szepnąłem.

● ● ●

Emir el-Hebdi spacerował zamyślony po ogrodzie. Władza, olbrzymia władza jaka mogła mu przypaść w udziale kusiła swoimi możliwościami. Być panem materii. Stwarzać i niszczyć wedle własnego uznania. Mieć na swoje rozkazy wielkie i tajemnicze siły. Lecz emir wiedział, że za wszystko trzeba zapłacić. I tej właśnie zapłaty bał się najbardziej. Towar był nęcący, ale cena musiała być bardzo wysoka. Zresztą czy życie po zdobyciu tej olbrzymiej władzy można byłoby nazwać szczęśliwym? Czy nie dręczyłyby go wyrzuty sumienia, czy nie zżerałby przeraźliwy strach przed dniem, w którym przyjdzie zwrócić zaciągnięty dług?
Władca upierścienionymi palcami delikatnie dotknął kory cyprysu.
– Czyż nie lepiej być drzewem, bezrozumną rośliną – spytał półgłosem sam siebie – nie mieć marzeń, dążeń, aspiracji, a jednocześnie nie przeżywać klęsk i rozczarowań?
Gałęzie cyprysu poruszyły się dotknięte powiewem wiatru.
– Wiem, że chciałbyś odpowiedzieć mi przyjacielu – rzekł emir z uśmiechem – ale gdybyś umiał formować myśli i zamieniać je następnie w słowa zdałbyś sobie sprawę z własnej nicości. A wtedy nie odpowiedziałbyś mi na pytanie – dodał odchodząc.

● ● ●

Ciąg dalszy na stronie 45

cieniutką strużkę płomienia tryskającą z jej pleców.... i odrywając się od powierzchni asteroidu, poszybowała w górę. Z pleców ścigających ją ludzi Dagenhama trysnęło ze dwadzieścia takich samych płomyczków. Sześciu z nich zaniechało pościgu za Jisbellą i pomknęło w kierunku Weekendowicza.

– Zaraz będzie blisko, Gully. – Jisbella dyszała teraz ciężko, ale jej głos był nadal spokojny. – Statek Dagenhama wylądował po drugiej stronie, ale ci tutaj dali mu już pewnie znać i zaraz się tu pojawi. Tak trzymaj, Gully. Przez jakieś dziesięć sekund...

Trutnie zbliżyły się i opadły maleńki biały skafander.

– Foyle! Słyszysz mnie? Foyle?! – głos Dagenhama dochodził zrazu poprzez trzaski, ale po chwili stał się wyraźny. – Na twoim paśmie mówi Dagenham. Odezwij się, Foyle!

– Jiz! Jiz! Potrafisz się od nich uwolnić?

– Trzymaj swoją pozycję, Gully... Nadchodzi! Idzie prosto na luk!

Weekendowiczem targnął potężny wstrząs. To wolno płynący, ale masywny sejf wpadł do luku głównego. W tym samym momencie figurka w białym skafandrze wyrwała się rojowi os. Ścigana trop w trop zbliżała się teraz pchana odrzutem swych rakietek do Weekendowicza.

– Gazu, Jiz! – Gazu! – darł się Foyle. – Dawaj, mała, dawaj!

Gdy Jisbella zniknęła mu z pola widzenia za burtą Weekendowicza, Foyle nastawił urządzenia kontrolne i przygotował się do maksymalnego przyspieszenia.

– Foyle! Odpowiesz mi wreszcie? Mówi Dagenham.

– Diabli z tobą, Dagenham – krzyknął Foyle. – Jiz, daj mi znać jak będziesz już na pokładzie i złap się czegoś.

– Nie mogę, Gully.

– Dawaj, mała!

– Nie mogę dostać się na pokład. Sejf blokuje luk. Zaklinował się w pół drogi...

– Jiz!

– Nie ma jak wejść, mówię ci – krzyknęła z rozpaczą. – Jestem zablokowana.

Rozejrzał się wokół dzikim wzrokiem. Ludzie Dagenhama lądowali właśnie na kadłubie Weekendowicza z groźnym zdecydowaniem zawodowych piratów. Spoza krótkiego horyzontu asteroidu wyłonił się statek Dagenhama, kierując się prosto na niego. Poczuł zawroty głowy.

– Foyle, koniec z tobą! Z tobą i z tą dziewczyną. Ale proponuję interes...

– Gully, pomóż mi. Zrób coś, Gully. Jestem zgubiona!

– „Vorga" – wyrzęził Foyle. Zamknął oczy i popchnął dźwignię. Ryknęły rufowe silniki rakietowe. Weekendowicz zadrżał i jak ogar zrywający się z uwięzi wyprysnął w kosmos strząsając z siebie grupę abordażową Dagenhama, Jisbellę, groźby i błagania. Przyspieszenie 10G wtłoczyło Foyla w fotel pilota i zamroczyło, a było to przyspieszenie mniej przytłaczające, mniej bolesne i mniej zdradliwe niż pasja, która go gnała.

I gdy zniknął już z pola widzenia, na jego twarzy wykwitło krwawoczerwone piętno jego opętania

alfred bester

gwiazdy – moje przeznaczenie

(The Stars My Destination)

przełożył **Jacek Manicki**

Alfred BESTER

urodził się w 1913 roku w Nowym Jorku. Ukończył studia na wydziałach: nauk ścisłych i sztuk pięknych na University of Pensylvania. Zawodowo zajął się pisarstwem po zdobyciu pierwszej nagrody za opowiadanie *„The Broken Axion"* w konkursie ogłoszonym przez magazyn „Thirlling Wonder Stories" w roku 1939.

Dorobek literacki Alfreda Bestera nie jest wielki, ale co najmniej dwie powieści: *„The Demolished Man"* (1953) oraz publikowana tu *„The Stars My Destination"* (1957) weszły na stałe do skarbnicy literackich arcydzieł SF.

Miłośnicy talentu Alfreda Bestera musieli czekać aż osiemnaście lat na pojawienie się następnej po *„The Stars..."* powieści. Była to *„Extro"* (1974), która opowiada o jednym z nielicznych Nieśmiertelnych w Układzie Słonecznym, usiłującym przejąć kontrolę nad głównym komputerem nadzorującym ziemską technologię. Uderzającą cechą pisarstwa Bestera jest niespotykana maestria warsztatowa, bardzo plastyczny styl, doskonałe wyczucie języka. Wszystko to tworzy niezapomniany, jedyny nastrój na długo pozostawiający w pamięci przeczytane utwory.

Opowiadania pisarza zebrane zostały w trzech tomach: *„Starburst"* (1958), *„The Dark Side of the Earth"* (1964) i *„Starlight"* (1976).

Za powieść *„The Demolished Man"* Alfred Bester otrzymał pierwsza w historii SF nagrodę HUGO.

Cześć I

Prolog

Był to Złoty Wiek - czas wspaniałej przygody, barwnego życia i trudnego umierania... ale nikt tak nie myślał. Były to lata przyszłości, bogactwa i złodziejstwa, rabunku i grabieży, kultury i występku... ale nikt tego nie przyznawał. Był to wiek skrajności, fascynujące stulecie niezwykłych wydarzeń... ale nikt za nim nie przepadał.

Wszystkie nadające się do zasiedlenia światy układu słonecznego były już skolonizowane. W stuleciu tym, zaliczanym do najbardziej ekscytujących, na trzech planetach i ośmiu satelitach kłębiło się jedenaście miliardów ludzi, jednak umysły, jak zawsze, tęskniły ciągle za innymi czasami. Układ słoneczny kipiał aktywnością... toczyła się wojna, trwała batalia o zażegnanie kryzysu żywnościowego, rodziły się dzieci, opracowywano nowe technologie, które wypierały stare, tuż przed doprowadzeniem tych ostatnich do perfekcji, przygotowywano się do pierwszej galaktycznej wyprawy badawczej ku odległym gwiazdom, ale...

„Gdzież są nowe granice poznania?" - wołali Romantycy, nie wiedząc, że oto na przełomie dwudziestego trzeciego i dwudziestego czwartego wieku w laboratorium na Callisto przed umysłem ludzkim otworzyły się nowe horyzonty. Uczony nazwiskiem Jaunte zaprószywszy (niechcący) ogień na swym stole laboratoryjnym sam stanął w płomieniach i wzywając pomocy wydał okrzyk adresowany głównie do gaśnicy przeciwpożarowej. Jakież było zdziwienie samego Jaunte i jego kolegów, kiedy znalazł się on przy wspomnianej gaśnicy, przeniesiony na odległość siedemnastu stóp od swego stołu.

Ugaszono czym prędzej nieszczęsnego Jaunte i przystąpiono do wyjaśniania okoliczności jego momentalnej, siedemnastostopowej podróży. Zjawisko teleportacji - przenoszenia się w przestrzeni wysiłkiem samego umysłu - było już od dawna pojęciem teoretycznym i istniało nawet kilkaset niejasno udokumentowanych relacji, iż zdarzało się w przeszłości. Obecnie po raz pierwszy miało miejsce na oczach profesjonalnych obserwatorów.

Badano Jauntego bezlitośnie. Zjawisko to miało zbyt przełomowy charakter, aby zabierać się do niego w rękawiczkach, a i sam Jaunte zdawał sobie sprawę, że może swe nazwisko uczynić nieśmiertelnym. Spisał ostatnią wolę i pożegnał się z przyjaciółmi. Wiedział przecież, że idzie na śmierć, gdyż jego koledzy po fachu w razie potrzeby zdecydowani byli go zabić. Co do tego nie było żadnych wątpliwości.

Powołano dwunastoosobowy zespół obserwacyjny, w którego skład wchodzili psycholodzy, parapsycholodzy i neurometryści. Eksperymentatorzy zamknęli Jauntego w szczelnym zbiorniku z nietłukącego się kryształu. Odkręcili kran, przez który zbiornik napełniany był wodą i na oczach Jauntego zmiażdżyli kurek. Otwarcie zbiornika było niemożliwe; niemożliwe było zamknięcie przepływu wody.

Koncepcja eksperymentu sprowadzała się do tego, że jeśli za pierwszym razem do teleportowania się sprowokował Jauntego głównie strach przed śmiercią, to znowu trzeba śmiertelnie go nastraszyć. Zbiornik napełniał się szybko. Obserwatorzy zbierali dane z napiętą precyzją kamerzystów rejestrujących zaćmienie słońca. Jaunte zaczął się topić. W następnej chwili, ociekając wodą i zanosząc się kaszlem, był już na zewnątrz zbiornika. Teleportował się ponownie.

Eksperci przebadali go i zarzucili pytaniami. Studiowali wykresy i zdjęcia rentgenowskie, stan układu nerwowego i narządów wewnętrznych. Zaczęli się powoli domyślać w jaki sposób Jaunte się teleportował. Pocztą pantoflową (sprawę trzeba było utrzymać w tajemnicy) rozesłano apel do samobójców-ochotników. Ciągle jeszcze znajdowano się na prymitywnym etapie badań nad teleportacją: jedynym bodźcem do niej, jaki znano, była zaglądająca w oczy śmierć.

wreszcie, wyczerpani włożonym wysiłkiem i desperacją, jakiś cień przesłonił na chwilę światło słoneczne, wpadające poprzez dziury w kadłubie „Nomada". Spojrzeli w górę. W odległości nie większej jak ćwierć mili od asteroidu sunął statek kosmiczny.

Foyle przytknął swój hełm do kasku Jisbelli.

- To Dagenham - wysapał. - Szuka nas. Wysadził już pewnie oddział, który przeczesuje teraz asteroid. Jak tylko spikną się z Josephem, przyjdą tutaj.

- Och, Gully...

- Wciąż jeszcze mamy szanse. Może będą musieli zrobić dwa okrążenia, zanim znajdą naszego Weekendowicza. Jest przecież ukryty w wyrwie. Może tymczasem zdążymy załadować sejf na pokład.

- Ale jak, Gully?

- Sam nie wiem. Diabli nadali! Nic mi nie przychodzi do głowy. - Walnął z bezsilną wściekłością obiema pięściami w stalową kulę. - Jestem skończony.

- A nie moglibyśmy tego rozsadzić?

- Rozsadzić...? No i co, bomby zamiast mózgów? I to mówi Myśląca McQueen?

- Posłuchaj tylko. Potraktuj sejf czymś wybuchowym. To podziała jak silnik rakietowy... no, da odrzut.

- Tak, myślałem o tym. Ale co potem? Jak załadujemy ten bąbel na statek? Nie możemy co chwila powodować wybuchów. Nie mamy na to czasu.

- Nie. Naprowadzimy statek na sejf.

- Co takiego?

- Wystrzelimy sejf prosto w kosmos. Potem zbliżymy się do niego statkiem i tak będziemy manewrowali, żeby sejf sam wpłynął do głównej śluzy. Tak, jakbyś łapał piłkę w kapelusz. Rozumiesz?

Zrozumiał.

- Na Boga, Jiz, to może się udać. - Foyle rzucił się do sterty sprzętu i zaczął wybierać z niej laseczki żelatyny wybuchowej, zapalniki i zawleczki.

- Będziemy musieli skorzystać z mikrofalówki. Jedno z nas zostaje przy sejfie, drugie pilotuje statek. Człowiek przy sejfie naprowadza na cel człowieka w statku przez radio. Zgoda.

- Zgoda. Ty jesteś lepszym pilotem, Gully. Ja będę naprowadzać.

Kiwnął głową, zajęty przymocowywaniem materiału wybuchowego do powierzchni sejfu i zakładaniem zapalników z zawleczkami. Potem przyłożył swój hełm do jej.

- To zapalniki próżniowe, Jiz. Są nastawione na dwie minuty. Kiedy dam sygnał przez radio, ściągnij tylko zawleczki z zapalników i szybko usuń się z drogi. Dobrze?

- Dobrze.

- Trzymaj się blisko sejfu. Jak tylko wprowadzisz go do statku, wchodź zaraz za nim. Na nic się nie oglądaj. To by było wszystko.

Klepnął ją w plecy i wrócił do Weekendowicza. Luk główny zostawił otwarty, tak samo wewnętrzne drzwi śluzy powietrznej. Powietrze natychmiast uleciało ze statku. Pozbawiony powietrza i opróżniony przez Jisbellę, wyglądał ponuro i przygnębiająco.

Foyle pognał prosto do sterowni, zasiadł w fotelu pilota i włączył mikrofalówkę.

- Uwaga - rzucił przyciszonym głosem. - Wychodzę w kosmos.

Włączył silniki odrzutowe, odpalił boczne, a po trzech sekundach dziobowe. Weekendowicz drgnął i strząsając z grzbietu i burt rupiecie jak wynurzający się na powierzchnię wieloryb, wysunął się rufą do przodu z czeluści krateru.

- Dynamit, Jiz! Teraz! - zawołał Foyle.

Nie było słychać wybuchu; nie było widać błysku. Pod nim, w asteroidzie otworzyła się nowa wyrwa, a z niej trysnął w górę kwiat gruzu, prześcigając w szalonym pędzie matową, stalową kulę, która bez pośpiechu płynęła sobie z tyłu, obracając się w leniwym wirze.

- Wolniej - rozległ się w słuchawkach opanowany i fachowy głos Jisbelli. - Za szybko cofasz. A tak nawiasem mówiąc, nadchodzą kłopoty.

Przyhamował silnikami rufowymi i z niepokojem spojrzał w dół. Powierzchnia asteroidu roiła się od trutni. Był to oddział ekspedycyjny Dagenhama w skafandrach próżniowych w czarno-żółte pasy. Naprzykrzali się samotnej figurce w bieli, która wymykała się im, kluczyła i zwodziła. To była Jisbella.

- Tak trzymaj - odezwała się spokojniej Jiz, chociaż słyszał jak ciężko oddycha. - Troszeczkę wolniej... Zrób ćwierć obrotu.

Prawie automatycznie wypełniał jej polecenia, nie odrywając oczu od rozgrywającej się w dole szamotaniny. Burta Weekendowicza przesłaniała całkowicie widok na trajektorię zbliżającego się sejfu, ale Jisbellę i ludzi Degenhama widział cały czas. Jiz odpaliła silniczki rakietowe swego skafandra... dostrzegł

Zaczął przetrząsać niezamieszkałe korytarze, przypominając sobie jak przez mgłę ich układ, aż dotarł do komory – w połowie naturalnej pieczary, w połowie starożytnego kadłuba – w której przechowywane były narzędzia.
Plądrował i grzebał zbierając wiertła, koronki diamentowe, termity, ziarna ścierne, żelatynę wybuchową i zapalniki. W obracającym się powoli asteroidzie, waga brutto tego sprzętu nie przekraczała stu funtów. Zwalił wszystko na stos, obwiązał z grubsza kablem i opuścił jaskinię-magazyn.
Joseph i jego Ludzie Naukowi czekali na niego jak pchły czyhające na wilka. Rzucili się na Foyla, a on grzmocił na prawo i lewo siejąc spustoszenie wśród napastników, zachwycony, okrutny. Pancerz skafandra chronił go przed ich atakami, szedł więc dalej korytarzem, szukając luku prowadzącego na zewnątrz w próżnię i niewiele sobie robiąc z zaciekłości Ludzi Naukowych.
Wtem w słuchawkach rozległ się cichutki, podniecony głos Jisbelli:
– Gully, słyszysz mnie? Mówi Jiz. Gully, słuchaj mnie.
– Dalej, mów.
– Dwie minuty temu nadleciał inny statek. Dryfuje teraz po drugiej stronie asteroidu.
– Co takiego?
– Jest pomalowany w żółto-czarne pasy. Wygląda jak szerszeń.
– To barwy Dagenhama!
– A zatem byliśmy śledzeni.
– Cóż innego? Dagenham miał mnie prawdopodobnie na oku cały czas od kiedy zwialiśmy z Gouffre Martel. Idiota ze mnie, że o tym nie pomyślałem. Musimy działać szybko, Jiz. Wskakuj w skafander i dołącz do mnie na „Nomadzie". Będę w kabinie płatnika. Pośpiesz się, mała.
– Ależ, Gully...
– Wyłącz się. Mogą prowadzić nasłuch na naszym paśmie. Pospiesz się!
Pognał przez asteroid, dopadł do okratowanego luku, przedarł się przez pilnującą go straż, wyważył klapę i wypadł w próżnię zewnętrznych korytarzy. Ludzie Naukowi byli zbyt zaabsorbowani rozpaczliwym zamykaniem luku, żeby puścić się za nim w pogoń. Wiedział jednak, że potem będą go ścigali; byli rozjuszeni.
Wijąc się i skręcając doholował swój masywny bagaż do wraka „Nomada". Jisbella czekała już na niego w kabinie płatnika. Uczyniła ruch, chcąc włączyć swoją mikrofalówkę, ale Foyle powstrzymał ją. Przyłożył swój hełm do jej kasku i krzyknął:
– Nie używaj fal radiowych. Będą prowadzili nasłuch i zlokalizują nas przez namierzanie. Słyszysz mnie teraz, co?
Skinęła głową.
– W porządku. Mamy może z godzinę, zanim Dagenham nas zlokalizuje. Upłynie godzina, zanim przyjdzie tu Joseph ze swoją bandą. Znajdujemy się w cholernym położeniu. Musimy działać szybko.
Znowu skinęła głową.
– Nie ma czasu na otwieranie sejfu i przenoszenie sztabek.
– Jeśli w ogóle tam są.
– Dagenham tu jest, prawda? To najlepszy dowód na to, że sztabki też tu są. Musimy wyrwać cały sejf z „Nomada" i zataszczyć go na Weekendowicza. Potem pryskamy stąd.
– Ale...
– Słuchaj mnie i rób co mówię. Wracaj na Weekendowicza i opróżnij go. Wyrzuć wszystko, czego nie potrzebujemy... wszystkie zapasy, oprócz awaryjnych racji żywnościowych.
– Dlaczego?
– Dlatego, że nie wiem ile ton waży ten sejf. Gdy powróci grawitacja, statek może go nie udźwignąć. Musimy wziąć to z góry pod uwagę. Droga powrotu będzie ciężka, ale opłaci się. Patroszymy statek. Szybko! Pośpiesz się, mała, pośpiesz się!
Popchnął ją i nie patrząc więcej w jej stronę przypuścił szturm na sejf. Była to masywna, stalowa kula o średnicy jakichś czterech stóp, wbudowana w stal konstrukcyjną kadłuba. Przyspawano ją do płatów blach stanowiących poszycie kadłuba „Nomada" i do jego wręg w dwunastu różnych miejscach. Foyle zaatakował kolejno każdą ze spoin kwasami, wiertłami, termitem i czynnikami oziębiającymi. Pracował, stosując się do teorii odkształceń sieci krystalicznej metali... podgrzewał, zamrażał i trawił stal, dopóki jej struktura krystaliczna nie uległa zdeformowaniu, a wytrzymałość fizyczna zniszczeniu. Męczył metal.
Jisbella wróciła po czterdziestu pięciu minutach. Foyle ociekał potem i chwiał się na nogach, ale odłączona od kadłuba kula sejfu unosiła się swobodnie w próżni. Z jej powierzchni sterczało dwanaście chropawych guzów. Foyle dawał Jisbelli ponaglające znaki, aby wraz z nim naparła ciężarem swojego ciała na sejf. Jednak nawet wspólnymi siłami nie mogli poruszyć z miejsca jego masy. Gdy osłabli

Ochotników dokładnie przeszkolono. Sam Jaunte prowadził z nimi wykłady o tym co zrobił i jak, według niego, do tego doszło. Następnie przystąpiono do mordowania nieszczęśliwców. Topiono ich, wieszano, palono żywcem, wynaleziono nowe sposoby zadawania powolnej i kontrolowanej śmierci. Żaden z poddawanych eksperymentom osobników nie miał nigdy najmniejszej wątpliwości, że stawką jest tu jego życie.
Osiemdziesiąt procent ochotników wyzionęło ducha, a męczarnie w jakich konali i wyrzuty sumienia dręczące ich morderców złożyłyby się na fascynujące i straszliwe w swej treści studium. Sprawa ta nie mieści się jednak w ramach niniejszej relacji, a fakty przytacza się jedynie gwoli podkreślenia potworności tamtych czasów. Osiemdziesiąt procent ochotników poniosło śmierć, ale dwadzieścia procent jauntowało się (nazwisko to stało się niemal natychmiast synonimem teleportacji).
„Wróćmy do czasów romantyzmu" – błagali Romantycy – „kiedy to ludzie mogli ryzykować swym życiem w imię wielkiej przygody".
Bagaż wiedzy rósł gwałtownie. W przeciągu pierwszej dekady dwudziestego czwartego wieku ustalono zasady jauntingu, a sam Charles Fort Jaunte, wtedy już pięćdziesięciosiedmioletni, unieśmiertelniony i wstydzący się przyznać, że nigdy więcej nie odważył się jauntować, otworzył pierwszą szkołę jauntingu. Prymitywne czasy były już jednak przeszłością. Teraz nie trzeba było straszyć człowieka śmiercią, aby pobudzić go do teleportacji. Wiedziano już jak nauczyć człowieka rozpoznawać, wykształcić w sobie i wykorzystać inne jeszcze możliwości swego nie znającego granic umysłu.
Jak właściwie teleportował się człowiek? Jednego z najmniej satysfakcjonujących wyjaśnień udzielił w wywiadzie prasowym rzecznik Szkoły Jauntego – Spencer Thompson.

THOMPSON: Jaunting jest jak zmysł wzroku; to naturalne uzdolnienie każdego niemal organizmu ludzkiego, ale można je rozwinąć tylko w drodze treningu i zbierania doświadczeń.
REPORTER: Chce pan przez to powiedzieć, że nie widzielibyśmy gdyby nie praktyka?
THOMPSON: Na pewno jest pan albo kawalerem, albo nie ma pan dzieci... najprawdopodobniej i jedno, i drugie.
(Śmiech)
REPORTER: Nie rozumiem.
THOMPSON: Zrozumiałby to każdy, kto obserwował noworodka uczącego się korzystać ze swych oczu.
REPORTER: Ale czym jest teleportacja?
THOMPSON: Teleportacja to przeniesienie się z jednego miejsca do drugiego wysiłkiem samego tylko umysłu.
REPORTER: Chce pan przez to powiedzieć, że możemy przemyśleć się z...powiedzmy... Nowego Jorku do Chicago?
THOMPSON: O to właśnie chodzi; pod warunkiem, że będziemy sobie zdawali jasno sprawę z jednej rzeczy. Dokonując jauntingu z Nowego Jorku do Chicago, teleportująca się osoba musi dokładnie wiedzieć gdzie się znajduje startując oraz dokąd zamierza się udać.
REPORTER: Jak to?
THOMPSON: Jeśli znajdowałby się pan w ciemnym pokoju i nie wiedział gdzie jest, bezpieczny jaunting do jakiegokolwiek miejsca przeznaczenia nie byłby możliwy. Natomiast jeżeli zdawałby pan sobie sprawę ze swego miejsca pobytu, ale zamierzał jauntować się do miejsca, którego nigdy przedtem nie widział, nie dotarłby pan tam żywy. Nie można jauntować się z nieznanego punktu wyjścia do nieznanego miejsca przeznaczenia. Jedno i drugie musi być znane, zapamiętane i plastycznie wyobrażone.
REPORTER: Jeśli jednak wiemy gdzie się znajdujemy i dokąd zamierzamy się udać...
THOMPSON: Wtedy możemy być pewni, że zdołamy się jauntować i przybyć na miejsce przeznaczenia.
REPORTER: Czy przybędziemy nadzy?
THOMPSON: Jeśli wystartujecie państwo nago.
(Śmiech)
REPORTER: Chodziło mi o to, czy nasze ubrania teleportują się razem z nami?
THOMPSON: Gdy ludzie teleportują się, teleportują się również ubrania, które mają na sobie i wszystko co zdołają unieść. Nie chciałbym pana rozczarować, ale ubrania pań przybywają na miejsce przeznaczenia razem z nimi.
(Śmiech)
REPORTER: Ale jak to robimy?
THOMPSON: A jak pan myśli?
REPORTER: Za sprawą naszych umysłów.

THOMPSON: A jak myśli umysł? Czym jest proces myślenia? W jaki właściwie sposób zapamiętujemy, wyobrażamy sobie, dedukujemy, tworzymy? Jak działają komórki naszego mózgu?
REPORTER: Nie wiem. Nikt tego nie wie.
THOMPSON: I nikt na dobrą sprawę nie wie w jaki sposób się teleportujemy, wiemy natomiast, że potrafimy to robić – tak samo jak wiemy, że potrafimy myśleć. Słyszał pan kiedyś o Kartezjuszu? Powiedział on: Cogito ergo sum – Myślę, więc jestem. My mówimy: Cogito ergo jaunteo – Myślę, więc jauntuję.

Jeśli ktoś uzna wyjaśnienia Thompsona za irytujące, niech zapozna się z raportem dotyczącym mechanizmu jauntingu, przedłożonym przed Royal Society przez Sir Johna Kelvina:

„Ustaliliśmy, iż zdolność do teleportacji związana jest z ciałkami Nissla, czyli Substancją Tigroidalną występującą w komórkach nerwowych. Substancję Tigroidalną wydziela się najprościej za pomocą metody Nissla, stosując w tym celu 3,75 grama błękitu metylenowego i 1,75 grama mydła weneckiego, rozpuszczonych w 1000 cm^3 wody. Tam gdzie nie pojawia się Substancja Tigroidalna, jaunting jest niemożliwy. Teleportacja jest funkcją Tigroidalną".

Każdy człowiek był zdolny do jauntowania pod warunkiem, że rozwinął w sobie dwie cechy: pamięć wzrokową i zdolność do koncentracji. Musiał przecież precyzyjnie i ze wszystkimi szczegółami wyobrazić sobie miejsce, do którego chciał się teleportować; a żeby się tam dostać, musiał skoncentrować całą utajoną energię swego umysłu w pojedynczy udar woli. Przede wszystkim jednak musiał wierzyć... wierzyć, że Charles Fort Jaunte na zawsze zachował zdolność do jauntingu. Musiał wierzyć, że jaunting się powiedzie. Najmniejsza wątpliwość zablokowałaby niezbędny przy teleportacji impuls napędowy umysłu.

Wady, z którymi rodzi się każdy człowiek ograniczały zdolność do jauntowania. Jedni potrafili świetnie wyobrazić sobie miejsce, do którego zamierzali się udać i precyzyjnie ustalać jego współrzędne, ale brakowało im siły woli, która by ich tam przeniosła. Inni posiadali tę siłę, ale nie potrafili, jak gdyby, „zobaczyć" dokąd się jauntują. Ostatnie natomiast ograniczenie nakładała przestrzeń, bowiem żaden człowiek nie jauntował się nigdy dalej jak tysiąc mil. Mógł podróżować skokami lądem i wodą z Nome do Meksyku, ale żaden skok nie mógł przekroczyć tysiąca mil.

W roku 2420 w powszechnym użyciu znalazł się zamieszczony poniżej wzór blankietu-podania o zatrudnienie:

Miejsce zarezerwowane na znak identyfikacyjny dla czytnika optotronicznego

IMIĘ I NAZWISKO (dużymi literami): . . . .
I imię (II imię) nazwisko

MIEJSCE ZAMIESZKANIA (stałe): . . . .
Kontynent – Kraj – Okrąg

KLASA JAUNTINGU (kategorie oficjalne; zakreślić jedną):

M (1000 mil):	L (50 mil): . . . .
D (500 mil):	X (10 mil): . . . .
C (100 mil):	V (5 mil): . . . .

Dawny Urząd Rejestracji Pojazdów Silnikowych przejął na siebie nowe obowiązki i regularnie testował i klasyfikował adeptów jauntingu, natomiast stary Amerykański Związek Motorowy zmienił swe inicjały na AZJ.

Mimo dokładnych starań, żaden człowiek nie jauntował się nigdy poprzez próżnię kosmosu, choć próbowało tego wielu, zarówno ekspertów, jak i głupców. Pierwszym był Helmut Grant, który spędził miesiąc na zapamiętywaniu współrzędnych jauntrampy na Księżycu i potrafił wyobrazić sobie plastycznie każdą milę z czterdziestu tysięcy dwustu mil trajektorii z Times Square do Kepler City. Grant jauntował się i znikł. Nigdy go nie odnaleziono. Nigdy nie odnaleziono Enzio Dandridga, członka sekty rewiwalistów z Los Angeles, który wybrał się na poszukiwanie Nieba; Jacoba Marii Freundlicha, parafizyka, który powinien być rozsądniejszy i nie jauntować się w przestrzeń galaktyczną w poszukiwaniu metawymiarów; Shipwrecka Cogana, profesjonalnego poszukiwacza rozgłosu; i setek innych – fanaty-

gdzie będziemy mogli spokojnie nad nim popracować, albo otworzyć go tutaj. Może Dagenham kłamał. Tak czy owak wszystko zależy od tego, jakie narzędzia miał Sam na Weekendowiczu. Wracamy na statek, Jiz.

Uwijając się w poszukiwaniu narzędzi po powrocie na Weekendowicza, nie zauważył nawet jej milczenia i zaabsorbowania.

– Nic nie ma! – wykrzyknął w końcu rozwścieczony. – Nie ma na pokładzie ani młotka, ani wiertła. Nic prócz otwieraczy do butelek i racji żywnościowych.

Jisbella nie odpowiedziała. Ani na chwilę nie spuszczała wzroku z jego twarzy.

– Czego się tak na mnie gapisz. – zawołał Foyle.
– Jestem zafascynowana – odparła wolno Jisbella.
– Czym?
– Coś ci pokażę, Gully.
– Co?
– Jak bardzo tobą gardzę.

Jisbella wymierzyła Foylowi policzek, potem drugi i trzeci. Foyle poderwał się z furią, czując piekący ból twarzy. Jisbella podsunęła mu pod nos lusterko.

– Spójrz na siebie, Gully – powiedziała spokojnie. – Spójrz na swoją twarz.

Spojrzał. Zobaczył stare linie tatuażu płonące pod skórą krwawoczerwoną barwą, przekształcające jego twarz w szkarłatno-białą maskę tygrysa. Był tak sparaliżowany tym przerażającym widokiem, że jego wściekłość ulotniła się bez śladu i jednocześnie zniknęła maska.

– Mój Boże... wyszeptał. – O mój Boże...
– Musiałam cię zdenerwować, żeby ci to pokazać – powiedziała spokojnie Jisbella.
– Co to ma znaczyć, Jiz? Czy Baker spieprzył robotę?
– Nie sądzę. Myślę, że masz blizny pod skórą, Gully... po oryginalnym tatuażu, a także od jego wywabiania. Blizny po igle. Normalnie ich nie widać, ale pokazują się, kiedy twoje emocje biorą górę i twoje serce zaczyna pompować krew... kiedy jesteś wściekły lub przestraszony, albo namiętny, albo opętany... Rozumiesz?

Potrząsnął głową przypatrując się ciągle swej twarzy i dotykając jej z niedowierzaniem.

– Powiedziałeś, że chciałbyś mnie nosić w kieszeni, żebym ciebie szczypała, ilekroć stracisz panowanie nad sobą. Masz teraz coś lepszego, Gully, albo może coś gorszego, biedaku. Masz teraz swoją twarz.
– Nie! – jęknął Foyle. – Nie!
– Nie możesz nigdy stracić kontroli nad sobą, Gully. Nigdy nie będziesz mógł pić za dużo, jeść za dużo, kochać się za dużo, nienawidzieć za bardzo... Musisz trzymać się w żelaznych karbach.
– Nie! – zaprotestował rozpaczliwie. – To można usunąć. Baker to potrafi, albo kto inny. Nie mogę spacerować po świecie w ciągłym strachu, żeby czegoś nie poczuć, bo przemieni mnie to w dziwoląga!
– Nie sądzę, żeby można to było usunąć, Gully.
– Przeszczep skóry...
– Nie. Te blizny są zbyt głęboko, żeby przeszczep coś tu pomógł. Nigdy nie pozbędziesz się tego piętna, Gully. Musisz nauczyć się z tym żyć.

W nagłym napadzie wściekłości, Foyle odrzucił od siebie lusterko i pod jego skórą znowu rozogniła się krwawoczerwona maska. Odbił się gwałtownym pchnięciem od ściany i wyprysnął z kabiny do głównej śluzy, gdzie ściągnął z wieszaka skafander i zaczął się w niego ubierać.

– Gully, dokąd idziesz? Co chcesz zrobić?
– Zdobyć narzędzia – warknął. – Narzędzia do sejfu.
– Gdzie?
– W asteroidzie. Mają tam z tuzin składów zapchanych narzędziami z rozwalonych statków. Muszą tam być wiertła... w ogóle wszystko, czego potrzebuję. Nie idź ze mną. Mogą być kłopoty. Jak teraz z moją cholerną gębą? Pokazało się? Chryste, mam nadzieję, że będą kłopoty!

Uszczelnił skafander i wrócił do asteroidu. Odszukał luk oddzielający zamieszkałe jądro od zniszczonej warstwy zewnętrznej i zabębnił w klapę. Poczekał chwilę i zabębnił znowu. Powtarzał to ponaglające wezwanie, aż wreszcie klapa luku uchyliła się. Spoza niej wysunęło się ramię, wciągnęło go do środka i klapa zatrzasnęła się za nim. Luk nie miał śluzy powietrznej.

Mrugał, oślepiony jaskrawym światłem, spoglądając spode łba na zgromadzonych przed nim Josepha i jego niewinnych ludzi o straszliwie przyozdobionych twarzach. Wiedział już, że jego własne oblicze musi płonąć czerwienią i bielą, gdyż dostrzegł jak Joseph się wzdryga i widział jak diabelskie usta starca wykrzywiają się wymawiając sylaby: NO-MAD. Foyle podszedł do niego roztrącając brutalnie tłum i chlasnął Josepha na odlew w twarz swoją opancerzoną w rękawicę skafandra dłonią.

- A więc ich nie wymordowałem - mruknął Foyle. - Wycofali się w głąb asteroidu... Mieszkają prawdopodobnie gdzieś głęboko pod powierzchnią, starając się naprawić resztę.
- Pomożesz im, Gully?
- A po co?
- Przecież to ty wyrządziłeś te szkody.
- Do diabła z nimi. Mam swoje zmartwienia. Ale to ulga. Nie będą nam zawracać głowy.

Okrążyli jeszcze raz asteroid i wprowadzili Weekendowicza w czeluść nowego krateru.

- Będziemy pracować stąd - powiedział Foyle. - Ubierz się w skafander, Jiz. Prędzej! Prędzej!

Poganiał ją, oszalały z niecierpliwości; poganiał sam siebie. Nałożyli skafandry próżniowe, wyszli z Weekendowicza i przedzierając się przez rupiecie zaśmiecające krater, przedostali się do ponurych wnętrzności asteroidu. Przypominało to czołganie się krętymi tunelami, wydrążonymi przez jakiegoś gigantycznego robaka. Foyle włączył mikrofalówkę zainstalowaną w skafandrze i przemówił do Jiz:

- Nie musisz się bać, że tu zabłądzimy. Trzymaj się mnie. Trzymaj się blisko.
- Dokąd idziemy, Gully?
- Do „Nomada". Pamiętam, że kiedy odlatywałem, wcementowali go w asteroid. Nie pamiętam tylko gdzie. Musimy go odnaleźć.

W korytarzach nie było powietrza, posuwali się więc bezgłośnie, nie licząc wibracji przenoszonych poprzez metal i skały. Przystanęli przy podziobanym kadłubie starożytnego statku wojennego, aby zaczerpnąć tchu. Oparli się o niego plecami i wtedy poczuli wibracje nadawanych z wewnątrz sygnałów rytmicznego stukania.

Foyle uśmiechnął się zawzięcie.

- To Joseph i jego Ludzie Naukowi - powiedział. - Domagają się kilku słów wyjaśnienia. Dam im wymijającą odpowiedź. - Walnął dwa razy w kadłub. - A teraz osobista wiadomość dla mojej żony. - Twarz mu pociemniała. Grzmotnął ze złością w kadłub i odwrócił się. - Chodź. Idziemy.

Sygnały ścigały ich jednak w dalszym ciągu. Stało się oczywiste, iż zewnętrzna warstwa asteroidu została opuszczona przez jego mieszkańców; plemię wycofało się do środka planetki. Wtem, daleko w głębi szybu wykutego w aluminium otworzył się luk i w buchającym zeń snopie światła ukazał się Joseph w celofanowym skafandrze próżniowym. Stał tam w swym niezgrabnym worku gapiąc się swymi diabelskimi oczyma, składając błagalnie ręce i poruszając diabelskimi ustami.

Foyle utkwiwszy wzrok w starcu postąpił krok w jego kierunku i zatrzymał się, zaciskając pięści z narastającą furią. Grdyka chodziła mu w górę i w dół. Patrząc na Foyla, Jisbella krzyknęła z przerażenia. Na jego twarzy powrócił stary tatuaż krwawoczerwony na tle bladości twarzy, szkarłatny zamiast czarnego - prawdziwie tygrysia maska, zarówno pod względem barwy jak i wzoru.

- Gully! - krzyknęła. - Mój Boże! Twoja twarz!

Foyle puścił jej słowa mimo uszu. Stał wpatrując się w Josepha, który czyniąc błagalne gesty rękoma zapraszał ich, aby weszli do wnętrza asteroidu, po czym zniknął. Dopiero wtedy Foyle zwrócił się do Jisbelli:

- Co? Coś mówiłaś?

Poprzez przezroczystą kulę hełmu widziała wyraźnie jego twarz. I w miarę jak wściekłość Foyla opadała, Jisbella dostrzegła, że krwawoczerwony tatuaż blednie i znika.

- Widziałaś tego pajaca? - spytał Foyle. - To był Joseph. Widziałaś jak po tym co mi zrobili prosił i błagał...? Mówiłaś coś?
- Twoja twarz, Gully. Wiem co się stało z twoją twarzą.
- O czym ty mówisz?
- Chciałeś czegoś, co kontrolowałoby twoje zachowanie, Gully. No więc masz to. Własną twarz. Ona... - Jisbella zaczęła się histerycznie śmiać. - Będziesz się teraz musiał nauczyć panowania nad sobą, Gully. Nigdy nie będziesz mógł pofolgować emocjom... żadnym emocjom... bo...

Ale Foyle patrzył gdzieś ponad nią i nagle jak strzała wypuszczona z łuku wyprysnął z wrzaskiem z aluminiowego szybu. Zatrzymał się jak wryty przed otwartymi drzwiami i zaczął wydawać tryumfalne okrzyki. Były to drzwi do schowka na narzędzia cztery na cztery na dziewięć stóp. W schowku znajdowały się półki oraz walały się stare zapasy żywności i puste pojemniki. To była trumna Foyla na pokładzie „Nomada".

Josephowi i jego ludziom udało się włączyć wrak do asteroidu, zanim rzeźnia wywołana ucieczką Foyla uniemożliwiła dalsze prace. Wnętrze statku pozostało praktycznie nietknięte. Foyle chwycił Jisbellę za ramię i pociągnął ją na krótką wycieczkę po „Nomadzie". Zakończyli obchód w kabinie płatnika statku, gdzie Foyle tak długo darł kupy śmieci i połamanych gratów zawalających pomieszczenie, dopóki nie odsłonił masywnej, stalowej kuli, gładkiej i niedostępnej.

- Mamy teraz do wyboru - wysapał. - Albo oderwać sejf od kadłuba i zabrać go ze sobą na Ziemię,

ków, neurotyków, zbiegów i samobójców. Kosmos był dla teleportacji zamknięty. Jaunting ograniczał się tylko do powierzchni planet układu słonecznego.

Ale nim przeminęły trzy generacje, jauntował już cały układ słoneczny. Było to o wiele efektowniejsze przejście niż przesiadka, czterysta lat wcześniej, z zaprzężonej w konia bryczki do napędzanego benzyną automobilu. Na trzech planetach i ośmiu satelitach runęły w gruzy dotychczasowe struktury społeczne, prawne i ekonomiczne, a w ich miejsce, jak grzyby po deszczu, wyrosły nowe obyczaje i prawa zgodne z duchem uniwersalnego jauntingu.

Dochodziło do ekscesów na wsiach, kiedy jauntujący nędzarze opuszczali slumsy, aby osiedlić się na równinach i w lasach, a przy okazji grabili zwierzęta domowe i trzebili dziczyznę. Rewolucja wkroczyła do budynków mieszkalnych i biurowych: aby zapobiec bezprawnemu do nich wtargnięciu jauntujących się intruzów, musiano wprowadzić labirynty i urządzenia maskujące. Bankructwa przedjauntowskich gałęzi przemysłu pociągały za sobą krachy gospodarcze, paniki na giełdach, strajki protestacyjne i głód.

Szerzyły się epidemie i pandemie, bowiem jauntujący włóczędzy przynosili choroby i robactwo do nieuodpornionych na nie krajów. Malaria, żółta febra i słoniowacizna dotarły na północ, aż do Grenlandii; po trzechsetletniej nieobecności powróciła do Anglii wścieklizna; żuk japoński, zaraza kasztanowa i wiertacz wiązowy rozprzestrzeniły się po całym świecie, a z jednego z zapomnianych i uważanych za dawno wygasłe siedlisk zarazy na Borneo wykluł się trąd.

Planety i satelity zalała fala zbrodni, gdyż dzięki jauntingowi noc trwała dla światka przestępczego okrągłą dobę. Zdarzały się akty przemocy, ponieważ policja tępiła złoczyńców bez litości. Nastąpił ohydny powrót do najgorszej pruderii właściwej epoce wiktoriańskiej, gdyż społeczeństwo walczyło z zagrożeniami natury seksualnej i moralnej, jakie niósł ze sobą jaunting, ustanawiając zasady prowadzenia się, zachowania tabu. Między Planetami Wewnętrznymi - Wenus, Ziemią i Marsem, a Satelitami Zewnętrznymi wybuchła okrutna i zacięta wojna... wojna wywołana ekonomicznymi i politycznymi presjami teleportacji.

Zanim zaświtał wiek Jauntego, trzy Planety Wewnętrzne (oraz Księżyc) i siedem zamieszkałych Satelitów Zewnętrznych (Io, Europa, Ganimedes i Callisto - księżyce Jowisza oraz Rhea i Tytan - księżyce Saturna i Lassell - księżyc Neptuna) żyło w delikatnej równowadze ekonomicznej. Zjednoczone Satelity Zewnętrzne dostarczały surowców zakładom przemysłowym Planet Wewnętrznych i stanowiły rynek zbytu dla wyprodukowanych tam wyrobów finalnych. Jaunting zniszczył tę równowagę w ciągu jednego dziesięciolecia.

Satelity Zewnętrzne - młode, nierozwinięte jeszcze przemysłowo światy - kupowały siedemdziesiąt procent produkcji środków transportu Planet Wewnętrznych. Jaunting położył temu kres. Kupowały dziewięćdziesiąt procent produkcji przemysłu telekomunikacyjnego. Temu również jaunting położył kres. W konsekwencji zmalał popyt Planet Wewnętrznych na surowce eksportowane przez Satelity Zewnętrzne.

Przy zniszczonej wymianie handlowej nieuniknione było rychłe przekształcenie wojny ekonomicznej w otwarty konflikt zbrojny. Kartele Planet Wewnętrznych odmawiały wysyłania środków produkcji na Satelity Zewnętrzne, usiłując tym posunięciem zabezpieczyć się przed niepożądaną konkurencją. Satelity Zewnętrzne skonfiskowały działające już u nich urządzenia Planet, łamiąc przepisy patentowe, ignorując ustawowe opłaty na rzecz właścicieli... i wybuchła wojna.

Był to wiek niezwykłych wydarzeń, potworności i groteski. Wszystkie światy zostały zdumiewająco i złośliwie zdeformowane. Klasycy i Romantycy nienawidzący tych czasów nie zdawali sobie sprawy z potencjalnej wielkości dwudziestego piątego wieku. Byli ślepi na zwyczajny fakt ewolucji... ślepi na to, że postęp rodzi się w starciach antagonistycznych skrajności, w mariażu niezwykłych wydarzeń. Klasycy i Romantycy nieświadomi byli również tego, że układ słoneczny drży na krawędzi eksplozji rozumu ludzkiego, która przekształci człowieka i uczyni go panem wszechświata.

Na tym właśnie burzliwym tle dwudziestego piątego wieku rozpoczyna się historia zemsty Gullivera Foyle.

ROZDZIAŁ 1

Umierał już sto siedemdziesiąt dni i jeszcze nie umarł.

Walczył o przetrwanie z pasją schwytanego w potrzask zwierzęcia. Majaczył i bredził, zdarzały się jednak chwile, kiedy jego prymitywny umysł, trawiony widmem zagłady, której cudem uniknął, otrząsał się z koszmaru, przejawiając przebłyski świadomości. Wznosił wtedy swą otępiałą twarz ku Wieczności i mamrotał: „Co się, kurcze, dzieje? Pomóżcie, przeklęci bogowie! No pomóżcie, kurcze".

Łatwo przychodziło mu bluźnierstwo: był nim w połowie żargon, którym się posługiwał, było nim całe jego życie. Wychowała go ulica dwudziestego piątego wieku i mówił wyłącznie jej rynsztokowym slangiem. Ze wszystkich lumpów świata zaliczał się do tych, którzy byli najmniej warci, by żyć i mieli największe szanse na przeżycie. Walczył więc i modlił się bluźniąc, ale czasami jego skłębione myśli przeskakiwały i trzydzieści lat wstecz do okresu dzieciństwa, wygrzebując z zakamarków pamięci dziecięcą rymowankę:

„Gully Foyle me nazwisko
Z Ziemi moje pochodzenie
Czarny kosmos mym mieszkaniem
A śmierć moim przeznaczeniem".

Był to Gulliver Foyle, pomocnik mechanika trzeciej klasy, lat trzydzieści, prostak i nieokrzesaniec... od stu siedemdziesięciu dni dryfujący przez kosmiczną pustkę. Był to Gulliver Foyle, smarowacz, zamiatacz, tragarz; zbyt beztroski, aby się czymś przejmować, zbyt ociężały, aby się czymś cieszyć, zbyt pusty, aby się z kimś przyjaźnić, zbyt leniwy, aby kogoś kochać. Te letargiczne cechy jego charakteru podkreślono w oficjalnym kwestionariuszu osobowym Marynarki Handlowej:

FOYLE, GULLIVER AS-128/127:006
WYKSZTAŁCENIE: ŻADNE
KWALIFIKACJE: ŻADNE
ZASŁUGI: ŻADNE
REKOMENDACJE: ŻADNE
(UWAGI PERSONALNE)

Człowiek silny fizycznie o potencjale intelektualnym przyhamowanym na skutek całkowitego braku ambicji. Wykazuje się minimalną inicjatywą. Być może rozbudziłby go jakiś nieprzewidziany wstrząs, ale Psycholodzy nie potrafią znaleźć klucza. Awansowanie nie zalecane. Człowiek ten utknął w martwym punkcie.

Statek kosmiczny „Nomad" dryfował w połowie drogi między Marsem a Jowiszem. Obojętne jaka była wojenna katastrofa, która uczyniła go wrakiem, poszarpała ona lśniącą, stalową rakietę, pozostawiając odarty z poszycia szkielet ze zwisającymi z niego szczątkami kabin, ładowni, pokładów i grodzi. Wielkie dziury w kadłubie buchały oślepiającym światłem od strony zwróconej ku słońcu i skrzyły się lodowatymi krostami gwiazd od strony pogrążonej w mroku kosmicznej nocy. S.S. „Nomad" był nieważką pustką oślepiającego słońca i czarnego jak smoła cienia, cichą i ściętą mrozem.

Wrak zagracały unoszące się w próżni zlepki zamarzniętego rumowiska, które zawisło we wnętrzu zniszczonego statku niczym migawkowa fotografia eksplozji mającej tu kiedyś miejsce. Znikome siły grawitacji, z którymi oddziaływały na siebie kawałki tego gruzu, zbijały je powoli w grona regularnie roztrącane na wszystkie strony przez przechodzącego między nimi jedynego, pozostałego przy życiu człowieka na pokładzie – Gullivera Foyle, Numer Ewidencyjny AS-128/127:006.

Mieszkał w jedynym, hermetycznym, nie naruszonym pomieszczeniu na wraku – w schowku na narzędzia, nie opodal korytarza pokładu głównego. Schowek miał cztery stopy szerokości, cztery stopy długości i dziewięć stóp wysokości. Był wielkości trumny wielkoluda. Sześćset lat wcześniej uwięzienie człowieka na kilka tygodni w klatce tych rozmiarów uważano za najbardziej wyrafinowaną torturę Wschodu. Foyle wegetował w tej nieoświetlonej trumnie przez pięć miesięcy, dwadzieścia dni i cztery godziny.

– Kim jesteś?
– Gully Foyle me nazwisko.
– Skąd jesteś?
– Z Ziemi moje pochodzenie.
– Gdzie jesteś teraz?
– Kosmos czarny mym mieszkaniem.
– Dokąd zmierzasz?
– Śmierć jest moim przeznaczeniem.

Foyle odpowiedział na te pytania w sto siedemdziesiątym pierwszym dniu swej walki o przetrwanie i ocknął się. Serce waliło mu jak młotem, gardło płonęło. Namacał w ciemnościach zbiornik powietrza, który dzielił z nim jego trumnę i sprawdził go. Zbiornik był pusty. Trzeba było natychmiast przynieść następny. A więc ten dzień rozpocznie się od dodatkowej utarczki ze śmiercią. Foyle przyjął to z chłodną obojętnością.

– Rozpustnik – wymruczała Jiz. – Zwierzę...
– Och, Jiz...
– Światło – szepnęła Jisbella. Foyle sięgnął na oślep do wyłącznika ściennego i nacisnął przycisk. Saturnowy Weekendowicz mknął dalej w stronę asteroidów z wygaszonymi iluminatorami.

Unosili się razem w kabinie godzinami, drzemiąc, pomrukując i dotykając się czule.

– Biedny Gully – szeptała Jisbella. – Biedny, kochany Gully...
– Nie biedny – odpowiedział. – Bogaty i to już niedługo.
– Tak, bogaty i pusty. Nic nie masz w środku, mój drogi Gully... Nic prócz nienawiści i żądzy zemsty.
– To mi wystarczy.
– Wystarczy na teraz, ale co później?
– Później? To zależy.
– To zależy od twego wnętrza, Gully, od tego co zdołasz w nim zamknąć.
– Nie. Moja przyszłość zależy od tego, czego się pozbędę.
– Gully... dlaczego nie byłeś ze mną szczery w Gouffre Martel? Dlaczego nie powiedziałeś mi o fortunie znajdującej się na pokładzie „Nomada", chociaż o niej wiedziałeś?
– Nie mogłem.
– Nie ufałeś mi?
– Nie, to nie to. Nie potrafiłem się przełamać. To przez to, co we mnie siedzi... przez to, czego muszę się pozbyć.
– Znowu tracisz panowanie nad sobą, co Gully? Ponosi cię.
– Tak, ponosi mnie. Nie mogę nauczyć się panowania nad sobą, Jiz. Chcę, ale nie potrafię.
– A próbujesz?
– Próbuję. Bóg mi świadkiem. Próbuję. Ale potem coś się staje i...
– I wtedy miotasz się jak tygrys.
– Gdybym tak mógł nosić cię w kieszeni, Jiz... żebyś mnie ostrzegała... żebyś mnie czasem uszczypnęła...
– Nikt nie może robić tego za ciebie, Gully. Musisz nauczyć się samego siebie.

Trawił przez chwilę jej słowa, po czym odezwał się z wahaniem w głosie:

– Jiz... co do pieniędzy...
– Do diabła z pieniędzmi.
– Daj mi jednak powiedzieć.
– Och, Gully.
– Tylko nie pomyśl sobie... nie pomyśl sobie, że chcę cię oszukać. Gdyby to nie było na „Vorge", oddałbym ci tyle, ile byś chciała. Oddałbym ci wszystko! Kiedy załatwię tę sprawę, oddam ci do ostatniego centa wszystko co zostanie. Ale jestem nawiedzony, Jiz. „Vorga" jest twarda... zważywszy, że na drodze do niej stoją Presteign, Dagenham i ten prawnik Sheffield. Muszę się liczyć z każdym centem, Jiz. Boję się, że jeśli pozwolę zabrać ci chociaż jedną kredytkę, to zaważy to na mojej wojnie z „Vorgą". – Czekał chwilę. – Co ty na to?
– Jesteś całkiem opętany – powiedziała znużonym głosem. – Nie trochę. Właśnie całkiem.
– Nie.
– Tak, Gully. To tylko twoja powłoka kocha się ze mną. Reszta żyje „Vorgą".

W tym samym momencie w sterowni dziobowej rozległ się alarm radarowy – przykry w brzmieniu i ostrzegający.

– Miejsce przeznaczenia – zero – mruknął Foyle. Odprężenie zniknęło. Był znowu opętany. Pomknął jak strzała w kierunku sterowni.

Tak więc powrócił na niezwykłą planetoidę w pasie asteroidów rozciągającym się między Marsem a Jowiszem, na planetkę Sargasso skleconą ze skały, wraków i strzępów ocalonych z kosmicznych katastrof przez Ludzi Naukowych. Powrócił do Josepha i jego Ludzi, którzy wytatuowali mu na twarzy imię NOMAD i skojarzyli go naukowo z dziewczyną imieniem Moira.

Foyle nadleciał nad asteroid z dziką furią wandala-najeźdźcy. Jak piorun wyprysnął z przestrzeni, wyhamował pianą płomieni z dysz dziobowych i z fantazją wprowadził Weekendowicza na orbitę tej sterty złomu. Wirowali wokoło mijając ciemne iluminatory, wielkie luki, przez które wychodził Joseph ze swoimi Ludźmi Naukowymi udając się na połów kosmicznego śmiecia, nowy krater, który wyrwał w asteroidzie Foyle, uciekając stąd swego czasu na Ziemię. Przemknęli obok gigantycznego zlepku okien cieplarni asteroidu, z której gapiły się na nich setki twarzy – maleńkich, bladych punkcików, pocętkowanych tatuażami.

W siódmym dniu podróży przez kosmos, Jisbella odezwała się do Foyla po raz drugi:
– Zdejmijmy te bandaże, Hieno.
Foyle opuścił kuchnię, gdzie w ponurym nastroju podgrzewał sobie kawę i odepchnąwszy się nogą od framugi pożeglował do łazienki. Wpłynął tam za Jisbellą i wklinował się w niszę przed lustrem umywalki. Jisbella przypięła się klamrą do miednicy, otworzyła kapsułkę z eterem i zwilżając obficie bandaż zaczęła go zdzierać bezlitosnymi nienawidzącymi rękoma. Pasma gazy oddzielały się powoli. Foyle cierpiał mękę niepewności.
– Sądzisz, że Baker dobrze się spisał? – zapytał
Nie było odpowiedzi.
– Czy mógł coś opuścić?
Zdzieranie trwało nadal.
– Jiz, na miłość boską! Ciągle jest wojna między nami?
Ręce Jisbelli znieruchomiały. Popatrzyła z nienawiścią na obandażowaną głowę Foyla.
– A jak uważasz?
– Ciebie pytam
– Proszę bardzo: tak.
– Dlaczego?
– Nigdy nie zrozumiesz.
– To zrób tak, żebym zrozumiał.
– Zamknij się.
– Jeżeli to wojna, to dlaczego lecisz ze mną?
– Żeby zabrać to, co się należy Samowi i mnie.
– Pieniądze?
– Zamknij się.
– Nie musiałaś lecieć. Mogłaś mi zaufać.
– Tobie zaufać? Tobie? – Jisbella roześmiała się bez cienia wesołości i znowu przystąpiła do odwijania bandaża. Foyle odtrącił jej ręce.
– Sam to zrobię.
Chlasnęła go w obandażowany policzek.
– Będziesz robił to, co ci każę. Stój spokojnie. Hiena!
Odwinęła jeszcze jedno pasmo gazy odsłaniając oczy Foyla. Wpatrywały się w nią ciemne, nieobecne. Powieki były czyste; nasada nosa też. Opadł pas bandaża z brody Foyla. Broda była granatowa. Foyle, patrząc przez cały czas w lustro, jęknął z rozpaczy.
– Opuścił brodę! – wykrzyknął. – A to bęcwał z tego Bakera...
– Zamknij się – ucięła krótko Jisbella. – To zarost.
Opadły ostatnie warstwy opatrunku, odsłaniając policzki, usta i brew. Brew była czysta. Policzki pod oczyma były czyste. Resztę twarzy pokrywała granatowa, siedmiodniowa szczecina.
– Ogol się – rozkazała Jisbella.
Foyle odkręcił wodę, zwilżył twarz, wtarł w nią maść do golenia i zmył zarost. Potem przysunął twarz blisko do lustra i przyglądał się sobie nieświadomy, że Jisbella, przysunąwszy swą głowę do jego policzka, również z napięciem wpatruje się w lustro. Po tatuażu nie pozostało ani śladu. Oboje odetchnęli z ulgą.
– Czysta – odezwał się Foyle. – Czysta. Dobrze to zrobił. – I ni stąd ni zowąd pochylił się jeszcze bardziej w przód i przyjrzał się sobie uważniej. Własna twarz wydawała mu się jak nowa, równie nowa jak dla Jisbelli.
– Zmieniłem się. Nie pamiętam, żebym tak wyglądał. Czy on mi zrobił przy okazji operację plastyczną?
– Nie – powiedziała Jisbella. – Zmieniło cię to, co w tobie siedzi. To co widzisz w lustrze to hiena do spółki z kłamcą i oszustem.
– Na miłość boską! Odczep się! Daj mi wreszcie spokój!
– Hiena – powtórzyła Jisbella przeszywając Foyla pałającym wzrokiem. – Kłamca. Oszust.
Pochwycił ją za ramiona i wypchnął z łazienki. Poleciała do tyłu i po schodkach zejściówki prowadzących pod pokład runęła do świetlicy, czepiając się po drodze pionowego pręta prowadzącego i wirując wokół niego.
– Hiena – krzyczała. – Kłamca! Oszust! Hiena! Rozpustnik! Zwierzę!
Foyle pognał za nią, dopadł dziewczynę na dole i potrząsnął gwałtownie. Rude włosy Jiz wymknęły się spod spinki, która zbierała je w kok i rozsypały jak pukle rusałki. Jej płonące spojrzenie doprowadzało Foyla do pasji. Objął ją i przywarł swą nową twarzą do jej piersi.

Poszperał po omacku po półkach schowka i znalazł tam stary, rozdarty skafander próżniowy. Był to jedyny skafander na pokładzie „Nomada" i Foyle nie pamiętał już skąd go ma. Załatał rozdarcie strugą rozpylanego uszczelniacza awaryjnego, ale nie miał możności napełnienia, ani wymiany pustych butli tlenowych przytroczonych na plecach. Wciągnął na siebie skafander mieszczący tyle tylko powietrza ze schowka, że Foyle mógł w nim przebywać w próżni do pięciu minut... nie dłużej. Otworzył drzwi i zanurkował głową naprzód w czarny mróz kosmicznej pustki. W ślad za nim uleciało na zewnątrz powietrze, a przesycająca je wilgoć ścięła się w malutki obłoczek, który odpłynął rozerwanym korytarzem pokładu głównego. Foyle dźwignął w górę opróżniony zbiornik powietrza, wypchnął go przed sobą na korytarz i tam porzucił. Minęła pierwsza minuta.
Odwrócił się i jak mógł najprędzej ruszył przez unoszące się w próżni złomowisko w kierunku luku przedziału balastowego. Nie, nie biegał. Wypracowany przezeń sposób poruszania się był jedynym w swoim rodzaju wykorzystaniem praw swobodnego spadania i nieważkości. Odpychając się stopą, łokciem i dłonią od pokładu, ścian i załomów korytarza, pedził w zwolnionym tempie przez próżnię, przypominając lecącego pod wodą nietoperza. Wpadł przez luk do położonego po zaciemnionej stronie statku przedziału balastowego. Upłynęły dwie minuty.
Tak jak wszystkie statki kosmiczne, „Nomad" wybalastowany był i usztywniony masą swych zbiorników gazu, ułożonych wzdłuż kilu i oblepionych po bokach labiryntem powyginanych rurociągów. Odłączenie zbiornika powietrza zajęło Foylowi minutę. Nie wiedział, czy zbiornik jest pełny, czy też już opróżniony i czy będzie taszczył go z powrotem do swego schowka po to tylko, aby przekonać się, że nie ma w nim powietrza i że jego życie dobiegło kresu. Grał w tę kosmiczną ruletkę raz na tydzień.
Huczało mu w uszach; powietrze w skafandrze psuło się w zastraszającym tempie. Szarpnął masywny cylinder, kierując go w stronę luku prowadzącego na korytarz. Zrobił unik, gdy zbiornik przelatywał mu nad głową, po czym odbił się stopą od ściany i poszybował w ślad za nim. Przecisnął swoją zdobycz przez luk. Upłynęły cztery minuty. Wstrząsały nim już drgawki i ciemniało mu w oczach. Przeprowadził zbiornik korytarzem głównego pokładu i wepchnął go głową do schowka na narzędzia.
Zatrzasnął za sobą drzwi, zaryglował je, znalazł na półce młotek i walnął nim trzy razy w zamrożony zbiornik, aby poluzować zawór. Kręcił zawzięcie gałką, czując, że słabnie. Ostatkiem sił rozhermetyzował hełm, żeby nie udusić się w skafandrze, w czasie gdy schowek wypełniać będzie życiodajne powietrze... o ile w zbiorniku jest powietrze. Zemdlał, jak to mu się ostatnio często zdarzało, nie wiedząc, czy to już czasem nie śmierć.

Ocknął się. Nie tracąc czasu na modlitwy i dziękczynienia zajął się dalej sprawą własnego ocalenia. Obmacał w ciemności półki, na których trzymał racje żywnościowe. Pozostało tam tylko kilka paczuszek. Skoro ma już na sobie połatany skafander, może przecież przelecieć się jeszcze raz przez próżnię i uzupełnić swoje zapasy.
Napełnił skafander powietrzem ze zbiornika, uszczelnił z powrotem hełm i wypłynął znowu w mróz i światło. Skręcając się i wijąc przebył korytarz pokładu głównego i po resztkach schodów zszedł na pokład nawigacyjny, który był niczym innym jak zawieszonym w próżni pomostem zaopatrzonym w sufit. Większość ścian uległa zniszczeniu.
Mając słońce po prawej, a gwiazdy po lewej ręce, Foyle pomknął jak strzała w kierunku rufy, gdzie znajdował się magazyn żywnościowy. W połowie korytarza minął kwadratową framugę, tkwiącą jeszcze pomiędzy sufitem, a podłogą. Na zawiasach, na wpół uchylone, wisiało wciąż jedno skrzydło drzwi, drzwi donikąd. Za nimi był tylko kosmos i nieruchome gwiazdy.
Mijając drzwi, Foyle zobaczył swoje odbicie w ich chromowanej lśniącej powierzchni... Gully Foyle, olbrzymi, czarny stwór, brodaty, pokryty skorupą zakrzepłej krwi, wstrętny, wymizerowany, o błędnych, trawionych gorączką oczach... i ścigany zawsze przez strumień nieważkich gratów, śmietnisko, którym zakłócił spokój swoim przejściem i które ciągnęło się za nim przez próżnię niczym ogon owrzodzonej komety.
Foyle skręcił do magazynu żywnościowego i zaczął plądrować z metodyczną rutyną pięciomiesięcznego nawyku. Większość żywności przechowywanej w butelkach zamarzła na kość i eksplodowała. Większość towarów znajdujących się w puszkach straciła swe opakowania, bowiem w panującej w kosmosie temperaturze zera bezwzględnego, blacha cynkowa rozsypuje się w pył. Foyle zebrał paczuszki z racjami, trochę koncentratów i wyłupał parę bryłek lodu z rozerwanego zbiornika na wodę. Wrzucił to wszystko do wielkiego, miedzianego kotła, odwrócił się i wyprysnął z magazynu, unosząc ze sobą swój łup.
Przy drzwiach donikąd, Foyle znowu popatrzył na swoje odbicie w chromowanej tafli obramowanej gwiazdami i nagle zamarł, czując zamęt w głowie. Wpatrywał się w rozsiane za drzwiami gwiazdy, które po pięciu miesiącach stały się już jego dobrymi znajomymi. Wśród nich był intruz: chyba kometa z

niewidoczną głową i krótkim, ognistym warkoczem. I nagle Foyle uświadomił sobie, że obserwuje statek kosmiczny, który przyspieszając na kursie ku Słońcu odpala dysze rufowe. Statek, który musi przechodzić tuż obok niego.

– Nie – mruknął. – Nie, kurcze, nie.

Halucynacje dręczyły go od dawna. Odwrócił się, aby podjąć na nowo podróż do swojej trumny, ale zerknął jeszcze raz. To był nadal statek kosmiczny, który przyspieszając na kursie ku Słońcu odpala dysze rufowe. Statek, który musi przechodzić tuż obok niego. Przedyskutował iluzję z Wiecznością.

– To już sześć miesięcy – powiedział. – Mam rację? Słuchajcie, zawszeni bogowie. Zawrzyjmy układ. Patrzę jeszcze raz, świętoszkowie. Jeśli to statek, jestem wasz. Macie mnie. Ale jeśli to kant, kurcze... jeśli to nie statek... rozhermetyzuję się jak tu stoję i wypruwam sobie flaki. Dołączam do waszej kompanii. No, a teraz dajcie znak. Tak, czy nie.

Spojrzał po raz trzeci. Po raz trzeci ujrzał statek, który przyspieszając na kursie ku Słońcu odpala dysze rufowe. Statek, który musi przechodzić tuż obok niego.

To był znak. Uwierzył. Był ocalony.

Odepchnął się nogą od framugi i w szalonych łamańcach pomknął korytarzem pokładu nawigacyjnego w kierunku mostka. Opamiętał się na schodkach prowadzących do sterowni. Nie napełniwszy swojego skafandra powietrzem, straci za kilka chwil przytomność. Posłał w kierunku zbliżającego się statku jedno błagalne spojrzenie i pomknął jak strzała do schowka na narzędzia, gdzie napompował do pełna swój skafander.

Wspiął się na mostek nawigacyjny. Dostrzegł statek kosmiczny przez iluminator obserwacyjny prawej burty. Dysze rufowe nadal tryskały ogniem i statek najwyraźniej dokonywał radykalnej zmiany kursu, przez co zbliżał się do Foyla bardzo wolno.

Na konsoli oznaczonej napisem FLARY, Foyle nacisnął klawisz NIEBEZPIECZEŃSTWO. Nastąpiła trzysekundowa przerwa, podczas której cierpiał katusze. Nagle, jasnym światłem, w trzech potrójnych eksplozjach – dziewięciu modlitwach o ratunek, buchnął sygnał niebezpieczeństwa. Foyle jeszcze dwa razy nacisnął klawisz i dwa razy więcej flar rozerwało się w przestrzeni, a promieniowanie radioaktywne wytwarzane podczas ich wybuchów, rozpętało istną burzę zakłóceń, które musiały zostać zarejestrowane na każdym zakresie fal każdego odbiornika.

Dysze obcego statku zgasły. Zauważono go. Będzie ocalony. Urodził się na nowo.

– Chodź, dziecinko – nucił Foyle. – Pośpiesz się, kurcze. Chodź, dziecinko.

Obcy statek sunął majestatycznie na granicy światła i cienia, zbliżając się powoli niczym widmowa torpeda i obserwując „Nomada". Przez moment serce Foyla przestało bić. Statek zachowywał się tak ostrożnie, że Foyle pomyślał z rozpaczą, iż może to być wroga jednostka z Satelitów Zewnętrznych. Tracił już nadzieję na uzyskanie odpowiedzi, gdy na burcie obcego dostrzegł sławne, czerwono-niebieskie godło, znak firmowy potężnego klanu przemysłowego Presteigna; Presteign z Ziemi. Potężny, hojny, wspaniały. Teraz wiedział już, że to statek siostrzany, bo „Nomad" również należał do Presteigna. Wiedział już teraz, że to szukający go anioł kosmosu.

– Kochanie – nucił Foyle – aniołku, zabierz mnie do domu.

Siostrzany statek zrównał się z „Nomadem". Iluminatory ciągnące się wzdłuż jego burty jarzyły się ciepłym światłem. Wyraźnie widać było nazwę i numer rejestracyjny wypisane podświetlonym literami na kadłubie: „Vorga T: 1339". Statek szedł przez moment burta w burtę z „Nomadem", po sekundzie minął go, a po trzech sekundach znikł.

Siostra odtrąciła go; anioł go porzucił. Foyle przestał tańczyć i nucić. Gapił się przez chwilę z niedowierzaniem, a potem rzucił się do konsoli sygnalizacyjnej i zaczął walić na oślep w klawisze. Z kadłuba „Nomada", w szaleństwie białego, czerwonego i zielonego światła, pulsując, błagając, tryskały sygnały niebezpieczeństwa, flary lądowania, startu, kwarantanny... , a „Vorga T:1339" cicho i niewzruszenie przeszła obok, dysze rufowe znowu bluznęły ogniem i statek zaczął przyspieszać.

I tak, w ciągu pięciu minut, Foyle narodził się, żył i umarł. Po trzydziestu latach egzystencji i sześciu miesiącach tortury nie było już Gully Foyla – stereotypowego Przeciętnego Człowieka. W zamku jego duszy przekręcił się klucz i drzwi stanęły otworem. To, co się spoza nich wynurzyło, wymazało na zawsze Przeciętnego Człowieka.

– Minęłaś mnie – wycedził z narastającą powoli furią. – Zostawiłaś mnie, żebym tu zdechł jak pies. Zostawiłaś mnie, żebym tu sczezł, „Vorga"... „Vorga T: 1339". Nie. Wydostanę się stąd, kurcze. Będę cię tropił, „Vorga". Znajdę cię, „Vorga". Odpłacę ci, kurcze. Zniszczę cię. Zabiję cię, „Vorga". Zarżnę cię.

Płynął przez niego kwas furii, zżerając tępą cierpliwość i ospałość, które czyniły go – Gully Foyla zerem i przyspieszając łańcuch reakcji, które przekształcą Gully Foyla w maszynę piekielną. Był nawiedzony.

– „Vorga", zarżnę cię.

– Chodź.

– Dokąd?

– Na statek Sama. – Foyle podsunął Jisbelli pod nos swoją wielką łapę. Na jego dłoni spoczywał pęk błyszczących kluczy.

– Zabrałem jego klucze. Chodź.

– Dał ci?

– Znalazłem je przy jego trupie i zabrałem.

– Hiena! – wybuchnęła śmiechem. – Kłamca... Rozpustnik... Tygrys... Hiena. Nowotwór złośliwy... Gully Foyle.

Niemniej jednak poszła za nim przez śnieżycę do Montauk Light.

Do trzech akrobatów w upudrowanych perukach, czterech obwieszonych ozdobami kobiet dźwigających pytony, dziecka o złocistych kędziorach i ustach cynika, zawodowego pojedynkowicza w średniowiecznej zbroi oraz człowieka ze sztuczną szklaną nogą – akwarium, w którym pływała złota rybka, Saul Dagenham powiedział:

– W porządku, operacja zakończona. Odwołać resztę i powiedzieć im, żeby zameldowali się w kwaterze Courier.

Towarzyszące show artystyczne jauntowało się i zniknęło. Regis Sheffield przetarł oczy.

– Co to za wariactwo, Dagenham? – spytał.

– Wstrząsnęło twoim prawniczym umysłem, co? Widziałeś część obsady naszej standardowej operacji ZFZK. Zabawa, Fantazja, Zamieszanie i Katastrofa. – Dagenham zwrócił się do Presteigna uśmiechając się doń swoim uśmiechem denata. – Jeśli chcesz, Presteignie, zwrócę ci twoją zaliczkę.

– Nie kończysz roboty?

– Wprost przeciwnie. Dobrze się bawię. Będę pracował za darmo. Nigdy nie miałem do czynienia z człowiekiem kalibru Foyla. On jest wyjątkowy.

– Pod jakim względem? – spytał Sheffield.

– Zaaranżowałem jego ucieczkę z Gouffre Martel. Uciekł, w porządku, ale nie tak, jak planowałem. Zamieszaniem i katastrofą próbowałem osłaniać go przed policją. Wyprowadził policję w pole, ale nie dzięki mnie – po swojemu. Zabawą i fantazją chciałem uchronić go przed dostaniem się w łapy Centrali Wywiadowczej. Pozostał na wolności... znowu dzięki sobie. Próbowałem tak pokierować jego krokami, żeby znalazł podstawiony statek i wyruszył na nim po „Nomada". Nie chwycił przynęty, ale ma statek. Właśnie wystartował.

– Śledzicie go?

– Naturalnie. – Dagenham zawahał się. – Tylko co on robił w fabryce Bakera?

– Operacja plastyczna? – rzucił myśl Sheffield. – Nowa twarz?

– Niemożliwe. Baker jest dobry, ale nie mógł w tak krótkim czasie przeprowadzić operacji plastycznej. To musiał być jakiś mniejszy zabieg. Foyle był na nogach z obandażowaną głową.

– Tatuaż – odezwał się Presteign.

Dagenham skinął głową i uśmiechnął się lewym kącikiem ust.

– Tego się właśnie obawiam. Czy zdajesz sobie sprawę, Presteignie, że jeżeli Baker usunął mu tatuaż, to nigdy nie rozpoznamy Foyla?

– Przecież jego twarz się nie zmieniła, mój drogi Dagenhamie.

– Nigdy nie widzieliśmy jego twarzy... jedynie maskę.

– Ja nigdy się z nim nie zetknąłem – wtrącił Sheffield.

– Co to za maska?

– Maska tygrysa. Przeprowadziłem z Foylem dwie długie rozmowy. Powinienem znać jego twarz na pamięć, ale tak nie jest. Wszystko co mogę sobie przypomnieć, to ten tatuaż

– To śmieszne – powiedział otwarcie Sheffield.

– Nie ma w tym nic śmiesznego. Żeby w to uwierzyć trzeba było zobaczyć twarz Foyla. Ale to nic. Zaprowadzi nas do „Nomada". Zaprowadzi nas do twoich sztabek i do PirE, Presteignie. Niemal żałuję, że to już koniec. No, może prawie koniec. Jak już wspomniałem, dobrze się bawię. On naprawdę jest wyjątkowy.

ROZDZIAŁ 7

Swoją konstrukcją Saturnowy Weekendowicz przypominał jacht spacerowy; był spory dla czterech osób, przestronny dla dwóch, nie dość jednak przestronny dla Foyla i Jiz McQueen. Foyle spał w kabinie głównej, Jiz zajęła dla siebie kabinę luksusową.

Jisbella pomogła Samowi wziąć Foyla na barana. Osobliwości czasowe zdawały się wypełniać całą salę piszczącymi błyskawicami. Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Przez pomieszczenie przeleciało ze skowytem z tuzin strzałek z pistoletów pneumatycznych, strącając w locie pacjentów czasowych. Quatta cisnęło plecami o ścianę. Puścił Foyla. Na jego skroni pojawił się granatowy siniak.

– Uciekaj stąd, do diabła – ryknął Quatt. – Już po mnie.

– Sam!

– Koniec ze mną. Nie mogę jauntować. Uciekaj, dziewczyno!

Próbując otrząsnąć się z oszołomienia, które czyniło go niezdolnym do jauntowania, Quatt wyprostował się i runął jak burza na spotkanie wpadającego do sali tłumu umundurowanych ludzi. Jisbella chwyciła Foyla pod ramię i pociągnęła go przez spiżarnię, klinikę, magazyn brudnej bielizny i dalej, na dół, starożytnymi schodami, które uginały się pod ich ciężarem i wyrzucały w górę tumany termicjego pyłu.

Zbiegli do piwniczki na wiktuały. Menażeria Bakera korzystając z zamieszania wydostała się ze swych cel i rzuciła do piwnic na podobieństwo pszczół, które w zaatakowanym ulu ponad miarę obżerają się miodem. Dziewczyna cyklopka smarowała sobie usta masłem, czerpiąc je pełnymi garściami z cebrzyka. Łypnęła na nich swoim jedynym okiem usytuowanym tuż nad nasadą nosa.

Jisbella, ciągnąc za sobą Foyla, przebiegła przez piwnicę z wiktuałami i wyważyła kopniakiem zamknięte na skobel drewniane drzwi. Potykając się, zbiegli po zmurszałych ze starości schodach i znaleźli się w pomieszczeniu spełniającym niegdyś rolę składzika na węgiel. Wstrząsy i wrzaski rozlegające się na górze brzmiały tu bardziej basowo i dudniąco. Widniejący w jednej ze ścian składziku wylot zsypu zagradzała żelazna krata zamknięta na dwie przerdzewiałe zasuwy. Jisbella położyła dłonie Foyla na zasuwach. Odciągnęli je wspólnymi siłami i przez zsyp na węgiel wygramolili się z piwnicy.

Znalazłszy się na zewnątrz Fabryki Potworów, przywarli do jej tylnej ściany. Ponad sobą mieli luki trentońskich szybów rakietowych i gdy tak stali dysząc, niezdolni dobyć z siebie głosu, Jisbella ujrzała frachtowiec ześlizgujący się po wiązce antygrawitacyjnej do oczekującego nań otworu. Iluminatory jarzyły się, a światła pozycyjne mrugały oświetlając tylną ścianę szpitala niczym jakiś niesamowity neon.

Z dachu szpitala rzuciła się jakaś postać. Był to Sam Quatt próbujący desperackiego lotu. Nie wiedząc co robić z rękoma i nogami poszybował w przestrzeń z zamiarem osiągnięcia bijącej w górę, antygrawitacyjnej wiązki najbliższego szybu, która przechwytując go w połowie drogi do ziemi złagodziłaby upadek. Wycelował idealnie. Wpadł w snop wiązki pod kątem prostym, znajdując się jeszcze siedemnaście stóp nad ziemią. Wiązka była wyłączona. Spadł i roztrzaskał się na krawędzi szybu.

Jisbella załkała. Wciąż bezwiednie trzymając Foyla pod ramię, pobiegła przez pokiereszowany beton do ciała Sama Quatta. Tam puściła Foyla i czule dotknęła głowy Quatta. Jej palce splamiła krew. Foyle szarpał bandaż, wydłubując w nim otwory na oczy. Mamrotał coś do siebie, słysząc szloch Jisbelli i krzyki dochodzące z fabryki Bakera. Pogmerał rękoma przy ciele Quatta, potem wstał i spróbował podnieść Jisbellę.

– Musimy już iść – wybełkotał. – Musimy się schować. Widzą nas.

Jisbella nawet nie drgnęła. Foyle zebrał wszystkie siły i postawił ją na nogi.

– Times Square – mruknął przyciszonym głosem. Jauntuj, Jiz!

Wokół nich pojawiły się umundurowane postacie. Foyle potrząsnął Jisbellę za ramię i jauntował się na Times Square, gdzie tłumy przebywających właśnie na ogromnej rampie jauntowców gapiły się w osłupieniu na ogromnego mężczyznę z białą kulą bandaża zamiast głowy. Rampa była wielkości dwóch boisk piłki nożnej. Foyle rozejrzał się naokoło, niewiele widząc przez przesłaniający mu oczy opatrunek. Nie dostrzegł ani śladu Jisbelli, mogła jednak gdzieś tu być. Podniósł głos do krzyku.

– Montauk, Jiz! Montauk! Rampa Kaprys!

Foyle jauntował się na ostatnim impulsie energii. Od Block Island wiał lodowaty, północno-wschodni wiatr, rozsiewając kruche kryształki lodu po rampie wkomponowanej w średniowieczne ruiny zwane „Szaleństwem Fischera". Na rampie znajdowała się druga osoba. Foyle ruszył ku niej chwiejnym krokiem, brnąc pod wiatr gnający tumany śniegu. To była Jisbella. Wyglądała na zmarzniętą i zagubioną.

– Dzięki Bogu – wymamrotał Foyle. – Dzięki Bogu. Gdzie Sam trzyma swojego Weekendowicza? – potrząsnął Jisbellę za łokieć. – Gdzie Sam trzyma swojego Weekendowicza?

– Sam nie żyje.

– Gdzie on trzyma tego Saturnowego Weekendowicza?

– Odszedł. Sam odszedł. Już się nie będzie bał.

– Gdzie jest statek, Jiz?

– Na przystani, koło latarni morskiej.

Dokonał tego, czego nie potrafiłoby dokonać zero; uratował się.

Przez dwa dni przeczesywał statek w pięciominutowych wypadach, aż znalazł gdzieś uprząż, którą mógł sobie założyć na ramiona. Do uprzęży przytroczył zbiornik powietrza i prowizorycznym wężem podłączył go do hełmu swojego skafandra próżniowego. Posuwał się wijąc przez próżnię jak mrówka taszcząca kloc drewna, ale dzięki temu miał teraz swobodę poruszania się po „Nomadzie".

Myślał.

W sterowni, studiując standardowe instrukcje obsługi, porozrzucane po zniszczonej kabinie nawigacyjnej, nauczył się korzystać z kilku przyrządów nawigacyjnych, które nie uległy jeszcze uszkodzeniu. Przez dziesięć lat swojej służby w kosmosie nigdy nawet nie marzył o zajmowaniu się czymś takim, chociaż od tego właśnie uzależniony był awans i podwyżka wynagrodzenia; ale teraz nagrodą miała być „Vorga".

Przeprowadził namiary. „Nomad" dryfował przez kosmos po ekliptyce, trzysta milionów mil od Słońca. Przed nim rozsiane były konstelacje Parseusza, Andromedy i Ryb. Wisząca niemal na pierwszym planie mglista, pomarańczowa plamka to Jowisz. Tarczę planety rozróżnić można było gołym okiem. Przy odrobinie szczęścia mógł skierować statek na Jowisza i uratować się.

Jowisz nie nadawał się i nigdy nie będzie się nadawał do zamieszkania. Tak jak wszystkie planety znajdujące się na zewnątrz orbit asteroidów, stanowił zmrożoną bryłę metanu i amoniaku, ale cztery jego największe księżyce roiły się od miast i ludzi pozostających obecnie na stopie wojennej z Planetami Wewnętrznymi. Zostałby jeńcem, ale musiał utrzymać się przy życiu, aby wyrównać rachunki z „Vorgą T: 1339".

Foyle dokonał przeglądu maszynowni „Nomada". W zbiornikach pozostało jeszcze wysokowydajne paliwo rakietowe, a jeden z czterech rufowych silników odrzutowych był ciągle sprawny. Foyle wygrzebał gdzieś instrukcje obsługi maszynowni i przestudiował je. Naprawił połączenie pomiędzy zbiornikami paliwa a komorą spalania jedynego nieuszkodzonego silnika. Zbiorniki znajdowały się po nasłonecznionej stronie statku i nagromadzone w nich paliwo, nagrzane do temperatury przekraczającej punkt zamarzania, znajdowało się ciągle w stanie ciekłym, ale spływać do komory nie mogło. W stanie nieważkości panującym na pokładzie „Nomada" nie istniała siła grawitacji, która ściągnęłaby je do rur.

Foyle przestudiował podręcznik astrofizyki i dowiedział się z niego co nieco o teorii grawitacji. Gdyby zdołał nadać „Nomadowi" ruch wirowy, siła reakcji odśrodkowej wytworzyłaby na statku grawitację wystarczającą do ściągnięcia paliwa do komory spalania silnika rakietowego. Gdyby udało mu się zainicjować w tej komorze zapłon, niesymetryczny ciąg jednego silnika nadałby „Nomadowi" ruch obrotowy.

Nie mógł jednak spowodować zapłonu w silniku nie wprowadziwszy uprzednio statku w ruch wirowy, a nie mógł wprowadzić statku w ruch wirowy nie wywoławszy przedtem zapłonu.

Zastanawiał się nad wyjściem z impasu. Był natchniony przez „Vorgę".

Znalazł jakieś teksty i czytał. Myślał i planował, chociaż często popadał w zwątpienie i bliski był całkowitego załamania. To „Vorga" natchnęła go wielkością.

Foyle przyniósł z magazynów chemicznych srebrzysty kawałek drutu – czysty sód. Wetknął drut przez otwarty zawór. Sód w zetknięciu z wodą zapalił się płomieniem o wysokiej temperaturze. Wytworzone ciepło spowodowało wybuch paliwa rakietowego i z zaworu trysnął cieniutki jak igła płomyczek. Foyle zamknął zawór kluczem. Zapłon w komorze spalania trwał nadal i bezgłośną wibracją, która wstrząsnęła statkiem, buchnęła płomieniem jedyna pozostała dysza.

Niesymetryczny ciąg jedynego silnika rakietowego nadał „Nomadowi" powolny ruch wirowy. Moment obrotowy przywrócił niewielką grawitację. Powróciło ciążenie. Unoszące się do tej pory w próżni rumowisko wypełniające kadłub, spadło na pokłady, ściany i sufity; siła grawitacji podtrzymała podawanie paliwa ze zbiorników do komory spalania.

Foyle nie tracił czasu na zachwyty. Opuścił maszynownię i w desperackim pośpiechu powlókł się z trudem przed siebie, aby przeprowadzić ostatnią i rozstrzygającą obserwację z mostka nawigacyjnego. Na jej podstawie dowie się czy „Nomad" wykonuje dziki skok w otwarty kosmos, czy też położył się na kursie ku Jowiszowi i ocaleniu.

ROZDZIAŁ 2

Między Marsem a Jowiszem rozciąga się szeroki pas asteroidów. Z tysięcy znanych i nie znanych, unikalnym dla tego Niezwykłego Stulecia był Asteroid Sargasso, maleńka planetka sklecona z naturalnej skały i wraków ściągniętych tu na przestrzeni dwustu lat przez jej mieszkańców.

Byli ludem dzikim, jedynymi dzikimi dwudziestego piątego stulecia, potomkami zespołu naukowców

badaczy, którzy po awarii statku zbłądzili dwa wieki temu w pasie asteroidów i pozostali już tam na zawsze niczym rozbitkowie na bezludnej wyspie. Z czasem, ich potomkowie odkryli na nowo, że potrafią zbudować swój własny świat oraz kulturę i woleli pozostać w kosmosie, łowiąc rozbite statki kosmiczne, łupiąc je i praktykując barbarzyńską parodię zapamiętanego u swych przodków naukowego podejścia do świata. Nazywali siebie Ludźmi Naukowymi. Świat natychmiast o nich zapomniał.

S. S. „Nomad" krążył w przestrzeni kosmicznej nie wszedłszy ani na kurs ku Jowiszowi, ani ku odległym gwiazdom, lecz dryfując przez pas asteroidów powolną spiralą jak zdychające żyjątko. Przeszedł o milę od Asteroidu Sargasso i natychmiast przechwycili go Ludzie Naukowi, by włączyć go do ich małej planetki. Znaleźli Foyla.

Ocknął się dopiero, gdy niesiono go triumfalnie na noszach przez naturalne i sztuczne korytarze śmieciarskiego asteroidu. Zbudowano je z metalu pozyskanego z meteorytów, z kamieni i z płyt poszycia kadłubów statków kosmicznych. Tłum zebrany wokół noszy wył triumfalnie. „W Stos Prop" – wrzeszczano. Żeński chór zaczął zawodzić w ekstazie:

„Bromek amonowy .... 1 1/2 gr.
Bromek potasowy .... 3 gr.
Bromek sodowy .... 2 gr.
Kwasek cytrynowy .... w stos. prop."

– W Stos Prop! – wrzasnęli Ludzie Naukowi. – W Stos Prop!

Foyle zemdlał.

Ocknął się znowu. Wydobyto go już ze skafandra próżniowego. Znajdował się teraz w cieplarni asteroidu, w której uprawiano rośliny produkujące świeży tlen. Salę tworzył długi na sto jardów kadłub starego rudowęglowca, a jedną ze ścian skonstruowano z wymontowanych z wraków okien: okrągłych bulajów, iluminatorów kwadratowych, pięciokątnych, sześciokątnych... Stosowano do jej budowy iluminatory wszelkiego kształtu i wieku, aż ogromna ściana stała się szalonym zlepkiem szkła i światła.

Wpadały przez nią promienie odległego Słońca: powietrze było gorące i przesycone wilgocią. Foyle rozejrzał się wokół nic nie rozumiejąc. Patrzyła na niego diabelska twarz. Policzki, broda, nos i powieki pokryte były szkaradnym tatuażem, upodabniając ją do starożytnej maski Maorysa. Przez brew biegło wytatuowane słowo JOSEPH. Z boku litery „O" sterczała w górę i nieco w prawo malutka strzałka, przekształcając ją w symbol Marsa, stosowany przez naukowców do oznaczania płci męskiej.

– Jesteśmy Rasą Naukową – oznajmił Joseph. – Ja jestem Joseph; to są moi ludzie.

Zatoczył ręką po sali. Foyle spojrzał półprzytomnie na uśmiechnięty tłum otaczający jego nosze. Wszystkie twarze wytatuowane były w diabelskie maski. Nad każdą brwią było imię.

– Jak długo dryfowałeś? – spytał Joseph.

– Vorga – wymamrotał Foyle.

– Jesteś pierwszym od pięćdziesięciu lat, który przybył do nas żywy. Jesteś człowiekiem potężnym. Bardzo potężnym. Przybycie najodpowiedniejszego jest doktryną Świętego Darwina. Najnaukowszą doktryną.

– W Stos Prop! – zaryczał tłum.

Joseph ujął Foyla za łokieć w sposób w jaki czyni to lekarz mierzący puls. Jego diabelskie usta liczyły uroczyście do dziewięćdziesięciu ośmiu.

– Twój puls dziewięćdziesiąt osiem przecinek sześć – oznajmił wreszcie, wyciągając termometr i wstrząsając go z namaszczeniem. – Najnaukowiej.

Wypuszczając kłąb dymu dał znak ręką. Przed Foylem pojawiły się trzy dziewczyny. Ich wytatuowane twarze były szkaradne. Przez brew każdej biegło imię: JOAN, MOIRA i POLLY. Litera „O" w każdym imieniu miała u dołu malutki krzyżyk.

– Wybieraj – powiedział Joseph. – Ludzie Naukowi praktykują Naturalną Selekcję. Bądź w swym wyborze naukowy. Bądź genetyczny.

Foyle zemdlał znowu i jego ręka zsunąwszy się z noszy dotknęła Moiry.

– W Stos Prop!

Znajdował się w okrągłej sali przykrytej kopułą. Salę wypełniała pordzewiała, antyczna aparatura: centryfuga, stół operacyjny, zdezelowany fluoroskop, autoklawy, futerały ze skorodowanymi narzędziami chirurgicznymi.

Majaczącego i mówiącego coś bez ładu i składu Foyla przypasano do stołu operacyjnego. Nakarmiono go. Ogolono i umyto. Dwóch mężczyzn zaczęło ręcznie obracać starożytną centryfugę. Pobrzękiwała rytmicznie, co przypominało walenie w bęben wojenny. Zebrani zaczęli przestępować z nogi na nogę i nucić.

– Jest osłabiony?

– Oczywiście.

– Kiedy będzie można zdjąć bandaże?

– Za sześć albo siedem dni.

– I jego twarz będzie czysta?

– Myślałem, że nie interesujesz się jego twarzą, moja droga. Powinna być czysta. Nie wydaje mi się, żebym przeoczył jakąś plamkę pigmentu. Możesz podziwiać moją zręczność, Jisbello... moją dalekowzroczność również. Zamierzam postawić na wyprawę ratowniczą Foyla.

– Co? – Quatt wybuchnął śmiechem. – Podejmujesz ryzyko chociaż szanse mają się jak tysiąc do jednego, Baker? Miałem cię za rozgarniętego.

– Bo jestem rozgarnięty. Ból był dla niego zbyt silny i mówił pod narkozą. Na pokładzie „Nomada" jest dwadzieścia milionów w platynowych sztabkach.

– Dwadzieścia milionów! – Sam Quatt pociemniał na twarzy i zwrócił się do Jisbelli. Ale ona również była wściekła.

– Nie patrz tak na mnie, Sam. Nie wiedziałam o tym. Przede mną też to ukrywał. Przysięgał, że nie ma pojęcia dlaczego Dagenham go prześladuje.

– Właśnie Dagenham mu o tym powiedział – wtrącił Baker. – To też mu się wymknęło.

– Zabiję go – powiedziała Jisbella. – Rozerwę go na strzępy moimi własnymi rękami i nie znajdziecie w jego tułowiu nic prócz czarnej zgnilizny. Będzie unikatem w twoim zoo, Baker. Proszę Boga, żeby oddał go w moje ręce.

Drzwi sali operacyjnej otworzyły się i dwóch pielęgniarzy wytoczyło z niej wózek, na którym, podrygując nieznacznie, leżał Foyle. Cała jego głowa była jedną wielką kulą bandaża.

– Jest przytomny? – spytał Quatt Bakera.

– Ja to załatwię – wybuchnęła Jisbella. – Powiem temu skur... Foyle!

– Spod bandaży dała się słyszeć słaba odpowiedź Foyla. W momencie, gdy Jisbella, szykując się do szturmu, nabierała gwałtownie powietrza w płuca, jedna ze ścian szpitala zniknęła i rozległ się grzmot, który poderwał na nogi wszystkich obecnych. Cały budynek drżał w posadach od następujących jedna po drugiej eksplozji, a przez szczeliny w ścianach zaczęli wjauntowywać się z ulic umundurowani ludzie, niczym gawrony rzucające się na wnętrzności rozsiane po pobojowisku.

– Nalot! – krzyknął Baker. – Nalot!

– Jezu Chryste! – Wzdrygnął się Quatt.

Umundurowani ludzie roili się po całym budynku, krzycząc:

– Foyle! Foyle! Foyle! Foyle!

Baker zniknął z cmoknięciem. Jego asystenci jauntowali się również, porzucając wózek, na którym, machając nieporadnie rękami i nogami oraz wydając słabe dźwięki, spoczywał Foyle.

– To jakiś cholerny nalot! – Quatt potrząsnął Jisbellę za ramiona. – Uciekaj, dziewczyno, uciekaj!

– Nie możemy zostawić Foyla! – krzyknęła Jisbella.

– Opamiętaj się, dziewczyno! Uciekaj!

– Nie możemy uciekać bez niego!

– Jisbella chwyciła za wózek i pchając go przed sobą pobiegła korytarzem. Quatt kłusował obok niej.

Wrzaski w szpitalu stawały się coraz głośniejsze:

– Foyle! Foyle! Foyle!

– Zostaw go na miłość boską! – ponaglał Quatt. – Niech go sobie mają.

– Nie.

– Dziewczyno, jak nas złapią to koniec z nami.

– Nie możemy go zostawić.

Skręcili z poślizgiem za róg, wpadając w sam środek tłumu rekonwalescentów: trzepoczących skrzydłami ludzi-ptaków, pełzające po podłodze jak foki syreny, hermafrodyty, olbrzymów, pigmejów, dwugłowe bliźnięta, centaury oraz kwilącego sfinksa. Cała ta menażeria, przerażona, rzuciła się z pazurami na Jizbellę i Quatta.

– Ściągnij go z wózka! – wrzasnęła Jisbella. Foyle niepewnie stanął na nogach. Jisbella chwyciła go pod ramię. Ciągnąc Foyla między sobą, Sam z Jisbellą wpadli do sali wypełnionej osobliwościami czasowymi Bakera... obiektami o przyspieszonym poczuciu czasu, które miotały się po sali z oszałamiającą szybkością kolibrów, wydając przeszywające, nietoperzowe piski.

– Wyjauntuj go, Sam.

– Po tym jak próbował nas wykantować i nabrać?

– Nie możemy go zostawić. Teraz powinieneś już o tym wiedzieć. Wyjauntuj go do mieszkania Caistera!

damy i nie wdajemy się w jakieś drobne spekulacje. Już tego nie robimy. Wiem co kombinujesz. Masz coś soczystego, ale z nikim nie chcesz się tym dzielić. Dlatego żebrzesz o przysługę...

Foyle zwinął się pod igłą, ale wciąż pozostając we władzy swojego opętania, zmuszony był powtórzyć:

- Nie wiem, Sam. Spytaj Jiz.
- Jeśli masz godziwy interes, czyń godziwe propozycje - rzucił Quatt ze złością. - Nie krąż dookoła jak jakiś cholerny, tatuowany tygrys, który tylko patrzy jakby tu rzucić się na ofiarę. Jesteśmy jedynymi przyjaciółmi jakich masz. Nie próbuj nas oszukiwać i kręcić...

Przerwał Quattowi krzyk, który wyrwał się z ust Foyla.

- Nie ruszaj się - powiedział roztargnionym głosem Baker.
- Kiedy krzywisz twarz, nie mogę prawidłowo wprowadzić igły. - Tu posłał Jisbelli surowe, przeciągłe spojrzenie. Usta jej drżały. Gwałtownym ruchem otworzyła torebkę i wyciągnęła z niej dwa banknoty po 500 r. Rzuciła je na stolik obok zlewki z kwasem.
- Poczekamy na zewnątrz - powiedziała.

Zemdlała na korytarzu. Quatt zaciągnął ją do krzesła i poszukał pielęgniarki, która ocuciła dziewczynę aromatycznym amoniakiem. Jisbella zaczęła płakać tak gwałtownie, że Quatt przestraszył się. Odprawił pielęgniarkę i kręcił się w pobliżu, dopóki szlochanie nie ustało.

- Co, u diabła, jest grane? Co miały znaczyć te pieniądze?
- To były krwawe pieniądze.
- Że co?
- Nie chcę o tym mówić.
- Dobrze się czujesz?
- Nie.
- Mogę coś dla ciebie zrobić?
- Nie.

Nastąpiła długa pauza, po czym Jisbella spytała słabym głosem:

- Zrobisz ten interes z Gullym?
- Ja? Nie. Szanse powodzenia wyglądają mi tu na tysiąc do jednego.
- Na tym „Nomadzie" musi być coś wartościowego. Inaczej Dagenham nie prześladowałby tak Gully'ego.
- Nadal mnie to nie interesuje. A ciebie?
- Mnie? Mnie też nie. Nie chcę mieć już nic wspólnego z Gully Foylem.

Po następnej chwili milczenia Quatt spytał:

- Mogę już iść do domu?
- Ciężko było, prawda Sam?
- Z tysiąc razy myślałem, że skonam niańcząc tego tygrysa.
- Przepraszam cię, Sam.
- Naszło mnie to po tym, co ci zrobiłem, kiedy gliny capnęły cię w Memfis.
- To oczywiste, że mnie wtedy zostawiłeś, Sam.
- Zawsze robimy to co jest oczywiste, tylko czasami nie powinniśmy tego robić.
- Wiem, Sam, wiem.
- I potem spędzasz resztę życia próbując naprawić swój błąd. Tak sobie myślę, że jestem teraz szczęśliwy, Jiz. Dziś wieczorem udało mi się wyrównać ten rachunek. Mogę już iść do domu?
- Z powrotem do Joburg wieść szczęśliwe życie?
- Uhum.
- Nie zostawiaj mnie jeszcze samej, Sam. Wstydzę się sama siebie.
- Dlaczego?
- Bo byłam okrutna dla głupich zwierząt.
- Co to ma znaczyć?
- Nieważne. Posiedź ze mną troszeczkę. Opowiedz mi o tym swoim szczęśliwym życiu. Co w nim takiego szczęśliwego?
- Dobrze - zgodził się Sam. - Szczęście to mieć wszystko czego się chciało będąc dzieciakiem. Jeśli w wieku pięćdziesięciu lat można mieć wszystko, czego się chciało mając piętnaście lat... - i Sam Quatt zaczął snuć opowieść o symbolach, ambicjach i frustracjach swego chłopięctwa, które wreszcie zaspokoił. Przerwał dopiero na widok wychodzącego z sali operacyjnej Bakera.
- Koniec? - spytała żywo Jiz.
- Koniec. Po zaaplikowaniu mu narkozy mogłem pracować szybciej. Bandażują mu teraz twarz. Wyjdzie za parę minut.

- Nadaję ci imię Nomad! - zaintonował Joseph.

Wrzawa stała się ogłuszająca. Joseph przechylił nad ciałem Foyla zardzewiałą puszkę. Zaleciało eterem.

Foyle stracił resztkę świadomości i spowiła go ciemność. Raz po raz wynurzała się z niej „Vorga T: 1339" przyspieszając na wiodącym przez krew i umysł Foyla kursie ku Słońcu. Nie mógł powstrzymać niemego krzyku o pomstę.

Był ledwo świadom mycia, karmienia, tupania i śpiewnego zawodzenia. Kiedy się w końcu ocknął, leżał w łóżku. U jego boku spoczywała dziewczyna imieniem Moira.

- Coś ty za jedna? - wycharczał Foyle.
- To ja, twoja żona, Nomadzie.
- Że kto?
- Twoja żona. Wybrałeś mnie, Nomadzie. Jesteśmy małżeństwem.
- Że co?
- Jesteśmy naukowo skojarzeni - odparła dumnie Moira. Podciągnęła rękaw nocnej koszuli i pokazała mu swoje ramię. Było zeszpecone czterema paskudnymi szramami. - Zostałam zaszczepiona czymś starym, czymś nowym, czymś pożyczonym i czymś roztrwonionym.

Foyle zwlókł się z łóżka.

- Gdzie jesteśmy?
- W naszym domu.
- W jakim domu?
- W twoim. Jesteś jednym z nas, Nomadzie. Musisz żenić się co miesiąc i płodzić dużo dzieci. To będzie naukowo. Ale ja jestem pierwsza.

Foyle pominął to milczeniem i badał pomieszczenia. Znajdował się w głównej kabinie szalupy rakietowej z początku dwudziestego czwartego wieku... kiedyś chyba prywatnego jachtu. Kabinę główną przerobiono na sypialnię.

Słaniając się na nogach podszedł do iluminatora i wyjrzał na zewnątrz. Szalupa była wtopiona w asteroid i połączona z nim korytarzami. Przeszedł na rufę. Dwie mniejsze kabiny wypełnione były roślinnością dostarczającą tlenu. Maszynownię zamieniono na kuchnię. W zbiornikach znajdowało się jeszcze wysokowydajne paliwo rakietowe, ale teraz zasilało ono palniki małego piecyka ustawionego na komorach spalania silników odrzutowych. Foyle poszedł na dziób. Sterownia była teraz salonem, ale urządzenia sterownicze były nadal sprawne.

Myślał.

Wrócił na rufę do kuchni i rozmontował piecyk. Podłączył zbiorniki paliwa na powrót do komór spalania silników odrzutowych. Moira dreptała za nim, przyglądając się ciekawie jego krzątaninie.

- Co robisz, Nomadzie?
- Muszę stąd pryskać, mała - mruknął Foyle. - Mam porachunki ze statkiem o nazwie „Vorga", kapujesz mała? Zamierzam wyrwać stąd na tej łodzi, kurczę.

Moira cofnęła się przestraszona. Foyle dostrzegł wyraz paniki w jej oczach i doskoczył do niej. Po tym wszystkim, przez co ostatnio przeszedł był tak niezdarny, że łatwo mu się wymknęła. Otworzyła usta i wydała przeszywający wrzask. W tym samym momencie szalupę wypełnił ogłuszający hałas; to Joseph i jego diablolicy Ludzie Naukowi bębnili w metalowy kadłub, odprawiając uświęcony tradycją rytuał naukowej kociej muzyki na cześć młodej pary.

Moira wrzeszczała i wymykała się ścigającemu ją cierpliwie Foylowi. Dopadł ją wreszcie w kącie, zdarł z niej nocną koszulę i za jej pomocą związał i zakneblował dziewczynę. Moira robiła wystarczająco dużo hałasu, aby rozwalić na kawałki asteroid, ale naukowa kocia muzyka była głośniejsza.

Foyle skończył prowizoryczne łatanie maszynowni: był teraz niemal ekspertem. Podniósł wyrywającą się Moirę z podłogi i zaciągnął ją do luku głównego.

- Odjeżdżam - wrzasnął jej do ucha. - Startuję. Wyrywam z asteroidu. Cholerna katastrofa. Może wszyscy zginą, kurczę. Wszystko w drobny mak. Nie będzie już powietrza. Nie będzie już asteroidu. Idź im powiedz. Ostrzeż ich. No idź, mała.

Otworzył luk, wypchnął Moirę, zatrzasnął za nią klapę i zaryglował ją. Kocia muzyka urwała się jak nożem uciął.

Foyle był już w maszynowni i naciskał klawisz zapłonu. Zaczęła wyć próżnująca od dziesięcioleci automatyczna syrena startowa. Z głuchym wstrząsem zaskoczyły komory spalania silników odrzutowych. Foyle czekał aż temperatura narośnie do wartości umożliwiającej odpalenie. Czekając - cierpiał. Szalupa była wcementowana w asteroid. Otaczały ją kamień i żelazo. Jej silniki rufowe wpuszczone były w kadłub innego, wtłoczonego w tę bryłę statku. Nie wiedział co się stanie, kiedy silniki zaczną pracować z pełnym ciągiem, ale do ryzyka pchała go „Vorga".

Odpalił silnik. Płomieniom bluzgającym z dysz rufowych statku towarzyszyła głucha eksplozja. Szalupa trzęsła się, trzeszczała i nagrzewała. Rozległ się skowyt metalu. Po chwili statek drgnął i ze świdrującym w uszach zgrzytem ruszył naprzód; z początku wolno, rozrywając na kawałki przytrzymującą go konstrukcję z metalu, kamienia i szkła, aż wreszcie wyrwał się z asteroidu w kosmos.

Marynarka Wojenna Planet Wewnetrznych natknęła się na niego dziewięćdziesiąt tysięcy mil za orbitą Marsa. Po siedmiu miesiącach walk, patrole Planet Wewnętrznych były czujne, ale zarazem zuchwałe. Kiedy szalupa nie reagowała na wezwania i nie podawała swoich znaków rozpoznawczych, należało ją zniszczyć, a pytania zadawać potem, gdy stanie się już wrakiem. Ale szalupa była mała, a załoga krążownika żądna łupu. Zbliżyli się i wzięli stateczek abordażem.

Wewnątrz znaleźli Foyla czołgającego się jak bezgłowy robak przez rozwalony statek kosmiczny wśród połamanych sprzętów gospodarstwa domowego. Znowu krwawił. Miał zaawansowaną, cuchnącą gangrenę i jedną stronę głowy rozbitą na miazgę. Umieszczono go w pokładowym lazarecie i pieczołowicie zasłonięto. Foyle nie był przyjemnym widokiem nawet dla wytrzymałych żołądków marynarzy z dolnego pokładu. Kontynuując swój rejs patrolowy posztukowali jego tułów w zbiorniku z płynem owodniowym. Gdy dysze krążownika znowu trysnęły ogniem skierowując statek ku Ziemi, Foyle odzyskał przytomność i wybełkotał jakieś słowo zaczynające się na V. Wiedział, że jest ocalony. Wiedział, że tylko czas stoi między nim a zemstą. Dyżurny lazaretu usłyszał dobiegający ze zbiornika jego triumfujący głos i uchylił zasłonę. Spojrzały na niego zamglone oczy Foyla. Dyżurny nie mógł powstrzymać ciekawości.

– Ty, słyszysz mnie? – wyszeptał.

Foyle chrząknął. Dyżurny pochylił się niżej.

– Co ci się przytrafiło? Kto cię tak, u diabła, urządził?

– Jak? – wycharczał Foyle.

– Nie wiesz?

– Czego? O co chodzi, kurczę?

– Poczekaj chwileczkę.

Dyżurny znikł jauntując się do magazynu i w pięć minut później pojawił się znowu przy zbiorniku. Foyle dźwignął się z wysiłkiem z cieczy. Oczy mu błyszczały.

– Wraca, kurczę. Coś jakby wracało. Jauntowanie. Nie umiałem jauntować na „Nomadzie", kurczę.

– Co?

– Straciłem głowę.

– Człowieku, tyś nie miał żadnej głowy, którą mógłbyś stracić.

– Nie potrafiłem jauntować. Zapomniałem jak. Wszystko zapomniałem, kurczę. I teraz mało co pamiętam. Ja...

Cofnął się przerażony na widok szkaradnie wytatuowanej twarzy, której fotografię podsunął mu pod nos dyżurny. To była maska Maorysa. Policzki, broda, nos i powieki udekorowane były pasmami i spiralami. Przez brew biegło słowo NOMAD. Foyle patrzył przez chwilę z przerażeniem, a potem krzyknął z rozpaczą. Fotografia była lusterkiem. Twarz była jego własną.

ROZDZIAŁ 3

— Brawo panie Harris! Bardzo dobrze! P-O-P, panowie. Nigdy nie zapominajcie. Położenie. Otoczenie. Podwyższenie. To jedyny sposób gwarantujący wam zapamiętanie swoich współrzędnych jauntowskich. *„Etre entre le marteau et l'enclume. Francuski".* Proszę jeszcze nie jauntować, panie Peters. Niech pan czeka na swoją kolej. Bądźcie cierpliwi, wkrótce wszyscy znajdziecie się w klasie C. Czy ktoś widział pana Foyla? Brakuje go. *„Och, spójrzcie na tego bajecznie brązowego ptaszka. Posłuchajcie go".* Ojej, myślę na wszystkie strony... a może mówiłam głośno, panowie?

– Pół na pół, pszepani.

– To trochę nie fair. Półtelepatia to utrapienie. Przepraszam za bombardowanie was moimi myślami.

– Lubimy to, pszepani. Ładnie pani myśli.

– *„Och, jak to miło z pańskiej strony, panie Gorgas".* Uwaga, klasa: wszyscy z powrotem do szkoły i zaczynamy od początku. Czy pan Foyle już dojauntował? Nigdy nie mogę go upilnować.

Robin Wednesbury prowadziła swoją reedukacyjną klasę jauntingu, wędrując z nią po New York City, a było to dla przypadków mózgowych równie emocjonujące zajęcie, co i dla dzieci z pierwszej klasy, w której Robin też była nauczycielką. Traktowała dorosłych jak dzieci, a im sprawiało to chyba przyjem-

łach pozycyjnych i zdających się falować kadłubach, po których, w wyniku odprowadzenia do atmosfery nagromadzonego tam podczas podróży przez kosmos ładunku elektrostatycznego pełgały ognie Świętego Elma.

W podziemiach Fabryki mieściło się zoo Bakera, w którym trzymał on osobliwości anatomiczne, wybryki natury oraz potwory zakupione i (lub) porwane. Baker, podobnie jak reszta jego świata, oddany był tym stworom bez reszty i spędzał z nimi długie godziny rozkoszując się widokiem ich wynaturzeń tak, jak inni ludzie chłoną piękno sztuki. Na parterze parowozowni znajdowały się sypialnie dla rekonwalescentów, laboratoria, pokoje personelu i kuchnia. Piętro zajmowały sale operacyjne.

W jednej z nich, małej salce, w której przeprowadzano zazwyczaj eksperymenty na siatkówce oka, Baker pracował nad twarzą Foyla. Pochylony nad stołem operacyjnym, oświetlonym przez sfatygowaną baterię lamp operacyjnych, pracował metodycznie, uderzając małym, stalowym młoteczkiem w platynową igłę. Posuwał się po wzorze starego tatuażu zdobiącego twarz Foyla, wyszukując każdą, najmniejszą bliznę na skórze i wprowadzając w nią igłę. Głowa Foyla ściśnięta była w imadle, ale ciało pozostawało nieskrępowane. Jego mięśnie drgały spazmatycznie przy każdym uderzeniu młotka, tułowiem jednak nie poruszał. Trzymał się kurczowo krawędzi stołu operacyjnego.

– Samokontrola – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Chciałaś mnie nauczyć panowania nad sobą, Jiz. Ćwiczę. – Skrzywił się z bólu.

– Nie ruszaj się – nakazał Baker.

– Czynię wysiłki, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Nieźle się trzymasz, synu – odezwał się Sam Quatt głosem człowieka, któremu zbiera się na wymioty. Zerknął z ukosa na zawziętą twarz Jisbelli. – Co o tym myślisz, Jiz?

– Uczy się.

Baker kontynuował wbijanie igły i uderzanie jej młotkiem.

– Słuchaj, Sam – wymamrotał ledwo dosłyszalnie Foyle – Jiz mówiła mi, że masz prywatny statek. Zbrodnia popłaca, co?

– A żebyś wiedział, popłaca. Mam mały, czteroosobowy stateczek. Dwusilnikowy. Z tych co to je nazywają Saturnowy Weekendowicz.

– Dlaczego akurat Saturnowy Weekendowicz?

– Bo weekend na Saturnie trwałby dziewięćdziesiąt dni, a statek może zabrać żywności i paliwa na trzy miesiące.

– Takiego mi właśnie trzeba – mruknął Foyle. Skrzywił się i zaraz zapanował nad sobą. – Sam, chcę go wynająć.

– Po co?

– Coś wystrzałowego.

– Legalnego?

– Nie.

– A więc to nie dla mnie, synu. Mam zszarpane nerwy. Przekonałem się o tym jauntując z tobą w kółko o krok przed glinami. Wycofuję się na dobre. Chcę tylko spokoju.

– Zapłacę pięćdziesiąt tysięcy. Nie chcesz pięćdziesięciu tysięcy? Mógłbyś na ich liczeniu spędzać niedziele.

Igła kłuła bezlitośnie. Ciało Foyla drgało przy każdym uderzeniu.

– Mam już pięćdziesiąt tysięcy. Mam dziesięć razy tyle w gotówce w banku wiedeńskim. – Quatt sięgnął do kieszeni i wydobył z niej kółko z błyszczącymi, radioaktywnymi kluczami. – Ten jest od banku. Ten od mojego mieszkania w Joburg. Dwadzieścia pokoi; dwadzieścia akrów. Ten tutaj jest od mojego Weekendowicza stojącego w Montauk. Nie skusisz mnie, synu. Wycofałem się, gdy byłem jeszcze na fali. Teraz jauntuję z powrotem do Joburg i szczęśliwie przeżywam resztę mych dni.

– Daj mi Weekendowicza. Możesz siedzieć sobie bezpiecznie w Joburg i tylko inkasować.

– Kiedy mam inkasować?

– Jak wrócę.

– Chcesz dostać mój statek na kredyt i za obietnicę zapłaty?

– Gwarantuję.

– Co gwarantujesz? – prychnął Quatt.

– To robota ratownicza w asteroidach. Statek o nazwie „Nomad".

– Co jest na tym „Nomadzie"? Skąd wiesz, że akcja ratownicza będzie opłacalna?

– Nie wiem.

– Kłamiesz.

– Nie wiem – mruknął uparcie Foyle. – Ale musi tam być coś cennego. Spytaj Jiz.

– Słuchaj no – powiedział Quatt. – Naucze cię czegoś. Robimy legalne interesy, rozumiesz? Nie napa-

– Nie mają mojego doświadczenia, kochanie. Hmmm. Coś mi się przypomina, że czytałem kiedyś... gdzieś. Gdzie to ja...? Poczekaj chwilkę. – Baker wstał i zniknął z cichutkim cmoknięciem. Jisbella przechadzała się nerwowo po werandzie, dopóki Baker nie pojawił się ponownie w dwadzieścia minut później z postrzępioną książką pod pachą i wyrazem tryumfu na twarzy.

– Mam – powiedział. – Widziałem ją trzy lata temu w antykwariacie w Caltech. Możesz podziwiać moją pamięć.

– Do diabła z twoją pamięcią. Co z jego twarzą?

– Da się zrobić. – Baker przerzucał sfatygowane stronice i medytował. – Tak, da się zrobić. Indygotynowy kwas dwusulfonowy. Kwas będę mógł zsyntetyzować, ale... – Baker zamknął książkę i zdecydowanie kiwnął głową. – Potrafię to zrobić. Tylko, że chyba szkoda ruszać taką twarz, jeśli jest tak wyjątkowa jak ją opisujesz.

– Zsiądziesz ty z tego swojego konika? – wykrzyknęła z irytacją w głosie Jisbella. – Jesteśmy trefni, rozumiesz? Jesteśmy pierwszymi, którym udało się wyrwać z Gouffre Martel. Gliny nie spoczną, dopóki nie wpakują nas tam z powrotem. To jest dla nich zadanie ekstra-specjalne.

– Ale...

– Jak myślisz, ile czasu możemy przebywać z Foylem poza Gouffre Martel, uganiając się wszędzie z tą wytatuowaną twarzą?

– O co się tak złościsz?

– Ja się nie złoszczę. Ja wyjaśniam.

– W zoo byłby szczęśliwy – perswadował Baker. – I byłby tam bezpieczny. Umieściłbym go w tym pomieszczeniu obok dziewczyny cyklopki...

– Zoo odpada i to definitywnie.

– W porządku, moja droga. Ale dlaczego martwisz się, że złapią Foyla? Przecież to nie będzie miało nic wspólnego z tobą.

– Co cię obchodzi o co ja się martwię? Proszę cię o przysługę. Płacę i wymagam.

– To będzie sporo kosztowało, a ja cię lubię. Próbuję oszczędzić ci wydatków.

– Akurat.

– No, to jestem ciekawy.

– Powiedzmy więc, że robię to z wdzięczności. Pomógł mi, teraz ja pomagam jemu.

Baker uśmiechnął się cynicznie.

– Pomóżmy mu więc, dając mu nową, inaczej napiętnowaną twarz.

– Nie.

– Tak myślałem. Chcesz, żeby oczyścić mu twarz, bo jesteś jej ciekawa.

– Idź do diabła, Baker. Zrobisz to, czy nie?

– Za pięć tysięcy.

– Podaj kosztorys.

– Tysiąc za zsyntetyzowanie kwasu. Trzy tysiące za operację. A tysiąc za...

– Twoją ciekawość?

– Nie, moja droga. – Baker uśmiechnął się znowu. – Tysiąc za znieczulenie.

– A po co znieczulenie?

Baker ponownie otworzył starodawną książkę.

– Mam wrażenie, że to bolesny zabieg. Wiesz w jaki sposób tatuowano? Brało się igłę, maczało w barwniku i wbijało w skórę. Żeby wywabić ten barwnik, muszę przelecieć igłą po jego twarzy por po porze, zapuszczając w każdy z nich indygotynowy kwas dwusulfonowy. To będzie bolało.

Oczy Jisbelli zabłysły.

– A możesz to robić bez znieczulenia?

– Ja mogę, ale Foyle...

– Do diabła z Foylem. Płacę cztery tysiące. Żadnego znieczulenia, Baker. Niech Foyle pocierpi.

– Jiz! Nawet nie wiesz na co go skazujesz.

– Wiem. Niech cierpi – roześmiała się tak dziko, że przestraszyła Bakera. – Niech jego twarz i jemu sprawi cierpienie.

Fabryka Potworów Bakera mieściła się w okrągłym, piętrowym budynku z cegły, który, zanim jaunting nie zniósł zapotrzebowania na kolejki podmiejskie, był niegdyś parowozownią na stacji przetokowej. Starożytna, opleciona bluszczem parowozownia wznosiła się nie opodal trentońskich szybów rakietowych i jej tylne okna wychodziły na ich wyloty, tryskające w górę wiązkami antygrawitacyjnymi. Dzięki temu rekonwalescenci doktora Bakera mogli urozmaicać sobie czas, obserwując sunące bezgłośnie w górę i w dół tych wiązek statki kosmiczne o jarzących się iluminatorach, mrugających świat-

ność. Przez ostatnie miesiące zapamiętywali koordynaty jauntramp na skrzyżowaniach ulic, skandując:

– P-O-P, pszepani. Położenie. Otoczenie. Podwyższenie.

Robin była wysoką, poważną Murzynką, inteligentą i wypielęgnowaną, w pewnym jednak sensie upośledzoną. Była mianowicie telenadawczynią – półtelepatką. Mogła swoje myśli wysyłać w świat, ale nie mogła nic odebrać. Wada ta zagrodziła jej drogę do bardziej błyskotliwej kariery, nie dyskwalifikowała jej jednak jako nauczycielki. Pomimo swego gorącego temperamentu, Robin Wednesbury była sumiennym i metodycznym instruktorem jauntingu.

Do szkoły jauntingu, zajmującej cały budynek w Hudson Bridge na Czterdziestej Drugiej Ulicy przywieziono mężczyzn z Głównego Szpitala Wojennego. Wyszli ze szkoły i pomaszerowali parami do ogromnej jauntrampy na Times Square, którą zapamiętali jako pierwszą. Potem wszyscy jauntowali się do szkoły i z powrotem na Times Square. Ustawili się ponownie w pary i pomaszerowali do Columbus Circle, gdzie zapamiętali jego współrzędne. Następnie wszyscy jauntowali się przez Times Square do szkoły i tą samą drogą wrócili do Columbus Circle. Tam znowu utworzyły się pary i pomaszerowali do Grand Army Plaza, celem powtórzenia zapamiętywania i jauntowania.

Robin powtarzała z pacjentami (wszyscy z utratą zdolności do jauntowania w wyniku urazu głowy) przystanki, można by rzec, pospieszne na jauntrampach publicznych. Później zapamiętają przystanki zwykłe na skrzyżowaniach ulic. Gdy ich horyzonty poszerzą się (i powróci im zdolność do jauntowania), zapamiętywać będą jauntrampy w coraz to szerszych kręgach, których średnica określona będzie zarówno dochodami, jak i zdolnościami, ponieważ jedno było pewne: aby zapamiętać jakieś miejsce, trzeba je było wpierw zobaczyć na własne oczy, co znaczy, że najpierw trzeba było zapłacić za transport, żeby się tam dostać. Nie pomagały nawet trójwymiarowe fotografie. Wielka Podróż naokoło kontynentu, w którą wybierali się arystokraci celem dopełnienia wykształcenia, nabrała nowego znaczenia dla wyższych sfer.

– Położenie. Otoczenie. Podwyższenie – wykładała Robin Wednesbury i klasa, podążając gorliwie za swoją murzyńską nauczycielką, jauntowała przez przystanki pospieszne z Washington Heights do Hudson Bridge i z powrotem w ćwierćmilowych skokach dla początkujących.

– Jest duży ruch. Wszyscy z rampy. Proszę.

W drodze do domu na południe, po szychcie w lasach na północy, znajdowali się robotnicy w ciężkich roboczych ubraniach, wciąż jeszcze przyprószonych śniegiem. Pięćdziesięciu ubranych na biało pracowników mleczarni udawało się na zachód w kierunku St. Louis. Ścigali poranek przemieszczający się przed nimi ze Wschodniej Strefy Czasowej do Strefy Pacyficznej. A na lunch do Nowego Jorku pędziła tłumnie ze wschodniej Grenlandii, gdzie było już południe, horda urzędników biurowych w zarękawkach.

Po kilku chwilach ruch ustał.

– Uwaga, klasa – zawołała Robin. – Kontynuujemy. O Boże, gdzie jest pan Foyle. Wciąż mi się wydaje, że go brakuje.

– Nie może go pani winić, że się chowa z tą swoj buźką, pszepani. Na oddziale mózgowym wołamy na niego Straszydło.

– Wygląda przeraźliwie, nieprawdaż, sierżancie Logan? Nie mogą mu usunąć tych blizn?

– Próbują, panno Robin, ale nie wiedzą jeszcze jak. To się nazywa „tatuaż" i to z tych dawno zapomnianych.

– W jaki więc sposób pan Foyle dorobił się takiej twarzy?

– Nikt tego nie wie, panno Robin. Jest na oddziale mózgowym, bo stracił pamięć, kurczę. Nic sobie nie przypomina. Mówiąc między nami, gdybym miał taką gębę jak on, też wolałbym nic nie pamiętać.

Foyle przyjauntował na rampę i jak gdyby nigdy nic zszedł z niej odwracając swoją szkaradną twarz.

– Ćwiczyłem, kurczę – mruknął stając na ziemi.

Robin stłumiła w sobie dreszcz odrazy i zbliżyła się do niego z uśmiechem. Wzięła go pod rękę.

– Powinien pan naprawdę więcej przebywać z nami. Wszyscy jesteśmy przyjaciółmi i świetnie się bawimy. Proszę się do nas przyłączyć.

Foyle z uporem unikał jej wzroku. Gdy wreszcie wyrwał jej brutalnie rękę, Robin uświadomiła sobie, że jego rękaw był mokry. Przemoczone było całe jego ubranie.

– „Wilgoć? Był gdzieś na deszczu. Ale oglądałam przecież poranne prognozy pogody. Na wschód od St.Louis nie przewidywano żadnych opadów. Musiał się więc jauntować za St.Louis. Ale to powinno przekraczać jego możliwości. Miał przecież stracić całkowicie pamięć i zdolność do jauntowania. Symuluje".

Foyle doskoczył do niej.

- Zamknij się, kurczę! - wściekłość malująca się na jego twarzy była przerażająca.
- *„A zatem symulujesz".*
- Ile wiesz?
- *„Tyle, że jesteś głupcem. Przestań robić sceny.".*
- Czy oni ciebie słyszą?
- *„Nie wiem. Odejdź ode mnie."* - Robin odwróciła się od Foyla. - Uwaga, klasa. Kończymy na dzisiaj. Wszyscy z powrotem do szkoły. Autobus szpitalny już czeka. Pan jauntuje pierwszy sierżancie Logan. Proszę pamiętać: P-O-P. Położenie. Otoczenie. Podwyższenie.
- Czego chcesz? - warknął Foyle - Okupu, kurcze?
- *„Uspokój się. Przestań robić sceny".* Proszę się teraz nie wahać, mechaniku Harris. Wchodzić i jauntować się.
- Chcę z tobą pogadać.
- *„Na pewno nie".* Proszę czekać na swoją kolej, panie Peters. Niech się pan tak nie spieszy.
- Zamierzasz podkablować mnie w szpitalu?
- *„Naturalnie".*
- Chcę z tobą pogadać.
- *„Nie".*
- Już ich nie ma, kurczę. Mamy czas. Przyjdę do twojego mieszkania.
- Do mojego mieszkania? - Robin była szczerze wystraszona.
- Do Green Bay w Wisconsin.
- *„To absurd. Nie mamy o czym rozmawiać..."*
- Masz mi sporo do powiedzenia, panno Robin. Możemy porozmawiać o twojej rodzince.

Foyle uśmiechnął się wyczuwając emanujące z niej przerażenie.
- Spotkamy się w twoim mieszkaniu - powtórzył.
- Niemożliwe, żebyś wiedział gdzie to jest - powiedziała drżącym głosem.

Przecież ci dopiero co powiedziałem, no nie?
- Ty... Ty nie potrafisz jauntować się tak daleko. Ty...
- Nie potrafię? - maska uśmiechnęła się. - Przed chwilą powiedziałaś o mnie, że jestem symu... no, to słowo. Zgadłaś, kurczę. Mamy pół godziny. Spotkamy się tam, gdzie mówię.

Robin Wednesbury zajmowała apartament w masywnej budowli wznoszącej się samotnie nad brzegiem Green Bay. Odnosiło się wrażenie, że jakiś magik przeniósł budynek z mieszkaniowej dzielnicy miasta i porzucił go wśród porastających Wisconsin sosen. Domy takie jak ten były w świecie jauntingu czymś zwyczajnym. Samowystarczalne pod względem ogrzewania i oświetlenia, z jauntingiem rozwiązującym problemy komunikacyjne - domy mieszkalne można było budować nawet na pustyniach, w lasach i w puszczach.

Sam apartament był czteropokojowym mieszkaniem, szczelnie ekranowanym ze względu na telenadawanie Robin, które mogło zakłócić spokój sąsiadom. Pokoje zapchane były książkami, płytami, obrazami i drukami... czysty dowód kulturalnego i samotnego życia tej nieszczęśliwej, źle ukierunkowanej półtelepatki.

Robin wjauntowała się do pokoju gościnnego swego apartamentu w pięć sekund po Foylu, który oczekiwał jej przybycia z dziką niecierpliwością.
- No to teraz wiesz już na pewno - zaczął bez wstępów. Schwycił ją za ramię i ścisnął boleśnie. - Ale w szpitalu nie powiesz o mnie nikomu, panno Robin. Nikomu.
- Odejdź ode mnie! - Robin chlasnęła go w twarz. - *„Bestia! Dzikus! Nie waż się mnie tknąć!"*

Foyle puścił ją i cofnął się o krok. Jej wściekłość zmusiła go do odwrócenia się i ukrycia swej twarzy. Uczynił to ze złością.
- A więc symulowałeś. Wiedziałeś jak jauntować. Jauntowałeś już wtedy, gdy zgłaszałeś się na naukę w pierwszej klasie... robiłeś wielkie skoki naokoło całego kraju, naokoło świata, o ile się nie mylę.
- Ale!? Chodzę z Times Square do Columbus Circle... okrężną drogą, panno Robin.
- I to dlatego nigdy nie mogę się ciebie doliczyć. Ale dlaczego? Dlaczego? O co ci chodzi?

Na szkaradnej twarzy pojawił się wyraz opętańczej przebiegłości.
- Przywarowałem w Szpitalu Generalnym kurczę. To moja baza wypadowa, kapujesz? Przygotowuję coś, panno Robin. Mam dług do spłacenia, kurczaki. Musiałem odkryć miejsce postoju jednego statku. Chcę mu się teraz odwdzięczyć. Nie dam ci zgnić, „Vorga". Zabiję cię, „Vorga". Zarżnę cię.

Przestał krzyczeć i rzucił jej spojrzenie pełne dzikiego tryumfu. Robin cofnęła się przerażona.
- Na miłość boską, o czym ty mówisz?
- O „Vordze". „Vorga T : 1339". Nigdy o niej nie słyszałaś, panno Robin? Z rejestru statków Bonesa i Uiga dowiedziałem się gdzie jest teraz. Bones i Uig mają biuro w San Fran. Wybrałem się tam wtedy,

- Mój Boże, Gully - wyszeptała niedowierzająco Jisbella.
- Masz rację. Wyszliśmy z Gouffre Martel. Pozostało nam tylko poczekać na świt.

Roześmiała się. Otoczyła go ramionami i ucałowała, a on oddał jej uścisk. Paplali w uniesieniu. Osunęli się znowu na miękką trawę, ale podnieceni, niecierpliwi nie byli zdolni do odpoczynku - całe życie przed nimi.
- Cześć Gully, kochany Gully. Cześć Gully. Nareszcie.
- Czołem, Jiz.
- Mówiłam ci, że się kiedyś spotkamy... że niedługo pewnego dnia. Mówiłam ci, kochany. I to jest właśnie ten dzień.
- Noc.
- Niech ci będzie noc. Ale koniec już z mruczeniem po nocy przez Linię Szeptu. Noc już się dla nas skończyła, Gully, mój drogi.

Nagle uświadomili sobie, że są nadzy i już nie rozdzieleni leżą obok siebie. Jisbella zamilkła, ale nie uczyniła żadnego ruchu. Objął ją prawie ze złością i otoczył pożądaniem, które było nie mniejsze niż jej.

Gdy przyszedł świt, zobaczył, że jest śliczna: wysoka i szczupła, o podpalano rudych włosach i zmysłowych ustach.

Ale kiedy przyszedł świt, zobaczyła jego twarz.

ROZDZIAŁ 6

Herley Baker, doktor nauk medycznych, miał małą praktykę ogólną w Montanie-Oregonie, która była legalna i przynosiła dochody ledwo pokrywające koszta zakupu oleju napędowego, jaki doktor przepalał każdego weekendu, uczestnicząc w cieszących się wielką popularnością na Saharze rajdach ciągniczków do zbioru winorośli. Jego właściwe dochody płynęły z Fabryki Potworów w Trenton, do której Baker jauntował się każdego Poniedziałku, Środy i Piątku w nocy. Tam, za kolosalne honoraria i bez zadawania zbędnych pytań, powoływał Baker do życia potworności na użytek przemysłu rozrywkowego oraz przefasonowywał skóre, mięśnie i kości na zlecenie półświatka.

Przypominający z wyglądu męską położną Baker siedział teraz na ocienionej werandzie swojej rezydencji w Spokane, słuchając Jiz McQueen kończącej właśnie opowieść o swej ucieczce.
- Kiedy po wyjściu z Gouffre Martel znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni, poszło już łatwo. Natrafiliśmy na jakiś domek myśliwski, włamaliśmy się do środka i zabraliśmy stamtąd trochę ubrań. Były tam też strzelby... śliczne, stare, stalowe rzeczy do zabijania materiałem wybuchowym. Zabraliśmy je i sprzedaliśmy paru miejscowym. Pieniędzmi opłaciliśmy przejazd do najbliższej jauntrampy, którą pamiętaliśmy.
- Do której?
- Biarritz.
- Podróżowaliście nocą, co?
- Ma się rozumieć.
- Zrobiliście coś z twarzą Foyla?
- Próbowałam robić mu makijaż, ale to nic nie pomagało. Ten cholerny tatuaż ciągle wyłaził. Potem kupiłam ciemny surogat i spryskałam mu nim twarz.
- Pomogło?
- Nie - powiedziała ze złością Jiz. - Trzeba trzymać gębę na kłódkę, bo inaczej surogat pęka i łuszczy się. Foyle nie mógł się powstrzymać od gadania. Nigdy tego nie potrafił. To było piekło.
- Gdzie on teraz jest?
- Sam Quatt ciąga go za sobą.
- Myślałem, że Sam skończył już z działalnością przestępczą.
- Bo skończył - powiedziała ponuro Jisbella. - Ale ma wobec mnie dług do spłacenia. Opiekuje się Foylem. Krążą jauntując, żeby być ciągle przed glinami.
- Ciekawe - mruknął Baker. - W życiu nie widziałem przypadku tatuażu. Myślałem, że to wymarła umiejętność. Włączyłbym go do mojej kolekcji. Wiesz, że zbieram osobliwości, Jiz?
- Wszyscy wiedzą o tym twoim zoo w Trenton. Jest upiorne.
- W zeszłym miesiącu trafiła mi się autentyczna bratnia cysta - zaczął z zapałem Baker.
- Nie chcę tego słuchać - przerwała mu Jiz. - I nie chcę, żeby Foyle znalazł się w twoim zwierzyńcu. Czy potrafisz usunąć mu to z twarzy? Oczyścić ją? On mówi, że w Szpitalu Generalnym mieli z tym twardy orzech do zgryzienia.

– Tunel może być dłuższy niż zdołamy powstrzymać się od oddychania.
– Musimy ryzykować.
– Nie mogę.
– Musisz. Innej drogi nie ma. Napompuj płuca. Trzymaj się mnie. Wspierając się wzajemnie w wodzie i oddychając głęboko, napełniali płuca powietrzem. Foyle popchnął lekko Jisbellę w kierunku podwodnego tunelu.
– Płyń pierwsza. Będę tuż za tobą... Pomogę, jak będziesz miała kłopoty.
– Kłopoty! – krzyknęła Jisbella trzęsącym się głosem. Zanurzyła się i pozwoliła, aby prąd wessał ją do tunelu. Foyle zanurkował za nią. Rwąca woda wciągała ich głębiej i głębiej miotając obojgiem o szklisto gładkie ściany kanału. Foyle płynął tuż za Jisbellą, czując, jak jej młócące wodę nogi grzmocą go po głowie i ramionach.
Mknęli przez zdający się nie mieć końca tunel. Rozsadzało im już płuca, a ślepe oczy wychodziły z orbit, gdy wtem znowu dał się słyszeć ryk i pokazała się powierzchnia. Mogli zaczerpnąć tchu. Zamiast wypolerowanych przez wodę ścian tunelu mieli teraz wokół siebie postrzępione skały. Foyle złapał Jisbellę za nogę i uczepił się sterczącego z brzegu skalnego występu.
– Musimy tu wyleźć z rzeki – krzyknął.
– Co?
– Musimy się wspiąć na górę. Słyszysz ten ryk, tam przed nami? To katarakty. Progi. Rozedrze nas na strzępy. Wyłaź, Jiz.
Była zbyt wyczerpana, aby wspiąć się na brzeg. Wypchnął jej ciało w górę, na skały i sam poszedł w jej ślady. Leżeli na ociekających wodą kamieniach nie mając nawet siły na rozmowę. W końcu Foyle stanął chwiejnie na nogi.
– Musimy iść dalej – powiedział. – Wzdłuż rzeki. Gotowe?
Nie miała siły odpowiedzieć. Nie miała siły zaprotestować. Pomógł jej wstać i ruszyli przez ciemność potykając się co chwila i starając trzymać się brzegu strumienia. Trawersowali gigantyczne głazy usypane w stosy, wznoszące się jak dolmeny, przemieszane, rozrzucone w labirynt. Kluczyli między nimi i krążyli, aż zgubili rzekę. Nie słyszeli już jej w ciemnościach; nie mogli do niej wrócić. Nie mogli nigdzie wrócić.
– Zabłądziliśmy... – mruknął Foyle z rozgoryczeniem. – Znowu zabłądziliśmy. Tym razem na dobre. Co teraz zrobimy?
Jisbella zaczęła płakać. Wydawała z siebie bezradne, a zarazem rozwścieczone dźwięki. Foyle zatrzymał się i usiadł, pociągając ją za sobą.
– Może masz i rację, mała – powiedział apatycznie. – Może i jestem cholernym durniem. Wpędziłem nas oboje w tę pułapkę, z której nie można się jauntować i leżymy.
Nie odpowiedziała.
– Tyle pracy myślowej. Od cholery edukacji, której mi udzielałaś. Wszystko na nic. – Zawahał się. – Nie uważasz, że powinniśmy po własnych śladach pójść z powrotem do szpitala?
– Nigdy nam się to nie uda.
– Chyba nie. Ćwiczyłem sobie tylko mózg. Może powinniśmy podnieść wrzawę? Narobić tyle hałasu, żeby wykryli nas G-fonem?
– Nigdy nas nie usłyszą... Nigdy nas tu nie znajdą.
– Możemy narobić wystarczająco dużo hałasu. Możesz mnie na przykład trochę pomaltretować. Oboje będziemy mieli przyjemność.
– Zamknij się.
– Co za bryndza! Padł na plecy, uderzając głową o kępkę miękkiej trawy. – Na pokładzie „Nomada" miałem chociaż jakąś szansę. Było tam jedzenie i widziałem gdzie idę. Mogłem... – urwał w pół zdania i poderwał się do pozycji siedzącej. – Jiz!
– Nie gadaj tyle.
Pomacał grunt pod sobą i wydarł paznokciami kępkę darni z paroma grudkami ziemi. Podsunął gwałtownym ruchem dłoń pod nos Jisbelli.
– Powąchaj to – roześmiał się. – Posmakuj. To trawa, Jiz. Ziemia i trawa. Musimy być na zewnątrz Gouffre Martel.
– Co?
– Na dworze jest noc. Czarna jak smoła. Pochmurna. Wyszliśmy z jaskiń nie wiedząc nawet o tym. Jesteśmy na zewnątrz, Jiz! Udało się.
Zerwali się na nogi wytężając wzrok, słuchając, węsząc. Ciemności były nieprzeniknione, ale słyszeli cichy poświst nocnego wiatru, a do ich nozdrzy dolatywała słodka woń zielonych roślin. Gdzieś w oddali ujadał pies.

kiedy przerabiałaś z nami jauntrampy średnicowe. Wybrałem się, kurczę, do San Fran. Znalazłem „Vorgę", kurczę. Stoi w stoczni Vancouver. Należy do Presteigna z Presteignów. Słyszałaś o nim, panno Robin? Presteign to największy człowiek na Ziemi i kropka. Ale mnie nie powstrzyma. Zarżnę „Vorgę". I ty też mnie nie powstrzymasz, panno Robin.
Foyle przysunął swoją twarz blisko twarzy dziewczyny.
– Jestem kryty. Przewiduję każdy słaby punkt w moim planie. Mam coś na każdego, kto może mi przeszkodzić w zabiciu „Vorgi"... na ciebie też coś mam, panno Robin.
– Nie.
– Czyżby? Wyniuchałem gdzie mieszkasz. Wiedzą to w szpitalu. Przyszedłem tu i rozejrzałem się. Czytałem twój pamiętnik. Masz rodzinkę na Callisto. Matkę i dwie siostry.
– Na miłość boską!
– A za takie powiązania wędruje się na dywanik do Wywiadu. Kiedy zaczynała się wojna, tobie i całej reszcie dano miesiąc na wyniesienie się z Planet Wewnętrznych i powrót do domów. Wszystkim, którzy nie stali się jeszcze szpiegami w obliczu prawa. – Foyle otworzył dłoń. – Tu cię mam, skarbie. – Zacisnął dłoń w pięść.
– Moja matka i siostry od półtora roku próbują opuścić Callisto. Jesteśmy z Planet Wewnętrznych. My...
– Tu cię mam – powtórzył Foyle. – Wiesz co robią ze szpiegami? Wyciągają z nich informacje. Wywrócą cię na nice, panno Robin. Posiekają na kawałeczki.
Murzynka krzyknęła. Foyle pokiwał radośnie głową i ujął w swe dłonie jej trzęsące się ramiona.
– Mam cię, skarbie, i koniec. Nie możesz nawet ode mnie uciec, bo wystarczy, że doniosę na ciebie Wywiadowi i podam miejsce twojego pobytu. I co ty na to? Nie ma takiej siły, która by mnie powstrzymała; ani ty, ani szpital, ani nawet Święty Potężny Presteign z Presteignów.
– *„Wynoś się stąd ty obrzydliwy, szkaradny... stworze. Wynoś się!"*
– Nie podoba ci się moja buzia, panno Robin? Tak, czy inaczej nic na to nie poradzisz.
Schwycił ją nagle i przeniósł na rękach do głębokiej kanapy. Rzucił dziewczynę na posłanie.
– Nic – powtórzył.

Przywiązany do zasady rzucającego się w oczy marnotrawstwa, na której opiera się funkcjonowanie całego społeczeństwa, Presteign z Presteignów wyposażył swój wiktoriański dwór w Central Park w windy, domofony, wyciągi kuchenne i wszystkie inne urządzenia, które ułatwiały kiedyś życie, a które jaunting uczynił zbędnymi. Po tym ogromnym, pretensjonalnym zamczysku wędrowała sumiennie służba otwierając i zamykając drzwi oraz wspinając się i schodząc po schodach.
Presteign z Presteignów wstał z łóżka, ubrał się z pomocą swojego lokaja i fryzjera, zjechał windą do komnaty porannej i zjadł śniadanie w asyście kamerdynera, lokaja i kelnerki. Po opuszczeniu komnaty porannej, udał się do swego gabinetu. W wieku, w którym systemy komunikacyjne wyszły już niemal z użycia, w którym daleko prościej było jauntować się do czyjegoś biura celem przeprowadzenia rozmowy niż telefonować tam czy telegrafować, Presteign nadal trzymał w swoim gabinecie antyczną centralkę telefoniczną obsługiwaną przez operatora.
– Daj mi Dagenhama – powiedział do operatora wchodząc do gabinetu.
Operator zakrzątnął się przy centralce i już po chwili połączył się z Daganham Couriers, Inc. Była to organizacja zrzeszająca przysięgłych jauntowców o kapitale w wysokości stu milionów kredytu, świadcząca wszelkie jawne i poufne usługi na rzecz każdego zleceniodawcy. Ich stawka wynosiła 1 r za milę. Dagenham gwarantował usługi kuriera zdolnego okrążyć w osiemdziesiąt minut kulę ziemską.
Po osiemdziesięciu sekundach od chwili połączenia rozmowy, na prywatnej jauntrampie przed domem Presteigna zjawił się kurier Dagenhama. Wylegitymowano go i wpuszczono przez jauntoszczelny labirynt, znajdujący się za głównym wejściem. Tak jak każdy członek personelu Dagenhama, był on jauntowcem klasy M, zdolnym do teleportowania się w nieskończoność w tysiącmilowych skokach i obeznanym z tysiącami współrzędnych jauntowskich. Był to starszy specjalista od spraw szykanowania i pochlebstw, wyszkolony w ciętej sprawności języka i zuchwalstwie, co charakteryzowało firmę Dagenham Couriers i odzwierciedlało bezwzględność jej założyciela.
– Presteignie? – spytał przybyły nie tracąc czasu na konwenanse.
– Chcę zaangażować Dagenhama.
– Do usług, Presteignie.
– Nie ciebie. Chcę samego Saula Dagenhama.
– Mr. Dagenham nie świadczy już usług osobiście za mniej jak 100 000 r.
– Suma będzie pięciokrotnie wyższa.
– Zaliczka, czy procent?

- Jedno i drugie. Zaliczki ćwierć miliona i ćwierć miliona wyrównania plus dziesięć procent od całej sumy tytułem ryzyka.
- Zgoda. Sprawa?
- PirE.
- Proszę przeliterować.
- Ta nazwa nic dla ciebie nie znaczy?
- Nie.
- To nic. Dagenham będzie wiedział o co chodzi. PirE. Duże P,i-r, duże E. Wymawia się pire. Przekaż Dagenhamowi, że ustaliliśmy gdzie znajduje się PirE. Powiedz mu, że jego zadaniem jest zdobycie tego... bez względu na koszta... poprzez człowieka nazwiskiem Foyle. Gullivera Foyle.
Kurier wydobył maleńką, srebrzystą perełkę - mnemopaciorek - powtórzył do niego instrukcje Presteigna i oddalił się bez zbędnych słów. Presteign zwrócił się do operatora centralki.
- Daj mi Regisa Sheffielda - polecił.
W dziesięć minut po połączeniu rozmowy z kancelarią adwokacką Regisa Sheffielda, na prywatnej jauntrampie Presteigna pojawił się młody aplikant. Został wylegitymowany i wpuszczony przez labirynt. Był to żwawy młodzieniec o pospolitej aparycji i fizjonomii zachwyconego królika.
- Wybacz zwłokę, Presteignie - powiedział na wstępie. - Odebraliśmy twój telefon w Chicago, a ja ciągle jestem tylko pięćsetmilowcem klasy D. Podróż zajęła mi trochę czasu.
- Twój szef prowadzi sprawę w Chicago?
- W Chicago, Nowym Jorku i Waszyngtonie. Przez całe rano jauntuje z sądu do sądu. Zastępujemy go, kiedy jest akurat w innym mieście.
- Chcę go zaangażować.
- To wielki zaszczyt, Presteignie, ale pan Sheffield jest bardzo zajęty.
- Dla PirE rzuci wszystko.
- Przepraszam, sir; niezupełnie...
- Wiem, że ty niezupełnie, ale Sheffield będzie rozumiał. Powiedz mu tylko PirE i wymień wysokość jego honorarium.
- Które wyniesie?
- Ćwierć miliona zaliczki i ćwierć miliona wyrównania plus dziesięć procent od całej sumy tytułem ryzyka.
- A jakie jest zadanie pana Sheffielda?
- Ma przygotować wszelkie legalne środki prawne w celu porwania człowieka i ukrycia go przed armią, marynarką i policją.
- Jasne. Ten człowiek?
- Gulliver Foyle.
Aplikant wymruczał szybko kilka słów do swojego mnemopaciorka, wepchnął paciorek do ucha, posłuchał chwilę, kiwnął z zadowoleniem głową i oddalił się. Presteign opuścił gabinet i zszedł wybitymi pluszowym chodnikiem schodami do apartamentu swej córki, aby złożyć jej poranne wyrazy uszanowania.
W zamożnych domach pokoje niewiast były ślepe - bez okien i drzwi - i dostać się do nich mogli, jauntując, tylko członkowie najbliższej rodziny. W ten sposób zachowana była moralność i chroniona cnota. Ale Olivia Presteign była niewidoma w normalnym tego słowa znaczeniu i nie mogła jauntować. Z tej przyczyny do jej apartamentu wchodziło się przez drzwi, ściśle strzeżone przez staroświecką czeladź odzianą w liberię w barwach klanu Presteignów.
Olivia Presteign była przepiękną albinoską. Miała jedwabisto-białe włosy, satynowo-białą skórę oraz koralowe paznokcie, usta i oczy. Była piękna i niewidoma w zadziwiający sposób, ponieważ widziała tylko w podczerwieni, reagując na fale o długości od 7500 angstremów do jednego milimetra. Widziała fale cieplne, pola magnetyczne, fale radiowe, radarowe, ultradźwiękowe oraz pola elektromagnetyczne.
Uroczystych Porannych Audiencji udzielała w salonie swego apartamentu. Siedziała teraz w obitym brokatem fotelu o wywiniętych poręczach, pilnowana przez swą damę do towarzystwa, popijała herbatę ze szklanki i czyniła honory domu, gawędząc z grupą kilkunastu mężczyzn i kobiet zgromadzonych wokół niej w salonie. Wyglądała jak subtelna rzeźba z marmuru i koralu, mrugając oczyma, które patrzyły, ale nie widziały.
Presteign złożył córce wyrazy uszanowania i opuścił swoją rezydencję. Udał się do głównego biura swego klanu na Wall Street 99 powozem zaprzężonym w czwórkę koni i powożonym przez stangreta, któremu towarzyszył stajenny. Obaj nosili czerwono-czarno-niebieskie barwy handlowe Presteigna. To czarne P na szkarłatno-kobaltowym polu było w hierarchii społecznej jednym z najstarożytniejszych i

- W dół, Jiz. Idziemy każdym pochyleniem, które prowadzi w dół.
- Masz jakiś pomysł?
- Mam. Niespodzianka, niespodzianka. Mózg zamiast bomb.
- Mózg zamiast... - Jisbella wybuchnęła histerycznym śmiechem. - Wpadłeś jak bomba do Ćwiartki Południowej wymachując kowalskim młotem i t... tto ma być t...ten twój mmózg zamiast b...b..b... - Wyła i skręcała się ze śmiechu nie mogąc go opanować, dopóki Foyle nie chwycił jej za ramiona i nie potrząsnął. - Zamknij się, Jiz. Jeśli tropią nas G-fonem, to usłyszeliby ciebie z Marsa.
- P...Przepraszam, Gully. Przepraszam. Ja... - Wzięła głęboki oddech. - Dlaczego mamy iść w dół?
- Do rzeki; tej, którą cały czas słyszymy. Musi przepływać gdzieś blisko. Wypływa pewnie z topniejącego lodowca.
- Do rzeki?
- To jedyna pewna droga prowadząca na zewnątrz. Musi gdzieś wypływać z góry. Popłyniemy.
- Gully, tyś oszalał!
- O co chodzi, kurcze? Nie umiesz pływać?
- Pływać umiem, ale...
- No to musimy spróbować. Musimy, Jiz. Chodź.
Podczas gdy szum rzeki z każdą chwilą narastał, oni zaczęli opadać z sił. W końcu Jisbella zatrzymała się dysząc ciężko.
- Gully, muszę odpocząć.
- Nie przystawaj. Jest za zimno.
- Już nie mogę.
- Nie zatrzymuj się. - Namacał jej ramię.
- Zabierz te łapy - krzyknęła rozwścieczona. W jednej chwili przemieniła się w sekutnicę. Puścił ją, zdumiony tym nagłym wybuchem.
- Co ci się stało? Głowa do góry, Jiz. Jestem zdany na ciebie.
- Co? Mówiłam przecież, że musimy planować... opracować ucieczkę..., a teraz wpędziłeś nas w sytuację bez wyjścia.
- Sam byłem w sytuacji bez wyjścia. Dagenham chciał mi zmienić celę. Nie mielibyśmy już Linii Szeptu. Musiałem, Jiz... no i wydostaliśmy się, może nie?
- Z czego się wydostaliśmy? Zagubieni w Gouffre Martel. Szukający jakiejś cholernej rzeki, żeby się w niej utopić. Jesteś idiotą, Gully i ja też jestem idiotka, że dałam ci się w to wrobić. Niech cię diabli porwą! Niech cię diabli! Sprowadzasz wszystko do swojego imbecylskiego poziomu i mnie też do niego sprowadziłeś. Uciekaj. Walcz, Grzmoć. To wszystko na co cię stać. Bij, łam, wysadzaj. Burz... Gully!
Jisbella krzyknęła. W ciemnościach rozległ się zgrzyt obruszonego kamienia i jej krzyk zaczął zamierać gdzieś w dole coraz to niżej i niżej, aż urwał się wraz z głośnym pluskiem. Foyle słyszał jak jej ciało uderza o wodę. Skoczył do przodu, krzycząc - Jiz! - i zachwiał się nad krawędzią przepaści.
Runął w dół i z oszałamiającym wstrząsem grzmotnął plackiem o wodę. Lodowata rzeka zamknęła się nad nim i nie wiedział już gdzie góra, a gdzie dół. Miotając się i dusząc czuł, jak wartki nurt wlecze go po lodowatej, oślizłej skale i po chwili, puszczając bąbelki z ust, wyniesiony został na powierzchnię. Krztusił się i krzyczał. Usłyszał odpowiedź Jisbelli. Jej głos był słaby i zagłuszany przez ryk potoku. Popłynął z prądem, próbując ją dogonić.
Krzyczał bez przerwy, słysząc głos dziewczyny coraz to cichszy i cichszy. Ryk wzmógł się i nagle Foyle runął w dół wodospadu wraz z syczącym płatem wody. Zanurkował do samego dna głębokiego rozlewiska i walcząc zawzięcie z otaczającym go żywiołem, jeszcze raz wypłynął na powierzchnię.
Wir cisnął nim o zimne ciało uczepione kurczowo gładkiej, skalnej ściany.
- Jiz!
- Gully! Dzięki Bogu!
Przywarli do siebie na chwilę opierając się rwącemu prądowi.
- Gully... - wykrztusiła Jisbella - Przepływa tędy.
- Rzeka?
- Tak.
Czepiając się ściany ominął dziewczynę i wymacał wlot podwodnego tunelu. Prąd wsysał ich do niego.
- Trzymaj się - wysapał Foyle. Badał skałę po prawej i po lewej stronie kanału. Kamienne ściany otaczające rozlewisko były gładkie i bez występów.
- Nie damy rady wspiąć się na górę. Musimy przepłynąć.
- Tam nie ma powietrza, Gully. Nie ma powierzchni.
- Nie cały czas. Wstrzymamy oddechy.

zawadzając o występy ściany na zakrętach. Foyle objął prowadzenie i biegł trzymając przed sobą jak antenę trzonek kowalskiego młota. Nagle zderzył się ze ścianą i zdał sobie sprawę, że dotarli do końca ślepego korytarza. Znaleźli się w pułapce.

– Co teraz?

– Nie wiem. To mi też wygląda na ślepą uliczkę moich pomysłów. Wrócić nie możemy na pewno. Sprałem w biurze Dagenhama. Nienawidzę tego faceta. Wygląda jak etykieta na buteleczce z trucizną. Masz jakąś myśl, mała?

– Och, Gully... Gully – zaszlochała Jisbella.

– Liczyłem na twoje pomysły. „Koniec z bombami", mówiłaś. Teraz chciałbym mieć jedną. Mógłbym... Chwileczkę. – Dotknął wilgotnej ściany, o którą się opierali. Pod palcami wyczuł karbowaną szachownicę murarskich spoin. – Komunikat od G. Foyla: „To nie jest naturalna ściana jaskini. To jest sztuczny mur. Z cegły i kamieni. Czuję".

– Tak? – Jisbella pomacała ścianę.

– To by znaczyło, że korytarz tu się nie kończy. Biegnie dalej. Zamurowali go. Odcięli drogę.

Odepchnął Jisbellę od muru, przyłożył ręce do ziemi, aby natrzeć namydlone dłonie piaskiem i zaczął walić młotem w ścianę. Walił jednostajnym rytmem, chrząkając i posapując. Stalowy młot uderzał w mur z głuchym odgłosem, jaki wydają zderzające się pod wodą kamienie.

– Nadchodzą – powiedziała Jiz. – Słyszę ich.

Głuchy łomot ciosów przeszedł w odgłosy kruszenia i miażdżenia. Najpierw rozległ się cichy szmer, a potem ruszyła lawina kamyków i pokruszonej zaprawy. Foyle zdwoił wysiłki. Wtem usłyszeli rumor i twarze owiał im prąd lodowatego powietrza.

– Przebite – wymamrotał Foyle.

Zaatakował z wściekłością krawędzie wybitej w murze dziury. Wokół fruwały cegły, kamienie i okruchy starej murarskiej zaprawy. Foyle przerwał i zawołał do Jisbelle.

– Spróbuj.

Odrzucił młot, pochwycił dziewczynę wpół i podniósł ją do ziejącego na wysokości piersi otworu. Wydała okrzyk bólu, próbując przecisnąć się przez ostre krawędzie. Foyle pchał ją bezlitośnie, aż przepchnął ramiona i biodra. Puścił nogi dziewczyny i słuchał jak spadała z drugiej strony muru.

Podciągnął się sam na rękach i przecisnął przez poszczerbioną wyrwę. Spadł z łoskotem na stertę cegieł i pokruszonej zaprawy, czując po drodze jak ręce Jisbelli próbują złagodzić jego upadek. Znaleźli się oboje w lodowatej czerni niezamieszkałych pieczar Gouffre Martel... całe mile nie zbadanych grot i jaskiń.

– Na Boga, jednak nam się udało – stęknął Foyle.

– Nie wiadomo, czy jest stąd jakieś wyjście, Gully. – Jisbella trzęsła się z zimna. – Może to tylko ślepy zaułek odgrodzony murem od szpitala?

– Musi być wyjście.

– Nie wiadomo, czy potrafimy je znaleźć.

– Musimy je znaleźć. Chodźmy mała.

Ruszyli na oślep w czerń. Foyle zdarł z głowy bezużyteczne gogle noktowizyjne. Wpadali na krawędzie i załomy skalne, uderzali głowami o niskie sklepienia, staczali się po pochyłościach i stromych, kamiennych stopniach. Przelazłszy przez ostrą jak brzytwa grań wydostali się na płaską równinę i ziemia uciekła im spod nóg. Upadli ciężko na szkliste podłoże. Foyle pomacał rękoma wokół siebie i dotknął ziemi językiem.

– Lód – mruknął. – To dobry znak. Jesteśmy w lodowej grocie, Jiz. To podziemny lodowiec.

Podnieśli się drżąc z zimna i stawiając szeroko nogi ruszyli po śliskiej tafli, która tworzyła się od tysiącleci w mrocznej otchłani Gouffre Martel. Po jakimś czasie dotarli do lasu kamiennych sopli, jaki uformowały sterczące w górę z postrzępionego podłoża stalagmity i stalaktyty zwisające w dół ze sklepień. Wibracje towarzyszące każdemu stąpnięciu udzieliły się ogromnym stalaktytom; z góry spadać na nich zaczęły z łoskotem ciężkie, kamienne włócznie. Na skraju lasu Foyle zatrzymał się, wyciągnął przed siebie ręce i szarpnął. Dał się słyszeć czysty, metaliczny dźwięk. Foyle poszukał ręki Jisbelli i wsunął jej w dłoń długi, zwężający się ku dołowi stożek stalagmitu.

– Laseczka – mruknął. Używaj jej tak, jak to robią ślepcy.

Wyłamał sobie drugi stalagmit i ruszyli przed siebie postukując, macając i potykając się w ciemnościach. Nie dochodził ich żaden ogłos prócz galopu panicznego strachu... własnych przerywanych oddechów, przyspieszonego bicia serc, stukotu kamiennych lasek, kapania licznych kropel wody i odległego szumu podziemnej rzeki przepływającej pod Gouffre Martel.

– Nie tędy, mała. – Foyle trącił Jisbellę w ramię. – Bardziej na lewo.

– Masz choć najmniejsze pojęcie dokąd się kierować, Gully?

najznakomitszych znaków handlowych, rywalizując z tak sławnymi markami, jak „57" Heinza i „RR" dynastii Rolls-Royce'a.

Widok głowy klanu Presteignów na ulicach miasta nie był niczym niezwykłym dla nowojorskich jauntowców. Szpakowaty, przystojny, dobrze zbudowany, nienagannie ubrany i o staroświeckich manierach, Presteign z Presteignów był idealnym typem człowieka z towarzystwa, a przy tym tak starał się podkreślić swą godność, że zatrudniał stangretów, woźniców, stajennych, masztalerzy, koniuszych i konie do celów, które zwyczajni śmiertelnicy załatwiali jauntingiem.

Presteign wkroczył do uwieńczonej blankami wieży wartowniczej przy Wall Steet 99 – Zamku Presteignów. Obsadzona była i strzeżona przez sławną Jaunt-Gwardię Presteigna, odzianą w klanową liberię. Presteign szedł do swego biura statecznym krokiem naczelnika przy akompaniamencie piskliwych dźwięków kobz. Prawdę powiedziawszy, był on kimś więcej niż naczelnikiem, o czym przekonał się ku swemu zmieszaniu pewien natrętny urzędnik państwowy, oczekujący na audiencję. Nieszczęśnik ten wyskoczył z czekającego tłumu i podbiegł do przechodzącego obok Presteigna.

– Panie Presteing – zaczął. – Jestem z Ministerstwa Finansów. Muszę dziś rano z panem poroz... – Presteign obrzucił urzędnika lodowatym spojrzeniem, przerywając mu w pół słowa.

– Presteignów są tysiące – wycedził przez zęby. – Do wszystkich zwraca się per „panie". Ale ja jestem Presteignem z Presteignów, głową domu i klanu, pierwszym w rodzinie, naczelnikiem septy. Do mnie należy zwracać się per Presteignie. Nie „panie" Presteign. Presteignie.

Odwrócił się i wkroczył do swojego biura, gdzie personel przywitał go przytłumionym chórem:

– Dzień dobry, Presteignie.

Presteign skinął łaskawie głową, uśmiechnął się swoim bazyliszkowym uśmiechem i zasiadł za ustawionym na podwyższeniu biurkiem, a Jaunt-Gwardia niestrudzenie popiskiwała na kobzach i bębniła na bębnach. Presteign dał ręką znak do rozpoczęcia audiencji. Spośród zebranych wystąpił Nadworny Koniuszy, dzierżąc w dłoniach rulon papieru. Presteign pogardzał mnemopaciorkami i wszelkiego rodzaju mechanicznymi maszynami biurowymi.

– Raport o stanie finansów przedsiębiorstw Klanu Presteignów – obwieścił Koniuszy. – Poziom górny $201\frac{1}{2}$, poziom dolny $201\frac{1}{4}$. Średnie notowania w Nowym Jorku, na Cejlonie, w Tokio...

Presteign machnął ze zniecierpliwieniem ręką. Koniuszy wycofał się ustępując miejsca Czarnemu Drągowi.

– Kolejny pan Presto czeka na przyjęcie w poczet członków klanu, Presteignie.

Presteign stłumił w sobie niecierpliwość i przecierpiał nudną ceremonię zaprzysiężenia czterysta dziewięćdziesiątego siódmego pana Presta w hierarchii Prestów Presteignów, zarządzającego sklepami w dziale handlu detalicznego Presteigna. Do niedawna człowiek ten miał własną twarz i ciało. Teraz, po latach bacznej obserwacji i intensywnej indoktrynacji, dostąpił zaszczytu wstąpienia w szeregi Prestów.

Po sześciu miesiącach wypełnionych operacjami plastycznymi i zajęciami z zakresu psychoprzystosowania, nie różnił się on w niczym od pozostałych czterystu dziewięćdziesięciu sześciu Prestów oraz od wyidealizowanego pana Presta, z portretu wiszącego za podium Presteigna... miłego, prawego mężczyzny, przypominającego nieco Abrahama Lincolna, człowieka, który z miejsca wzbudza sympatię i zaufanie. Na całym świecie klienci wchodzili do identycznego sklepu Presteigna i byli tam witani przez identycznego kierownika – pana Presta. Rywalizowali z nim, lecz bezskutecznie, pan Kwik z Klanu Kodaka i Wuj Monty z Montgomery Ward.

Gdy ceremonia dobiegła końca, Presteign poderwał się gwałtownie z miejsca na znak, że upłynął czas przeznaczony na posłuchanie publiczne. Biuro opróżniono ze wszystkich z wyjątkiem wysokich urzędników. Presteign spacerował tam i z powrotem tłumiąc najwidoczniej rozsadzającą go niecierpliwość. Nigdy nie klął, ale jego powściągliwość straszniejsza była niż przekleństwa.

– Foyle – odezwał się zduszonym głosem. – Zwykły majtek. Pyłek. Lump. Męt społeczny. I to taki człowiek stoi między mną a...

– Jeśli pozwolisz, Presteignie – wtrącił nieśmiało Czarny Drąg. – Jest godzina jedenasta Czasu Wschodniego, ósma Czasu Pacyficznego.

– Co z tego?

– Jeśli pozwolisz, Presteignie, czy wolno mi będzie ci przypomnieć, że o godzinie dziewiątej Czasu Pacyficznego odbędzie się ceremonia wystrzelenia? Masz jej przewodniczyć w stoczni Vancouver.

– Wystrzelenia?

– Tak, naszego nowego frachtowca, Presteignie. „Księżniczki". Nawiązanie trójwymiarowej transmisji ze stocznią potrwa jakiś czas, lepiej więc będzie...

– Osobiście wezmę udział w ceremonii.

– Osobiście! – wykrzyknął drżącym głosem Czarny Drąg. – Ależ nie sposób dolecieć w godzinę do Vancouver, Presteignie. My...

– Jauntuję się – warknął Presteign z Presteignów. Takie było jego podniecenie.
Zatrwożony personel poczynił pospieszne przygotowania. Przodem jauntowali się kurierzy, aby uprzedzić znajdujące się na trasie biura Presteigna i oczyścić prywatne jauntrampy.
Presteign wszedł na rampę, przywołał z pamięci współrzędne miejsca przeznaczenia w filadelfijskim biurze, mając przed oczyma wyraźny jego obraz i przypominając sobie dokładnie jego położenie. Odprężył się i wyzwolił w kierunku celu jedną, skoncentrowaną wiązkę woli i wiary. Jauntował się. Nastąpił przyprawiający o zawrót głowy moment, kiedy widział to wszystko jak przez mgłę. Kontury rampy nowojorskiej rozmyły się; wyostrzyły się kontury rampy filadelfijskiej. Doznał uczucia spadania, a zaraz potem wznoszenia się. Przybył. Czarny Drąg i reszta świty przyjauntowała w podyktowanym szacunkiem odstępie czasu.
I tak, jauntując się po sto i dwieście mil naraz, Presteign przemierzył kontynent i przybył przed główne wejście do doków stoczni Vancouver dokładnie o godzinie dziewiątej rano Czasu Pacyficznego. Nowy Jork opuścił był o godzinie jedenastej rano. Zyskał dwie godziny światła dziennego. To było również rzeczą normalną w świecie jauntingu.
Wchodząc na dziedziniec stoczni Vancouver, Presteign i jego świta mogli dostrzec, który z szybów jest obecnie w użyciu. Z niektórych sterczały dzioby i kadłuby statków kosmicznych, wysunięte za pomocą ekranów grawitacyjnych na ćwierć czy pół długości ponad poziom betonowej płyty. To robotnicy pracujący w głębi szybów przesuwali ich sekcje rufowe na odpowiednie poziomy technologiczne. W pobliżu centrum płyty, częściowo wysunięte, stały trzy transportowce Presteigna klasy V: „Vega", „Vestal" i „Vorga", poddawane właśnie operacji zdejmowania i wymiany płyt poszycia, na co wskazywało migotanie cichych błyskawic spawalniczych palników wokół „Vorgi".
Świta Presteigna zatrzymała się przed betonowym budynkiem oznaczonym napisem WEJŚCIE. Na jego ścianie wisiała tablica głosząca:

WCHODZĄC TU BEZPRAWNIE NARAŻASZ
NA NIEBEZPIECZEŃSTWO SWOJE ŻYCIE.
ZOSTAŁEŚ OSTRZEŻONY!

Delegacji rozdano plakietki gości. Dostał ją nawet Presteign. Przypiął emblemat sumiennie, bowiem dobrze wiedział jaki byłby skutek wejścia na teren stoczni bez takiej ochronnej plakietki. Towarzystwo ruszyło dalej i klucząc między szybami dotarło do sektora O-3, w którym wylot szybu udekorowany był flagami w barwach Presteigna, a nad jego krawędzią wznosiła się mała trybuna.
Powitano Presteigna po czym on sam przywitał się ze swymi podwładnymi. Orkiestra Presteigna zagrała hymn klanowy, skoczny i hałaśliwy i nagle okazało się, że jeden z instrumentów oszalał. Wydał bezwstydną nutę, która grzmiała głośniej i głośniej, aż w końcu zagłuszyła całą orkiestrę i zdziwione okrzyki zebranych. Dopiero wtedy Presteign uświadomił sobie, że to nie dźwięk instrumentu, a wycie stoczniowej syreny alarmowej.
W stoczni znajdował się intruz; ktoś nie noszący plakietki identyfikacyjnej, ani plakietki gościa. Wyzwolone zostało pole radarowe systemu zabezpieczającego i rozległ się alarm. Przez ochrypły ryk syreny, Presteign słyszał wielokrotne „cmoknięcia". To straż stoczniowa jauntowała się z trybuny zajmując pozycje wokół pola o powierzchni mili kwadratowej. Jego przyboczna Jaunt-Gwardia otoczyła go ciasnym kołem, przyjmując postawę czujną i wyczekującą.
Jakiś głos zaczął wrzeszczeć przez megafon, koordynując przebieg akcji obronnej:
„NIEZIDENTYFIKOWANY OBIEKT W STOCZNI, NIEZIDENTYFIKOWANY OBIEKT W STOCZNI W SEKTORZE E JAK EDWARD DZIEWIĘĆ. E JAK EDWARD DZIEWIĘĆ. PORUSZA SIĘ PIESZO NA ZACHÓD".
– Ktoś tu musiał wtargnąć – krzyknął Czarny Drąg.
– Domyślam się – odparł chłodno Presteign.
– Musi być obcy, jeśli się tu nie wjauntował.
– Tego również się domyślam.
„NIEZIDENTYFIKOWANY OBIEKT PORUSZA SIĘ NA POŁUDNIE W KIERUNKU SEKTORA B JAK BAKER TRZY. B JAK BAKER TRZY".
Presteign spojrzał w kierunku sektora B-3. Pojawiła się tam postać pędząca szybko w kierunku szybu, zmieniająca co chwila kierunek, robiąca uniki i zwody ciałem, przedzierająca się coraz bliżej. Był to mężczyzna w niebieskiej, szpitalnej piżamie z rozwichrzoną strzechą czarnych włosów i zniekształconą twarzą, która wyglądała z daleka tak, jakby pomalowano ją jakimiś sinymi barwami. Jego ubranie, przypalane ochronnym polem indukcyjnym systemu zabezpieczającego, migotało jak zimny ogień.
„B JAK BAKER TRZY ALARM. B JAK BAKER TRZY NADCHODZI".
Dały się słyszeć krzyki i odległy grzechot serii karabinowych oraz pojękiwania pistoletów pneuma-

w kierunku celi Południe 900. Wpadł na jakąś postać – następną strażniczkę. Przyłożył jej raz młotem. Krzyknęła i upadła. Kobiety pacjentki podniosły wrzask. Foyle stracił rachubę. Podbiegł kawałek... zatrzymał się...
– Jiz! – ryknął.
Usłyszał jej głos. Natknął się na kolejną strażniczkę. Rozprawił się z nią tak jak z poprzednimi i biegł dalej, aż znalazł w końcu celę Jisbelli.
– Gully, na miłość boską... – Jej głos był przytłumiony.
– Cofnij się, mała. Cofnij się. – Grzmotnął trzy razy młotem w drzwi celi i te, z wyrwanym zamkiem, runęły do środka. Zataczając się wpadł do celi i zderzył się z jakąś postacią.
– Jiz? – wysapał, z trudem chwytając powietrze. – Przepraszam cię... Przechodziłem. Pomyślałem, że wpadnę.
– Gully, w imię...
– Tak, tak. Cholery można dostać jak się tu do ciebie idzie, wiesz? Szybciej. Wychodź, mała. Wychodź. – Wyciągnął ją z celi. – Nie możemy przebijać się przez biura. Nie lubią mnie tam. Którędy do twoich Sanitariatów?
– Gully, jesteś szalony.
– Cała Ćwiartka jest ciemna. Zmiażdżyłem kabel zasilający. Mamy pięćdziesiąt procent szans. Ruszaj, mała. Ruszaj.
Popchnął ją potężnie. Poprowadziła go korytarzami do automatycznych komór żeńskich Sanitariatów. Podczas gdy mechaniczne ręce zdejmowały z nich ubranie, mydliły ich, moczyły, spryskiwały i dezynfekowały, Foyle jeździł dłońmi po ścianach, szukając po omacku szklanej tafli medycznego okienka obserwacyjnego. Znalazłszy je machnął młotem i rozbił w kawałki.
– Przechodź, Jiz.
Popchnął dziewczynę przez okienko i sam przecisnął się za nią. Oboje byli rozebrani do naga, wysmarowami mydłem, pokaleczeni odłamkami szkła i krwawili. Foyle, ślizgając się i rozbijając o niewidoczne w ciemnościach przeszkody, szukał drzwi, przez które wchodzili tu oficerowie medyczni.
– Nie mogę znaleźć drzwi, Jiz. Drzwi z kliniki. Ja...
– Sza...!
– Ale...
– Cicho, Gully.
Namydlona dłoń znalazła jego usta i zacisnęła się na nich. Druga dłoń wpiła się tak mocno w jego ramię, że paznokcie przebiły mu skórę. Poprzez wrzawę dochodzącą z jaskiń przebijał stukot kroków zdających się rozlegać tuż tuż. Przez komory Sanitariatów biegli po omacku Strażnicy. Podczerwone oświetlenie nie zostało jeszcze naprawione.
– Mogą zauważyć okno – syknęła Jisbella. – Cicho.
Przykucnęli na podłodze. Kroki tupotały po komorach w oszałamiającym tempie. Potem oddaliły się.
– Poszli sobie – wyszeptała Jisbella. – Ale zaraz wrócą z reflektorami. Chodź, Gully. Wychodzimy.
– Ale drzwi do kliniki, Jiz. Zdaje mi się...
– Żadnych drzwi tu nie ma. Korzystają ze spiralnych schodów i kiedy wychodzą, wciągają je na górę. Oni również pomyśleli o tej drodze ucieczki. Będziemy musieli poszukać wyciągu pralni. Bóg jeden wie co z tego wszystkiego wyniknie. Och, Gully, ty wariacie! Ty kompletny wariacie!
Przeleźli przez okienko obserwacyjne z powrotem do komór. Szukali w ciemnościach wyciągu, którym zabierane były stare ubrania i podawane nowe, a mechaniczne ręce ponownie mydliły ich, spryskiwały i dezynfekowały. Nic nie mogli znaleźć. Wtem miauczenie syreny, odbijając się echem po jaskiniach, wyciszyło wszystkie inne dźwięki. Zapadła cisza przytłaczająca jaki ciemność.
– Tropią nas G-fonem, Gully.
– G... czym?
– Geofonem. Wykrywa szept przez pół mili litej skały. Syrena była sygnałem do wyciszenia.
– A wyciąg pralni?
– Nie mogę go znaleźć.
– No to chodź.
– Gdzie?
– Uciekamy.
– Dokąd?
– Nie wiem, ale nie dam się złapać klawiszom. Trochę gimnastyki dobrze ci zrobi.
Znowu popchnął Jisbellę przed sobą i potykając się co chwila pobiegli dysząc przez czerń korytarza prowadzącego w dół, do najgłębiej położonych partii Południowej Ćwiartki. Jisbella upadła dwa razy,

– Nie.

– No to interes ubity. – Dagenham był zachwycony. Z jego włosów emanowała jasna, widmowa poświata! – Będziesz na wolności w przeciągu sześciu godzin. Od razu zaczniemy załatwiać sprawę twojego przyjaciela. Szkoda, że straciliśmy tyle czasu, ale nikt ciebie nie doceniał, Foyle.

– Dlaczego nie nasłaliście na mnie telepaty? Może by mnie rozpracował.

– Telepaty? Bądź rozsądny, Foyle. Na wszystkich Planetach Wewnetrznych nie ma nawet dziesięciu pełnych telepatów. Ich czas jest zarezerwowany na dziesięć lat z góry. Nie mogliśmy namawiać któregoś, żeby bezinteresownie, czy nawet za pieniądze przerywał swój ustalony harmonogram zajęć.

– Przepraszam cię, Dagenham, ale uważam, że jesteś kiepski w swoim fachu.

– Nieomal mnie uraziłeś.

– Teraz wiem, że po prostu łżesz.

– Schlebiasz mi.

– Mogłeś zaangażować telepatę. Któryś z nich na pewno skusiłby się na jeden mały wiórek odłupany od dwudziestu milionów.

– Władze nigdy by...

– Nie wszyscy pracują dla rządu. Nie. Masz coś zbyt trefnego, żeby dopuścić do tego telepatę.

Widmowa poświata przemknęła błyskawicznie przez pomieszczenie i pochwyciła Foyla.

– Co wiesz, Foyle? Co ukrywasz? Dla kogo pracujesz? – Ręce Dagenhama drżały. – Chryste! Jakim ja byłem głupcem. Teraz wszystko jasne. Jesteś niezwykły, bo nie jesteś zwykłym kosmonautą. Pytam: dla kogo pracujesz?

– Foyle odtrącił ręce Dagenhama.

– Dla nikogo – odparł. – Tylko dla siebie.

– Dla nikogo, co? A ten twój przyjaciel z Gouffre Martel, którego tak bardzo chcesz uwolnić? Na Boga, udało ci się prawie wywieść mnie w pole, Foyle. Powiedz kapitanowi Yáng-Yeovilowi, że mu gratuluję. Ma lepszy personel niż myślałem.

– Nigdy nie słyszałem o żadnym Yáng-Yeovilu.

– Ty i twój kumpel zgnijecie tutaj. To nieuczciwe. Zgnijesz tutaj. Przeniosę ciebie do najgorszej celi w szpitalu. Pogrzebię ciebie na samym dnie Gouffre Martel. Ja... Straż! S...

Foyle schwycił Dagenhama za gardło, przydusił do podłogi i walnął jego głową o posadzkę z kamiennych płyt. Dagenham wierzgnął raz nogami i znieruchomiał. Foyle ściągnął mu gogle noktowizyjne i założył je na oczy. Wzrok powrócił w łagodnych, czerwonoróżowych światłach i cieniach.

Znajdował się w małej salce przyjęć, której umeblowanie stanowił stół i dwa krzesła. Zerwał z Dagenhama marynarkę i dwoma szybkimi ruchami ubrał się w nią sam, zdzierając przy tym plecy. Na stole leżał trójgraniasty, zbójnicki kapelusz Dagenhama. Foyle bez namysłu wcisnął go na głowę nasuwając skrzydło głęboko na oczy.

W przeciwległych ścianach salki widniały dwie pary drzwi. Foyle uchylił jedne. Wychodziły na korytarz północny. Zamknął je i przeskoczywszy przez pokój, wyjrzał przez drugie. Prowadziły do jauntoszczelnego labiryntu. Foyle wyślizgnął się przez te drzwi i znalazł się w labiryncie. Bez przewodnika, który by go przezeń przeprowadził, zabłądził natychmiast. Zaczął biegać tu i tam, przemierzając spiralne korytarze i zakręty, aż znalazł się z powrotem w salce przyjęć. Dagenham dźwigał się właśnie na kolana.

Foyle zawrócił do labiryntu. Biegł. Dopadł zamkniętych drzwi i otworzył je z trzaskiem. Za nimi ukazała się jego oczom wielka hala, oświetlona normalnym światłem. Dwaj technicy pochyleni nad warsztatem ślusarskim podnieśli głowy i spojrzeli na niego zdumieni. Foyle porwał oparty o ścianę młot kowalski i niczym jaskiniowiec runął na mężczyzn, powalając obu. Daleko za sobą słyszał krzyki Dagenhama. Przebiegł dzikim wzorkiem po hali stwierdzając z przerażeniem, iż znalazł się w ślepej uliczce. Hala miała kształt litery L. Foyle popędził za róg, wypadł przez drugie drzwi do kolejnego, jauntoszczelnego labiryntu i znowu zabłądził. Zaczął brzęczeć system alarmowy Gouffre Martel. Foyle grzmotnął młotem w ścianę labiryntu, wywalając wielką dziurę w cienkim, plastykowym przepierzeniu. Znalazł się w oświetlonym podczerwienią połudnoiowym korytarzu ćwiartki żeńskiej.

Korytarzem nadbiegały dwie kobiety – strażniczki. Foyle machnął młotem i zwalił je z nóg. Znajdował się na samym niemal początku korytarza. Przed nim ciągnęła się długa perspektywa drzwi do cel. Na każdych jarzył się czerwony numer. Z góry korytarz oświetlały błyszczące, czerwone kule. Foyle stanął na palcach i uderzył młotem w kulę, która wisiała nad jego głową. Walił młotem w oprawkę aż rozgniótł ją i zmiażdżył kabel zasilający. Cały korytarz pogrążył się w ciemnościach... nieprzeniknionych nawet dla noktowizyjnych gogli.

– Będzie sprawiedliwie; teraz dla wszystkich ciemno – wydyszał Foyle i pognał korytarzem macając ściany i licząc drzwi. Jisbella przekazała mu dokładny, słowny opis Ćwiartki Południowej. Biegł, licząc,

tycznych. Sześciu robotników w bieli rzuciło się na intruza. Roztrącił ich jak kręgle i pędził dalej w kierunku szybu B-3, z którego wystawał dziób „Vorgi". Jak piorun przebijał się przez kordony zagradzających mu drogę robotników i strażników obracając się jak fryga, waląc jak maczuga, wwiercając się nieubłaganie naprzód jak świder.

Zatrzymał się nagle, sięgnął za pazuchę swojej jaskrawej kurtki i wydobył stamtąd czarną puszkę. Konwulsyjnym ruchem wijącego się w agonii zwierzęcia odgryzł wieczko puszki i cisnął ją z rozmachem. Zataczając szeroki łuk poszybowała prosto w kierunku „Vorgi". W następnej chwili powalono go.

„MATERIAŁ WYBUCHOWY, KRYĆ SIĘ. MATERIAŁ WYBUCHOWY. KRYĆ SIĘ. KRYĆ..."

– Presteignie! – zaskrzeczał Czarny Drąg.

Presteign uciszył go machnięciem ręki i obserwował jak puszka wzlatuje najpierw łagodnym łukiem w górę, a potem spada wirując wokół własnej osi i migocząc w zimnych promieniach słońca prosto na dziób „Vorgi". Na krawędzi szybu przechwycona została przez wiązkę antygrawitacyjną i wyprysnęła w górę, jakby podbita pstryknięciem paznokcia wielkiego palca niewidzialnego olbrzyma. Wirowała wyżej i wyżej i wyżej, sto stóp, pięćset stóp, tysiąc stóp... Potem nastąpił oślepiający błysk, a w chwilę później tytaniczny grzmot, który poraził uszy i wywołał zdrętwienie zębów i kości.

Presteign przyszedł do siebie i zszedł z trybuny na podium, z którego dokonywano operacji inauguracyjnego wystrzeliwania nowo zbudowanych statków kosmicznych. Położył palec na przycisku startowym „Księżniczki" Presteigna.

– Sprowadź mi tego człowieka, jeśli jeszcze żyje – powiedział do Czarnego Drąga. Nacisnął przycisk. – Chrzczę ciebie... „Potęgą" Presteigna – zawołał tryumfalnie.

ROZDZIAŁ 4

Komnata Gwiaździsta w Zamku Presteigna była owalnym pomieszczeniem o witrażowych oknach oraz ścianach wyłożonych boazerią z kości słoniowej i obwieszonych wysokimi lustrami w złotych ramach. Znajdowały się w niej złote organy firmy Tiffany z robotem organistą, biblioteka książek o tłoczonych złotem grzbietach z androidem bibliotekarzem na bibliotecznej drabinie, biurko w stylu Ludwika XV z androidem sekretarzem i ręcznym rejestratorem mnemopaciorkowym, amerykański bar z robotem barmanem. Presteign wolałby tu zatrudniać służbę złożoną z żywych ludzi, ale roboty były dyskretniejsze.

– Proszę usiąść, kapitanie Yeovil – powiedział z kurtuazją Presteign. – To jest pan Regis Sheffield reprezentujący mnie w tej sprawie, a ten młody człowiek to asystent pana Sheffielda.

– Bunny jest moją podręczną biblioteczką prawniczą – odchrząknął Sheffield.

– Mówił pan coś o człowieku nazwiskiem Foyle, kapitanie Yeovil? – zagaił Presteign.

Kapitan Yáng-Yeovil z Centrali Wywiadowczej był w prostej linii potomkiem mędrca Menciusa i należał do Tongu Wywiadowczego Sił Zbrojnych Planet Wewnętrznych. SZPW od dwustu lat powierzały robotę wywiadowczą Chińczykom, którzy mając za sobą pięć tysięcy lat praktyki w podstępach i chytrości dokonywali na tym polu cudów.

– Kiedy skończycie z Foylem? – spytał od niechcenia.

– Z jakim Foylem? – wtrącił się Sheffield.

– A jakiego Foyla macie?

– Do klanu Presteigna należy trzynastu ludzi o tym nazwisku.

– Interesująca liczba. Czy wie pan, że byłem Mistrzem Zabobonu? Muszę panu któregoś dnia pokazać Tajemnicę „Patrz w Lustro i Słuchaj". Chodzi mi o Foyla zamieszanego w meldowaną dziś rano próbę targnięcia się na życie pana Presteigna.

– Presteigna – sprostował Presteign. – Nie jestem żaden „pan". Jestem Presteign z Presteignów.

– Były trzy próby zamachu na życie Presteigna – powiedział Sheffield. – Musi pan to ściślej sprecyzować.

– Czy wszystkie trzy dziś rano? Presteign musiał być bardzo zajęty – westchnął Yáng-Yeovil.

Sheffield dowiódł, że jest przebiegłym przeciwnikiem. Agent spróbował zmienić kierunek natarcia:

– Szkoda, że nasz pan Presto nie był bardziej precyzyjny – powiedział.

– Wasz pan Presto! – wykrzyknął Presteign.

– No tak. Nie wiedziałeś, że jeden z twoich pięciuset Prestów jest naszym agentem? To dziwne. Zakładaliśmy, że to odkryłeś i rozpoczęliśmy już nawet operację zacierania śladów.

Presteign wyglądał na przerażonego. Yáng-Yeovil założył nogę na nogę i paplał dalej chełpliwie:

- To podstawowy mankament rutynowej procedury wywiadowczej: zaczyna się działać przebiegle zanim ta przebiegłość jest w ogóle potrzebna.
- On blefuje - wybuchnął Presteign. - To niemożliwe, żeby któryś z naszych Prestów wiedział coś o Foylu.
- Dziękuję - uśmiechnął się Yáng-Yeovil. - To właśnie ten Foyle, którego poszukuję. Kiedy nam go oddacie?
Sheffield popatrzył spode łba na Presteigna, po czym zwrócił się do Yáng-Yeovila.
- „Wam", to znaczy komu? - spytał natarczywie.
- Centrali Wywiadowczej.
- Do czego on wam potrzebny?
- Czy kochał się pan już kiedy z kobietą przed zdjęciem ubrania albo po jego nałożeniu?
- To cholernie impertynenckie pytanie.
- I takie też było pańskie. Kiedy oddacie nam Foyla?
- Kiedy zostaną przedstawione podstawy prawne.
- Komu?
- Mnie - Sheffield postukał palcem wskazującym w otwartą dłoń. - To jest sprawa cywilna i dotycząca osób cywilnych. O ile w grę nie wchodzi materiał wojskowy, personel wojskowy lub strategia albo taktyka toczącej się wojny, jurysdykcja cywilna zawsze będzie górą.
- 303 Apelacje Ziemskie 191 - wymamrotał Bunny.
- Na pokładzie „Nomada" znajdował się materiał wojskowy.
- „Nomad" transportował platynowe sztabki do Banku Marsjańskiego - warknął Presteign. Jeśli pieniądze są...
- Ja prowadzę tę dyskusję - przerwał mu Sheffield. Odwrócił się do Yáng-Yeovila. - Nazwa tego materiału wojskowego?
To otwarte wyzwanie zbiło Yáng-Yeovila z tropu. Wiedział, że w sprawie „Nomada" najważniejsze było to, że na jego pokładzie znajdowało się dwadzieścia funtów substancji o nazwie PirE, cały światowy zapas, którego obecnie nie da się już zrekonstruować, bowiem wynalazca tego materiału zniknął. Wiedział, że Sheffield o tym wie, że obaj wiedzą. Zakładał, że Sheffield będzie wolał nie wymieniać nazwy PirE, a jednak wyzwanie do nazwania czegoś, czego nazwy nie można było wymieniać padło.
Zdecydował się odpowiedzieć szczerością na szczerość.
- Dobrze, panowie. Wymienię teraz tę nazwę. „Nomad" transportował dwadzieścia funtów substancji o nazwie PirE.
Presteign zerwał się z miejsca; Sheffield uspokoił go.
- Co to jest PirE?
- Zgodnie z naszymi informacjami...
- Uzyskanymi od pana Presto Presteigna?
- Ależ nie, to był blef - roześmiał się Yáng-Yeovil i natychmiast spoważniał. - Zgodnie z posiadanymi przez Wywiad informacjami, PirE opracowany został dla Presteigna przez człowieka, który następnie zniknął. PirE to Metal Wybuchowy - pirofor. To wszystko co nam wiadomo w tej sprawie. Ale meldunki o nim były niejasne... Niewiarygodne meldunki od agentów, skądinąd cieszących się naszym zaufaniem. Jeśli choć w niewielkim stopniu nasze domysły są prawdą, to PirE mógłby przeważyć na naszą korzyść szalę zwycięstwa w tej wojnie.
- Bzdura. Żaden materiał wojskowy nigdy w takim stopniu nie zaważył na losach wojny.
- Czyżby? A jeżeli wspomnę bombę atomową z 1945 roku. Przypomnę instalacje antygrawitacyjne Zero-G z 2022 roku. Wszechpolowy Fałszujący Ekran Radarowy Talleya. Materiał często może przeważyć szalę, zwłaszcza gdy istnieje szansa, że nieprzyjaciel będzie go miał pierwszy.
- Teraz nie ma takiej szansy.
- Dziękuję, że potwierdza pan znaczenie PirE.
- Niczego nie potwierdzam. Wszystkiemu zaprzeczam.
- Centrala Wywiadowcza gotowa jest zaproponować panom wymianę. Człowieka za człowieka. Wynalazcę PirE za Gully Foyla.
Macie go? - spytał Sheffield. - Po co więc dręczycie nas pytaniami o Foyla?
- Ponieważ mamy trupa! - wyrzucił z siebie Yáng-Yeovil. - Dowództwo Satelitów Zewnętrznych trzymało go przez sześć miesięcy na Lassellu, usiłując wyciągnąć zeń informacje. Odbiliśmy go wypadem, który kosztował nas siedemdziesiąt dziewięć procent strat w ludziach. Ciągle nie wiemy, czy Satelity Zewnętrzne nie śmiały się do rozpuku z naszego poświęcenia, pozwalając nam odbić ciało. Ciągle nie wiemy ile się od niego dowiedzieli.
- Presteign siedział sztywno, jakby kij połknął. Jego palce bębniły to szybko, to wolno.

- Może nam się udać, Gully. Nie wątp w to ani przez chwilę. W ich systemie alarmowym musi być pełno luk.
- Nikt ich nigdy nie znalazł.
- Nikt wcześniej nie pracował ze wspólnikiem. Zsumujemy nasze informacje i dokonamy tego.

Nie chodził już do Sanitariatów i z powrotem powłócząc nogami. Macał ściany korytarza, zapamiętywał drzwi, uczył się rozpoznawać ich fakturę, liczył, słuchał, dedukował i meldował. Pytania, które szeptał pod prysznicem umywalni i szorowalni do otaczających go ludzi, miały teraz swój cel. Wspólnymi siłami, Foyle i Jisbella, odtworzyli sobie obraz zwyczajów panujących w Gouffre Martel i jej systemu zabezpieczającego.
Pewnego poranka, podczas powrotu z Sanitariatów, zatrzymano go w chwili gdy miał już wkroczyć do swojej celi.
- Zostań w szeregu, Foyle.
- To już Północ - 111. Wiem przecież gdzie mam odłączyć.
- Idź dalej.
- Ale... - Był przerażony. - Przenosicie mnie?
- Masz gościa.
Pomaszerował dalej do końca korytarza północnego, gdzie spotykał się on z trzema innymi korytarzami głównymi, tworząc z nimi wspólnie ogromny krzyż szpitala. Pośrodku krzyża mieściły się biura administracji, warsztaty naprawcze, kliniki i zakłady wytwórcze. Wepchnięto Foyla do pomieszczenia tak samo ciemnego, jak jego cela. W mroku dostrzegł opalizującą blado sylwetkę. Było to ni mniej ni więcej tylko widmo postaci o poplamionym ciele i trupiej główce. Na twarzy czaszki czerniały dwa krążki będące albo oczodołami, albo goglami noktowizyjnymi.
- Dzień dobry - powiedział Saul Dagenham.
- To ty? - wykrzyknął Foyle.
- Tak, to ja. Mamy pięć minut. Siadaj. Krzesło jest za tobą.
Foyle namacał w ciemnościach krzesło i usiadł.
- Cieszysz się? - spytał Dagenham.
- Czego chcesz, Dagenham?
- Zaszła jakaś zmiana - stwierdził oschle Dagenham. - Kiedy ostatnio gawędziliśmy, twój udział w dialogu ograniczał się jedynie do pobożnego życzenia: „Idź do diabła".
- Idź do diabła, Dagenham, jeśli przez to poczujesz się trochę lepiej.
- Twoje riposty poprawiły się; twoja wymowa również. Zmieniłeś się - powiedział Dagenham. - Zmieniłeś się o wiele za dużo i o wiele za szybko. Nie podoba mi się to. Co się z tobą stało?
- Chodziłem do szkoły wieczorowej.
- Spędziłeś w niej dziesięć miesięcy.
- Dziesięć miesięcy! - powtórzył w osłupieniu Foyle. - Taki szmat czasu.
- Dziesięć miesięcy bez obrazu i dźwięku. Dziesięć miesięcy w odosobnieniu. Powinieneś się złamać.
- Ach, tak. Jestem złamany, niech ci będzie.
- Powinieneś skamleć. Miałem rację. Jesteś niezwykły. W tym tempie zajmie to zbyt dużo czasu. Nie możemy czekać. Chciałbym przedstawić ci nową propozycję.
- To przedstawiaj.
- Dziesięć procent wartości ładunku „Nomada". Dwa miliony.
- Dwa miliony! - wykrzyknął Foyle. - Dlaczego od razu tego nie zaproponowałeś?
- Bo nie znałem twojego kalibru. Umowa stoi?
- Prawie, ale jeszcze niezupełnie.
- Co jeszcze?
- Wyjdę z Gouffre Martel.
- Ma się rozumieć.
- I ze mną ktoś jeszcze.
- Można to załatwić. - Głos Dagenhama nabrał ostrości. - To wszystko?
- Umożliwiacie mi wgląd w akta Presteigna.
- Nie ma mowy. Oszalałeś? Bądź rozsądny.
- Chodzi o rejestr statków.
- W jakim celu?
- Chcę obejrzeć listy personelu latającego na jego statkach.
- Aha - ożywienie Dagenhana powróciło. - To mogę załatwić. Coś jeszcze?

– Foyle, posłuchaj mnie. Zapomnij o Ślepym Jauntingu. Nie ryzykuj niepotrzebnie. To cudowne.
– Co jest cudowne?
– W Gouffre Martel istnieje akustyczny fenomen... zdarzają się takie w podziemnych jaskiniach... fenomen ech, korytarzy i sklepień akustycznych. Ci co pamiętają dawne czasy, nazywają go Linią Szeptu. Nigdy w to nie wierzyłam. Nikt nigdy nie wierzył, ale to prawda. Rozmawiamy ze sobą przez Linię Szeptu. Nikt poza nami nie może nas usłyszeć. Możemy rozmawiać, Foyle. Możemy planować. Może uda nam się uciec.

Nazywała się Jisbella McQueen. Łatwo wpadała w gniew, była niezależna, inteligentna i odbywała pięcioletnią kurację w Gouffre Martel za kradzież. Jisbella w czarująco gwałtowny sposób wyjaśniła Foylowi przyczyny swego buntu przeciwko społeczeństwu.
– Nawet nie wiesz co jaunting zrobił z kobietami, Gully. Zamknął nas w areszcie domowym. Odesłał nas z powrotem do seraju.
– Co to jest seraj, mała?
– Harem. Miejsce, w którym trzyma się kobiety na podorędziu. Po tysiącu lat cywilizacji ciągle jesteśmy czyjąś własnością. Jaunting stanowi takie zagrożenie dla naszej cnoty, naszej świeżości, naszej wartości, że zamyka nas jak złotą sztabkę w sejfie. Nie mamy nic do roboty... nic przyzwoitego. Żadnych zajęć. Żadnych zawodów. Nie ma z tego wyjścia, Gully, chyba, że wybuchniesz i obalisz wszystkie normy.
– Musiałaś to zrobić, Jiz?
– Musiałam być niezależna, Gully. Musiałam żyć własnym życiem, a to był jedyny sposób na jaki pozwoliło mi społeczeństwo. Uciekłam więc z domu i zostałam kanciarką. – I tu Jiz zaczęła opisywać ponure szczegóły swojego buntu: Szantaż, Wymuszenie, Oszustwo, Wyłudzenie, Grabież, Włamania do mieszkań i grobowców, Jaunting nękający i Pijaństwo.
Foyle opowiedział jej o „Nomadzie" i o „Vordze", o swojej nienawiści i o swoich planach. Nie powiedział Jisbelli o swojej twarzy, ani o dwudziestu milionach w platynowych sztabkach, czekających gdzieś tam, wśród asteroidów.
– Co się stało z „Nomadem"? – spytała Jisbella. – Czy było tak, jak mówił ten Dagenham? Rozwalił go rajder z Satelitów Zewnętrznych?
– Nie wiem, kurczę. Nie pamiętam, mała.
– Wybuch pozbawił cię pamięci. Szok. Nie wyszło ci też na dobre przebywanie przez sześć miesięcy w samotności. Czy zauważyłeś coś, co warto by z „Nomada" ocalić?
– Nie.
– A Dagenham nie wspominał o czymś takim?
– Nie – skłamał Foyle.
– Musi więc istnieć inny powód, dla którego wtrącił cię do Gouffre Martel. Musi być coś jeszcze, czego chce od „Nomada".
– Tak, Jiz.
– Ale swoją drogą byłeś głupcem próbując wysadzić „Vorgę" w powietrze. Jesteś jak dzikie zwierzę, które chce dać szkołę pułapce, gdy ta go zrani. Stal nie jest żywa. Nie myśli. Nie możesz ukarać „Vorgi".
– Nie wiesz co mówisz, mała. „Vorga" mnie zostawiła.
– Ukarz mózg, Gully. Mózg, który zastawił pułapkę. Dowiedz się kto był na pokładzie „Vorgi". Dowiedz się, kto wydał rozkaz, by cię zostawili. Jego ukarz.
– Tak, ale w jaki sposób?
– Naucz się myśleć, Gully. Głowa, która doszła do tego jak uruchomić „Nomada" i jak sfabrykować bombę, powinna wymyśleć i to. Ale koniec z bombami; zamiast tego mózg. Odszukaj członka załogi „Vorgi". On ci powie, kto był wtedy na pokładzie. Wytrop ich. Dowiedz się, kto wydał ten rozkaz. Wtedy go ukarz. Ale to pochłonie trochę czasu, Gully... czasu i pieniędzy; więcej niż ich masz.
– Mam całe życie, kurczę.
Mruczeli tak przez Linię Szeptu całymi godzinami. Ich głosy rozbrzmiewały cicho, a jednak tuż koło ucha. W obu celach istniało tylko jedno szczególne miejsce, z którego można było słyszeć rozmówcę i dlatego upłynęło tyle czasu, zanim odkryli fenomen. Teraz jednak odrabiali stracony czas. Jisbella uczyła Foyla.
Ze światka przestępczego, w którym się obracała, odziedziczyła Jisbella masę informacji o Gouffre Martel. Nikt nigdy nie wyjauntował się ze szpitali jaskiniowych, ale półświatek przez dziesięciolecia gromadził i konfrontował informacje o nich. To właśnie na podstawie tych danych Jisbella zorientowała się szybko, że połączyła ich Linia Szeptu. Na podstawie tych informacji zaczęła rozważać możliwość ucieczki.

– Sheffield, do jasnej cholery! – wybuchnął Yáng-Yeovil.
– Czy nie widzisz kryzysu? Balansujemy na linie. Co u licha robisz najlepszego wspierając Presteigna w tej podejrzanej sprawie? Jesteś przecież liderem Partii Liberalnej... arcypatriotą ziemskim. Politycznym wrogiem numer jeden Presteigna. Puść go kantem, głupcze, zanim on wszystkich nas nie sprzeda.
– Kapitanie Yeovil – przerwał mu Presteign z lodowatym jadem w głosie – nie pozwolę na takie wyrażenia.
– Potrzebujemy PirE i musimy go mieć – ciągnął Yáng-Yeovil. – Musimy zbadać te dwadzieścia funtów PirE, odtworzyć metodę jego syntezy, opracować sposób zastosowania go na polu walki... i zdążyć z tym wszystkim zanim Satelity Zewnętrzne nie wystrychną nas na dudków, o ile już tego nie zrobiły... Ale Presteign wzbrania się od współpracy. Dlaczego? Ponieważ jest w opozycji w stosunku do partii rządzącej. Nie chce żadnych zwycięstw dla liberałów. W imię wielkiej polityki wolałby raczej, żebyśmy przegrali wojnę, bo bogacze w rodzaju Presteigna nigdy nie przegrywają. Opamiętaj się, Sheffield. Zaangażował cię zdrajca. Co ty wyprawiasz, na miłość boską?
Zanim Sheffield zdążył odpowiedzieć, rozległo się dyskretne pukanie do drzwi i do Komnaty Gwiaździstej wprowadzono Saula Dagenhama. Jeszcze nie tak dawno Dagenham był jednym z najznakomitszych uczonych Planet Wewnętrznych – fizykiem o wrodzonej intuicji, głębokiej wiedzy i z komputerem szóstej generacji zamiast mózgu. Ale kiedyś, na Tycho Sands, wydarzył się wypadek i atomowa eksplozja, która powinna była go zabić nie uczyniła tego. Zamiast umrzeć, stał się niebezpiecznie radioaktywny; stał się „gorący"; przekształcił się w dwudziestoczwartowieczną Zapowietrzoną Mańkę.
Rząd Planet Wewnętrznych wypłacał mu 25 000 r rocznie na koszta związane z przedsięwzięciem środków ostrożności, które, jak wierzono, zastosuje. Unikał fizycznego kontaktu z jakąkolwiek osobą przez okres dłuższy niż pięć minut dziennie. Nie mógł przebywać przez więcej niż trzydzieści minut dziennie w żadnym pomieszczeniu nie będącym jego własnym mieszkaniem. Opłacany przez Planety Wewnętrzne, które nakazały mu izolację, Dagenham poniechał badań naukowych i stworzył kolosalne Dagenham Couriers, Inc.
Ujrzawszy niskiego żywego trupa o blond włosach i ołowianoszarej cerze wchodzącego z uśmiechem trupiej główki do Sali Gwiaździstej, Yáng-Yeovil wiedział już, że w spotkaniu tym doznał porażki. Nic nie wskóra mając przeciw sobie tych trzech mężczyzn kierujących się wspólnym interesem. Wstał od razu.
– Udaję się w sprawie Foyla do Admiralicji – oznajmił. – Co do Wywiadu, negocjacje dobiegły końca. Od teraz rozpoczyna się wojna.
– Kapitan Yáng-Yeovil wychodzi – zawołał Presteign do oficera Jaunt-Gwardii, który wprowadził Dagenhama. – Proszę przeprowadzić go przez labirynt.
Yáng-Yeovil zaczekał aż oficer podejdzie do niego i zegnie się w ukłonie, po czym, gdy tamten ruszył przodem w stronę drzwi, Yáng-Yeovil spojrzał prosto w oczy Presteignowi, uśmiechnął się ironicznie i znikł z cichutkim cmoknięciem!
– Presteignie! – wykrzyknął Bunny. – On się jauntował. Ta sala nie jest dla niego ślepa. On...
– Najwyraźniej – przerwał mu lodowatym tonem Presteign.
– Przekaż Szambelanowi – poinstruował oszołomionego oficera Gwardii – że współrzędne Komnaty Gwiaździstej nie są już tajemnicą. Trzeba je zmienić w ciągu dwudziestu czterech godzin. A teraz, panie Dagenham...
– Chwileczkę – powiedział Dagenham – Admiralicja.
Bez słowa przeprosin, czy chociażby wyjaśnienia znikł także. Presteign uniósł brwi.
– Jeszcze jeden do kompanii obeznanej z tajemnicą Komnaty Gwiaździstej – mruknął pod nosem. – Ten miał chociaż tyle taktu, że nie dał tego po sobie poznać, zanim sekret się oficjalnie nie wydał.
Dagenham zjawił się ponownie.
– Nie ma sensu tracić czasu na kluczenie po labiryncie – powiedział. – Wydałem rozkazy w Waszyngtonie. Przytrzymają Yeovila. Dwie godziny gwarantowane, trzy godziny prawdopodobne, niewykluczone cztery godziny.
– W jaki sposób go przytrzymają? – spytał Bunny.
Dagenham posłał mu swój trupi uśmiech.
– Standardowa operacja firmy Dagenham Couriers – ZFZK. Zabawa, fantazja, zamieszanie, katastrofa... będziemy potrzebowali całych czterech godzin. O, cholera! Rozstroiłem twoje kukły, Presteignie. – Roboty zaczęły rzeczywiście pląsać w jakimś lunatycznym tańcu, gdyż twarde promieniowanie emitowane przez Dagenhama zakłóciło działanie ich układów elektronicznych. – No to ja będę leciał.
– Co z Foylem? – spytał Presteign.
– Jeszcze nic. – Dagenham uśmiechnął się swym uśmiechem trupiej główki. – On jest naprawdę

wyjątkowy. Próbowałem na nim wszystkich standardowych narkotyków i procedur... Nic. Na zewnątrz jest po prostu zwykłym kosmonautą... jeśli nie brać pod uwagę tego tatuażu na twarzy... ale wewnątrz jest ze stali. Coś ukrywa, ale trudno to z niego wyciągnąć.

– Co ukrywa? – spytał Sheffield.

– Mam właśnie nadzieję się dowiedzieć.

– W jaki sposób?

– Lepiej nie pytaj; stałbyś się wspólnikiem. Czy statek gotowy, Presteignie?

Presteign skinął głową.

– Nie gwarantuję, że będzie jakiś „Nomad", którego moglibyśmy odnaleźć, ale jeśli będzie, przyjdzie nam zmierzyć się z marynarką. Prawo gotowe, Sheffield?

– Gotowe. Mam nadzieję, że nie będziemy musieli z niego korzystać.

– Ja też ją mam; ale wracając do sprawy, niczego nie gwarantuję. No dobrze. Czekać w pogotowiu na instrukcję. Idę rozpracować Foyla.

– Gdzie go trzymasz?

Dagenham potrząsnął głową.

– To pomieszczenie nie jest pewne. – Zniknął.

Jauntował się trasą Cincinnati – Nowy Orlean – Monterey do Mexico City, gdzie pojawił się w Skrzydle Psychiatrycznym gigantycznego Szpitala Połączonych Uniwersytetów Ziemskich. „Skrzydło" nie było zbyt trafną nazwą dla oddziału, który w metropolii będącej szpitalem zajmował całe śródmieście. Dagenham wjauntował się na czterdzieste trzecie piętro Oddziału Terapii i zajrzał do stojącego w separatce zbiornika, w którym pływał nieprzytomny Foyle. Zerknął na czuwającego przy zbiorniku brodatego, dystyngowanego gentelmana.

– Cześć, Fritz.

– Czołem, Saul.

– A to ci heca. Ordynator Oddziału Psychiatrii pilnuje dla mnie pacjenta.

– Uważam, że jesteśmy ci winni specjalne względy, Saul.

– Ciągle wspominasz Tycho Sands, Fritz? Ja już nie. Czy nie zapaskudzę twojego skrzydła promieniowaniem?

– Mam wszystko zaekranowane.

– Jesteś gotów do brudnej roboty?

– Chciałbym wiedzieć o co ci chodzi.

– O informacje.

– I żeby je uzyskać, musisz zmieniać mój Oddział Terapii w salę przesłuchań?

– To był dobry pomysł.

– Czemu nie zastosujesz zwykłych narkotyków?

– Już próbowałem. Nic z tego. To nie jest zwykły człowiek.

– Wiesz przecież, że to nielegalne.

– Wiem. Co, rozmyśliłeś się? Chcesz się wycofać? Za ćwierć miliona mogę mieć taki sam sprzęt.

– Nie, Saul. Zawsze będziemy twoimi dłużnikami.

– No to zaczynajmy. Najpierw Teatr Koszmaru.

Potoczyli zbiornik korytarzem i wprowadzili go do sali o powierzchni dobrych stu stóp kwadratowych, której ściany, sufit i podłoga wysłane były miękkim materiałem. Przeprowadzano w niej kiedyś jeden z zaniechanych już przez terapeutykę eksperymentów. Teatr Koszmaru stanowił wczesną próbę wstrząsowego ściągania schizofreników z powrotem do realnego świata w drodze przedstawienia świata fantazji, w którym się zamknęli, niemożliwym do zamieszkania. Jednak niszczenie złudzeń i ranienie uczuć pacjentów okazało się zbyt okrutnym i wątpliwym sposobem leczenia.

Przez wzgląd na osobę Dagenhama, ordynator Oddziału Psychiatrii odkurzył trójwymiarowe projektory wizualne i połączył na nowo wszystkie projektory zmysłowe. Dekantowali Foyla ze zbiornika, dali mu zastrzyk ocucający i zostawili na podłodze pośrodku sali. Wytoczyli zbiornik na korytarz, pogasili światła i weszli do zamaskowanej kabiny sterowniczej. Stamtąd włączyli projektory.

Każde dziecko wyobraża sobie, że jego świat fantazji jest sam w sobie niepowtarzalny. Psychiatrzy wiedzą jednak, że rozkosze i lęki wyobraźni osobistej są wspólnym dziedzictwem przypadającym w udziale całemu rodzajowi ludzkiemu. Uczucie strachu, winy, przerażenia i wstydu można ludziom wzajemnie wymieniać i żaden z nich nie dostrzeże różnicy. Oddział Terapii Połączonego Szpitala zarejestrował tysiące taśm emocjonalnych i z uzyskanego w ten sposób materiału powstało jedno skondensowane wszechobejmujące, wszechprzerażające widowisko wystawiane w Teatrze Koszmaru.

Foyle ocknął się zlany potem, z trudem łapiąc oddech, nie zdając sobie nawet sprawy, że już się obu-

nywały zdalnie sterowane automaty. Po jednej krótkiej godzinie tego odprężenia zapadały znowu ciemności i cisza.

Od czasu do czasu jednak... raz albo dwa razy na tydzień (a może raz lub dwa w roku) dawał się słyszeć stłumiony odgłos odległej eksplozji. Wstrząs był wystarczająco silny, aby oderwać Foyla od pieca zemsty, w którym palił przez wszystkie okresy ciszy. Pytał szeptem otaczające go w Sanitariatach niewidzialne postaci.

– Co to za eksplozje?

– Eksplozje?

– No, wybuchy. Ciągle je słyszę, kurczę.

– To Ślepe Jauntingi.

– Co?

– Ślepe Jauntingi. Co jakiś czas jakiemuś gościowi bokiem wyłazi stary Jeffrey. Nie może człowiek dłużej wytrzymać. Jauntuje się na oślep w siną dal.

– Jezusie.

– Tak, tak. Nie wiem, kurczaki, skąd oni są. Nie wiem dokąd się udają. Ślepy Jaunting w ciemno... i słyszymy jak eksplodują w górach. Bum! Ślepy Jaunting.

Foyle był przerażony, ale nie potrafił zrozumieć. Ciemność, cisza i monotonia niszczyły umysły i doprowadzały ludzi do depresji. Samotność była nie do zniesienia. Pacjenci pogrzebani w szpitalu więziennym Gouffre Martel nie mogli się doczekać okresu porannej Sanitacji, kiedy to mieli okazję szepnąć słowo i usłyszeć słowo od kogoś. Ale te krótkie chwile były niewystarczające i znów wracała desperacja. Wtedy rozlegała się kolejna odległa eksplozja.

Czasami cierpiący ludzie napadali jeden na drugiego i wtedy w Sanitariatach wybuchała dzika walka. Przerywała ją natychmiast okularnicza staż, a poranny wykład nawiązywał do utrwalania Siły Moralnej, nakazując Cnotę Cierpliwości.

Foyle umiał już to nagranie na pamięć – każde słowo, każdy trzask na taśmie. Nauczył się nienawidzieć głosów wykładowców: Wyrozumiałego Barytona, Wesołkowatego Tenora, Poufałego Basa. Nauczył się nie słyszeć terapeutycznej monotonii i mechanicznie poddawać się leczeniu pracą, ale nie był w stanie wytrzymać zdających się nie mieć końca godzin samotności. Furia nie wystarczała.

Stracił rachubę czasu, posiłków, kazań. Nie szeptał już w Sanitariatach. Jego umysł wszedł w dryf i zaczął błądzić. Wyobraził sobie, że jest na pokładzie „Nomada" i przeżywa na nowo swoją walkę o przetrwanie. Potem puścił się nawet i tej ostatniej, wystruganej z iluzji, deski ratunku i zaczął pogrążać się coraz to głębiej w jamie katatonii; ciemność, sen – jak w łonie matki.

Były tam ulotne sny. Raz anioł mu nucił, kiedy indziej śpiewał cicho. Potem słyszał jak mówi: „O Boże..." i „Do diabła" i „Och..." w rozdzierającej serce, zniżającej się nucie.

Słuchając go, tonął w swej otchłani.

– Wyjście istnieje – mruknął mu anioł do ucha. Słodko, pocieszająco. Głos miał cichy i ciepły, a jednak przepojony złością. Był to głos wściekłego anioła. – Wyjście istnieje.

Szept docierał do jego ucha znikąd i nagle, z logiką desperata, uświadomił sobie, że jest wyjście z Gouffre Martel. Był głupcem, że nie zauważył go wcześniej.

– Tak – wycharczał. – Jest wyjście.

Rozległo się ciche westchnienie, a po nim ciche pytanie:

– Kto to?

– Ja, kurczę – powiedział Foyle.

– Znasz mnie. – Gdzie jesteś?

– Tutaj. Tu gdzie zawsze byłem, kurczę.

– Ale tu nie ma nikogo. Jestem sama.

– Muszę ci podziękować za pomoc.

– Źle jest słyszeć głosy – wymamrotał szalony anioł. – To pierwszy krok do obłędu. Muszę przestać.

– Pokazałeś mi wyjście. Ślepy Jaunting.

– Ślepy Jaunting! Mój Boże, to musi być jawa. Mówisz żargonem. Musisz istnieć naprawdę. Kim jesteś?

– Jestem Gully Foyle.

– Ale nie jesteś w mojej celi. Nie jesteś nawet w pobliżu. Mężczyźni są w północnej ćwiartce Gouffre Martel. Kobiety są w południowej. Jestem Południe-900. A ty?

– Północ-111.

– To ćwierć mili ode mnie. Jak możemy... Oczywiście! To Linia Szeptu. Zawsze uważałam to za legendę, ale to prawda. Działa teraz.

– No to idę, kurczę – szepnął Foyle. – Ślepy Jaunting.

widoków na to, żeby pokryć ten niedobór z aktualnych dostaw. Presteign przesyłał te pieniądze w platynowych sztabkach na pokładzie „Nomada". Były zamknięte w sejfie płatnika statku.

– Dwadzieścia milionów – wyszeptał Foyle.

– Plus minus kilka tysięcy. Statek był ubezpieczony, ale oznacza to tylko tyle, że towarzystwo ubezpieczeniowe – Bones i Uig nabyło prawa do ratowania wraka, a oni są jeszcze bezwzględniejsi od Presteigna. Ale i dla ciebie znajdzie się nagroda. Powiedzmy dwadzieścia tysięcy kredytek.

– Dwadzieścia milionów – wyszeptał znowu Foyle.

– Przypuszczamy, że rajder Satelitów Zewnętrznych załatwił „Nomada" gdzieś na trasie, ale nie zabrał go. Nie mogli wejść na pokład i splądrować statku, bo wtedy nie pozostałbyś przy życiu. To by znaczyło, że sejf płatnika jest ciągle... Foyle, słuchasz mnie?

Ale Foyle nie słuchał. Miał przed oczyma dwadzieścia milionów... nie dwadzieścia tysięcy... dwadzieścia milionów w platynowych sztabkach, jako szeroką autostradę wiodącą wprost do „Vorgi". Koniec już z drobnymi kradzieżami ze schowków i laboratoriów. Dwadzieścia milionów na dostanie i starcie „Vorgi".

– Foyle!

Foyle ocknął się. Spojrzał na Dagenhama.

– Nic nie wiem w „Nomadzie" – powiedział

– Co znów w ciebie wstąpiło, u diabła? Dlaczego znowu nabierasz wody w usta?

– Nic nie wiem o „Nomadzie".

– W porządku. – Dagenham splunął. Wskazał nagle na kwiat orchidei, który uprzednio zamknął w swych dłoniach. Zwiądł i zaczynał gnić. – Oto co cię czeka.

ROZDZIAŁ 5

Na południe od Saint-Girons, niedaleko granicy hiszpańsko-francuskiej, znajduje się najgłębsza przepaść we Francji – Gouffre Martel. Jej jaskinie ciągną się całymi milami pod Pirenajami. Jest to najstraszliwszy szpital jaskiniowy na Ziemi. Z jego smolistych ciemności nie wyjauntował się nigdy żaden pacjent. Żadnemu pacjentowi nie udało się ustalić swego położenia i określić współrzędnych jauntowskich czarnej czeluści szpitala.

Oprócz lobotomii czołowych płatów mózgu istnieją jedynie trzy inne sposoby powstrzymania człowieka przed jauntowaniem: silny cios w głowę wywołujący wstrząs i utratę pamięci, podanie środka uspokajającego, który nie pozwala na koncentrację oraz zatajenie współrzędnych jauntowskich. Z tych trzech, wiek jauntingu za najpraktyczniejsze uważał zatajenie.

Cele ciągnące się wzdłuż krętych korytarzy Gouffre Martel wykute są w litej skale. Nie dociera do nich nigdy promień światła. Nigdy nie oświetla się korytarzy. Mrok rozpraszają jedynie lampy podczerwone. Jest to czarne światło, widzialne tylko dla strażników i personelu szpitalnego, noszącego szpiegowskie okulary o szkłach poddanych specjalnej obróbce. Dla pacjentów panuje tam jedynie czarna cisza Gouffre Martel, mącona dobiegającym z oddali szumem podziemnych wód.

Dla Foyla istniała tam tylko cisza, szum i codzienne szpitalne procedury. O ósmej rano (mogła to być równie dobrze każda inna godzina w bezczasowej otchłani) budził go dzwonek. Wstawał i konsumował poranny posiłek dostarczany do celi automatycznie przewodami pneumatycznymi. Trzeba go było zjeść od razu, gdyż namiastka porcelany, z której zrobione były filiżanki i talerze rozpuszczała się w przeciągu piętnastu minut. O ósmej trzydzieści drzwi celi otwierały się i Foyle wraz z setkami towarzyszy niedoli szurając nogami i macając pod sobą drogę w ciemnościach udawał się krętymi korytarzami do Sanitariatów.

Tutaj, ciągle w ciemnościach, poddawano ich obróbce jak woły w rzeźni: obmywano, golono, napromieniowywano, dezynfekowano, podawano lekarstwa i szczepiono. Zdejmowano z nich papierowe mundurki i odsyłano je do warsztatów, celem przerobienia na miazgę celulozową. Wydawano nowe mundurki. Następnie szurając nogami wracali z powrotem do swoich cel, które podczas ich pobytu w Sanitariatach były automatycznie szorowane. Znalazłszy się z powrotem w swojej celi przez całą resztę poranka słuchał Foyle niekończących się pogadanek terapeutycznych, wykładów, porad moralnych i etycznych. Potem znowu zapadała cisza i nie było słychać nic oprócz szumu odległych wód i cichych kroków okularniczej straży snującej się po korytarzach.

W południe odbywało się leczenie pracą. W każdej celi rozjarzały się ekrany telewizyjne i pacjent wsuwał ręce w ramkę ekranu. Widział trójwymiarowo i czuł transmitowane przedmioty i narzędzia. Kroił mundurki szpitalne, szył je, wytwarzał naczynia kuchenne i przygotowywał posiłki, chociaż w rzeczywistości nic nawet nie dotknął. Jego ruchy były przekazywane do warsztatów, gdzie pracę wyko-

dził. Znajdował się w uścisku wężowłosego Eumenidesa o kaprawych ślepiach. Ściągano go, zapędzano w zasadzki, strącano z wysokości, palono na stosie, obdzierano ze skóry, duszono sznurem, rzucano na pożarcie robactwu. Krzyczał. Uciekał. Radarowe Pole Hobbla działające w Teatrze spętało mu nogi i tamując ruchy uczyniło zeń uciekiniera z jakiegoś sennego koszmaru. Przez kakofonię dzikich wrzasków, zgrzytów, jęków, westchnień atakujących jego uszy, grzmiał monotonnie jakiś głos:

– Gdzie jest „Nomad"? Gdzie jest „Nomad"? Gdzie jest „Nomad"? Gdzie jest „Nomad"? Gdzie jest „Nomad"?

– „Vorga" – wycharczał Foyle. – „Vorga".

Został zaszczepiony swą własną manią. Uodpornił go jego własny koszmar.

– Gdzie jest „Nomad"? Gdzie zostawiłeś „Nomada"? Co się stało z „Nomadem"? Gdzie jest „Nomad"?

– „Vorga" – wrzasnął Foyle. – „Vorga". „Vorga". „Vorga".

Dagenham klął w kabinie sterowniczej. Ordynator Oddziału Psychiatrii zerknął na zegarek.

– Minuta czterdzieści pięć sekund, Saul. Nie wytrzyma dużo dłużej.

– Musi się załamać. Poczęstuj go ostatnim efektem.

Palono Foyla żywcem; z namaszczeniem, bezlitośnie, ohydnie. Opuszczono go w mroczną otchłań i zagrzebano w cuchnącym szlamie, który odciął dopływ światła i powietrza. Dusił się powoli, a głos huczał gdzieś z oddali: „GDZIE JEST NOMAD? GDZIE ZOSTAWIŁEŚ NOMADA? MOŻESZ UCIEC JEŚLI ODNAJDZIESZ NOMADA, GDZIE JEST NOMAD?".

Ale Foyle był znowu na pokładzie „Nomada" w swojej pozbawionej światła i powietrza trumnie, unosząc się wygodnie między podłogą a sufitem. Zwinął się w kłębek jak płód w łonie matki i przygotował do snu. Był zadowolony. Ucieknie. Znajdzie „Vorge".

– Nieczuły sukinsyn! – zaklął Dagenham. – Czy ktoś przedtem oparł się Teatrowi Koszmaru, Fritz?

– Niewielu. Masz rację. To niezwykły człowiek, Saul.

– Muszę go złamać. Dosyć, cholera. Nie będziemy już tego dalej ciągnąć. Spróbujemy teraz z Megal Nastrojem. Aktorzy gotowi?

– Wszystko gotowe.

– No to zaczynamy.

Istnieje sześć kierunków, w których może rozwinąć się mania wielkości. Megal (skrót od megalomanii) Nastrój był w terapii udramatyzowaną techniką diagnozy, której cel sprowadzał się do ustalenia i wysnucia fabuły szczególnego przypadku przebiegu megalomanii.

Foyle obudził się w luksusowym łożu z baldachimem. Znajdował się w sypialni obwieszonej brokatem i wytapetowanej aksamitem. Rozejrzał się ciekawie po pokoju. Przez witrażowe okno sączyły się ciepłe promienie słońca. W drugim końcu pokoju lokaj układał ubranie, starając się zachować ciszę.

– Hej, ty... – chrząknął Foyle.

Lokaj odwrócił się.

– Dzień dobry, panie Fourmyle – bąknął.

– Co?

– Piękny mamy dziś poranek, sir. Przyniosłem brązowy garnitur i kurdybanowe lakierki, sir.

– Co jest, kurczę?

– Ja... – Lokaj spoglądał na Foyla ciekawie. – Czy coś nie w porządku, panie Fourmyle?

– Jak ty na mnie wołasz, koleś?

– Po nazwisku, sir...

– To ja się nazywam... Fourmyle? – Foyle uniósł się na łokciach. – Nie, to nie moje nazwisko, kurczę. Moje jest Foyle. Gully Foyle. Tak się nazywam.

Lokaj zagryzł wargę.

– Chwileczkę, sir... – wyszedł z pokoju i zawołał kogoś. Potem zza drzwi doszedł Foyla szmer przyciszonej rozmowy. Do pokoju wbiegła czarująca dziewczyna w bieli i usiadła na krawędzi łoża. Ujęła ręce Foyla w swoje dłonie i spojrzała mu w oczy. Na jej twarzy malował się wyraz zatroskania.

– Kochanie, kochanie, kochanie – wyszeptała. – Nie zaczniesz chyba wszystkiego od początku, prawda? Doktor zaklinał się, że wyszedłeś już z tego.

– Co mam zaczynać od początku?

– Cały ten nonsens z Gulliverem Foyle; że niby jesteś zwykłym marynarzem i...

– Przecież ja jestem Gully Foyle. To moje nazwisko – Gully Foyle.

– Nie jesteś, słoneczko. To urojenie, które prześladuje cię od kilku tygodni. Przepracowałeś się i zbyt dużo piłeś.

– Całe życie byłem, kurczę, Gully Foyle.

– Tak, wiem kochany. Tak ci się właśnie wydaje, ale nie jesteś Gully Foyle. Jesteś Geoffrey Fourmyle.

Geoffrey Fourmyle. Jesteś... Och, nie ma sensu ci mówić, sam się przekonasz. Musisz zejść na dół. W twoim biurze panuje straszny bałagan.

Foyle pozwolił ubrać się lokajowi i zszedł oszołomiony na dół po schodach. Podążał za czarującą dziewczyną, która najwyraźniej go adorowała, przez gigantyczną pracownię, zastawioną stołami kreślarskimi, sztalugami i na wpół ukończonymi obrazami. Dziewczyna wprowadziła go do olbrzymiej sali wypełnionej szafkami, automatycznymi telegrafami giełdowymi, urzędnikami, sekretarkami i personelem biurowym. Następnie weszli do wysokiego laboratorium, błyszczącego szkłem laboratoryjnym i chromem. Migotały tam i syczały palniki; bulgotały i pieniły się kolorowe ciecze; w powietrzu rozchodził się przyjemny zapach aromatycznych chemikaliów i dziwnych eksperymentów.

– Co to wszystko znaczy? – spytał Foyle.

Dziewczyna posadziła Foyla na obitym pluszem fotelu, stojącym obok ogromnego biurka, które zawalone było najprzeróżniejszymi papierami pobazgranymi fantastycznymi symbolami. Na niektórych, nagryzmolone w imponującym, autorytatywnym podpisie, dostrzegł Foyle nazwisko: Geoffrey Fourmyle.

– To jakaś idiotyczna pomyłka – zaczął Foyle.

Dziewczyna uciszyła go.

– Jest tu doktor Reagan. On ci wszystko wyjaśni.

Do Foyla zbliżył się wyjątkowo przystojny mężczyzna o szorstkich, dodających otuchy manierach. Dotknął jego pulsu, zajrzał w oczy i pokiwał z zadowoleniem głową.

– Dobrze – powiedział. – Świetnie. Jest pan bliski całkowitego wyzdrowienia, panie Fourmyle. Teraz posłucha mnie pan przez chwilę, dobrze?

Foyle skinął głową.

– Nic pan nie pamięta z przeszłości. Ma pan tylko fałszywe wspomnienia. Był pan przepracowany. Jest pan człowiekiem na odpowiedzialnym stanowisku i zbyt wiele od pana wymagano. Miesiąc temu zaczął pan pić... Nie, nie, niech pan nie zaprzecza. Pił pan. Zgubił pan siebie.

– Ja...

– Doszedł pan do przekonania, że nie jest sławnym Jeffem Fourmyle. Dziecinna próba ucieczki przed odpowiedzialnością. Wyobraził pan sobie, że jest zwykłym kosmonautą, nazwiskiem Foyle. Gulliver Foyle, tak? Z jakimś dziwnym numerem...

– Gully Foyle AS: 128/127:006. Ale to przecież ja. To...

– Nie, to nie pan. To jest pan. – Doktor Reagan wskazał ręką na wielkie biura, widoczne przez ścianę z przezroczystego szkła.

– Może pan odzyskać prawdziwą pamięć jedynie w ten sposób, że rozładuje pan obecną – fałszywą. Cała ta wspaniała rzeczywistość jest pańską rzeczywistością, jeśli tylko potrafimy panu pomóc pozbyć się mrzonek o kosmonaucie. – Doktor Reagan pochylił się w przód. Jego wypolerowane okulary lśniły hipnotyzująco. – Niech pan odtworzy ze szczegółami te swoje fałszywe wspomnienia, a ja postaram się je wymazać z pańskiej pamięci. Gdzie, zgodnie z pańskimi wyobrażeniami, zostawił pan statek kosmiczny „Nomad"? Jak pan się z niego wydostał? Gdzie, według pańskich urojeń, znajduje się teraz „Nomad"?

Foyle rozmarzył się nad romantycznym czarem sceny, która zdawała się być prawie w zasięgu jego ręki.

– Wydaje mi się, że zostawiłem „Nomada"... – urwał.

Z wypukłych szkieł okularów doktora Reagana przyglądała mu się badawczo odbita w nich diabelska twarz... szkaradna tygrysia maska z napisem NOMAD wyrytym nad zniekształconą brwią. Foyle zerwał się z fotela.

– Łgarze! – wrzasnął. – To naprawdę ja. To wszystko tutaj jest fałszywe. Prawdziwe jest to co mi się przydarzyło. Jestem prawdziwy, kurczę.

Do laboratorium wszedł Saul Dagenham.

– W porządku – zawołał. – Koniec na dzisiaj. Klapa.

Krzątanina w laboratorium, biurze i pracowni ustała. Aktorzy zniknęli cicho, nie patrząc nawet w stronę Foyla. Dagenham obdarzył go swoim martwym uśmiechem.

– Twardy jesteś, nie ma co. Jesteś naprawdę wyjątkowy. Nazywam się Saul Dagenham. Mamy pięć minut na rozmowę. Chodźmy do ogrodu.

Ogród Uspokajający, znajdujący się na dachu Budynku Terapii był tryumfem planowania terapeutycznego. Każdą perspektywę, każdy kolor, każdy kontur zaprojektowano z myślą o uśmierzeniu agresji, złagodzeniu oporu, stopnieniu gniewu, odparowaniu histerii oraz zabsorbowaniu melancholii i depresji.

– Usiądź – powiedział Dagenham wskazując ławeczkę stojącą nad brzegiem sadzawki, w której chlupotała kryształowo czysta woda. – Nie próbuj jauntować. Znajdujesz się pod działaniem narkotyku. Muszę się trochę odsunąć. Nie wolno mi podejść do ciebie zbyt blisko. Jestem „gorący". Wiesz co to znaczy?

Foyle pokręcił markotnie głową. Dagenham zbliżył obie dłonie do płomienistego kwiatu orchidei i zamknął go w nich na chwilę. – Obserwuj ten kwiat – powiedział. Zobaczysz.

Odszedł kilka kroków ścieżką i nagle odwrócił się.

– Masz oczywiście rację. To wszystko przydarzyło ci się naprawdę... Tylko właśnie chodzi o to, co ci się przydarzyło?

– Idź do diabła – warknął Foyle.

– Wiesz co, Foyle, podziwiam cię.

– Idź do diabła.

– Na swój prymitywny sposób posiadasz dowcip i charakter. Jesteś Kromaniończykiem, Foyle. Sprawdzałem ciebie. Ta bomba, którą rzuciłeś w stoczni Presteigna była urocza; poza tym, zbierając na nią pieniądze i materiał zrujnowałeś niemal Szpital Generalny. – Dagenham zaczął wyliczać na palcach. – Splądrowałeś schowki, włamałeś się do izolatki, skradłeś leki z farmacji, ograbiłeś magazyny laboratoryjne z aparatury.

– Idź do diabła.

– Ale co ty masz do Presteigna? Dlaczego próbowałeś wysadzić w powietrze jego stocznię? Mówili mi, że wtargnąłeś na jej teren i przedzierałeś się jak dziki między szybami. Co chciałeś zrobić, Foyle?

– Idź do diabła.

Dagenham uśmiechnął się.

– Jeśli mamy dalej gawędzić – powiedział – będziesz się musiał powstrzymać od takich wypowiedzi. Twój udział w konwersacji staje się monotonny. Co się stało z „Nomadem"?

– Nic nie wiem o „Nomadzie".

– Ostatnie meldunki o tym statku pochodzą sprzed ponad siedmiu miesięcy. Czy jesteś jedynym, który ocalał? Co robiłeś przez cały ten czas? Dekorowałeś sobie twarz?

– Nic nie wiem o „Nomadzie".

– Nie, nie, Foyle. W ten sposób do niczego nie dojdziemy. Paradujesz z napisem Nomad wytatuowanym na twarzy. Świeżo wytatuowanym. Wywiad sprawdza i stwierdza, że znajdowałeś się na pokładzie „Nomada", kiedy ten latał. Foyle, Gulliver: AS 128/127:006, pomocnik mechanika trzeciej klasy. Jakby to nie było dosyć, żeby wzbudzić podejrzliwość Centrali Wywiadowczej, wracasz sobie prywatną szalupą, która zaginęła pięćdziesiąt lat temu. Człowieku, gotujesz na reaktorze. Wywiad chce mieć odpowiedzi na te wszystkie pytania, a ty powinieneś wiedzieć w jaki sposób Centrala Wywiadowcza wydusza z ludzi odpowiedzi.

Foyle drgnął. Dagenham skinął głową, widząc, że jego słowa wywierają skutek.

– Dlatego też myślę, że posłuchasz głosu rozsądku. Potrzebne są nam informacje, Foyle. Próbowałem wyciągnąć je od ciebie podstępem; przyznaję. Nie udało mi się, bo jesteś za twardy; przyznaję. Teraz proponuję uczciwą transakcję. Obronimy cię, jeśli będziesz z nami współpracował. Jeżeli tego nie zrobisz, spędzisz pięć lat w laboratorium Centrali Wywiadowczej, która nie będzie przebierała w środkach i zedrze z ciebie pasy, byle tylko zmusić cię do mówienia.

To nie wizja rzeźni przeraziła Foyla. Przeraziła go myśl o utracie wolności. Musiał być wolny, aby się zemścić, żeby zdobyć pieniądze, żeby znowu odnaleźć „Vorge", żeby rozpruć, rozszarpać, wypatroszyć „Vorge".

– Co to za transakcja? – spytał.

– Powiedz nam co się stało z „Nomadem" i gdzie go zostawiłeś?

– A po co to wam, kurczę?

– Po co? Po to, żeby zorganizować wyprawę ratunkową.

– Tam nie ma czego ratować. To wrak i kropka.

– Nawet wrak czasem warto uratować.

– Chcesz mi wmówić, że poleciałbyś milion mil, żeby pozbierać jakieś szczątki? Człowieku, nie rozśmieszaj mnie.

– W porządku – powiedział z irytacją w głosie Dagenham – powiem ci. Tam jest ładunek.

– „Nomad" jest rozerwany na strzępy. Żaden ładunek nie ocalał.

– Chodzi o ładunek, o którym nie wiedziałeś – powiedział konfidencjonalnie Dagenham. – „Nomad" przewoził platynowe sztabki do Banku Marsjańskiego. Banki prowadzą księgi rachunkowe i co jakiś czas muszą sporządzać bilanse. Normalnie między planetami odbywa się wymiana handlowa, wystarczająca do tego, aby rachunki regulować na papierze. Wojna przerwała normalny handel, a Bank Marsjański stwierdził, że Presteign jest im winien dwadzieścia kilka milionów kredytek bez jakichkolwiek

wszystkie twarze SZATANA

Ciąg dalszy ze strony 20

Varden leżał i miął róg prześcieradła w bezsilnej złości. Czekał na moment, w którym przyjdzie spłacić zaciągnięty dług, dotrzymać danej obietnicy. W każdej chwili spodziewał się odwiedzin nieznajomego, każde skrzypnięcie drzwi budziło w nim strach, każdy krok na korytarzu powodował dreszcze.

● ● ●

Z izby tortur zostałem wyniesiony jakby cudownym podmuchem. Lekko opadłem na zieloną trawę błyszczącą kropelkami rosy. Stanąłem i rozejrzałem się wokół podziwiając wspaniały krajobraz. Nie mógł ocalić mnie Bóg, ocalił mnie więc Szatan. Z Jego to pomocą uwolniłem się od strachu, męczarni i bólu. Byłem obojętny Bogu, a więc On będzie obojętny mnie. Od teraz. Skazał mnie na męczarnie, pozwolił na nie, mimo iż jest podobno tak dobrotliwy i miłosierny.
Szatan jest zbuntowanym Aniołem, który wyrwał się spod dyktatorskiej tyranii Boga. To właśnie Szatan pomaga człowiekowi, ofiaruje mu radość życia codziennego. Bóg natomiast mami, kusi i obiecuje, aby zamęczyć, zastraszyć...
– Grzeszysz – eksplodował mi w mózgu potężny głos.
Trwałem zawieszony w Ciemnościach. Ogarnięty uczuciem osamotnienia i żalu. Byłem sam jeden pośród pustki.
– Nie jesteś sam – zabrzmiał głos, tym razem łagodny i dobrotliwy, tchnący miłością. – Ja jestem z tobą.
Rozejrzałem się, ale wzrok nie przeniknął ciemności.
– Mnie się nie widzi, lecz czuje sercem. Błogosławieni ci, którzy nie widzieli, a uwierzyli. Zaufaj mi, idź moją drogą. Tą drogą, którą szedłem, aby was wyzwolić. Ale to dzieło jest jeszcze niezakończone, bowiem zadecydować musicie wy – ludzie. O tym czy chcecie znaleźć wieczną radość w Bogu, czy rozkosz doczesnego życia w Szatanie.
Głos cichł powoli, rozwiewał się w pustce. Ruszyłem przed siebie. Szedłem może przez godzinę, może przez dzień." A może – pomyślałem – idę w stronę Wieczności".
Nagle zobaczyłem zbliżający się z dala ognik. Gdy byłem już blisko niego, płomień zapalniczki oświetlił twarz Spingera. Obok sunął nieznajomy. Twarze ich były ponure i zacięte.
– A więc jesteś, Kersen – rzekł Spinger – znowu wyrwałeś mi się i znów cię mam.
Chciał zacisnąć kajdanki na przegubach moich dłoni, ale nieznajomy odtrącił go na bok.
– Nie, Spinger – rzekł chrapliwym głosem – Kersen ma prawo wyboru.
Spojrzałem w ich oczy rozmazujące się w wątłym świetle. Cienie, które kładły się na ich twarze tworzyły groźny, lecz i fascynujący widok.
– Wybieraj!
– ...
– Wybieraj!
– ...
Suche palce Spingera mocno objęły moje nadgarstki.
– Wybieraj! – zagrzmiał po raz trzeci głos nieznajomego.
Milczałem. Cóż mogłem wybrać? Mękę na ziemi, a w zamian za to niepewną rozkosz w niebie? Nie chciałem wracać do izby tortur! Spinger zatrzasnął już kajdanki na przegubach moich rąk.
– Nie chcę – krzyknąłem – nie chcę tam wracać!
Kajdanki zniknęły. Spinger rozwiał się w ciemności. Nieznajomy skrzywił usta w lekkim uśmiechu.

● ● ●

Olbrzymi cień Wojownika wydłużony w wąziutką igłę dotknął powierzchni skał. Harvey zapamiętał miejsce i ruszył biegiem z wzrokiem wciąż w nie utkwionym. Po krótkiej chwili cień zniknął, ale Harvey stał już przy niewielkiej szczelinie, wcisnął się w nią z wielkim trudem i przez kilkanaście minut czołgał się w dół niskim korytarzem.
W pewnym momencie usłyszał za sobą łoskot i poczuł pył sypiący się na twarz. Zrozumiał, że strop runął zagradzając mu drogę do wyjścia.
Ale Harvey nie zwątpił. Przeciwnie. Teraz pewien już był, iż Bóg dobrze nim pokierował.
Tunel otwarł się wychodząc na długi, niezmiernie wysoki korytarz. Harvey zauważył, iż korytarz ledwo zauważalnie obniżał się.
Zatopiony w modlitwie ruszył naprzód. Ujrzał przed sobą szeroką szczelinę, na dnie której szemrał strumień. Wzrok pobiegł w kilkusetmetrową przepaść. Po chwili Harvey wstąpił w nią i w miejscu, gdzie powinien osunąć się w dół poczuł twardy grunt. Przepaść zniknęła. Harvey wiedział, że korytarzem należy iść prosto, zawsze prosto, obojętnie co widziałoby się obok.
Przed Harveyem stanęła kobieta ubrana w półprzezroczysty kostium. Mężczyzna widział jej smukłe nogi, nieduże piersi ze sztywniejącymi wypukłościami sutek. Poczuł, iż kobieta pożąda go! Opadł kostium i naga piękność zagrodziła drogę Harveyowi. Jej jasne włosy rozsypały się jakby złotą mgłą na ramiona. Ręce kobiety oplotły jego szyję, piersi wbiły się w ciało Harveya (był już nagi!), a uda konwulsyjnie objęły jego uda, zęby wpiły się w wargi, a sztywny język poznawał każdy zakątek jego ust.
Ale Harvey wyciągnął ręce i odepchnął kusicielkę. Nie znał dotąd kobiety, gdyż wszystko poświęcił Bogu. Nagle poczuł, że nie może wykonać najmniejszego nawet ruchu. Mięśnie nie poddawały się woli mózgu.
Kobieta znów zbliżyła się do Harveya. Delikatnie palce pieściły mężczyznę, język łagodnie dotykał kurczowo zaciśniętych warg. Harvey nie chciał poddać się pulsującemu rytmowi rozkoszy, ale po raz pierwszy w życiu poczuł chęć wyładowania się, spełnienia swej męskiej powinności. Tymczasem kobieta przyklęknęła, Harvey nie mógł opuścić oczu, ale poczuł co robi i sprawiało mu to rozkosz.
Zapragnął objąć ją ramieniem, przygarnąć, a potem zdobyć i kochać bez końca. Odrętwienie ustało i Harvey już chciał schylić się, aby położyć kobietę na ziemi i ulec jej urokowi, gdy nagle przypomniał sobie o misji. Ale podniecenie znów zwyciężyło. Przyklęknął, kobieta ulegle położyła się rozchylając uda i przygarnęła Harveya.
Upadł i biorąc ją spojrzał w jej oczy. Nie ujrzał w nich własnego odbicia, lecz tylko bezdenną pustkę.

● ● ●

Emir el-Hebdi spacerował nadal po ogrodzie nie wiedząc, że młody kajmakan opuściwszy granice państwa wraca na czele armii ościennego kraju.
Żaden z poddanych nie ośmieliłby się niepokoić tą wieścią boskiego majestatu. Dopiero bieganina i jakieś przeraźliwe krzyki wyrwały władcę z zadumy. Rozżalony spojrzał w kierunku, skąd dochodził zgiełk i podnosząc ze ścieżki na pół zwiędły liść palmy skierował się w stronę wejścia do pałacu.

● ● ●

Znów stanąłem na łące pełnej kwiatów, rozbrzmiewającej tysiącami śpiewnych odgłosów. Odurzający zapach w połączeniu z jaskrawymi barwami kwiatów, z brzękiem tysięcy wirujących owadów zniewalał i usypiał. Rany na moim ciele zasklepiły się, a każdy powiew wonnego wiatru przynosił ulgę i rozkosz. Wyciągnąłem ciało na miękkim kobiercu roślin – więc tak wygląda piekło – pomyślałem – czy też męczarnią w piekle mam za to zapłacić?
Było mi dobrze, wreszcie bez bólu, bez strachu. Tylko w mózg wdzierał się rozrywający spokój ostry kolec wątpliwości. Myśl ledwo uchwytna, ale domagająca się, by ją podjąć. Przymknąłem oczy. Nie istniały sprawy, dla których warto by było niszczyć urok tej łąki.

● ● ●

Varden nadal czekał. Słyszał o zwycięstwach wojsk swego generała, o nowych klęskach wroga i wiedział kto za to zapłaci. Nie spał od paru dni, a myśli tańczyły bezładnie tworząc setki koszmarów i majaków. Może zresztą usypiał na moment, ale tylko po to, aby ujrzeć wyciągającą się dłoń nieznajomego. Nazywał go nieznajomym, gdyż bał się nawet w myślach wypowiedzieć jego prawdzi-

we imię. Imię, które od tysięcy lat zniewalało i niszczyło silniejszych od Vardena. A Varden bał się i był słaby. Był niczym w porównaniu z potęgą, której chciał stawić czoła.

● ● ●

Harvey z całej siły odepchnął kobietę. Ta czerń, straszliwa pustka jaką zobaczył w jej oczach ugodziła go i otrzeźwiła. Wstał. Odszedł mimo nękającej go wciąż pokusy i nie malejącego podniecenia. Kobieta rozwiała się.

Ominął pierwszą przeszkodę i dziękował za to Panu, lecz już kiełkowało w nim dziwne ziarno. Poznał, choć nie do końca, rozkosz jaką może dać kobieta, uzmysłowił sobie ile stracił, ofiarowując wszystko Bogu, a nic zostawiając nic sobie samemu.

Z trudem opanował te myśli. Spróbował jakimś jasnym uczuciem rozświetlić czerń legnącą się w umyśle. Ciemność z wolna zasłaniała Boga przed jego oczyma. Bóg stawał się coraz dalszy, coraz mniejszy, coraz mniej ważny. Na jego miejscu rósł rozświetlony zamek zabaw, miłości i rozkoszy.

Tyle było doznań, o jakich dusza Harveya, dotąd nieskazitelnie czyste raz ostatnim spojrzeniem ogarniam jej wnętrze. Nie ma nikogo.

Sunę naprzód, bezwiednie, jakby pchany niewidzialną siłą. Obok mnie pan w cylindrze, gruba fajka w zębach, orzeźwiający zapach dymu.

– How do you do, sir. I am very glad to see you.

Czeka na odpowiedź.

– ...

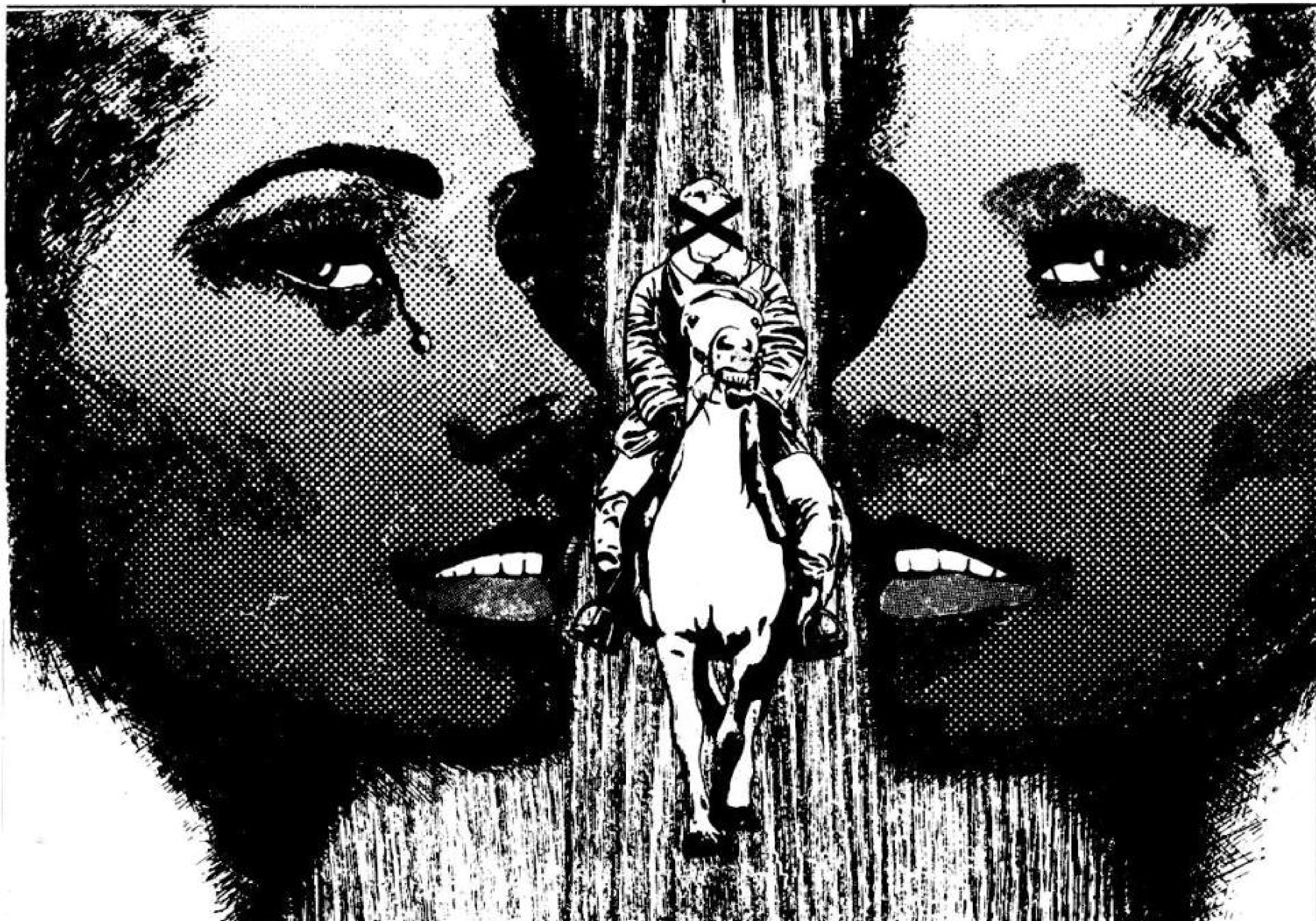
– I am very glad to see you – głos ostry, wręcz napastliwy.

Milczę. Język drga wewnątrz ust, ale wargi nie chcą się poruszyć. Cofam się. Krok drugi, trzeci. Zaczynam uciekać. Nogi stają się ciężkie i miękkie. Nie mogę biec! Z każdą minutą przesuwam się zaledwie o parę cali. Mężczyzna z fajką idzie tuż koło mnie. Jego dłoń zaciska się na moim ramieniu. Odwracam się.

Nie! To twarz Spingera.

● ● ●

Harvey płakał przytulony do szorstkiej ściany skalnego korytarza. Łzy spływały mu po policzkach i zaciśniętych na twarzy palcach.



sta i dziewicza, nie miała jeszcze pojęcia. Teraz pod wpływem setek myśli szarzała i ciemniała coraz bardziej.

Harvey tracił łaskę, jaką dała mu nieświadomość.

● ● ●

Czy leżę w trumnie koło trupa, czy też to ja nim jestem?

Przeraźliwy odór uderza w moje nozdrza. Czy to śmierdzi moje ciało? Wyciągam ręce tak daleko jak tylko można, aż końce palców zderzają się z szorstką powierzchnią drewna. Wieko unosi się! Wychylam głowę i na włosy spływają mi krople wody. Wokoło szarość i tylko jednostajny, miarowy chlupot deszczu przerywa ciszę. Długi rząd wysokich, smukłych topól po obu stronach alei przesłania widnokrąg. Wydaje się, jakby wierzchołki drzew stykały się ze sobą tworząc olbrzymi i długi korytarz. Wychodzę z trumny. Jeszcze

Bał się iść dalej. Zasnął z twarzą mokrą od łez, przytulony do zimnej skały. Po raz pierwszy przed snem nie pomyślał o Bogu.

Po paru godzinach obudził się zmęczony i wyczerpany. Śnił o pięknej kobiecie, kobiecie którą posiadał. Palcami delikatnie dotknął skóry podbrzusza i poczuł pod opuszkami lepką ciecz.

Ukląkł i modlił się do Boga. Długo i żarliwie.

● ● ●

Przed Vardenem stanął nieznajomy. Tym razem ubrany w nienagannie skrojony garnitur o błękitnym odcieniu.

– Spełniłem twą prośbę. Nawet z nawiązką. Teraz kolej na ciebie.

Varden błyskawicznym ruchem wyrwał spod poduszki pistolet. Suchy huk wystrzałów dwa razy uderzył o ściany. Nieznajomy zniknął. Żołnierz oszołomiony schował z powrotem broń.

– Boże, czyżby to było takie łatwe? – wyszeptał do siebie.
Wstał z łóżka i otworzył drzwi chcąc wyjrzeć na korytarz i przekonać się, jakie wrażenie uczyniły strzały. Wychylił głowę i cofnął się z grymasem przerażenia. Jego pokój unosił się na wodzie pchany nagłymi ruchami fal.

● ● ●

Szejk Al-Katari otoczony kilkoma żołnierzami w białych zawojach podbiegł do emira.
– Panie! Kajmakan doszedł pod mury pałacu. Stoi na czele tysięcy żołnierzy.
Emir el-Hebdi złożył dłonie na piersiach.
– Allach daje temu, kto spełnia Jego nakazy i zabiera temu, kto przeciw Niemu zgrzeszył.
Al-Katari ukląkł na ścieżce.
– Panie. Uciekaj, ratuj swą dynastię. Ratuj kraj. My polegniemy za ciebie, lecz ty ratuj się. Błagam cię, panie!
Emir wyciągnął zza pasa zdobiony brylantami kindżał.
– Czym jest to ostrze w obliczu potęgi Allacha? – spytał.
Do stojącej grupy podbiegł goniec. Padając na twarz krzyknął.
– Panie, wróg wdarł się do pałacu.
Chciał powstać, ale bezsilne ramiona nie utrzymały ciała.
Dokoła formowała się kałuża krwi.
Al-Katari spojrzał raz jeszcze na emira, po czym skinął na swych żołnierzy, a ci wraz z nim popędzili ku tajnemu wyjściu z ogrodu.
Emir przez chwilę stał zadumany.
– Jesteś mi potrzebny – rzekł w końcu – wzywam cię.
Ledwo skończył mówić, gdy stanął przed nim nieznajomy.
– Skończ z tym – rzekł władca – chcę spokoju.
Mężczyzna pochylił głowę.
– Stanie się wedle twej woli, emirze.

● ● ●

Tkwiłem zawieszony gdzieś pod gwiazdami, ale w nieprzeniknionej ciemności. Na próżno dobywałem z piersi krzyki wzywając Obserwatora.
Dlaczego to robiłem? Przecież On wiedział o wszystkim, w każdej nieskończenie małej chwili.
– Wysłucham cię raz jeszcze – usłyszałem grzmiący głos – czego ode mnie chcesz?
– Wybacz mi – rzekłem – jestem tylko człowiekiem.
– Zniszczyłeś i zaprzepaściłeś wielką część naszej pracy. Po co przychodzisz do mnie? Czego jeszcze chcesz? Czy pamiętasz, komu się sprzedałeś?
– Jestem słaby – powiedziałem.
– Wiem – zagrzmiał znowu – i dlatego masz jeszcze szansę. Pomóc ci może jeden człowiek, który zmierza teraz, aby poznać tajemnice Wszechświata. Jeśli uda mu się je wykorzystać, będziesz uratowany. Jeśli nie, zostaniesz zgubiony. Zresztą nie cała twoja jaźń zaprzedała się Złu. Jeszcze nie cały utonąłeś w tym przeraźliwym bagnie. Strzeż się!

● ● ●

Varden nic nie jadł i nie pił. Spalone gorączką usta próbował moczyć w morskiej wodzie, ale po początkowej uldze przynosiło mu to tylko cierpienie. Upał, straszliwa suchość powietrza nie poruszanego najmniejszym podmuchem wiatru niszczyły ciało Vardena. Błagał o zmiłowanie Boga, ale zrozumiał, że nie znajdzie się już w Jego władzy. Złamał daną przysięgę. Gdyby ją spełnił, byłby również zgubiony. Wciśnięty w kąt pokoju bił głową o ścianę tak długo, aż ciemna zasłona krwi nie zalała mu oczu.

● ● ●

Biegłem zwartym szpalerem drzew podcinany podmuchami wichru. Krople deszczu gwałtownie uderzały w twarz. Biegłem przez godziny, a może tylko minuty wciąż ponaglany sapiącym oddechem Spingera za plecami. Droga dłużyła się w nieskończoność. Dopiero po długiej chwili zobaczyłem, iż biegnę po olbrzymim ogrodzonym drzewami kole. Słyszałem wciąż oddech Spingera, teraz już tuż przy uchu. Ale wiedziałem, iż mnie nie złapie. Biec tak mieliśmy do tego momentu, aż jakaś potężna siła nie rozerwie łączącego nas łańcucha. Łańcucha, który wiązał ofiarę i oprawcę, ściganego i ścigającego. Obaj musieliśmy zapłacić za nasze winy, dla nas obu nie było już innego miejsca na świecie.

● ● ●

„Od ciebie wymaga się wiary i uczciwego życia, nie wyżyn intelektu ani zgłębiania Bożych tajemnic"
Tomasz á Kempis

Harvey skończył modlitwę i pełen nowych sił ruszył naprzód. Znów prowadziła go łaska Pana i Harvey znów wierzył w swe posłannictwo. Zamknięty był już na wszelkie pokusy. Pełen pokory mijał kuszące go kobiety. Modlił się, gdy widział bogactwa, po które wystarczyło sięgnąć tylko ręką, aby zanurzyć się w ich potędze. Harvey mijał otaczające go złudy. Ręką odpychał atakujące potwory, gdyż wiedział, że póki w jego sercu nie będzie strachu, zła siła nie ma dostępu.
Przechodził przez złudne przepaście i płonące lasy, odważnie wchodził pod zsuwające się skały nie zwracając uwagi na sunące obok wygodne ścieżki. Usłyszał krzyk i wołanie o pomoc. Ujrzał kobietę, nad którą znęcały się dwie maszkary. Zobaczył wyciągnięte ku sobie błagalnie dłonie katowanej. Już chciał rzucić się na ratunek unosząc w górę krzyż, ale w ostatniej chwili postąpił krok do przodu i złuda zniknęła.
Harvey dziękował Bogu, gdyż wiedział, że za Jego łaską odnajdzie Jaskinię Śmierci. Na samym początku przeszedł najgorszą próbę, w której zaatakowano jego wiarę, zasiano w duszy wątpliwość. Kobieta była tylko fizycznym bodźcem dla ośmielenia sił, które panoszyły się w jego umyśle. Harvey przeszedł tę próbę zwycięsko i inne pokusy nie zdołały go omamić. Przeczuwał, że to właśnie ta siła, która spłynęła na niego w czasie modlitwy spowodowała bezsilność złych mocy. To właśnie dzięki niej ich działanie było tak słabe i ograniczone. Harvey był święty! Za nim była moc Boga, Jego łaska i miłość. Wszedł do olbrzymiej ciemnej komnaty wykutej w skale. Mrok rozdarł mały płomyczek, który zbliżał się z oddali do Harveya, rozjaśniał ciemności.
I nagle Harvey zrozumiał. Zrozumiał wszystko, cały Wszechświat, istotę Boga i istotę Szatana, pojął co jest dobrem, a co złem.
Wiedział wszystko i czuł zjednoczenie swego ja z całym potężnym, ogarniającym go Wszechświatem. Czuł się pyłkiem płynącym gdzieś w Kosmosie, a jednocześnie był Kosmosem. Był słaby i potężny, zdolny poznawać najdrobniejsze istnienia i największe tajemnice. Zjednoczył się z Bogiem, zrozumiał Go i sięgnął w głąb Niego.
Z przeraźliwym krzykiem Harvey pobiegł przed siebie uderzając o skały. W końcu upadł na ziemię, a lecący z góry pył nakrywał jego ciało jakby całunem, aż w końcu rozległ się huk i ciało Harveya pokryły tysiące ton skalnych odłamów.

● ● ●

„Ci zaś, którzy nie oparli się pokusom odpadli i zginęli"
Tomasz á Kempis

Przeraźliwe koło. Twarze wciąż nowe i nowe. Zamyślone oblicze emira el-Hebdi, skatowana twarz Kersena, wyglądająca z trumny moja twarz, okrwawiony i zabłocony Varden.
Krążą wokół mnie z przeraźliwym krzykiem, krążą aleją porosłą topolami. Wycie, ogłuszające wycie, rozwarte usta. Jedna twarz przechodzi w drugą, a wszystkie one krążą w rytm piekielnej muzyki.
Topole wyrastają z twarzy Spingera. Uśmiechnięty, zadowolony emir el-Hebdi, Varden, Kersen, ja lecimy w dół. W dół ku niezgłębionym czeluściom, gdzie tkwi ciało Harveya.
Twarze przechodzą jedna w drugą, druga w trzecią, ale wszystkie podlegają nieustannym zmianom. Na pierwszy rzut oka sprawiają wrażenie młodych, ale gdyby uważniej im się przyjrzeć można dostrzec rysy dojrzałego mężczyzny, a nawet starca. To twarze Szatana!
Lecz nigdy nie widziałem twarzy Boga. Czyżby była to jedna i ta sama twarz?
Czy Bóg i Szatan to dwie nierozerwalne części jednej Wielkiej Istoty?
Wszystko zginęło w opętańczym wirze.

Warszawa, kwiecień 1982

■

Dzierzkowski Józef

(1807–1865)

Literat, publicysta

Urodził się 11 stycznia 1807 r. w Ksawerowie na Wołyniu w Galicji. Pochodził z rodziny szlacheckiej. Jego matka – Antonina z Dąbrowskich w roku 1814 wyszła powtórnie za mąż, oddając syna na wychowanie do lwowskiego adwokata, mecenasa sztuki – Józefa Dzierzkowskiego. Chłopiec jednak „szkół nie ukończył, gdyż uczyć się nie chciał". Po śmierci stryja w roku 1830 otrzymał posadę skryptora w Zakładzie im. Ossolińskich we Lwowie. Brał udział w Powstaniu Listopadowym, służył w korpusie Dwernickiego, był adiutantem sztabu, agentem rządu polskiego w misji Konstantynopolskiej. Po upadku powstania schronił się u stryjecznego brata w Zamulińcach nad Prutem, ale już wkrótce powrócił do Zbaraża i Lwowa. Od 1842 r. zaczął brać czynny udział w życiu literackim Galicji. Utrzymywał łączność z wieloma pisarzami i krytykami, bywał na zebraniach u K.W. Wójcickiego, stykał się z Bielowskimi, Borkowskimi i Szeremieńskimi. Debiutował w roku 1838 opowiadaniem „Płacz i śmiech" (opublikowanym w wydawnictwie „Prace Literackie" w Wiedniu). Od 1843 r. redagował dział krytyki literacko-artystycznej w „Gazecie Lwowskiej", współpracując z K. Szajnochą, J. Zachariasiewiczem i J.N. Kamińskim. Swoje artykuły zamieszczał w „Dzienniku Mód Paryskich", „Czasopiśmie Zakładu im. Ossolińskich", „Bibliotece Warszawskiej". Był publicystą „Gazety Narodowej". W 1848 r., kiedy „Gazeta Lwowska" przeszła w ręce rządu austriackiego, odmówił dalszej współpracy, biorąc udział w kampanii publicystycznej przeciw Stowarzyszeniu Ziemiańskiemu. Był już wtedy autorem kilku powieści: „Dla posagu" (1847), „Sen w życiu" (1847), „Salon i ulica" (1847). W 1848 r., w okresie Wiosny Ludów, wziął udział w kampanii węgierskiej, walcząc u boku gen. Wysockiego. W roku 1851, po pobycie we Francji i Anglii, wrócił do Lwowa, aby wraz z J. Dobrzańskim wydawać czasopismo „Nowiny" (1854), a następnie „Dziennik Literacki" (1856). W roku 1858 założył „Przegląd Powszechny", zaś po jego upadku – „Dziennik Polski" (1860). Po dwuletnim pobycie w Krakowie powrócił do Lwowa, pracując w „Gońcu" i w „Dzienniku Narodowym". Swoje artykuły publikował najczęściej pod pseudonimem: B o l e s t a. W tym czasie „dzierżył już w Galicji berło powieści": wydał m.in.: „Znajdę" (1854), „Urodzonego Jana Dęboroga" (w: „Nowiny" 1854–1855), „Rodzinę w salonie" (1853), „Kuglarzy" (1854, 2 wyd. –1954), „Szkice" (1855), „Dwoje bliźniąt" (1854), „Króla dziadów" (1856, wyd. –1919; utwór sceniczny), „Palec opatrzności" (1857), „Szkołę świata" (1862), „Krzywdę i odwet" (dramat – 1865), „Serce kobiece" (1868). Jego komedia „Iskra życia", wystawiona we Lwowie w roku 1860, cieszyła się wielkim powodzeniem. W roku 1864, za zbyt śmiały artykuł w kronice „Dziennika Narodowego" został skazany przez sąd wojenny na trzy miesiące aresztu. Ciężkie przeżycia fizyczne i psychiczne (śmierć pięciorga dzieci) załamały Dzierzkowskiego: wkrótce po wyjściu z więzienia – 13 stycznia 1865 r. umiera na zapalenie płuc. W roku 1875 ukazuje się we Lwowie zbiorowe wydanie jego powieści.

„Dzierzkowski był przez lat dwadzieścia głównym kierownikiem opinii i filarem literatury, zwłaszcza publicystyki w Galicji" – twierdzi W. Zawadzki – *„żadne pismo tutejsze nie obeszło się bez jego współpracownictwa, każdego przedsiębiorstwa literackiego, mającego mieć powodzenie musiał być uczestnikiem, wszędzie znać było jego rękę, jego wysoki talent"*. Jeśli nawet opinia ta wydaje się nieco wygórowana, to trzeba pamiętać, że w polskiej literaturze XIX wieku Dzierzkowski odegrał wielką rolę, a zarówno jego talent, jak i życie prywatne budziły wielkie zainteresowanie.

Wątki o tematyce fantastycznej pojawiają się w wielu utworach Dzierzkowskiego. Do najbardziej znanych należą: **„Lekarz magnetyczny"** (nowela druk. w 1844 r. w „Dzienniku Mód Paryskich"; 2 wyd. – w: „Powieści z życia towarzyskiego", Warszawa 1846; wyd. nast. w: „Polska nowela fantastyczna", oprac. J. Tuwim, Kraków 1953,1976) oraz szkice fantastyczne **„Sen w życiu"** (1847, 2 wyd. – Lwów 1859) i **„Skarbiec"** (druk. w „Przyjacielu Domowym" w r. 1855; wyd. osobne w księgarni H.W. Kallenbacha w r. 1856 we Lwowie).

Bohaterem „Lekarza magnetycznego" jest doktor Szmitian, który w przedziwny sposób wpływa na życie mieszkańców małego dworku, praktykując tajemniczą metodę „terapii duchowej".

Czym był magnetyzm dla autorów epoki Romantyzmu? Odpowiedź na to pytanie może być kluczem do zrozumienia utworu Dzierzkowskiego. *„Romantycy widzieli w magnetyźmie środek, przy pomocy którego wznawia człowiek z naturą związki przerwane w ciągu wieków kultury i odzyskuje pierwotną zdolność panowania nad światem przy pomocy samej woli"* – pisze W. Kubacki w książce „Arcydramat Mickiewicza". Mesmeryzm jako odmiana magnetyzmu (od nazwiska Franza Antona Mesmera (1734–1815) twórcy systemu leczniczego opartego na przenoszeniu przez lekarza na chorego uzdrawiającego „magnetyzmu zwierzęcego" przez wykonywanie dłońmi tzw. „pasów magnetycznych") miał u nas gorących zwolenników: w Warszawie i w Wilnie, gdzie przez pewien czas wydawano nawet „Pamiętnik Magnetyczny" redagowany przez J.E. Lachnickiego (1816–1818). Z zagadnieniami leczenia duszy ludzkiej zetknął się również Adam Mickiewicz uczestnicząc w zebraniach związku Filomatów i Filaretów. Jego późniejszy bohater romantyczny – Konrad ma pewne cechy siły magicznej. Jak twierdzi W. Borowy: *„kluczem do interpretacji III części „Dziadów" jest system teozoficzny. On jeden pozwala nam właściwie określić potęgę Konrada odmalowaną w Improwizacji. Niewłaściwe są tu „psychologiczne" wywody o poczuciu wyższości właściwym artystom. To jest siła magiczna wedle pojęcia teozofów, takich jak Paracelsus"*.

Wróćmy jednak do założeń „Lekarza magnetycznego". Bohater tej noweli, podobnie jak bohater historii J.B. Dziekońskiego – „Siła woli", nosi wyraźne cechy sataniczne. Jak niepokojące echo powraca motyw odpowiedzialności lekarza, gdy metoda jego terapii zwraca się przeciw choremu, a poddanie woli „uzdrowiciela" niesie straszliwe zagrożenie: utratę osobowości, uległość, pokorę. Zgodnie z filozofią epoki satanizm bohatera wynika z nieobecności w jego postawie prawa moralnego. Ale jest również konsekwencją utraty tego prawa wobec narastającej fali sceptycyzmu – tragicznych doświadczeń życiowych. W demonicznym wizerunku Szmitiana odkrywamy najgłębsze pokłady buntu romantycznego – magnetyzer Dzierzkowskiego to przegrany marzyciel-poeta złorzeczący światu za to, że pozbawił go złudzeń.

Władanie duszami ludzkimi jako rodzaj chłodnej, zracjonalizowanej zemsty jest rodzajem alternatywy wobec Konradowej idei poświęcenia się za ojczyznę, odrzuceniem cierpień młodego Wertera. Podobnie czyni Szatan z tragedii Christiana Grabbego „Don Juan i Faust", który na szyderczą uwagę: „cóż to – diabeł staje się sentymentalnym?" odpowiada z goryczą: *„Kto wie? Może i był nim kiedyś? Teraz drwi z tego, co prawda. Czyż jednak mógłby tak okropnie nienawidzieć, gdyby ongi tak potwornie nie kochał?"*

J. Rosnowska w swojej monografii poświęconej twórczości Dzierzkowskiego zwraca uwagę na pokrewieństwa „Lekarza magnetycznego" z „Magnetyzerem" Hoffmana, oddając sprawiedliwość polskiemu autorowi: *„Opowieść Hoffmana to mała monografia literacka cudownego i nadprzyrodzonego, wyraz głębokiej wiary w siłę ducha. W „Lekarzu magnetycznym" przeważa sceptycyzm, którego wyrazicielem jest Szmitian, wcielenie bohatera Hoffmanowskiego i Balzakowskiego Vautrina"*.

Sąd to bez mała słuszny, aczkolwiek nieco jednostronny. Zagadnieniami mesmeryzmu zajmował się również inny, współczesny Dzierzkowskiemu powieściopisarz, uważany niekiedy za prekursora fantastyki naukowej – A.E. Poe. (Dość przypomnieć „Fakty w sprawie pana Valdemara" czy „Rewelacje mesmeryczne"). Autor „Studni i wahadła", podobnie jak zapomniany już dziś Dzierzkowski, *„w mesmeryźmie spodziewał się znaleźć racjonalne wytłumaczenie zjawisk postrzeganych intuicyjnie, naukowe potwierdzenie dla swoich wypraw wyobraźnią w rejony pogranicza życia i śmierci, rozsądku i obłędu, jawy i snu – odwiecznych terenów dociekań poetów"*. Dodajmy: coraz częstszych dociekań autorów science fiction.

Bibligrafia wybrana:

– J. Rosnowska *„Józef Dzierzkowski"* Kraków 1971,

– J. Rosnowska *„J. Dzierzkowskiego »Iskra poezji«"* Wrocław 1972,

– K. Chruściński *„J. Dzierzkowski – pisarz i działacz polityczny okresu międzypowstaniowego 1831–1863"* Gdańsk – Wrocław 1970,

– A. Krajewski *„Romanse i powieści J. Dzierzkowskiego"* (w) „Biblioteka Warszawska" 1858.

■

LEKARZ MAGNETYCZNY

Józef Dzierzkowski

W pogodny wieczór czerwcowy chodziliśmy smutni z Marią po naszej ulicy; był to ostatni wieczór, któryśmy tam przepędzić mieli, wyjeżdżaliśmy bowiem wszyscy oprócz wuja o mil dwadzieścia do dziada naszego. Ciotka, czując się co dzień zdrowszą, chciała odwiedzić ojca, a zarazem zawieźć lekarza tak dobrego do starca, który od kilku lat niemocą był tknięty. Cieszyliśmy się ze zdrowia naszej matki, pewni, że i tak tam będziemy razem, ale nie wiem dlaczego, z smutnym przeczuciem żegnałem to miejsce naszymi schadzkami uświęcone; na próżno powtarzałem Marii czułe słowa miłosne, na próżno zapewniałem ją i siebie, że każde miejsce obojętne dla nas, nic w losie naszym zmienić nie może, wyrazy wychodziły zimne i bez przekonania; wewnętrzny głos mi mówił, że te chwile szczęścia już nie wrócą, że szczęście nasze zostawiamy na ulicy lipowej. Wierzyłem zawsze w przeczucie, które tym jest dla duszy człowieka, czym oko dla ciała; jeżeli bystrzejszym okiem tam zajrzysz, gdzie drugi nie dosięgnie, dlaczegóż wzrok duszy nie może być tak ostry, by się aż w przeczucie zamienił? Po długiej rozmowie, pożegnaniach i przysięgach wracaliśmy żalem przejęci; na końcu ulicy stał jak zwykle lekarz; błyskawicą wzroku zmierzył nas i obojętnym wyrzekł głosem:

– Szkoda, że tej pięknej ulicy z sobą wziąć nie możemy, choć zapewne wszędzie są drzewa, ulice ogrodowe, wszędzie wieczór letni jest piękny... póki wiatr jesienny liści nie pozrywa, zamieć zimowa ulic nie zawieje!... tak, bo lato trwać zawsze nie może, wszystko się zmienia, i zima mroźna i żałobna przyjść musi.

Po pierwszych słowach Maria lekko skłoniwszy się lekarzowi ścisnęła mnie za rękę i poszła ku domowi; pan Szmitian nie zważając na to mówił dalej:

– Dziwne ludzi urojenia! Budują gmachy, przyszłość ubierają w dowolne szaty teraźniejszości, jak gdyby nic się zmienić nie miało, a czas postępuje, jedna chwila niepodobna do drugiej, liść do liścia, kropla wody różni się od drugiej. Cóż stałego, cóż niezmiennego na tym świecie?...

– Są przecie uczucia!... – odpowiedziałem.

– Uczucia, cacko młodości, woń wiosenna!... cacko się zepsuje lub znudzi, kwiat inaczej pachnie z rana, inaczej w południe, inaczej wieczorem; uczucia inne na czczo, inne po obiedzie; uczucie jest to wrażenie teatralne od sali, od aktorów, od orkiestry zawiste!...

– Ja wierzę w przyjaźń! – odpowiedziałem.

– Tak – przerwał – w przyjaźń i w miłość, dwa wielkie słowa, dwa wielkie nic; o religii już nie mówisz, bo już pomału przestajesz wierzyć, że wszystko najmądrzej i najlepiej stworzone; pomału doświadczysz, że przyjaźń jest tylko potrzebą samolubnej pomocy, miłość potrzebą cielesną! Wzdrygnąłem się na teorię tak obrzydliwą, lecz mi nie dał przyjść do słowa, porwał mnie za rękę, utkwił we mnie błyszczące oczy i dźwięcznym głosem zaczął czarować.

– Doświadczysz i ty, jak ja doświadczyłem... I ja byłem młody, zapalczywy!... Ty nie znasz Grecji, tego nieba pogodnego, a czy rozumiesz, jaki powab w tym słowie: jestem w Grecji, w kolebce bogów i bohaterów, stąpam po klasycznym prochu wielkich ludzi i wielkich wieków; nie pojmujesz kobiety greckiej, z oczami, w których mitologiczne namiętności palą się ogniem tajemniczym, z twarzą jakby na wzór Apellesa, z kibicią niby rzeźba Fidiasza, Olimpu słońcem ożywiona, z ustami śpiewającymi pieśni Homerowe... Ja znam, bo ja tam żyłem młody, pełen wiary, ja tam pod niebem greckim kochałem Greczynkę; marzyłem chodząc z nią po gruzach dawnych świątyń; młodego życia wyobraźnią prostowałem połamane kolumny marmurowe, śpiewałem z nią miłosne żale Safony... Była tam także ulica z odwiecznych platanów, po niej chodziliśmy w wieczory letnie greckie, gdy księżyc i niebo są poezją; powietrze, szmer liści i woń kwiatów miłością tchną; chodziliśmy tam co dzień... Przyszła zima z wiatrem i deszczem; ja zawsze chodziłem do mojej ulicy, ale już samotny!... Nie wiedziałem, że w pysznej łaźni marmurowej młodego Greka, którego ja sam, własną krwią zlany, spomiędzy rozjuszonych wyciągnąłem muzułmanów... Nie wiedziałem, że dobrze przemarzyć lato z marzącym Niemcem, ale w zimie lepiej przy alabastrowej lampie wśród wschodnich woni używać z pięknym, choć rzeczywistym Grekiem... Dowiedziałem się, przekonałem się i...

Tu zaiskrzyły się oczy lekarza płomieniem tak szatańskim, iż zgrozą przejęty zawołałem: – I cóż?...

– I cóż?... znasz ty jedno uczucie całe, pełne i silne, co warto uczuciem nazwać, uczucie co ci całą pierś zaleje, wszystkie siły natęży, krew rozgrzeje?... znasz ty zemstę?... Zostawiłem za sobą gruzy, a sam pojechałem do stolicy meczetów i tam na miękkim dywanie spałem, piłem kawę, jakiej ty nie znasz, sorbet jakiegoś nie pił, kurzyłem tytoń jakiegoś nie palił, ściskałem kobiety, jakich nie widziałeś w zimnej Polsce; używałem opium i marzyłem... Po zemście nie znam silniejszego uczucia nad marzenie przez opium sprawione, to mozaika myśli, uczuć i rozkoszy, kolorytem wyobraźni ubarwiona, arabeski fantastycznych okolic i ludzi, a obrazy przesuwają się jeden po drugim, miękkie, ulotne i mgliste; dziewice hurysy, oczy gwiazdy, usta korale, pierś alabaster żyjący, a ogrody rajskie, niebo turkusowe, słońce brylantowe, drzewa szmaragdowe!... I wszystkie te obrazy czerwcowe drżą w powietrzu, które jak zasłona przezroczysta w codziennych kołysze się zwrotach, marszczy się i ciemnieje... Ale zbudziłem się...

Niewymowne ciekawości i zgrozy uczucie tajemniczym przeszło mnie drżeniem; zdawało mi się, że stoję przed zakrytym prawdy posągiem w Sais, której zasłona drży w ręku lekarza; pierwsze powątpiewanie zabolało w sercu, pierwsza ciekawość zaciążyła na mej głowie; głosy świata nowego dla mnie, nowych przedmiotów, nowego życia zagrzmiały całą orkiestrą, tony dzikimi i zachwycającymi, pełnymi przeczuć i żądzy; ledwie z dala dochodził mnie głos prosty, czysty głos wiary... flet pastuszy!...

Nie chcę wierzyć i nie wierzę; są myśli wielkie, myśli, co wieki przetrwały, a przez mnogie przechodząc pokolenia wzrosły w olbrzymów, w bohaterów, w czyny... Są uczucia, które nowym potopem całe wieki i całe ludy przerobiły.

– Rozumiem cię!... szukałem tego uczucia; wymysły żaków, bańki po historycznym kronik morzu pływające, marzenia heraldyczne, śpiewki minstrelów, dumania zakonne, wynalazki słabej głowy lub słabej wątroby. Szukałem i, młody, żem znalazł, uwierzyłem myśli wiekowej, uczucia wiekowego szukałem w wiekowym z bogów zrodzonym narodzie; walczyłem między Grekami. Mnie z Getyngi uciekłemu, śniły się Termopile, Salaminy, Mitiadesy i Solony; miasto tego ujrzałem zdradę krwią kupioną, krew pieniędzmi płaconą; widziałem noże rozbójnicze z maratońskich oręży wykute, karty w ruinach olbrzymów... ale dajmy temu pokój. Szukałem tej myśli i tego uczucia od południa na północ, widziałem niskie zdolności, a wielkie żądze, cedry w grządkę sadzone... Szczęśliwy, kto umarł jak Byron śmiercią fizyczną; ja omal nie umarłem śmiercią moralną!... Jedna myśl istotna jest grób!... gniazdo nowego, rzetelnego życia; szerokie kraje nogą mą zmierzyłem i znalazłem je w gnieździe świata; grób obok kolebki, w Egipcie, w grobowych piramidach.

– Czyż być może?... a przecież jako lekarz poświęcasz się dla ludzkości, którą zdajesz się pogardzać...

– Co mi tam do ludzkości!... Ja ludzi nie kocham, nienawidzieć nie warto; ja się z nich śmieję i jako rzemieślnik teorię z grobów dobytą stosuję i doświadczam.

Odszedł lekarz ciała, choroba dla mojej duszy, choroba, co robakiem się wgryzła w moje młode życie. Ledwie chwil kilka uleciało, a każda przeczuciem, smutkiem, ciekawością rozciągnięta, godziną, miesiącem, rokiem zaciążyła na mej głowie, ołowiem przycisnęła serce.

„Lekarz magnetyczny" **(w)**
„Dziennik Mód Paryskich", Wilno 1844 (fragmenty).

Przygotował
Andrzej Niewadowski

■

W LABIRYNCIE FIKCYJNYCH WYDARZEŃ

Literatura SF dysponuje szczególnie dużymi możliwościami tworzenia fikcyjnych, niezwykłych sytuacji „doświadczalnych", w które wprowadza bohatera-„królika", by przez ukazanie jego losów, jego reakcji w obliczu trudnych prób, jakim zostaje poddany, oraz jego doświadczeń psychicznych przekazywać istotne treści odnoszące się bezpośrednio do problemów współczesnego człowieka i współczesnej cywilizacji. Nie inaczej postępuje Pierre Pelot, uznany i ceniony przez krytykę autor ponad 20 utworów SF, w którego twórczości dominuje problematyka o charakterze społecznym. Jak stwierdza w jednym z wywiadów, w 1978 r., jego powieści SF bliższe są rzeczywistości niż jego powieści współczesne: może dlatego, że szczególnie pasjonuje go zagadnienie Jednostki w Społeczeństwie. W tym samym roku, w wydawnictwie Laffont, ukazuje się powieść „Tranzyt" („Transit"), która na festiwalu w Metzu zostaje nagrodzona jako najlepsza francuska powieść SF sezonu (w tym samym czasie inna powieść Pelota – „Delirium Circus" uzyskuje Grand Prix francuskiej SF). W „Tranzycie" bohater staje się królikiem doświadczalnym, wpuszczonym do labiryntu fikcyjnych wydarzeń, w sposób niejako „oficjalny". Jednakże, dzięki szczególnej konstrukcji utworu, czytelnik nie od razu zdaje sobie sprawę, że bohater – od początku nazwany Królikiem – zaangażowany do badań nad zjawiskami o charakterze parapsychologicznym, jest równocześnie, a może przede wszystkim, obiektem manipulacji wynikających ze specyfiki danych stosunków społecznych, ze swoistej struktury wartości typowej dla danego społeczeństwa, które to stosunki i wartości autor demaskuje i podkreśla. Czyni to w dwojaki sposób. Z jednej strony – przez konfrontację ponurej rzeczywistości (będącej jednocześnie obrazem naszej, niezbyt odległej przyszłości) z inną, utopijną rzeczywistością, z drugiej – przez konfrontację bezradnej jednostki ludzkiej oraz czysto ludzkich wartości i problemów, jakie ona reprezentuje, z potęgą Władzy i Pieniądza, zaangażowanych w grę o najwyższą stawkę. Autor wykorzystuje stare, tradycyjne wątki tematyczne, jak nieśmiertelność, światy „równoległe", parapsychiczne „talenty" człowieka, utopijny model doskonałego społeczeństwa, lecz nadaje im niejako nowy wymiar. W przeważającej mierze są one pretekstem, stwarzającym możliwość powiązania ciekawych rozwiązań konstrukcyjnych i bogatej fabuły z zespołem zasadniczych, sugestywnie przekazanych treści.

Nieśmiertelność nie stanowi w tej powieści jedynego, zasadniczego problemu, choć jej „naukowej" interpretacji autor poświęca dość dużo uwagi. Szczegółowe wyjaśnienia wiążą się tu przede wszystkim z konstrukcją fabularną i służą jej umotywowaniu. Nieśmiertelność okazuje się nie tyle celem samym w sobie, jedynie środkiem do celu – jakże dalekiego od postulowanych, prawdziwych wartości. Analogicznie postąpił wcześniej Frederik Pohl, gdy w powieści „Brunkard's Walk" (1960) ukazał nieśmiertelność nie jako problem „naukowy", lecz wręcz jako zagrożenie dla ludzkości. Jednakże wizja, jaką przedstawia Pierre Pelot jest o wiele bardziej pesymistyczna: choć dramatyczne wydarzenia rozgrywają się jedynie w wąskim kręgu bohaterów, ilustrują mechanizmy o zasięgu ogólnospołecznym oraz zagrożenie wykraczające poza ziemską rzeczywistość. Pohl w zakończeniu swej powieści niszczy Zło. Pelot – przeciwnie, stopniowo je zarysowuje, a ponadto – na pewno jest bliższy współczesnej rzeczywistości.



CZY TYLKO ERUDYCJA?

Dość popularne twierdzenie o narastającej schematyczności literatury fantastyczno-naukowej należałoby chyba uzupełnić małym zastrzeżeniem: jeżeli nawet zbliża się koniec literatury SF, to tylko tej pojmowanej najprościej jako rewia pomysłów technicznych i fabularnych, czy też jako próba „moralnego obudowania" jakiejś dziedziny nauki przez sytuacje stwarzane w określonej książce. Doskonałym przykładem takiego, nader klasycystycznego traktowania SF jest proza Czesława Białczyńskiego, autora „Próby inwazji" (1980) i „Zakazu wjazdu" (1981). Ostatnio – nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej – ukazała się kolejna powieść tego autora: „Miliardy białych płatków". Podziwiam konsekwencję Czesława Białczyńskiego, bowiem zdarzyło mi się kiedyś – zresztą najzupełniej przypadkowo – usłyszeć jego zdanie na temat zasadności ciągłego samokształcenia. Podejrzewam, iż w buńczucznym twierdzeniu *„nie muszę się uczyć, bo wszystkie swoje światy mam po prostu w sobie"* więcej było autorskiej kokieterii i przekory, niż świadomych przemyśleń. Niezaprzeczalnym dowodem rozwoju tego pisarza jest stały wzrost jego umiejętności warsztatowych, stopniowa rezygnacja z trywialnych rekwizytów: kuf, łagownic i tutek mafały. W dalszym ciągu jest to jednak autor szukający drogi odnowy SF poprzez stwarzanie nowego tła sytuacyjnego.

Z punktu widzenia współczesności najnowsza powieść Białczyńskiego nosi znamiona klasycznej antyutopii. Jej akcja toczy się na Ziemi w kilka tysięcy lat po atomowej wojnie. Miejsce obecnego, południkowego układu sił zajął układ równoleżnikowy, nasza planeta stała się światem trzech stref: Soutseledii, Nordseledii i Ultramaru. Genezę tego systemu poznajemy dzięki przemyśleniom głównego bohatera oraz zastosowaniu przez autora nie najnowszego chwytu, którym jest spektakl teatralny, obrazujący prahistorię Ultramaru. Od czasów jaskiniowych do współczesności (powieściowej) społeczeństwo tego państwa przebyło długą drogę. Stało się zbiorowością kastową i zarazem totalitarną, która jednostkom nie pozwala na zbytek indywidualności. Podział na Wiedzących, Mądrych i Techników jest zarazem systemem kontroli informacji – przeciętny obywatel Ultramaru nie ma dostępu do pełnej, obiektywnej wiedzy o swoim świecie.

Nowi mieszkańcy Ziemi są zmiennocieplni i poniżej określonej temperatury otoczenia zapadają w sen zimowy. Przełamanie automatyzmu tego zjawiska może jednostkom, dysponującym środkami przeciwsennymi, zapewnić władzę nad resztą świata. Mamy tu zatem do czynienia z odmianą klasycznego wątku genialnego naukowca, bowiem bohaterem powieści jest Mądry Mask, któremu przypadkowo udaje się wyprodukować aspanol, środek zwalczający sen zimowy nowych mieszkańców Ziemi. Na efekt nie trzeba długo czekać – bohater staje się obiektem jednoczesnego zainteresowania aż trzech wywiadów oraz rodzimych sekt religijno-terrorystycznych. Ważnym składnikiem cudownego preparatu Maska jest pewien ściśle reglamentowany środek o nazwie spanodorm. Ważnym, ponieważ perypetie związane z jego zdobyciem można odczytać jako rodzaj zawoalowanej drwiny. Mask dopina swego. Do maszynowej pamięci, sterującej snem całego

Parapsychiczne „talenty" Królików nie są również istotne same w sobie – inaczej niż np. w opowiadaniu Philipa K. Dicka „A World of Talents" (1954), gdzie bohaterowie potrafią m.in. „widzieć" wydarzenie najbliższej przyszłości – lecz spełniają rolę drugorzędną, związaną z konstrukcją fabularną powieści, a także... ze zmyleniem i zaskoczeniem zarówno bohatera, jak i czytelnika. Autor nader zręcznie zapewnił temu ostatniemu odpowiednią porcję wrażeń, tajemnic i niespodzianek, mnożąc znaki zapytania, wątpliwości i problemy, by w końcu – choć też nie od razu – wszystko wyjaśnić, a zarazem pobudzić do dalszych refleksji, już o charakterze ogólniejszym.

Bogactwo tej powieści sprawia, że każdy może znaleźć tu coś „dla siebie": ciekawą, wielopłaszczyznową, trzymającą w napięciu akcję (Pelot dał się m.in. poznać jako autor powieści przygodowych i kryminalnych), zasadnicze problemy o charakterze psychologicznym, dość oryginalną (ale i skomplikowaną) „hipotezę naukową", wreszcie nader sympatyczną (choć może nieco naiwną) utopijną wizję „szczęśliwego społeczeństwa", której pogodny charakter stanowi element pewnego rodzaju relaksu w stosunku do poważnej i złożonej problematyki całości.

Chyba żaden amator SF nie pozostanie wobec „Tranzytu" obojętny. Jest to niewątpliwie powieść ciekawa, będąca znaczącą pozycją w historii francuskiej SF.

Barbara Okólska

P. Pelot *„Tranzyt"* Czytelnik, Warszawa 1983, cena 90 zł.

●●●●●●●●●●●●●●

społeczeństwa, wprowadza dokładne informacje na temat produkcji aspanolu. Zapomina niestety, iż istnieje ogromna różnica pomiędzy posiadaniem informacji, a posiadaniem pojemniczka ze ściśle reglamentowanym spanodormem. W efekcie obywatele Ultramaru (oraz śpiący pomiędzy nimi agenci Sout- i Nordseledii) obudzą się bogatsi o wiedzę, lecz ubożsi o jeszcze jedną iluzję. Wszystkie kłopoty i cierpienia Mądrego Maska pójdą na marne, bowiem w ostatecznym rozrachunku ani początkowy układ sił, ani kastowość społeczeństw nie zostaną naruszone. Niestety nie wiadomo, czy stworzone przez autora błędne koło jest niedopracowaniem pomysłu, czy też jego kolejną drwiną ze wszystkich cudownych broni.

Akcja książki toczy się wartko, całość wykreowanego świata jest spójna. Autor stara się (celem pogłębienia iluzji) zarysować nowe zasady moralności Ultramarów, lecz z punktu widzenia dzisiejszego człowieka ethos naszych hipotetycznych potomków jest zaledwie wypadkową kilku abstrakcyjnych pojęć filozoficznych, znanych ludzkości nie od dziś. Nie jestem zwolennikiem twierdzenia, iż wszystko, co nie stanowi eksperymentu poznawczego, już w założeniu musi być złe. Klasyczność narracji, żywa akcja i względnie dobra plastyka obrazów zapewniają tej książce nie najgorsze miejsce w polskiej literaturze SF. Czyta się ją jak inne powieści Białczyńskiego: lekko, łatwo i przyjemnie.

A. K.

Czesław Białczyński *„Miliardy białych płatków"* KAW, Warszawa 1982, cena 45 zł.

ZABAWA W PRZEBIERANKI

Istnieje sporo, wykluczających się nawzajem, sposobów zestawiana zbioru opowiadań: debiut Andrzeja Drzewińskieo (24-letniego studenta fizyki z Wrocławia) stanowi niezłą okazję, by je tu przypomnieć. Otóż opowiadania może łączyć osoba bohatera, stałe dręczące pisarza przesłanie, sytuacja bądź jej rozwój, opisywane środowisko, wreszcie metraż; opowiadania mogą być pisane w podobnej konwencji. I przeciwnie, można sobie wyobrazić zbiór złożony z tekstów, z których każdy biegnie i tematycznie, i stylistycznie, i wymiarowo w inną stronę. Autorzy zbiorów pomyślanych w ten drugi sposób demonstrują raczej różnorodność zainteresowań i wielostronną sprawność pióra, potwierdzoną w różnych konwencjach, niż zdecydowany wybór poetyki i tematu. Istnieją zbiory opowiadań grupujące przebrane hity, i takie, których autorzy odważnie wystawiają na próbę również mniej udane dzieła. Istnieją zbiory grupujące opowiadania napisane w wybranym czasie i zbiory przekrojowe przedstawiające teksty z długiego okresu, w którym autor uległ biegunowo odmiennym modom, nastrojom, fascynacjom.

Autorzy młodzi, jak Drzewiński, ze skromnym dorobkiem, którym z oczywistych względów spieszno do debiutu, mają skłonność do wybierania zawsze drugiego członu zarysowanych tu alternatywnie możliwości. Choć zapewne dotyczy to w ogóle pisarzy SF, którzy w przeciwieństwie do pisarzy głównego nurtu, badają różne warianty różnych rzeczywistości i stąd ich skłonność do sięgania po różne techniki i konwencje.

Tak też stało się i tym razem. Drzewiński namawia czytelnika, by zwrócił uwagę na opowiadania także mniej udane z absolutnie już młodzieńczego okresu życia autora. Prezentuje się nam jako młody kandydat na pisarza o wszechstronnych zainteresowaniach: próbuje horroru, oddaje się filozoficznej zadumie, zabawia się opowieścią sensacyjną o zabarwieniu nieco łotrzykowskim, by zaraz obok ujawnić skłonność do SF technologicznej i ekologicznej, potem próbuje igraszek z psychologią, socjologią; daje pokaz oryginalnego własnego humoru, by tuż obok demonstrować tekst, którego inspirację niepotrzebnie zdradza tytuł wzięty z ulotki reklamującej głośny film grozy SF.

Rzeczywiście, Drzewiński jest sprawny, przy czym na razie więcej tu wyobraźni i sprawności pomysłu, niż precyzji wykonania i świadomości stosowanych środków. Autor merytorycznie porusza się po przyszłych światach bardzo pewnie, zawodzi chwilami narracja, napędzana przeróżnymi językowymi automatyzmami i budowana, zwłaszcza w sytuacjach męsko-damskich, w scenach starć i bójek, z przeróżnych elementów gotowych, które mimo powierzchownej sprawności wykonania, zdradzają, że młody autor nie ma do nich głębszego osobistego stosunku. Sporo rzeczy dzieje się tu dokładnie tak, jak zgodnie z niepisaną konwencją dziać się powinny, autor porusza się po powierzchni zdarzeń, postacie chodzą jak po sznurku, ale napina go często nie świadomy komplikacji życia artysta, lecz nieco schematyczny geometra. Drzewiński zdaje się jeszcze nie mieć dużej sprawy, poważnego problemu do wyśpiewania, igra więc z konwencjami, z sensacyjną fabułą, bawi go to i... czasem zbliża do poważniejszych przesłań, jakie zawiera na przykład opowiadanie tytułowe. Tu w najlepszym tekście tomu, zza wartkiej opowiastki wyziera niespodziewanie konkluzja dramatyczna – odpowiadamy za wszystko, nic nie pozostaje bezkarne, nawet za zbrodnię, której nie ma, gdyż popełniono ją w pętli czasu podarowanej przez maszynę, też trzeba będzie zapłacić.

Mądrą i odkrywczą rozprawą na temat kryzysu tożsamości człowieka i w ogóle cywilizacji, mogło stać się opowiadanie „Człowiekiem jestem". Napędzającą tekst tajemnicę wprowadził Drzewiński na scenę bardzo zręcznie, niestety, zamiast pójść dalej wykręcił się erotyczną puentą. W dodatku psuje opowiadanie wysilone rezonerstwo spod znaku naśladowców Chandlera. Warto by za parę lat wrócić do tego tekstu, uspokoić język i rozbudować w dłuższą nowelę. Nie wymaga przeróbek, błyszczy pomysłami, a i od strony językowej powściągliwsza jest groteska „Nieśmiertelny", pięknie, choć nieobowiązująco spuentowana. Mamy tu m.in. wybuch atomowy wybornie opisany przez człowieka, który znalazł się w jego epicentrum i zdołał wyjść z tego bez szwanku.

Wyobraźni, jak widać, Drzewińskiemu nie brakuje, gorzej ze zmysłem selekcji. Trzy niezbyt oryginalne, mętne opowiadanka („Zapomniany przez ludzi", „Ocaleni", „Samodzielna decyzja") można było spokojnie wyrzucić. W arkuszach strata niewielka, a tomik broniłby się lepiej. Resztę, a więc ponad trzy czwarte tomu – czyta się. Nieco co prawda dziwi w zbiorze 24-latka praktyczna nieobecność tematyki socjologicznej, politycznej, którą żyje dziś środowisko młodych autorów. Ale po pierwsze – nie wszyscy muszą i mogą robić to samo; po drugie – w późniejszych opowiadaniach Drzewińskiego, które znam z maszynopisów, również ta tematyka dochodzi do głosu. Autor szuka, często znajduje, dobrze czuje gatunek, pisze barwnie i wciągająco, jego skłonność do wchodzenia w różne konwencje i poczucie humoru predysponują go chyba do niezbyt częstej w Polsce odmiany prozy SF, a mianowicie groteski. Wypadałoby natomiast doradzić Drzewińskiemu, by w następnych tomikach był nieco czujniejszy w doborze konwencji i w używaniu słów, których znaczenia nie jest pewien. *„Ryt"* oznacza regułę, obrządek, a nie rycinę. *„Ze świadomą premedytacją urżnąłem się w sztok"* to niezamierzona tautologia. No i jeszcze te przeszarżowane chandleryzmy: *„Lokomotywa, która okazała się dwumetrowym facetem, przycisnęła mi do twarzy tampon z zimną cieczą"*... Lokomotywa przyciskająca tampon... Hm, jest do dobre, ale nie aż tak dobre, żebyśmy nie musieli tu wyznać szczerze i po męsku: Chandler zrobiłby to jednak trochę inaczej.

Maciej Parowski

Andrzej Drzewiński *„Zabawa w strzelanego"* KAW, Rzeszów 1983, cena 50 zł.

INWAZJA: PROJEKCJA LĘKÓW I NIEPOKOJÓW

„Jeszcze poprzednie pokolenie wierzyło w spotkanie Marsjan, Wenusjan” – twierdzi Stanisław Lubertowicz – *„ale stacje automatyczne, wysłane z Ziemi na te planety, udowodniły, że nie ma tam istot rozumnych”*. Ekstrapolacja oczekiwań i nadziei zaczyna zatem obejmować coraz dalsze rejony Kosmosu. Wzór Drake'a pozwala obliczyć, że Galaktykę (około 150 miliardów gwiazd) powinno zamieszkiwać przynajmniej 10 cywilizacji naukowo-technicznych. Średnia odległość między dwiema sąsiednimi, w zależności od przyjętego współczynnika prawdopodobieństwa, wynosi teoretycznie od 62 do 280 lat świetlnych. Jeśli nasz sygnał zostanie odebrany, rozszyfrowany i potwierdzony odpowiedzią – otrzyma ją dopiero następne pokolenie. Ale może się zdarzyć, że pozaziemscy partnerzy przejmą inicjatywę dialogu: rozporządzając nieznanymi sposobami komunikacji odwiedzą mieszkańców Błękitnej Planety.

Warto zaryzykować opinię, że współczesny „szok intelektualny” rodzący się w obliczu urzeczywistnionej konfrontacji, będzie miał nieco inne podłoże, aniżeli w czasach Verne'a, Flammariona i Żuławskiego: bardziej kulturowe, niż biologiczne. Żądanie godnego zaprezentowania wartości naszej kultury będzie walczyć z głębokim przeświadczeniem ukrywania co istotniejszych aberracji, odchyleń od norm etycznych, w logicznym przewidywaniu faktu, iż „goście” mogą porzucić pozorną neutralność w efekcie uzyskanych informacji. Ten stan rzeczy doskonale oddaje wypowiedź Stanisława Lema datowana na drugą połowę lat 50-tych: *„Jeśli mamy wierzyć wszystkim protokołom, zdjęciom i zapisom radarowym – jesteśmy od dłuższego czasu wzięci pod szkiełko i systematycznie obserwowani, (lecz) gdyby było to prawdą, drżałbym o ostateczny rezultat takiego badania.”*

Nie ulega wątpliwości, iż współczesna literatura o charakterze inwazyjnym jest coraz częściej projekcją wspomnianych lęków i niepokojów. Dość popularny, zarówno w beletrystyce polskiej, jak i obcojęzycznej, schemat nieudanego spotkania cywilizacyjnego zdołał wykształcić tradycję fabularnych opracowań tematu – od przypowieści obarczających Ziemian winą za fiasko kosmicznej misji, po wypowiedzi, w których „Inni” wymierzają sprawiedliwość z pozycji siły w imię zaspokojenia destrukcyjnych popędów agresji.

Pierwszą z powyższych motywacji, wystawiającą niepochlebne świadectwo gospodarzom naszego globu, prezentuje historia Bohdana Peteckiego „W połowie drogi” (1971). Ziemska ekspedycja naukowa poszukuje tu śladów pozostawionych na Marsie przez cywilizację z okolic Procjona. „Starci bracia” odwiedzili kiedyś trzecią od Słońca planetę, trzeba jednak przypadku, że znaleźli się w samym sercu dziejowych zamieszek. Nieświadomi aktualnej sytuacji politycznej wylądowali na linii frontu pomiędzy krzyżowym ogniem wojsk niemieckich i angielskich. Jeden z żołnierzy armii marszałka Montgomery'ego zapisał wtedy w swoim pamiętniku: *„Przede mną pojawiło się kwadratowe pudło wielkości czołgu, wygarnąłem doń i ktoś upadł. Trzech facetów zabrało tego, którego rąbnąłem. Potem wydało mi się, że poszli pionowo w górę”*. Negatywne rozpoznanie „kontaktu”, poparte argumentem militarnym, waży o losach dalszych negocjacji. Przesłanie powieści, wzmocnione niewiarygodną, a jednak w pewnym stopniu prawdopodobną su-



gestią miejsca spotkania, ujmuje doskonale refleksja profesora Cortona: *„Powinniśmy być im wdzięczni. Pierwsi, którzy odnaleźli naszą rasę w nieskończonym Wszechświecie! A jednak – cóż za upokorzenie! Człowiek marzył od stuleci o takiej chwili, a oni wpadli w jaskinię pełną zwierząt”*.

Schemat nieudanej konfrontacji wykorzystuje również utwór Adama Hollanka „Katastrofa na «Słońcu Antarktydy»” (1958), prezentujący wariant „inwazji fałszywej” z celową zamianą ról partnerów dialogu. Agresja Obcych okazuje się wyreżyserowaną intrygą ziemskiej grupy dywersyjnej, która zamierza podporządkować swoim wpływom znaczne obszary naszego globu (podobną historię opisuje Maciej Kuczyński w „Katastrofie”, 1968). Podstęp zostaje wykryty, bunt stłumiony, ale rozbicie stagnacji ekonomicznej i świadomościowej odnosi zbawienny skutek. *„Współczesne społeczeństwo jest wynaturzone, zautomatyzowane w sensie technicznym i moralnym. Napad Obcych otwiera nowy cel przed ludzkością”* – twierdzi profesor Redd podczas finalnej demaskacji Przybyszów.

Propozycja Adama Hollanka, analogiczna do przemyśleń anglosaskiej fantastyki lat 60-tych (Th.Sturgeona – „Unite and Conquer” i H.Fasta – „Martian Shop”) wydaje się równie otwarta w bezpośredniej wymowie ideologicznej, jak jej kolejne realizacje obcojęzyczne. *„Sam fałsyfikat zagrożenia planetarnego”* – sądzi Stanisław Lem – *„nigdy nie doprowadzi do trwałego zjednoczenia świata. Owszem: trwanie nad nami Damoklesowego miecza inwazji niechybnie przytłumi animozje polityczne (...), lecz tyle właśnie trwałości zgody, ile samego niebezpieczeństwa. (...) wszystkie więc marzenia nazwanego rodzaju są odpowiednikami strukturalnymi starej powieści, co się poczciwie zamykała oświadczeniem, iż dotąd nieprzywiedlni kochankowie, pobrawszy się żyli długo i szczęśliwie bez żadnej komplikacji”*. Założeń „Katastrofy...” nie sposób jednak sprowadzić do politycznej prognozy wcielonej w baśniowy stereotyp happy endu. Na czele spiskowców stoi wszak nie „poczciwy milioner” (jak u H.Fasta), który chce świat zjednoczyć, lecz szalony naukowiec – profesor Gross vel Risky, były zbrodniarz hitlerowski, który zamierza mieszkańców naszej planety zamienić w rodzaj bezdusznych automatów. Jego eksperyment polega na zastąpieniu ludzi żelaznymi robotami („Eiserne Männer”), stanowiącymi awangardę prawdziwie „nowego” społeczeństwa. Taka wersja wydarzeń nawiązuje do ówczesnej sytuacji politycznej: jest protestem przeciw ahumanitarnym przejaskrawieniom totalitarystycznych systemów władzy, dalekim echem polemiki z koncepcją idealnego ustroju, pozwala również zrozumieć, jakim celom służy odmianie „kontaktowej” kreacja „innych światów”. Znacznie łatwiej pojąć teraz autorów, którzy temat „inwazji” prezentują w tradycyjnym schemacie zbrojnego ataku Przybyszów (D.Filar – „Niepokonani”, 1976; Z.Prostak – „Boja”, 1976).

„Nie sfałszowane agresje mają zwyczajowo w science fiction charakter katastrofy po prostu” – twierdzi Stanisław Lem – *„i tyle w nich sensu, ile go może zawierać odpowiednio wyreżyserowany kataklizm”*. Trzeba jednak wyraźnie przyznać, iż rodzimą literaturę „konfrontacyjną” reprezentuje znacznie mniejsza liczba nieudanych, wręcz infantylnych proroctw w stosunku do jej anglosaskiej rówieśniczki. Jeśli przyjąć ustalenia E.Barmeyer („Science Fiction. Theorie und Geschichte”) mianem „kontaktu opiekuńczego” należałoby określić historie w rodzaju „Wieczornego nieba” (1967) Andrzeja Czechowskiego, a „konfrontacja siłowa” patronowałaby wypowiedziom Antoniego Ossendowskiego („Zbuntowane i zwyciężone”, 1925) i Andrzeja Mateoszka – („Vindicta”, 1975). W opowiadaniu S.Lema „Inwazja” (1958) rozszyfrowanie pochodzenia „kosmicznych grusz” następuje błyskawicznie: Przybysze zostają otoczeni kordonem wojska, na miejscu lądowania zjawiają się przedstawiciele świata nauki. Różne grupy społeczne usiłują teraz przejąć inicjatywę dialogu. Narasta konflikt pomiędzy armią strzegącą tajemnicy obiektów w imię „ochrony” okolicznej ludności, a cywilnym sztabem uczonych, który kieruje się celami czysto poznawczymi. Mimo iż „spotkanie” jest pierwszym tego typu zjawiskiem w dziejach naszej planety, przerażenie i strach nie powstają jako odpowiedź na wiadomość o samym kontakcie, ale narastają w wyniku obserwacji niehumanitarnych metod działania „starszych braci”. *„Przecież tu nie chodzi o grusze”* – stwierdza dr Haines, rekapitulując szereg, najbardziej nawet absurdalnych hipotez – *„to pytanie odnosi się do roślin, ludzi, do wszystkich istot (...) na co dzień nie dostrzegamy go, bośmy przywykli do naszego życia, takiego jakim ono jest. Trzeba było dopiero innych organizmów o odmiennych kształtach, funkcjach, żebyśmy je odkryli na nowo”*.

Również w „Wieczornym niebie” (1967) Andrzeja Czechowskiego nie oszczędza się ofiar agresji, wypowiadając gorzkie słowa na temat świadomościowej postawy społeczeństwa, które bez zastrzeżeń przyjmuje instrumentalną pomoc Obcych, nie zadając pytania o cel totalnej hedonizacji życia. Na przykładzie obserwacji zachowania Ziemian, Czechowski wysuwa zarzut najcięższy, jaki można postawić propagatorom wzorca konsumpcyjnego: osłabienia naturalnych reakcji biologicznych, nagradzania intelektualnej obojętności wobec rzeczy nieznanej i do końca nierozpoznanej. Tak oto rzeczywista ocena wyników „spotkania” przybiera postać aktualnego oskarżenia społecznego.

Andrzej Niewiadowski

PRZEDWCZORAJSZE I DZISIEJSZE MITOTWÓRSTWO

Nie minęło jeszcze sto lat od momentu prawdziwych narodzin science fiction, czyli od ostatniego pięciolecia ubiegłego wieku, w którym Herbert G.Wells wydał „Wehikuł czasu", „Wojnę światów" i kilka innych powieści. Science fiction jest stosunkowo młodym gatunkiem literackim i w porównaniu z innymi gatunkami, których tradycja mierzona jest całymi wiekami czy nawet tysiącleciami, jest jak dziecko, które dopiero rozgląda się po świecie, bada swoje możliwości i któremu wiele się wybacza, na wiele pozwala.

Toteż science fiction nie ma zahamowań cechujących inne dziedziny literatury i – korzystając ze swojej „świeżości", pewnej niedojrzałości – stawia otwarcie pytania, których „poważna" literatura unika. Dorośli bowiem niektóre sprawy uznają za raz na zawsze załatwione i dopiero dziecko bezwstydnie o nie pytając obnaża ich myślowy eskapizm i niekiedy zmusza do zadumy nad sprawami odepchniętymi w zakamarki świadomości. Takim literackim dzieckiem jest literatura science fiction – jej młodzieńcza niefrasobliwość pozwala, a nawet zmusza ją do zadawania pytań o sprawy „pierwsze": o pochodzenie świata, o jego status ontologiczny, o śmierć naszej cywilizacji i o to, co będzie po niej, pozwala jej roztrząsać problem dobra i zła, problem siły sprawczej kierującej ludzkim życiem zarówno biologicznym, jak i społecznym. Wiele jest tematów, które pojawiają się na terenie literatury fantastyczno-naukowej, są niejako jej specjalnością, nie występując na obszarze żadnego innego gatunku, mimo że właściwie niewiele mają wspólnego zarówno z fantastyką, jak i z naukowością.

Te zainteresowania sprawiają, że proza science fiction znajduje się niespodziewanie blisko mitologii poszczególnych kręgów kulturowych, że w odmienny sposób, w innej atmosferze, bo wyzbyta tego sacrum, które nadaje mitom specyficzne znaczenie i napięcie emocjonalne, spełnia podobne zadania, służy zaspokajaniu tych samych tęsknot, rekompensowaniu podobnych braków w istniejącym obrazie świata. Jest to widoczne w science fiction zwłaszcza w obecnej fazie jej rozwoju, kiedy są odrzucane coraz wyraźniej wszystkie technicystyczne akcesoria świata przedstawionego, stanowiące do niedawna alibi istnienia gatunku czy też maskujące faktyczne zainteresowania twórców i czytelników, tak jakby nie wypadało po prostu bać się tego, co się może stać z nami.

Oczywiście porównanie science fiction do mitologii jest powierzchowne i nawet mylące na dłuższą metę: mity obdarzone są sacrum, organizują wierzenia całej – na ogół archaicznej – społeczności, science fiction jest natomiast zabawą w mitotwórstwo, nie wymaga od czytelnika wiary, nie otacza się charyzmą, prezentuje w swoich poszczególnych realizacjach warianty przyszłości, rozmaite modele rozwiązań problemów, których istnienie dostrzega w konkretnej chwili i chce orzec o ich rozwoju. Mit i science fiction dotyczą zasadniczo tych samych spraw, ale wyrażają diametralnie różne do nich podejście. Mit – jak pisze Ernst Cassirer – *„nie zna innego sposobu rozumienia, wyjaśniania i interpretowania aktualnego kształtu życia ludzkiego jak odniesienie go do odległej przeszłości"*. Nowela science fiction „nie zna innego sposobu rozumowania, wyjaśniania i interpretowania aktualnego kształtu życia ludzkiego" jak dostrzeżenie w nim zalążka dalekiej przyszłości. Dlatego w swoich konstrukcjach narracyjnych wzmacnia istniejące zjawiska, ekstrapolując je w przyszłość, by ukazawszy je w wypreparowanej, spotworniałej postaci skierować swoje przesłanie z powrotem ku teraźniejszości. Nowela science fiction jest więc rodzajem przypowieści, która zwraca się w przyszłość, nie w przeszłość jak mit.

Mircea Eliade pisał w „Traktacie o historii religii", że *„każdy mit, niezależnie od swej natury, nawiązuje do jakiegoś wydarzenia, które miało miejsce in illo tempore i stanowi wobec tego wzorzec dla wszystkich czynności i «sytuacji», w których następnie owo wydarzenie się powtórzy"*. Podobny jest rodowód opowieści fantastyczno-naukowych, tyle że nawiązują one do wydarzeń teraźniejszości lub bardzo świeżej przeszłości i na ich podstawie próbują stworzyć wzorce sytuacji przyszłych, najczęściej negatywne, by spowodować przewartościowanie sądów o współczesności. Zarówno mit, jak nowela science fiction nie mówią wprost o zdarzeniach, nie można ich interpretować jako bezpośredniego zapisu rzeczywistości, one są – jak to określił Marcin Czerwiński mając na myśli jedynie mit, lecz co można moim zadaniem odnieść również do SF – zapisem *„typów sytuacji egzystencjalnych, nie są zapisem fragmentów historii, lecz struktur, które mogą być i są najczęściej powtarzalne, w jakiejś mierze ponadczasowe"*. Wypreparowują więc określone opowieści, które uznają za typowe czy to w przeszłości, czy w teraźniejszości, czy w przyszłości i tworzą z nich wzorce, niejako uniwersalizują je.

Nic dziwnego, że przy takim podejściu do fabuły utworu, środki narracyjne nie są sprawą najważniejszą. Mit działa samą swoją treścią, zawartością myślową, nie środkami formalnymi, jako że musiały się one zmienić w trakcie – najczęściej przecież – ustnego przekazu, aż do momentu utrwalenia mitu pismem. Słusznie tedy zauważa Claude Lévi-Strauss w „Antropologii strukturalnej": *„Substancja mitu nie tkwi ani w stylu, ani w sposobie narracji, ani w składni, lecz w historii, którą się tam opowiada"*, dodaje również, że *„mit zachowuje swoją wartość nawet przy najgorszym tłumaczeniu"*. Coś z tego odnieść można również do opowieści fantastyczno-naukowej, której literacka zachowawczość jest cechą nieomal konstytutywną. SF tylko w nielicznych przypadkach ujawnia swoje zainteresowanie kwestiami formalnymi, w przeważającej części jest literaturą pomysłu („historii, która opowiada"), dla którego zrelacjonowania zadowala się językową poprawnością. Cała warstwa językowa przeważnie nie stanowi dla niej żadnego problemu, jest niejako „przezroczysta", co powoduje, że opowiadana fabuła jednakowo dobrze prezentuje się w różnych przekładach, niezależnie od ich jakości.

SF jest też literaturą akcji. Nie wypowiada swoich przestróg wprost, językiem dyskursywnym, ale ujawnia je poprzez odpowiednio udramatyzowaną akcję, dba bowiem o to, by jej przesłania mogły docierać do możliwie dużej liczby odbiorców. Nie chce stać się literaturą „laboratoryjną", jej ambicją jest być popularną nawet za cenę wyraźnych uproszczeń. O tym, że mit odznacza się tymi samymi cechami, pisać nie trzeba – jest on przecież wytworem kultur archaicznych, jest tworzony z pokolenia na pokolenie przez późniejszych jego odbiorców, którzy najlepiej wiedzą, w jaki sposób zaspokoić własne potrzeby. Charakterystyczne, że właściwie większość aktywnych miłośników SF próbuje czynnie uprawiać ten gatunek, że kolejni twórcy SF wyłaniają się z tłumu, dostrzegają „łatwość" tworzenia tej literatury, jeśli tylko mają odpowiedni pomysł. Jest to więc również twórczość popularna, ogólnie dostępna, coś na kształt mitotwórstwa codziennego, wyraz potocznej refleksji eschatologicznej czy kosmogonicznej. Efekt spostrzeżenia, że świat się zmienia, że ścierają się w nim najróżniejsze siły, że nie jest dany raz na zawsze w spetryfikowanej postaci (dopiero później z tej mnogości debiutów wyłaniają się pisarze z prawdziwego zdarzenia).

„Świat mitów ma charakter dramatyczny – jest światem działań, sił i ścierających się potęg. W każdym zjawisku przyrody dostrzega się zderzenie tych sił" – pisze Cassirer w „Eseju o człowieku". – *„Wszystkie przedmioty są łaskawe lub złośliwe, przyjazne lub wrogie, znajome lub niesamowite, pociągające i urzekające lub odpychające i groźne"*. To wszystko można również odnieść do SF, a to dlatego, że literatura ta opisuje zazwyczaj pierwsze doświadczenia ludzkie w zetknięciu z nową spreparowaną przez siebie rzeczywistością, czy to innoplanetarną czy też inaczej zorganizowanego społeczeństwa (a zakładając milcząco niezmienność mentalności ludzkiej stawia dzisiejszego człowieka wobec tej nowej rzeczywistości). Mit jest wyrazem pierwotnej formy ludzkiego doświadczenia w świecie, jaki człowiek zaczął sobie myślowo podporządkowywać. SF opisuje ten sam rodzaj doświadczenia w rzeczywistości, jaką człowiek spodziewa się poznać i wobec której będzie musiał zająć stanowisko myślowe.

Jest zatem SF rodzajem treningu. Dlatego należące do niej opowieści mają tak wiele wspólnego z mitami. Mity są przecież wyrazem tych doświadczeń, które chce również wyrazić SF, są i będą dla niej wzorcem, czego nie zmieni nawet „ideał prawdy wprowadzony przez naukę". Myślenie mityczne jest nadal obecne i ujawnia się także w fantastyce – z nazwy – naukowej.

Leszek Bugajski

■

NIEUCHRONNY KONIEC

John Taylor

Poniższy tekst jest fragmentem książki „Czarne dziury: koniec Wszechświata?", napisanej przez profesora matematyki londyńskiego King's College, Johna Taylora, autora m.in. wydanych wcześniej książek „The New Physics" i „The Shape of Minds to Come". Czarne dziury, mimo wielu teorii mniej lub bardziej udanie opisujących ten astrofizyczny fenomen, wciąż są zjawiskiem nie do końca zrozumiałym i tajemniczym. Nic więc dziwnego, że fantastyka naukowa eksploatuje ten temat często i spekulatywnie. Czarne dziury pochłaniają statki kosmiczne i całe cywilizacje bądź są wykorzystywane jako źródło napędu o niewyobrażalnej energii, powodują katastrofy kosmiczne i zmieniają bieg wydarzeń we Wszeświecie. Gdzie kończy się nauka a zaczyna spekulacja? Obszar graniczny jest w tym przypadku wyjątkowo rozległy. Prof. Taylor porusza się po nim z dużą wiedzą i nie mniejszą fantazją. Całość ukaże się w 1984 r. nakładem PIW w serii Biblioteka Myśli Współczesnej. (Red.)

Nadciągający koniec świata przepowiadano wielokrotnie w historii ludzkości (...). Miał on być jednak jedynie końcem tego świata, który znamy, a nie całkowitym przeobrażeniem w nicość. (...). Takie rozumowanie opiera się na przeświadczeniu, że Wszechświat lub niektóre jego elementy będą istniały zawsze. Być może całkowicie się mylimy; koniec świata może być właśnie taki, że nic już nie pozostanie. Nawet, jeśli koniec będzie tak ostateczny, w dalszym ciągu nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy podejmowali wysiłki w celu zrozumienia, jak do tego dojdzie – jakie będą warunki fizyczne przed naszym zniknięciem. A w każdym razie powinniśmy starać się stworzyć obraz przyszłości Wszechświata tak odległej, jak to tylko możliwe. Nasze najbardziej prawdopodobne przewidywania będą oparte na współczesnej wiedzy o historii i przyszłości świata. Możliwe, że uda nam się stworzyć obraz przyszłych wydarzeń i w ten sposób pogodzić się z koniecznością, że Wszechświat rozwieje się w powietrzu. (...).

Wiemy, że galaktyki oddalają się od siebie coraz szybciej; jest to prawo Hubble'a, które poparto mocnymi dowodami obserwacyjnymi. Taki rozszerzający się Wszechświat ma przed sobą dwie możliwości: albo galaktyki będą uciekały od siebie i oddalały się coraz bardziej, albo też zwolnią swój ruch i w końcu zatrzymają się, by ostatecznie zacząć zbliżać się do siebie z rosnącą prędkością na skutek wzajemnego przyciągania przez siły grawitacyjne. W efekcie zderzą się, tworząc wysoce zapadnięty obiekt, gdzie zachodzące procesy będą odwrotnością „wielkiego wybuchu". Galaktyki utworzyłyby wówczas wszechświatowy kolapsar.

Na pierwszą z tych możliwości, kiedy galaktyki oddalają się od siebie, patrzylibyśmy z niepokojem. Kiedy odległość jakiejś galaktyki od naszej własnej zwiększałaby się, rosłaby również jej prędkość, aż w końcu przemieszczałaby się ona względem nas szybciej od światła. Nie wydaje się, aby szczególna teoria względności dopuszczała taką możliwość, lecz w rzeczywistości dzieje się tak z odległymi obiektami w przestrzeni zakrzywionej. Zakrzywienie to powoduje silne zaburzenia przestrzeni i czasu, tak że obserwatorzy umieszczeni w odległych miejscach doświadczaliby odmiennej prędkości przepływu czasu niż prędkość w ich pobliżu.

Kiedy galaktyki osiągną prędkość światła w swej ucieczce od nas, przestaniemy je widzieć. Znikną one poza naszym horyzontem zdarzeń. Tak więc jedna po drugiej odleglejsze galaktyki znikną z pola widzenia; później znikną również bliższe. Ostatecznie możemy zostać całkowicie wyizolowani, z otaczającą nas jedynie grupą lokalnych galaktyk. I nawet jeśli bliższe galaktyki nie uciekną od nas z prędkością większą od światła, będą w dalszym ciągu się oddalały, tak że w końcu nie będziemy mogli ich obserwować.(...).

Czas potrzebny galaktykom, które znajdują się wokół nas, na to, by mogły stać się niewidzialne, jest długi. Na przykład czas, w którym galaktyki oddalą się na dwukrotnie większą odległość niż obecnie, równy jest przynajmniej obecnemu wiekowi Wszechświata, ale i tak kiedyś do tego dojdzie. Bo czas będzie trwał nadal i nie będzie miał końca. Czas może oczywiście zwolnić swój bieg, dzięki stale zmniejszającej się aktywności; miejscowe galaktyki będą się starzeć, aż w końcu cała ich zawartość osiągnie ostatnie stadium rozwoju, czyli przekształci się w białe karły, gwiazdy neutronowe i czarne dziury.

Te ostatnie stanowią jednak problem dla nieśmiertelnego, rozrzedzonego Wszechświata. Tworzą one miejscowe ogniska kolapsu, które ostatecznie pochłoną całą znajdującą się wokół nich materię. Prędzej czy później los ten spotka wszystkie białe karły i gwiazdy neutronowe – połkną je czarne dziury, emitując równocześnie promieniowanie grawitacyjne. Ostatecznie nasza Galaktyka i pozostałe galaktyki, które należą do Mlecznej Drogi, zostaną całkowicie pochłonięte: wszystko znajdzie się w naszej centralnej czarnej dziurze.

Obrazek ten jest jednak odleglejszy niż zniknięcie galaktyk. O ile rozumiemy czarne dziury, a mówiąc ogólnie – naturę przestrzeni i czasu, los taki jest nieunikniony. Pomimo największych wysiłków z naszej strony, aby opuścić Galaktykę, będziemy niewątpliwie pochwyceni – jeśli nie w naszej, to w innej galaktyce, do której udałoby nam się uciec. Spodziewamy się bowiem, że w każdej galaktyce powstanie przynajmniej jedna czarna dziura, o ile nie więcej. Przypuszcza się na przykład, że każdego roku w naszej Galaktyce rodzi się co najmniej siedmiu kandydatów na kolapsary i należy oczekiwać, że w innych galaktykach, prędzej czy później, stanie się podobnie. Mamy już obecnie takiego bardzo dobrego kandydata w naszej Galaktyce, podwójne źródło promieni X, Cygnus X-1. Ostatnio odkryto ślady innego na południowej półkuli nieba. (...).

Los istot inteligentnych w pobliżu gwiazdy jakiejś galaktyki we Wszechświecie jest smutny, nawet jeśli Wszechświat rozszerza się w sposób nieograniczony. Stwierdzenie, czy tak jest rzeczywiście, możliwe jest przez dokonanie pomiarów całkowitej ilości energii znajdującej się we Wszechświecie. Według słynnego równania Einsteina $E = mc^2$ energia jest równoważna masie; przyciąganie grawitacyjne powoduje, że rozproszona energia skupia się w mniejszym wymiarze.

Na większą skalę wygodnie jest przyjąć, że równe formy energii we Wszechświecie – materia w galaktykach, wodór międzygalaktyczny, światło gwiazd i inne – rozkładają się równomiernie. Możliwe jest wówczas obliczenie energii kinetycznej – energii zgromadzonej w ruchu – rozszerzającego się „wygładzonego" Wszechświata. Umiemy również przewidzieć ilość energii grawitacyjnej, która wyzwoli się, kiedy Wszechświat zapadnie się tak, że stanie się punktem. Całkowita energia – kinetyczna plus grawitacyjna – daje możliwość przewidywania, jaki los czeka Wszechświat w przyszłości. Jeżeli energia całkowita jest dodatnia, wówczas Wszechświat może rozszerzać się w nieskończoność, dokonując tego ze stałą prędkością po upływie wystarczająco długiego czasu.

Jedynie wtedy, gdy energia całkowita Wszechświata jest ujemna, rozszerzanie się ulegnie zwolnieniu w miarę upływu czasu, aż w końcu ustanie i ulegnie odwróceniu; Wszechświat zacznie zapadać się, jak wspomnieliśmy już uprzednio, i osiągnie stan nieskończenie wielkiej gęstości. Przypadek pośredni powstanie wówczas, gdy energia całkowita świata wynosi zero. Galaktyki uciekają coraz wolniej, choć stają się coraz bardziej odległe. Proces izolacji przebiegać będzie wtedy tak, jak przy energii dodatniej.

Podstawowa linia podziału między zwiększającą się izolacją a powrotem do osobliwego, całkowicie zapadniętego stadium występuje przy określonej przeciętnej gęstości energii w przestrzeni. Jeśli we Wszechświecie jest mniej energii, niż wynosi wielkość krytyczna, wtedy przyciąganie grawitacyjne między częściami Wszechświata jest zbyt słabe, aby przezwyciężyć impuls do rozszerzania się wywołany przez początkowy „wielki wybuch"; galaktyczne składniki Wszechświata będą uciekać od siebie pomimo ich wzajemnego przyciągania się, a także pomimo istnienia innych postaci energii. Z drugiej strony, jeżeli energii jest więcej niż wynosi ta specyficzna wielkość, to początkowa energia rozszerzania się jest w ostateczności przezwyciężona przez grawitację i następuje kolaps Wszechświata.

Ogromne znaczenie ma znalezienie tej swoistej wartości energii i faktycznej ilości energii zgromadzonej w świecie. Pierwszą z tych wartości można obliczyć z prędkości oddalania się galaktyk i okazuje się, że odpowiada ona jednolitemu rozsianiu w przestrzeni jednego atomu wodoru w stu tysiącach kilometrów sześciennych. Ilość atomów wydaje się bardzo mała, lecz trzeba sobie zdać sprawę, że jest to dziesięć razy więcej, niż gdyby całą materię z galaktyk równomiernie rozłożyć w przestrzeni w postaci wodoru. Konieczne jest więc uważne poszukiwanie innych form materii lub energii, zanim będziemy mogli oczekiwać zapadnięcia się Wszechświata z powrotem.

Istnieją liczne rodzaje energii, które wymagają zbadania, by nasza przyszłość była jasna. Niektóre z nich – zwłaszcza energia światła gwiazd – są tak małe, że prawie niezauważalne; te, które powstają z międzygwiezdnych pól magnetycznych, cząsteczek promieniowania kosmicznego czy z promieniowania tła, również można pominąć. Istnieją jednak dalsze dwie formy energii, co do których odpowiedź jest bardzo niepewna. Jedną z nich jest energia niewidzialnej materii znajdującej się w formie zapadniętych gwiazd lub nawet zapadniętych galaktyk. Być może pięćdziesiąt razy więcej materii znajduje się w stanie zapadniętym niż normalnym, w takim więc razie w przyszłości Wszechświat niewątpliwie się kiedyś zapadnie. Obecnie trudno jest podać dokładną wielkość gęstości niewidzialnej materii (tzw. ciemnej materii – przyp.tłum.). Do tego, aby ponownie scalić Wszechświat, nie wystarczy 50 procent materii, być może potrzeba by było co najmniej 90 procent.

Inną formą materii, której obserwacja okazała się trudna, jest międzygalaktyczny wodór. Udało się jedynie ustalić górną granicę jego ilości, wydaje się ona zbyt mała do wywołania ponownego kolapsu Wszechświata. Istnieją jednak poważne trudności przy interpretowaniu dokonanych dotychczas obserwacji. W takim razie ilość wodoru między galaktykami może być wyższa od wartości krytycznej.

Istnieją również o wiele bardziej nieuchwytne formy energii promieniowania, które trzeba wziąć pod uwagę przed wydaniem ostatecznej opinii.

Jedną z tych form jest promieniowanie grawitacyjne, grawitacyjny odpowiednik światła i innych form promieniowania elektromagnetycznego. Obserwacja tego zjawiska jest trudna, choć – jak wspomnieliśmy wcześniej – prawdopodobnie zostało ono odkryte przez Josepha Webera. Mimo to bardzo trudno jest zmierzyć, ile tego promieniowania znajduje się we Wszechświecie, zwłaszcza w całym zakresie częstotliwości. (...).

Sytuacja przedstawia się obecnie tak, że nie wiemy jeszcze, czy Wszechświat będzie w dalszym ciągu się rozszerzał, czy też zatrzyma się, by się w końcu zapaść. Rozważyliśmy już co by się z nami stało w przypadku pierwszej z tych możliwości. Przejdźmy teraz do omówienia drugiego przypadku. Stwierdzamy, że w fazie kolapsu, na długo przed osiągnięciem wysokich gęstości, mogą zajść zjawiska, które zagrożą rozumnemu życiu.

Warto podkreślić w tym miejscu, że warunek dostatecznie dużej gęstości, która jest niezbędna do zaistnienia kolapsu, jest dokładnie taki sam jak wymóg, by Wszechświat jako całość znalazł się wewnątrz własnego horyzontu zdarzeń. Innymi słowy, żyjemy we Wszechświecie, który jest czarną dziurą. Jeżeli tak jest, musimy przyjąć, że przestrzeń, z której się składa świat, jest bardzo zaburzona przez olbrzymią koncentrację materii i przestrzeń ta zagina się z powrotem na siebie. Przestrzeń taka jest trójwymiarowym analogiem zagiętej powierzchni sfery. Ta ostatnia ma skończoną powierzchnię, lecz jej obszar jest nieograniczony w tym sensie, że nigdy nie można osiągnąć granicy przestrzeni.

Istota dwuwymiarowa – „płaszczak" – żyjący w kuli, nigdy nie pozna niczego poza nią; jego świat ogranicza się do sferycznie zakrzywionej powierzchni. Gdyby nasza Wszechświat składał się z przestrzeni zamkniętej w sobie, bylibyśmy trójwymiarowym odpowiednikiem „płaszczaków". Nigdy nie moglibyśmy opuścić naszego zamkniętego Wszechświata; nie mielibyśmy również możliwości przesłania sygnałów na zewnątrz. Nie jesteśmy jednak pewni, czy coś nie może przybyć z zewnątrz, choć w takim przypadku musiałoby przybyć przez przestrzeń o wyższej wymiarowości. Jest to sytuacja analogiczna do tej, kiedy obiekty przybywają z zewnątrz do świata płaskich istot poprzez trzeci wymiar (którego płaskie istoty nie znają). Nigdy nie będziemy wiedzieć na pewno, czy istnieją dalsze specjalne wymiary poza naszymi trzema. Śladów takich dodatkowych wymiarów mogłoby dostarczyć nam jedynie nieoczekiwane pojawienie się lub zniknięcie obiektów z naszego trójwymiarowego świata. Ponieważ nie ma naglącej potrzeby wprowadzania dodatkowych wymiarów, my również ich tu nie wprowadzimy.

Tak więc, gdybyśmy mieszkali w zamkniętym Wszechświecie, moglibyśmy powiedzieć, że jesteśmy odcięci od wszystkiego innego. W rzeczywistości dla takiego wszechświata wszystko inne nie istniałoby. Na podstawie szczególnych właściwości naszego Wszechświata, możemy stwierdzić z całą pewnością, czy jest on zamknięty. Na właściwości te można patrzeć jako na odpowiedniki cech sferycznej powierzchni płaskich istot. Jeśli będziemy rysować równoleżniki odpowiedniej szerokości geograficznej na Ziemi, zaczynając od Bieguna Północnego, obwód ich będzie się zwiększał w miarę oddalania się od Bieguna Północnego aż do osiągnięcia równika; wówczas obwód zacznie się zmniejszać, aż osiągnie zero za Biegunie Południowym. Jednakże powierzchnia zawarta między kolejnym równoleżnikiem a Biegunem Północnym będzie cały czas rosła.

Podobnie w zamkniętym trójwymiarowym wszechświecie, zbiór sfer o ciągle rosnącym promieniu ze stałego środka będzie miał początkowo rosnącą powierzchnię. Ostatecznie zmniejszy się jednak ona do zera, podczas gdy objętość ograniczonych tymi sferami kul będzie stale wzrastać do pewnej wartości maksymalnej, to znaczy do całkowitej objętości przestrzeni. W zasadzie powinniśmy umieć wykonać pomiary takiej powierzchni i objętości, a więc ustalić, czy nasz Wszechświat jest zamknięty, czy nie. W praktyce jest to oczywiście niewykonalne. Zabawna jest jedna z właściwości zamkniętego wszechświata: promień światła wysłany z danego punktu ostatecznie do tego punktu powróci. Tak więc, gdyby ktoś uważnie spojrzał w zamknięty wszechświat, mógłby zobaczyć tył własnej głowy! Zjawisko to potraktowano poważnie kilka lat temu, kiedy na południowej półkuli nieba odkryto galaktykę, wysyłającą silne fale radiowe i położoną w kierunku dokładnie przeciwnym do tego, w którym na półkuli północnej odkryto wcześniej podobną galaktykę; spodziewano się, że ta druga jest tyłem pierwszej. Z powodu możliwości ucieczki galaktyk, a także innych przyczyn, trzeba jednak odrzucić taką naiwną możliwość. Oprócz okazji zobaczenia tyłu własnej głwoy, jeżeli się uważnie patrzy, zamknięty wszechświat oferuje bardzo ciekawe cechy, jeśli chodzi o stadium zagęszczenia. Najdziwniejsze z nich tyczy czasu, a zwłaszcza jego kierunku. (...).

Sekwencje uporządkowania naturalnych wydarzeń możemy odnieść do rozszerzenia Wszechświata, stwierdzając, że świat jest zimny, absorbujący promienie. Jeśli zaświecimy latarkę, promieniowanie, które ona wyśle, zostanie pochłonięte przez głodny Wszechświat; daje to określony ciąg „przed-po", który jest nam dobrze znany. Strzałę czasu daną przez wzrost prawdopodobieństwa możemy obecnie porównać ze strzałą czasu daną przez rozszerzanie się Wszechświata.

W kurczącym się wszechświecie oczekiwalibyśmy, w fazie kolapsu, zdarzeń mniej prawdopodobnych. Galaktyki poruszałyby się ku sobie, a ich gwiazdy absorbowałyby promieniowanie, które poprzednio emitowały przed zapoczątkowaniem kurczenia się. Ostatecznie, rozpadłyby się one na pierwotny wodór. Dalszy rozwój świata wyglądałby jak film o fazie rozszerzania się oglądany od tyłu. Ludzie powstaliby z grobów, stawaliby się młodsi, przy własnych narodzinach znikaliby – czyli stałoby się o wiele więcej niż chcą wierzący w nieśmiertelność, rozmyślający o dniu ostatecznym.

Obraz młodniejących i znikających przy narodzinach ludzi jest niepokojący, lecz można go uniknąć traktując czas jako odwrócony, jako ten, którego doświadczają rozumne istoty w tej fazie kurczenia się Wszechświata. Rzeczywiście, byłby to jedyny sposób doświadczania czasu przez ludzi w takim świecie, ponieważ my zauważamy jedynie „psychologiczny" kierunek czasu. To znaczy, określony przez rozszerzanie się pamięci, który będzie odpowiadał odwróceniu czasu fizycznego w kurczącym się wszechświecie.

W każdym bądź razie nie ma istotnego powodu przypuszczać, że procesy takie jak ewolucja gwiazd będą przebiegać do tyłu w fazie kurczenia się. Aktywność ta powinna występować do momentu wyczerpania się paliwa nuklearnego, po czym zostanie zatrzymana przez coraz intensywniejsze światło, pochodzące z odległych galaktyk, które zbliżają się do siebie. Ruch tych galaktyk do wewnątrz spowoduje, że światło gwiazd, które wysyłają galaktyki, uzyskuje energię dzięki przesunięciu ku fioletowi i w ten sposób powiększa energię znajdującą się w Kosmosie. Wcześniej czy później wzrost ten spowoduje, że niebo w nocy stanie się jasne jak za dnia, a odległe galaktyki dostarczą Ziemi tyle energii, ile daje jej nasze własne Słońce. W ostateczności Ziemia i wszystkie gwiazdy wyparowałyby w tym potoku energii, przy czym wszystkie formy życia były unicestwione na długo przedtem. Wszechświat zapadałby się nieubłaganie dalej, aż wszystkie istniejące poprzednio struktury – planety, gwiazdy, gromady gwiazd, galaktyki, gromady galaktyk – przepadłyby we wrzącym kotle materii i promieniowania przy stale rosnących temperaturach i gęstościach. Kompresja również nie miałaby końca aż składniki składników zostałyby wyizolowane, następnie też ich składniki i tak dalej.

Destrukcyjny kolaps całego Wszechświata będzie tak nieuchronny, jak ten w środku kolapsara. Również ciśnienie wywierane przez coraz bardziej skondensowaną materię nie uchroni przed ostatecznym zniszczeniem, ponieważ ciśnienie takie doda Wszechświatowi jedynie więcej energii, co przyspieszy kolaps. Nie ma wyjścia.

Co się stanie ostatecznie? Możemy uniknąć tego pytania odpowiadając, że rozplątywanie składników materii nie musi mieć żadnego końca: jakikolwiek składnik materii zawsze ma własne składniki. Tak jak na początku, kiedy nie było początku, lecz ciągła aktywność formowania, łączenia składników, tak i na koniec nie będzie końca, ponieważ będzie stale rosnąca aktywność oddzielania coraz to „drobniejszych" składników.

Taki obraz Wszechświata bez początku i bez końca jest atrakcyjny ze względu na swą prostotę. Mamy jednak pewne oznaki, że istnieją naturalne rozmiary, poniżej których materia nie może ulec kondensacji. Naturalna jednostka długości jest bardzo mała, bo wynosi milion miliardów miliardowej części centymetra i jest do długość, poniżej której siła grawitacji przestaje być efektywna. Choć jak dotąd nie mamy dowodów, jest to możliwość, o której trzeba pamiętać, oceniając trafność różnych obecnych teorii.

Inną alternatywą końca bez końca jest ponowne rozszerzanie się po ściśnięciu, być może do rozmiaru podyktowanego przez naturalną jednostkę długości, o której wspomniałem wyżej. W takim przypadku cała historia zaczęłaby się od początku – rozszerzanie się, zwolnienie tempa, osiągnięcie maksymalnej ekspansji, kurczenie się zakończone zniszczeniem ważnych cech, które dostrzegamy wokół. Takie powtarzanie się cyklu może trwać bez końca i mogło już tak być w przeszłości.

Jest pewne, że w obu przypadkach – końca bez końca, i powtarzających się cyklów – ludzkość i wszelkie życie rozumne nie przetrwa fazy silnej kompresji. Nawet podstawowe początki, z których jesteśmy zbudowani – elektron, proton i neutron, łącznie z ich wzbudzonymi nietrwałymi towarzyszami – zostaną z pewnością również zdziesiątkowane, choć długo po nas samych. Wydaje się, że w żadnej z tych dwóch sytuacji nie będzie dla nas ratunku po upływie pewnego czasu, przynajmniej w tym Wszechświecie. Nigdy nie osiągniemy nieśmiertelności w zamkniętym Wszechświecie.

Wszystko wskazuje, że dla inteligentnego życia we Wszechświecie nadchodzą ciężkie czasy. Najlepszym rozwiązaniem okazuje się życie w rozszerzającym się Wszechświecie, w którym najpierw zamarzniemy na śmierć, a później zostaniemy pochwyceni przez czarne dziury. Chociaż i tak w końcu będziemy unicestwieni, możemy przynajmniej odwlec moment katastrofy na czas o wiele dłuższy, niż gdybyśmy mieszkali w zamkniętym Wszechświecie. Określenie losu, który nas czeka, jest więc rzeczą najwyższej wagi. Pomimo to musimy zadać sobie pytanie: jak możemy stawić czoła temu nieszczęściu? Czy będziemy musieli pogodzić się z całkowitą klęską w obliczu nieuchronnego?

Przełożyli: Marek Kalinowski i Jarosław Pielesiak

NA POCZĄTKU BYŁA PANSPERMIA

Wcale już pokaźną liczbę stanowią uczeni skłaniający się do przypuszczenia, że aby wyjaśnić zjawisko pojawienia się życia na naszej planecie i jego niezwykły rozwój, sięgnąć trzeba do starej hipotezy o panspermii. Mówi ona o powszechności życia we wszechświecie i została zrekonstruowana w początkach tego wieku przez wybitnego uczonego szwedzkiego (laureata Nobla), Swante Arrheniusa. Inaczej powiedziawszy, w świetle coraz bogatszych odkryć w dziedzinie biologii, biogenezy, paleontologii czy geologii, coraz trudniej jest wyjaśnić początek życia na Ziemi wyłącznie panującymi na niej przed miliardami lat warunkami atmosferycznymi czy fizycznymi.

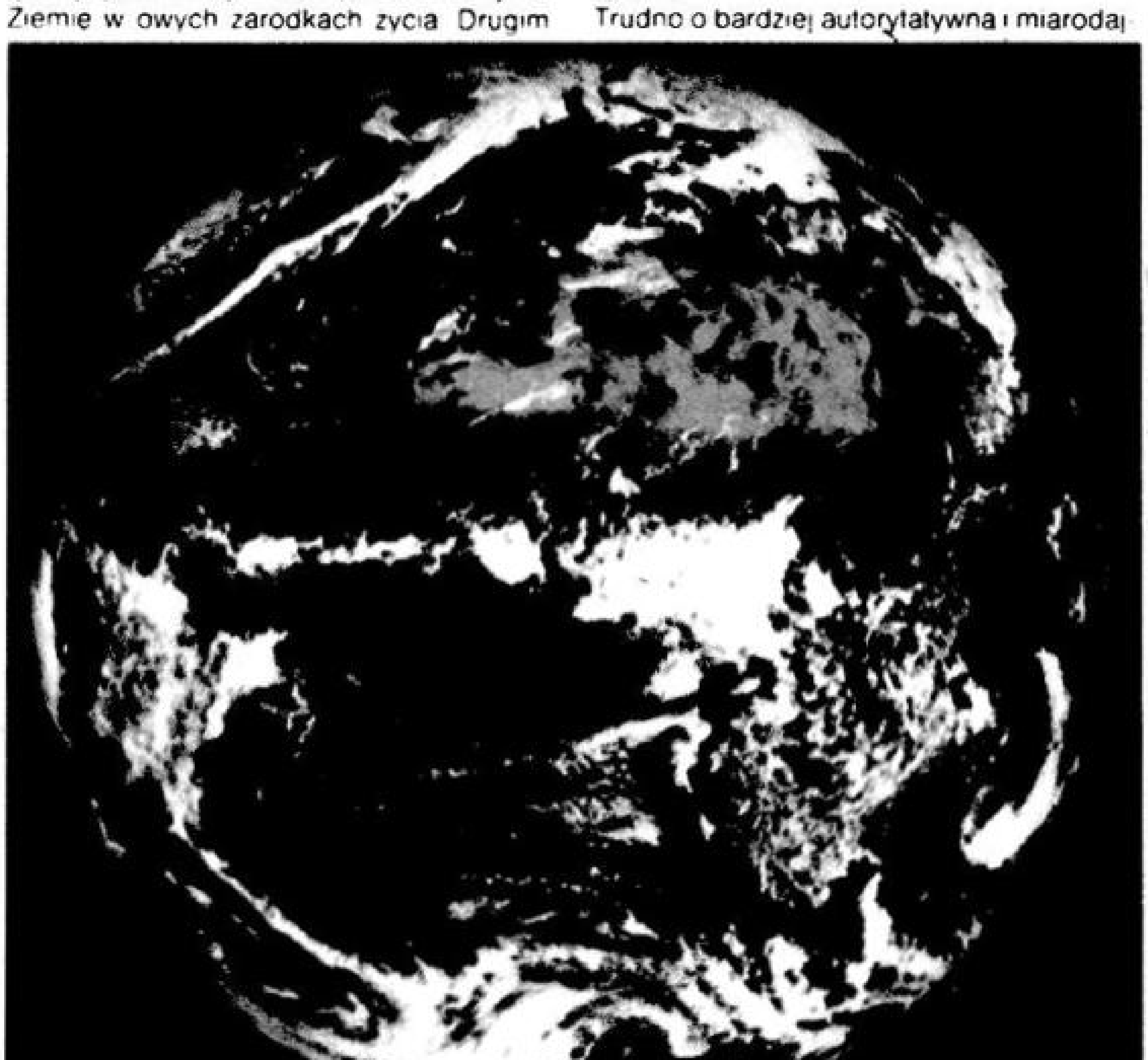
W drugim wydaniu mojej książki „My z kosmosu", jak też w wydanej przez „Iskry" książce „Biologia zmienia medycynę" zacytowałem wiele miarodajnych opinii na ten temat. Ich autorami są – bez wyjątku – wybitni uczeni. Wyjaśniłem też istotę najnowszej, dotyczącej biogenezy, teorii autorstwa dwóch znakomitych uczonych, Anglików: Freda Hoyle'a i Chandry Wickramansinghe'a. Otóż uważają oni, że życie rodzi się nieprzerwanie w przestrzeni kosmicznej – początkowo na powierzchni ziaren pyłu kosmicznego, a później niejako dojrzewa w jądrach komet. Następuje tam skomplikowana samoorganizacja kwasów nukleinowych i aminokwasów w pierwotne zalążki żywej materii, które mogą rozwijać się dalej, gdy tylko znajdą sprzyjające warunki – na przykład takie, jak panujące na Ziemi przed 3–4 miliardami lat.

W myśl tej hipotezy Ziemia została „zarażona" życiem przed miliardami lat, gdy otarło się o nią jądro nieznanej komety. Dla uzasadnienia swojej tezy autorzy tej teorii dysponują wieloma argumentami. O dwóch warto tu wspomnieć. Otóż gdyby powstanie życia na Ziemi było wynikiem jedynie trafu, to dla przypadkowej syntezy niezbędnych enzymów, bez których taki traf byłby zupełnie niemożliwy, potrzebna byłaby ilość prób p r z e k r a c z a j ą c a l i c z b ę a t o m ó w w e w s z e c h ś w i e c i e. Z drugiej zaś strony hipoteza obydwu uczonych wcale składnie i logicznie tłumaczy pojawienie się wielu epidemii, które nękały w historii ludność Ziemi, a które pojawiwszy się i objąwszy znaczne połacie naszego globu (w sytuacji, gdy nie było jeszcze w ogóle mowy o takiej szybkości komunikacji jak obecnie) znikały na zawsze.

Być może hipoteza ta zostanie powszechnie przyjęta, być może zostanie odrzucona na rzecz innej. W każdym razie świadczy ona o tym, że uczeni poszukują innych dróg wyjaśnienia biogenezy niż te, które za punkt wyjścia przyjmują klasyczną teorię Oparina lub doświadczenia Millera i Urey'a, którzy otrzymali drogą doświadczalną aminokwasy, owe cegiełki życia, ale którym nie udało się otrzymać zorganizowanej materii żywej.

Ze specjalnym, przyznaję, upodobaniem powołuję się, gdzie mogę na pół żartem – pół serio rzuconą hipotezę powstania życia, której autorami są Francis Crick (współlaureat Nobla za odkrycie struktury biochemicznej kodu genetycznego) oraz biolog Lionel Orgel. Otóż hipoteza ta mówi o „panspermii kierowanej", to znaczy zakłada możliwość wysyłania w kosmos, z jakiejś planety zamieszkałej przez istoty rozumne, pojemników zawierających zarodki życia. Owe pojemniki otwierały się automatycznie wszędzie tam, gdzie napotkały warunki umożliwiające dalszy rozwój żywej materii, jak to miało miejsce – powiedzmy na Ziemi.

Na poparcie swojej brawurowej hipotezy Crick i Orgel mają dwa poważne argumenty. Pierwszy – to powszechność jednego typu kodu genetycznego – identycznego dla wszystkich, co żyje na naszej planecie przy równoczesnym braku jakichkolwiek śladów innej formy tego kodu, która w toku ewolucji okazałaby się mniej przydatna w warunkach ziemskich. Można więc sądzić, twierdzą uczeni, że ten jedyny kod genetyczny, jaki znamy, został p r z e s ł a n y na Ziemię w owych zarodkach życia. Drugim



argumentem jest stosunkowo duży procent molibdenu w enzymach, owych substancjach niezbędnych dla procesów życia. Procent ten jest znacznie wyższy od procentowej ilości molibdenu na Ziemi, podczas gdy należącego do tej samej grupy chemicznej np. chromu jest w skorupie ziemskiej znacznie więcej. Czy nie należy więc pochodzenia życia szukać na planecie, na której molibden jest pierwiastkiem znacznie częściej spotykanym?

Hipoteza ta została rzucona przez Cricka i Orgela (pół – żartem pół serio) w 1971 r., w Biurakanie, podczas radziecko-amerykańskiego sympozjum poświęconego problemom poszukiwania życia w kosmosie. I oto okazało się, że Francis Crick potraktował tę hipotezę poważniej niż można to było początkowo przypuszczać. W listopadzie 1981 r. w artykule zatytułowanym „Nasienie z gwiazd" (ukazał się on w zachodnioniemieckiej gazecie codziennej „Die Welt") uczony wyraził opinię, że jeśli idzie o skolonizowanie życiem całej galaktyki – co może być celem jakiejś czy jakichś cywilizacji kosmicznych – statki kosmiczne nie mogą być brane pod uwagę, jako poruszające się zbyt wolno.

„Czyż nie byłoby lepiej – pisze Crick – *wysłać w przestrzeń kosmiczną organizmy, które taką podróż mogłyby przetrwać, które byłyby łatwe do transportu i które później mogłyby rozwijać się w praoceanie? Do tego celu najlepiej nadają się bakterie. Dzięki niewielkim rozmiarom bakterii można by w ten sposób przesłać większą ich ilość. Są one zdolne do życia w najniższych temperaturach i miałyby bardzo duże szanse dalszego rozwoju w zupie oceanu. Być może nie jest to tylko przypadek, że najstarsze (najwcześniejsze) kopalne organizmy, które dotychczas zostały odkryte, dokładnie odpowiadają tego typu formom życia".*

Trudno o bardziej autorytatywną i miarodajną opinię. Zresztą pogląd, że życie nie zrodziło się na ziemi, głosi między innymi radziecki naukowiec, prof. Wiktor Iniuszyn, kierownik Katedry Biofizyki Uniwersytetu Kazachskiego w Ałma-Acie. Oto jego odpowiedzi na pytania zadane mu przez polskiego dziennikarza i popularyzatora nauki Wiktora Osiatyńskiego:

„–... Skoro przestrzeń nieożywiona nie może się samoczynnie ożywić, w jaki sposób powstało życie na Ziemi?

– Na Ziemi chyba nie mogło powstać. Zresztą nie jestem pewien, czy pytanie o powstanie życia w ogóle jest sensowne. Nie pytamy raczej już dzisiaj, jak powstała materia, przyjmujemy, że materia jest wieczna i nieskończona. Wydaje mi się, że podobnie możemy odpowiedzieć, że życie jest wieczne i nieskończone.

– Ale zgodnie z obecnym stanem wiedzy przyjmujemy, że Ziemia liczy ponad 4 miliardy lat, życie natomiast pojawiło się mniej więcej miliard lat później... Z tego, co pan mówi wynikałoby, że pierwotne formy życia powinny były istnieć na Ziemi od po-

cząţku. Może po prostu nie potrafimy ich znaleźć?

– Myślę, że wiele argumentów może przemawiać za kosmicznym pochodzeniem życia. Do mnie osobiście przemawia najbardziej starożytna teoria panspermii, mówiąca o tym, że w kosmosie istnieją jak gdyby zalążki życia. „Spadając" na Ziemię natrafiłyby na bardziej sprzyjające warunki w postaci – uznanej przez naukę i rzeczywiście istniejącej przed trzema miliardami lat – tzw. zupy pierwotnej..." (W. Oświatyński: „Zrozumieć świat. Rozmowy z uczonymi radzieckimi", Czytelnik, Warszawa 1980).

Niech mi będzie wolno przytoczyć jeszcze jeden pogląd na ten interesujący problem.

W zachodnioniemieckim czasopiśmie „Bild der Wissenschaft" („Obraz nauki", styczeń 1982) ukazał się artykuł Hansa Dietricha Pfluga, profesora Instytutu Geologiczno-Paleontologicznego w Giessem. Pisze on: „Było dotychczas dla mnie zrozumiałe samo przez się, że początków życia szukać trzeba na Ziemi. Jako geolog skłaniałem się do poglądu, że zjawiska ziemskie tłumaczyć należy procesami zachodzącymi na Ziemi. Ale w ostatnich latach zmuszony byłem znacznie zmodyfikować ten pogląd. Nowe odkrycia i dane stawiają ten panujący wśród uczonych pogląd na temat pochodzenia życia pod znakiem zapytania".

Dla prof. Pfluga takim dowodem, wskazującym na pozaziemskie życie na Ziemi, było znalezienie w kwarcytach południowej Grenlandii – pochodzących z okresu, gdy na Ziemi nie było jeszcze żadnych skomplikowanych organizmów – aż do trzech procent węgla pochodzenia organicznego! Prof. Pflug stwierdza: *„Musiało więc przed blisko czteroma miliardami lat kwitnąć na Ziemi życie, bowiem tylko organizmy zdolne do fotosyntezy mogły wyprodukować taką ilość biomasy".*

Cóż jednak wynika z faktu, że życie w kosmosie jest prawdopodobnie zjawiskiem powszechnym? Co wynika z przypuszczenia, że nie zrodziło się ono na Ziemi?

Po pierwsze – jeśli założyć, że materia żywa jest w kosmosie wszechobecna, byłoby naiwnością sądzić, że rozwinęła się ona wyłącznie na naszej planecie i że tylko na Ziemi osiągnęła ona tak skomplikowane formy, jak np. ludzki mózg.

Po drugie – jeśli istnieje gdzieś cywilizacja, która postawiła sobie za cel rozwinięcie życia na naszym globie i na innych, nadających się do tego celu planetach naszej galaktyki – to jest rzeczą oczywistą, że taka cywilizacja jest lub była zdolna do lotów kosmicznych i mogła za cel swoich lotów obrać Ziemię. Mogła nią kierować zrozumiała chęć sprawdzenia rezultatu swojej interwencji. I to nie raz... Jaki uczony, historyk czy genetyk zrezygnowałby z takiej okazji?

Inaczej powiedziawszy, z hipotezy, której broni Crick i wielu innych biologów wynika jasno, że tak zwane paleokontakty – hipotetyczne odwiedziny gości z kosmosu – to nie niczym nieuzasadniony pomysł kilku niedorzecznych autorów goniących za sensacją, lecz możliwość, która za jednym zamachem pozwala zapisać wiele z owych pustych kart w dziejach naszego gatunku i naszej cywilizacji.

Arnold Mostowicz

■

KOSMOS ZACZYNA SIĘ NA ZIEMI

Wszechświat jest podobny do szwajcarskiego sera

Z teorii big bangu wywodzi się kolejna hipoteza na temat struktury wszechświata. W trakcie wielkiego wybuchu doszło do nieregularności w rozkładzie materii, która zgrupowała się przy ściankach gigantycznych „komórek", pozostawiając całkowicie wolne od materii przestrzenie. Takie dziury we Wszechświecie odkryto już w gwiazdozbiorze Wolarza, Warkoczu Bereniki, Herkulesie i w konstelacji Ryb. Udało się zmierzyć rejon pustki w gwiazdozbiorze Wolarza – jest to niewyobrażalnie wielka przestrzeń o promieniu 300 milionów lat świetlnych, w której z powodzeniem mogłoby się zmieścić około 2000 średnio dużych galaktyk.

Czechosłowaccy naukowcy opracowują...

...kosmiczny inkubator, przeznaczony do wylęgu i hodowli przepiórek w warunkach nieważkości. Wybrano przepiórki ze względu na ich wyższość nad kurami. Oczywiście nie chodzi o intelekt. Przeciętna przepiórka wylęga się z jaja już po 15–17 dniach (kura po 3 tygodniach) zaczyna się nieść w 35–40 dni po wylęgu (kura potrzebuje na dorośnięcie aż 5–6 miesięcy). Jajka przepiórki są małe, lecz jest ich wiele, bo aż 250 do 300 rocznie, mięso jest smaczne i bogatsze w składniki odżywcze, niż mięso kury.

Kreacja za dwa miliony dolarów

Nawet trochę więcej niż dwa miliony dolarów kosztował kosmiczny skafander użyty przez astronautów w ciągu ostatniego lotu Challengera. Mimo że składa się aż z 9 warstw rozmaitych tkanin odpornych na podarcie, że w jego skład wchodzi skomplikowany system homeostatyczny (gęsta sieć rurek oplatających całe ciało kosmonauty) skafander można założyć w ciągu 10 minut. Poprzedni model skafandra, używany przez astronautów amerykańskich 9 lat temu zakładało się przez cztery godziny.

Jeżeli boisz się burzy...

...nie chowaj głowy pod poduszkę, lecz pomyśl o tym, co dzieje się na Jowiszu. Jak wiadomo, jest on bardzo silnym źródłem krótkich fal radiowych. Dzięki temu uczonym z Instytutu Radiofizyki i Elektroniki Akademii Nauk Ukraińskiej SRR udało się wyodrębnić zakłócenia spowodowane wyładowaniami elektrycznymi. W chmurach składających się z kropelek wody, helu i wodoru zaobserwowano gigantyczne błyskawice, których długość równa się w przybliżeniu promieniowi naszej małej Ziemi.

Kosmiczny poślizg

Opracowany przez NASA gigantyczny teleskop, którego wystrzelenie planowano na rok 1985 zostanie umieszczony na orbicie w roku 1986. Według raportu Izby Reprezentantów koszt jego budowy zostanie przekroczony o 203 miliony dolarów. W zamian za to da on jednak teoretyczną możliwość obserwacji wszechświata aż do jego krańców, o ile oczywiście nie uniemożliwi tego osadzanie się na teleskopie pyłu kosmicznego. Tworząca ten superteleskop firma Perkin Elmer Corporation ma jeszcze do pokonania bardzo wiele trudności technologicznych, zanim wahadłowiec wyniesie całe urządzenie na wokółziemską orbitę. Obliczono, iż całkowity koszt wykonania i eksploatacji teleskopu giganta przewyższy kwotę 1 miliarda dolarów.

Meteoryt o średnicy 10 km...

...był przyczyną wielkiego kryzysu ekologicznego na Ziemi 65 mln lat temu. Takie zderzenie trafia się raz na sto milionów lat. Laureat nagrody Nobla L. Alvarez kierujący grupą fizyków z Uniwersytetu Kalifornijskiego twierdzi, iż właśnie to zderzenie było bezpośrednią przyczyną wyginięcia na Ziemi wielkich gadów. Jak wiadomo, w skałach osadowych na powierzchni naszej planety pierwiastki z grupy platynowców występują ok. 1000 razy rzadziej, niż w meteorytach. Zawartość irydu we wszystkich przebadanych próbkach była wszędzie niemal jednakowa. Wyjątek stanowiła warstwa czerwonej glinki dzielącej wapienne osady kredy i trzeciorzędu, w której stwierdzono aż 30 razy więcej irydu. Podobne anomalie wykryto w Danii, Hiszpanii i Nowej Zelandii. Na razie brakuje uczonym dowodu wprost, czyli krateru powstałego po uderzeniu meteorytu. Niestety nie pozostał na Ziemi ani jeden dinozaur, którego można byłoby o to wszystko zapytać.

Elektroniczny przewodnik

W małym pudełku o wymiarach 50 x 35 x 20 cm mieści się komputer, który pamięta nazwy 65 000 paryskich ulic, 11 000 przystanków metra i autobusów oraz 10 000 pomników, placów itp. miejsc użyteczności publicznej. Po wystukaniu żądanego adresu na klawiaturze, komputer poprawia ewentualne błędy (nie każdy cudzoziemiec zna język francuski) podaje odpowiedź jak i czym najlepiej dojechać do wskazanego miejsca, miejsca ewentualnej przesiadki, oblicza prawdopodobny czas podróży biorąc pod uwagę godzinę i dzień tygodnia.

Wyjaśnienie zagadki kanałów na Marsie

Nie pomogły setki zdjęć i automaty, nie wyjaśniły sprawy radzieckie ani amerykańskie sondy wysyłane na czerwoną planetę. Dopiero prowadzone z kosmosu badania zupełnie innej planety przyniosły wyjaśnienie zagadkowego pojawienia się owych ciemnych linii, nazywanych przez geologów lineamentami. Są to powierzchniowe ślady głębokich i bardzo głębokich zjawisk zachodzących w podłożu, odzwierciedlenie rozłamów i uskoków planetarnej skorupy. Z kosmosu można bez wiercenia zajrzeć w głąb planety aż do 3000 metrów. Ową badaną z kosmosu planetą, która pomogła wyjaśnić zagadkę kanałów, była nasza Ziemia.

Niezaprzeczalny rekord hibernacji...

...pobiły grzyby, które radzieccy uczeni z antarktycznej stacji „Wostok" z zachowaniem wszelkich ostrożności wydobyli spod 315 metrowej warstwy lodu. Zarodniki umieszczone w sprzyjającym środowisku wydały potomstwo mimo niebagatelnego wieku 12 000 lat.

■

FANTASTYKA-PRZYGODA

mówi red. JANINA ZIELONKO, kierownik redakcji przekładów Wydawnictwa „Iskry"

– W wyniku niekorzystnego zbiegu przypadków, „Iskry", oficyna, która przed dwudziestu laty otworzyła polski boom na fantastykę naukową, zabiera głos w naszej paradzie wydawców dopiero jako szósta w kolejce. Może i dobrze się stało; po szczegółowym przeglądzie bieżących problemów SF dokonanym przez przedstawicieli „Naszej Księgarni", „Czytelnika", Wyd. Literackiego, KAW-u i Wyd. Poznańskiego – spróbujemy przy pani pomocy odtworzyć dziś atmosferę początków. Czym była fantastyka wówczas, gdy z nią zaczynaliście, dla „Iskier" i dla młodych polskich czytelników?

– Trochę trudno tak na poczekaniu odbyć podróż w czasie i przypomnieć sobie wszystkie szczegóły. Na pewno była fantastyka u schyłku lat pięćdziesiątych znanym i modnym na Zachodzie gatunkiem literatury, mieszczącym się w kręgu literatury rozrywkowej, przygodowej. Przedstawiciele polskich, może poza Boruniem, Lemem, Trepką – właściwie nie miała. A że czytelnicy zaczęli się bardzo aktywnie o fantastykę upominać, postanowiliśmy prezentując literaturę światową przedstawić również ten typ literatury. Zaczęło się od fantastyki radzieckiej, czeskiej, potem przyszła bardzo do dziś chwalona i osiągająca duże ceny na aukcjach antologia amerykańska „Kryształowy sześcian Wenus" (1966). Gdzieś w tym momencie zjawił się pomysł robienia serii. Pamiętam, że od razu przyjęła ona nazwę „Fantastyka-Przygoda", natomiast ani ja, ani nikt w wydawnictwie nie może sobie przypomnieć, kto był autorem tego pomysłu.

– Rozumiem, że science fiction – literatura przyszłości i zarazem sposób krytycznego myślenia o teraźniejszości, znalazła szczególne miejsce w profilu wydawnictwa młodzieżowego.

– Na pewno tak. Od razu wtedy było widać, że jest to gatunek pobudzający wyobraźnię, rozszerzający horyzont i zmuszający do myślenia o sprawach zasadniczych, do stawiania bardzo podstawowych pytań. Czy nasz świat jest jeden, czy może istnieją inne światy, inne istoty; czy możemy do nich dotrzeć, czy potrafimy się z nimi porozumieć? No a poza tym wszystkim była fantastyka jedną wielką przygodą, której młody czytelnik bardzo potrzebuje. Wtedy jeszcze panowało takie nastawienie – nie filozofia, nie bardzo wyrafinowane, czasem wręcz wydumane problemy – tylko elementy wielkiej przygody, niebezpieczeństwa, egzotyki, problemy zespołów ludzkich postawionych w sytuacji krańcowej, zmuszającej do ujawnienia prawdziwych cech charakteru, do wykrzesania z siebie odwagi i energii niezbędnych do sprostania wielkim zadaniom. Tego młody czytelnik szukał w książkach zawsze. W dodatku zbiegło się to w czasie z zainteresowaniem kosmosem. Przypominam, że „zdobywała" wówczas kosmos Łajka, wkrótce po niej poleciał i Gagarin; fantazja ludzi, nie tylko młodych, poczęła coraz intensywniej krążyć wokół odległych przestrzeni. Dlatego można powiedzieć, że wszystkie ówczesne fantazje i w podtekście, i w dalekim polu widzenia miały coś z rzeczywistości, z przeczucia ery kosmicznej, która wówczas do nas szła.

– Wzorcowym wprowadzeniem do tej ery, jako zjawiska literackiego i jako problemu cywilizacyjnego, stały się kolejne tomy antologii „Kroki w nieznane" przygotowanej przez p. Jęczmyka. Utwory beletrystyczne stanowiły prezentację różnych wizji pisarzy z całego świata, wstępny szkic dawał młodemu czytelnikowi krytyczno-literacki klucz do całości, a pomieszczone na końcu tomu artykuły popularyzatorskie sumowały sprawę na płaszczyźnie naukowej. Wielka szkoda, że seria się z czasem zacięła.

– Zbiegło się to z odejściem autora wyboru do „Czytelnika", choć cała sprawa oczywiście nie była tak prosta. Pan Jęczmyk zajmował się u nas literaturą radziecką, a antologie to były jego prace autorskie; w 1977 roku gdy zaproponował kolejny tom „Kroków w nieznane" zbudowany głównie z tekstów anglosaskich, wydało nam się to dziwne i próbowaliśmy go nakłonić do uzupełnienia antologii o teksty innych literatur. Miał on swoje racje, mieliśmy je i my; może rzeczywiście proza innych krajów nie była wówczas tak interesująca; stanęło na tym, że antologię oddaliśmy mu do poprawek i... tak pozostało do dziś.

– ... ale seria zgasła i nikt jej nie wskrzesił. Bardzo tego na rynku brakuje.

– Pocieszę pana i fanów. Tak czy inaczej w momencie, gdy zmniejszą się trochę trudności poligraficzne i plany wydawnicze nam się rozwiną – a to miejmy nadzieję nastąpi już niedługo – „Iskry" wystąpią z inicjatywą tego typu. Zamierzamy wydawać ukazującą się periodycznie antologię-almanach fantastyki światowej (tzn. z polską włącznie). Jest to projekt perspektywiczny, rzecz powinna ruszyć w 1986 roku.

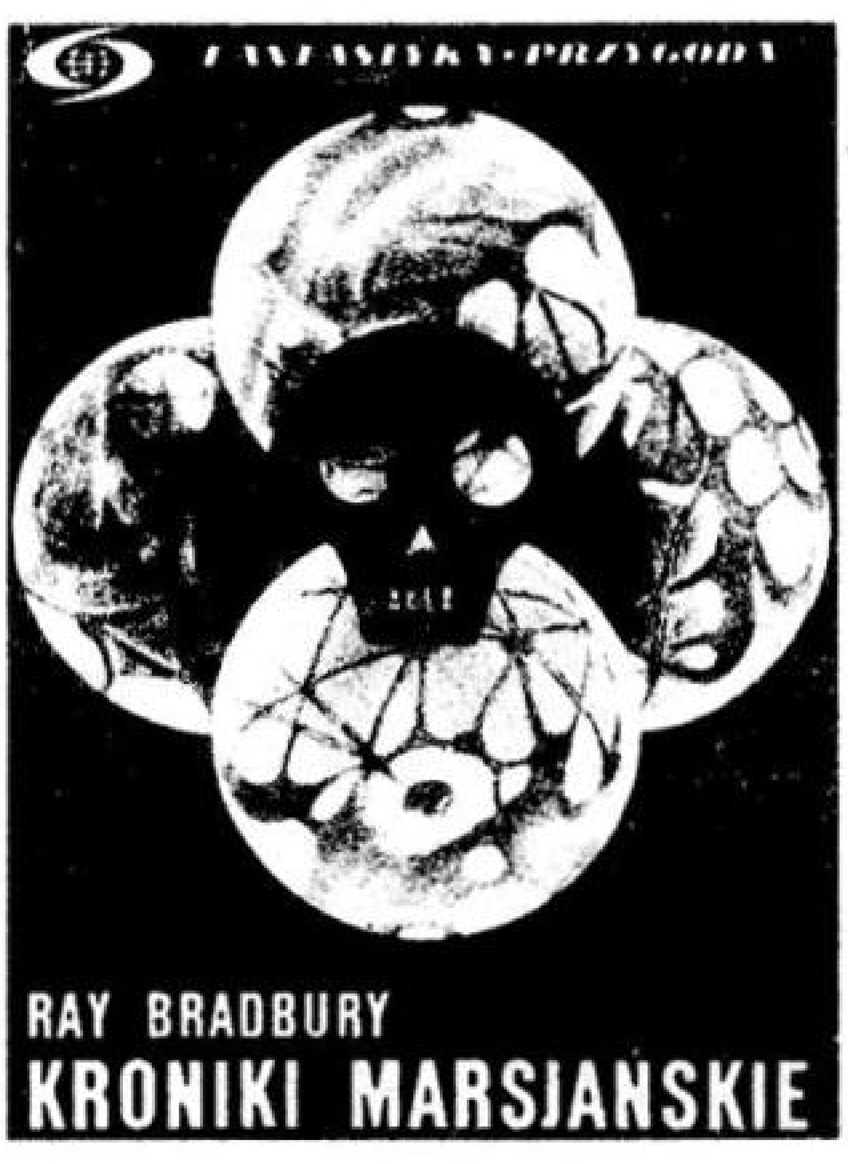
– Miła wiadomość. No i przyjemność – chyba także dla „Iskier" – w tym sensie, że wydawnictwo, które „rozprowadziło" cały ruch, a potem „woziło" się w środku SF-istycznego peletonu – z powrotem wróci na czoło.

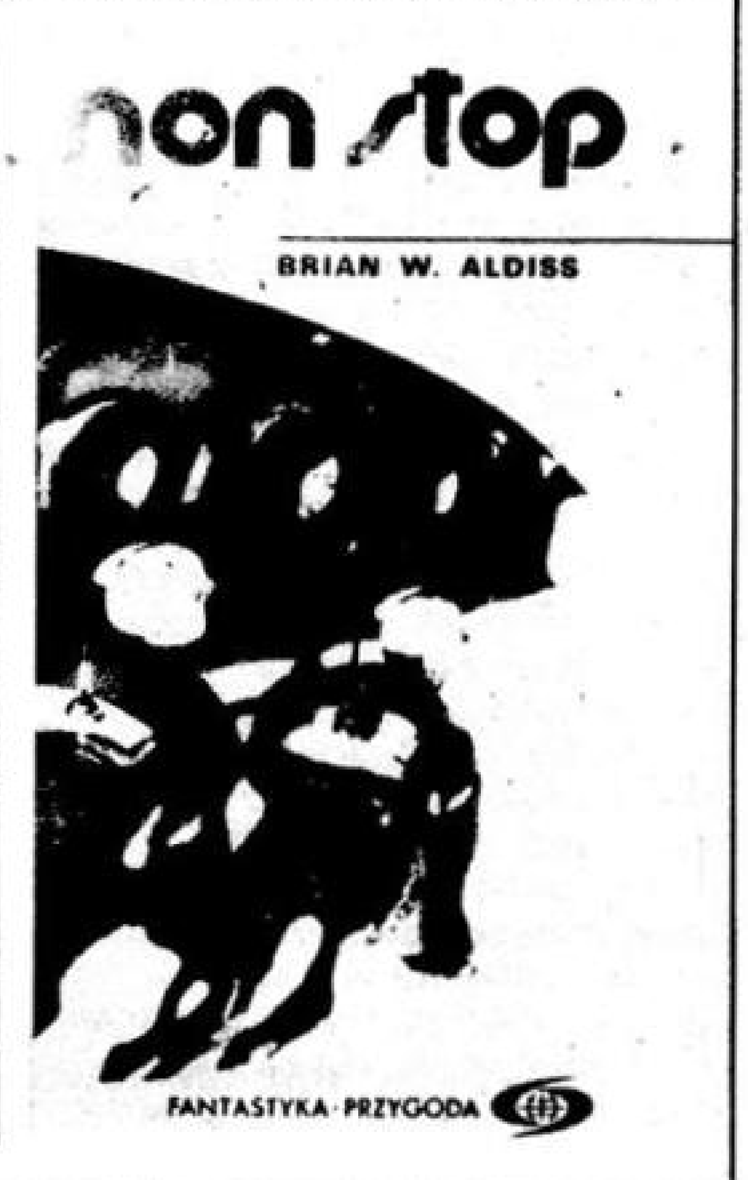
– Mówiąc o naszym zwolnieniu tempa ma pan chyba na myśli lata 1979–81. Rzeczywiście z powodu trudności w drukarniach, seria trochę stanęła i tytuły przechodziły nam poślizgiem z roku na rok. Ale przykład ostatnich kilkunastu miesięcy wskazuje chyba, że chcieliśmy pokonać trudności i że nam się to udało. W zasadzie zamierzamy utrzymać taki rozmach jak teraz, seria ma szansę się rozwijać, drukujemy ją na nowych maszynach Circon, w najnowszej, zmienionej niedawno szacie graficznej. W roku bieżącym ukazał się Aldiss, Shaw, Zajdel, Petecki, dwie książki Bułyczowa, Strugaccy. Staramy się zmniejszyć braki literatury fantastycznej, przedstawiać wielkie, dotychczas nie znane u nas nazwiska. A wybieramy to co wydaje się nam najbardziej godne i to co z przeróżnych względów jest łatwiej dostępne. Chcemy dokonywać dobrych, starannie przemyślanych wyborów, zdając sobie sprawę, że pod względem ilościowym KAW-u na pewno nie dogonimy.

– A nie myśleliście państwo o wydaniu słownika pisarzy SF, może encyklopedii gatunku? Wiem, że rynek powitałby taką propozycję z radością.

– W 1977 roku wydaliśmy pracę krytyczną Kagarlickiego „Co to jest fantastyka naukowa", a w roku 1979 „Poza ziemią" Ciołkowskiego – opis podróży kosmicznej powstały na początku wieku, zadziwiająco trafny w przedstawieniu przyszłych szczegółów lotu do gwiazd, zilustrowany w dodatku reprodukcjami malarstwa kosmonautów... To były przedsięwzięcia też na swój sposób objaśniające gatunek, natomiast słownik, encyklopedia, przedsięwzięcie w stylu „Iskier przewodnik po..." to jest już wydawniczo bardzo złożona sprawa. Trudno o zespół ludzi gotowych do ciężkiej i niewdzięcznej pracy; nieco łatwiej zapewne byłoby ze zgromadzeniem niezbędnych materiałów, ale tu też nic nie załatwi się automatycznie. Powiem panu szczerze – przymierzaliśmy się kiedyś do takiego przewodnika, odłożyliśmy to jed-











nak; może z czasem znów z tym wystąpimy, ale nie będziemy się gniewać, jeśli nas inni ubiegną. Mamy co prawda w rękach encyklopedię amerykańską, niestety jest ona bardzo stronnicza, pokazuje tylko Anglosasów.

– Co w takim razie z mniej pracowitych atrakcji przygotowują „Iskry" dla miłośników gatunku – w najbliższych miesiącach i w nieco dalszej perspektywie?

– Na rok 1984 planujemy wydanie wielkiej 31-arkuszowej epopei kosmicznej Franka Herberta pt. „Diuna" w tłumaczeniu Marka Marszała.

– Ale to jest rzecz czterotomowa.

– Na razie wydajemy tom pierwszy. W części drugiej i trzeciej autor się nieco powtarza. Część czwarta jest podobno najlepsza i nad jej wydaniem zastanawimy się w przyszłości... Wydamy ponadto opowiadania Aldissa w tłumaczeniu Jęczmyka, Lechowskiej i Marszała. Przygotowujemy powieść Fredericka Pohla „Człowiek plus", nowe rzeczy Zsoldosa, Bułyczowa; z czasem sięgniemy do Zelaznego, Andersona, do opowiadań Frankego – pisarza z RFN...

– A Dick, którego wielbią polscy czytelnicy fantastyki?

– Dicka pokazały w bardzo dobrych książkach i Wydawnictwo Literackie („Ubik") i „Czytelnik" („Pan z wysokiego zamku", „Słoneczna loteria"). Musimy więc rozważyć czy to co my mamy w opcjach nie jest czasem gorsze. Bo np. „Untelepated Man", którego ewentualnie moglibyśmy wydać, na prezentację polskim czytelnikom wg recenzenta z różnych względów nie zasługiwał.

– Trochę szkoda. Może recenzent zmieni zdanie, może załatwicie inne ciekawsze opcje Dicka, ale szczerze mówiąc już to co pani wymieniła stanowi urozmaiconą propozycję.

– Ale to jeszcze nie koniec. W planie, a właściwie w stanie bardzo zaawansowanch przygotowań, mamy poważną 2-tomową edycję 40-arkuszowej antologii radzieckiej w wyborze Goska i Kędzierskiego. Będziemy to robić wspólnie z radzieckim wydawnictwem „Raduga", a wejdą tam najlepsze radzieckie opowiadania – od Bielajewa, Jefremowa przez Bilenkina, Warszawskiego, De Spilera, Strugackich, po Puchowa, Szukszyna, Bałabuchę... No i na zakończenie coś, co na pewno ucieszy fanów i co w skromnym oczywiście wymiarze zastąpi encyklopedię SF, za którą jak na razie wziąć się nie możemy. Otóż od 1984 roku rozpoczynamy edycję 4-arkuszowych zeszytów SF – będą to krótkie całości i zbiory nowel. Znajdzie się tam klasyka autorów bardzo wybitnych i takich, którzy się znakomicie zapowiadali, ale umarli, oraz utwory uznanych autorów żyjących. Wydamy w ten sposób minipowieści Tannera, nowele Kornbluta, Wainbauma, utwory Bilenkina, Bułyczowa, opowiadania Andersona, Gunna, potem rzeczy autorów węgierskich, czeskich... Znajdą się w każdym zeszycie notki o autorach, a przedostatnia strona będzie stanowić rubrykę informacyjną dla kolekcjonerów – wejdzie tam bibliografia wszystkich iskrowskich tytułów SF, wydanych od początku, no i standardowa informacja co się w serii ukazało i co się ukaże, ułatwiająca kolekcjonowanie zeszytów.

– Ambitne plany. Mając takie atrakcje w zanadrzu można śmiało stawić czoła fanom, którzy w kontakcie z wydawcami potrafią być bardzo krytyczni i wymagający. Słyszałem, że nie unika pani takich spotkań.

– Mam rzeczywiście kontakty z ruchem, bywałam na wszystkich znaczących konwentach, przechowuję tu – jak pan widzi – sporą kolekcję znaczków z tych imprez. Choć ostatnio, jak SFAN oddzielił się od OKMFiSF, gdy powstał PSMF, zgubiłam się już trochę kto jest kto i do czego należy. Odbyłam tu w tym pokoju wiele spotkań, słuchałam różnych młodych zapaleńców, którzy chcieliby mieć wpływ na to co się ukazuje, którzy domagają się dobrej literatury, chcą mieć tłumaczenia nagród Nebula i Hugo właściwie na bieżąco, którzy próbują recenzować, pisać, załatwiać nam opcje. Chyba Białczyński, nasz autor („Zakaz wjazdu"), wyszedł z tego ruchu, podobnie młody tłumacz Izworski...

– Czy dotarła podczas tych spotkań do tego pokoju wiedza o nowej jakości polskiej SF, o żywym w niej nurcie socjologicznym, politycznym? Bo poza ukoronowaniem tego nurtu, powieścią Zajdla „Limes inferior", którą wydaliście, znacznie więcej miejsca zajmuje w planach „Iskier" zagranica. A spośród autorów polskich wybieracie jak na razie dość tradycyjny wariant literatury fantastycznej.

– Stawia mnie pan w sytuacji niezręcznej. Jako osoba zainteresowana głównie literaturą przekładową – o przekładach przede wszystkim myślę i o profil przekładów przede wszystkim bywam przez fanów nagabywana. Mogę powiedzieć tylko tyle – „Iskry" wydają młodą literaturę, jej istotną częścią jest rzeczywiście SF. Nie dzielimy młodej literatury na SF i resztę, traktujemy to całościowo; choć kiedy był konkurs na debiut prozatorski, żadna rzecz fantastyczna wśród prac nagrodzonych się nie znalazła. To może być przypadek, w każdym razie drzwi „Iskier" są dla tej literatury szeroko otwarte. Właściwie każda przyniesiona do nas książka młodego autora, a przynależąca do tego nurtu, jeśli tylko nie będzie gorsza od innych książek – powinna ujrzeć światło dzienne. Jeśli książki takie się pojawią, znajdą drogę do czytelnika tak samo, jak każdy inny debiut czy znaczące drugie, trzecie książki młodych autorów.

– Myślę, że wcześniej czy później pojawią się na pewno i fala nowej polskiej SF popłynie także do „Iskier". Bardzo dziękuję za rozmowę.

Notował Maciej Parowski

WIECZÓR W ZAUŁKU

Środowisko miłośników fantastyki naukowej w Krakowie zbyt lekkiego życia nie ma, choć tradycje są dość bogate (tu na przykład odbył się Ogólnopolski Konwent Klubów i Miłośników Fantastyki i Science Fiction w 1980 roku). Klub krakowski powstał 15 lutego 1976 roku z inicjatywy studentów wydziałów matematyki, fizyki i chemii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Niestety, nie wybrnęli oni z administracyjnego labiryntu przepisów i do dzisiejszego dnia klub w Krakowie nie zdobył organizacyjnej samodzielności takiej, jaką wywalczyły sobie kluby katowicki czy gorzowski. Ma to swoje złe i dobre strony. Złe, bo brak samodzielności i funduszów (jedyne wpływy, to dobrowolne składki członków) znacznie zawęża możliwości działania. Dobre, bo jest dowodem rzeczywistego zaangażowania działaczy, potwierdza ich indywidualne zainteresowania literaturą SF. Wedle archiwum (bardzo systematycznie prowadzonego od 1976 roku) obecnie jest w Krakowie 17 zaangażowanych działaczy i 50 chętnie pomagających w razie potrzeby.

Jak w wielu innych klubach, jednym z zainteresowań fanów i ich sympatyków są oczywiście filmy SF. Niestety zamiary organizowania pokazów w Krakowie na razie spełzły na niczym. W zamian za to klub organizuje Ufowizje, czyli wyświetlanie przeźroczy połączonych z muzycznym podkładem. Równie ciekawym pomysłem było opracowanie słuchowiska ilustrowanego slajdami na podstawie komiksu. Spotkanie z autorem interesującej książki jest możliwe raz na dwa miesiące – decydują o tym warunki lokalowe i skromne zasoby finansowe. Sytuacja taka zmusiła ruch krakowski do wypracowania dość oryginalnej formuły popularyzacji SF wśród młodzieży pod hasłem „Fantastyka to nie tylko książka" (smaczku dodaje fakt, iż hasło ukuła sekcja beletrystyczna klubu). Dla członków Klubu zorganizowano jednak bibliotekę SF. Ponieważ podobne biblioteki działają i w innych miastach, z czasem może dojdzie do wymiany książek.

W Klubie Miłośników Fantastyki Naukowej w Krakowie do stycznia br. funkcjonowały sekcje: ufologiczna, beletrystyczna, magii transcendentalnej i parapsychologii. Układ ten nie zmienił się i po styczniu 1983, lecz jego poszczególne zespoły zyskały nieco większą autonomię. Wprawdzie biuletyn „Wizje peryferyjne" nadal jest opracowywany wspólnie przez sekcje ufologiczną i beletrystyczną, lecz sama sekcja ufologiczna stała się Towarzystwem Popularyzacji i Badań UFO i działa przy MCK „FORUM" (Kraków, ul. Mikołajska). Magowie transcendentalni czarują bywalców klubu „Zaułek" w czwartki o godzinie 18.00, zaś o dobrej literaturze SF można rozmawiać w środy o 17.00. Wszelkie pytania dotyczące szczegółów działalności Klubu prosimy kierować na adres:

**Klub Miłośników Fantastyki Naukowej (przy klubie środowiskowym „Zaułek")
31-002 Kraków
ul. Poselska 9**

LĄDOWANIE SIÓDME

Dziś zamieszczam fragmenty Waszych listów, bez komentarzy. Sprzeczajcie się państwo między sobą, bez mego tym razem udziału. Oczywiście będziecie narzekać, że wyrywam cząstki Waszych tekstów. Gdybym jednak drukował listy w całości, nie starczyłoby tego numeru, więc co pozostałoby Wam z „Fantastyki"? Oto czytelnicze dezyderaty, opatrzone przeze mnie tylko tytulikami.

Gdzie Franek Kimono?

Recenzje na ogół słabe. Pełne ochów i achów. Brak konkretów. Brak polemik. Pamiętajcie, że ścieranie się poglądów wyzwala energię. Bo ugrzęźniecie w stagnacji. Powinna być Trybuna Czytelników... Nie od rzeczy byłaby też giełda bibliofilów, ale numer jest i tak zbyt napięty. Kompletny brak humoru, szczególnie rysunkowego. Czy chcecie być tak śmiertelnie poważni? Przydałby się wam prześmiewca gatunku – taki „naukowo fantastyczny Franek Kimono". Każda większa klika winna mieć swego błazna...

Tadeusz Solecki z Torunia

Czemu brak poezji

Nie wiem dlaczego nie ma poezji SF, która na pewno warta jest upowszechnienia na łamach „Fantastyki".

Janusz Wieczorek z Rzeszowa

NIEBO

Negatyw szwajcarskiego sera
Oblicze Kosmosu
z wysypką po ospie
grawitacyjnej
czasami chciałbym
by tłum rozbrykanych atomów
uwolnił z klatki
hordę
decybeli
a gwiazdy
Dzieci Wszechświata
bawiły się w berka
na skwerach
Międzygalaktycznych
patrzą w niebo
jak w dostojną twarz
zmarłego
na której igrają
lizane słońcem
płatki
śniegu

Tadeusz Solecki

Popularyzacja

Chciałbym przyłączyć się do głosów mówiących, iż zbyt mało jest jeszcze publikacji typowo popularyzatorskich (nie waham się użyć słowa popularnonaukowych) na tematy pozornie fantastyczne, jak choćby szeroko rozumiana parapsychologia, historia ziemskiej (a może ziemskich) cywilizacji, historia i postać Kosmosu itp.

Mirosław Z. Karolak z Kalisza

Nie przesadzajcie z takimi ciekawostkami jak parapsychologia, ufologia itp. Sam się tym interesuję, ale skojarzenie tego z „Fantastyką" nie wyjdzie na dobre żadnej ze stron. Niech to będą wyłącznie artykuły naukowe obiektywne, krytyczne, w dobrym tego słowa znaczeniu. Nie dawajcie się zjeść rutynie i jednostajności. Drukujcie całe listy czytelników, np. ciekawe omówienia, refleksje na temat jakiejś książki.

Bogdan Kawalec z Lublina

Czym to się je...

Jak do tej pory bezkonkurencyjne są powieści, a wśród nich najbardziej podobała mi się „Zapomnij o Ziemi" Mac Appa. To jest to co ja i moi znajomi chcielibyśmy czytać w „Fantastyce", częściej – space opera. Trzy pozostałe też były dobre, ciekawe. Co będzie dalej? Oprócz tego podoba mi się dział recenzji, gdzie można się w końcu czegoś dowiedzieć o pozycjach ukazujących się aktualnie na polskim rynku, bardzo ubogim niestety w fantastykę. Szczególne brawa dla Arnolda Mostowicza i jego „nauki i SF", wystarczy chyba, że napiszę – to jest to... Nie rozumiem, co na tych łamach „zgubił" tekst J. Lipki, dobrze piszącego, ale jakoś mało fantastycznego. Kosmos zaczyna się na Ziemi – czym to się je? Polscy krytycy o literaturze fantastycznej – komu to potrzebne? Parada wydawców – marnowanie cennego papieru... Tytuły tekstów, które mi się podobały: Nr 1 „Czek in blanco na bank pamięci", „Pieśń dla Lyanny", „Co większe muchy". Nr 3 – „Wojna moja miłość", „Ostatnia runda", „Zapomnij o Ziemi", Nr 4 – „Karlgoro godz. 18.00". Nr 5 – „Podróż", „Czas na 3 Alei", „Animatorzy", „Umarł w butach". Nr 6 – „Shambleau", „Houston, Houston...".

„Długoletni fan" –
J. Żaniewski z Suwałk

Disneyland

Lista bestsellerów i nagród mogłaby być prezentowana co 2 miesiące, a opowiadania drukowane drukiem mniejszym, choćby takim jak np. Słownik PAF. Kompletnie nie porusza się problemów badań ani prac nad silnikami i statkami kosmicznymi przyszłości, a jak na „Fantastykę" przystoi już od dawna winno się zamieścić materiały o wahadłowcach, ich możliwościach i przyszłości. Szczególnie teraz warto poruszać tematy broni przyszłości i to właśnie w „Fantastyce", a nie tylko w „Forum" czy „Polityce", bo lasery chemiczne, lasery rentgenowskie z „pompą jądrową", broń cząsteczkowa, zwierciadła kosmiczne – to również fantastyka, ale także bliska i okrutna. Tymczasem „Fantastyka" coraz bardziej przypominać zaczyna baśnie i Disneyland, a my nie znając jeszcze dobrze własnej Ziemi i ludzi na niej żyjących zapuszczamy się zbyt wysoko i zbyt daleko...

Krzysztof J. z Olkusza

Ceny fantazji

Co zrobić, by w księgarniach, na półkach ukazywał się pełny skład książek. Dotychczas wiele z nich można dostać tylko na Perskim za astronomiczne sumy (np. pierwszy numer Fantastyki" za jedyne 700 zł) lub po znajomości od księgarza. Może na to jest jakaś rada.

Zaprzysiężony Czytelnik,
Dariusz Białobrzeski

Uważam, że przeprowadzanie wywiadów z przedstawicielami krajowych wydawnictw jest zbędne. Możemy się z nich dowiedzieć jakie kłopoty mają wydawnictwa i o ich planach? Właśnie te plany. Cały szereg atrakcyjnych tytułów i autorów. Jednak przeważnie na planach się kończy. My czytelnicy mamy tylko gorycz i niesmak. Czy nie lepiej więc zamiast planów informować o książkach, które ukażą się na pewno. Taka informacja mogłaby być np. z jednomiesięcznym wyprzedzeniem.

Tomasz Wiśniewski z Warszawy

Dnia 30 kwietnia br. w klubie Index, Uniwersytetu Wrocławskiego, odbyła się kolejna aukcja szeroko rozumianej literatury spod znaku SF. Organizatorzy – Klub Fantastyki – zadbali o urozmaicenie aukcji przez przeprowadzenie konkursu dla wszystkich obecnych na sali. Pytania dotyczyły oczywiście literatury fantastyczno-naukowej. W aukcji wzięło udział około 70 osób w różnym wieku, które starały się spośród 270 pozycji znaleźć coś dla siebie. Najwyższą cenę za swój towar uzyskał wystawca cyklu powieści Tolkiena „Władca pierścieni". Poszły za kwotę 2300, podczas gdy cena wywoławcza wynosiła zaledwie 700 zł. Wysokie ceny wylicytowano także za książki: „Słoneczna loteria" Dicka – 550, „Planeta śmierci" Harrisona – 500, „Człowiek z wysokiego zamku" Dicka – 360, „Kroki w nieznane" t. 6 – 550, „Senni zwycięzcy" Oramusa – 500, Trylogia Żuławskiego – 450 zł. Na aukcji pojawiły się także kolejne numery miesięcznika „Fantastyka", które osiągnęły następujące ceny: nr 3 – 220, nr 4 – 300, Nr 5 – 260, nr 6 – 110 zł. Tak wysokie ceny zaszokują z pewnością Czytelników – ale jak się okazuje, aukcja jest dla miłośników gatunku jedynym sposobem legalnego uzyskania poszukiwanej pozycji. Bez uciekania się do kradzieży z bibliotek czy kupowania u pokątnych handlarzy. Poza tym jest to doskonała zabawa.

Jerzy Sobolewski z Wrocławia

Tyle problemów na dzisiejsze „Lądowanie". Wszystkie komplementy, a było ich całe mnóstwo, opuściliśmy. Nie zamierzamy ułatwiać sobie pracy.

Redaktor




JEST TYLKO CZTERDZIESTU. CZEMU TOTH NIE ODDAŁ WSZYSTKICH ?
NIE WIEM, PANIE McBAIN. CHYBA CHODZI O JAKIŚ EKSPERYMENT ?
W PATROLOWCU...
BIERZCIE BROŃ, CHŁOPCY! DOŁOŻYMY STELLAROM !
PANIE BARLEY! ZATRZYMALI 40. LUDZI I WYGLĄDA NA TO, ŻE SZYKUJĄ WIELKIE ŁAJDACTWO! JEŃCY RWĄ SIĘ DO WALKI ! CO ROBIĆ ?!
STACJA Δ-1.
TEGO NIE PRZEWIDZIELIŚMY... ODSKOCZ W OSŁONIĘTE MIEJSCE I ZWLEKAJCIE Z ODLOTEM! PRZYGOTUJCIE SIĘ DO WALKI, ALE TO OSTATECZNOŚĆ. CZEKAJCIE NA ROZKAZY !
W MINUTĘ PO ROZPOCZĘCIU WALKI BĘDZIEMY MIELI NA CAŁEJ PLANECIE STAN CZERWONEGO ALARMU! WSZYSTKO ZWALI SIĘ NA NAS I FAKT, ŻE MAMY GRETZA STRACI ZNACZENIE !
ALARM ? ZNAKOMICIE !
SŁUCHAJCIE, ZROBIMY INACZEJ!...
ZAGRAMY WŁAŚNIE TĘ KARTĘ! OGŁOSIMY ALARM I POSZCZUJEMY ICH PRZECIW SOBIE!... BRENDA, PRZYPUDRUJ GRETZA I WSTRZYKNIJ MU SCOPOFIX! DAJCIE SPRZĘT VIDEO. NA ŻYWO TO NIE POLECI, ALE Z RECORDINGU !
ROZUMIEM, CHCESZ ODWRÓCIĆ ICH UWAGĘ...
...I ZROBIĆ ZAMIESZANIE, W KTÓRYM CAŁKIEM POTRACĄ GŁOWY. TO NASZA SZANSA...
NIEZŁE, ALE ŻEBY WYPALIŁO, MUSIELIBYŚMY ZNISZCZYĆ RADIOSTACJĘ TOTHA.
NIE MACIE ŻADNYCH SZANS! JEST WAS ZBYT MAŁO!
MYLISZ SIĘ, JAK ZWYKLE. JUŻ JEST NAS 46. OSÓB! A Z TOBĄ TO NAWET 47!... CZYTAJ KOMUNIKAT, JEŚLI NIE CHCESZ, TO ODCZYTA GO KTÓRYŚ Z TWOICH ZASTĘPCÓW. ALE TY JUŻ TEGO NIE USŁYSZYSZ, BĘDZIESZ WTEDY SZTYWNY. - ŁĄCZYMY !
JEŚLI SIĘ SYPNIE WYTNIEMY TO W MONTAŻU.
UWAGA, UWAGA! OGŁASZAM CZERWONY ALARM DLA CAŁEJ PLANETY!...

AKCJA „CHAOS”


ZNOWU W BAZIE Δ-2...
TERAZ!
TYLKO GWIZD I BŁYSK!?
UUU... NIESAMOWITE!...
DZIAŁA!!! DAWAJCIE NASTĘPNĄ PIĄTKĘ, SPRAWDZIMY WARIANT Z OSŁONĄ PRZY WIĘKSZEJ MOCY! W MODELOPROCESORZE BYŁO O.K. ALE TRZEBA TO SPRAWDZIC PRAKTYCZNIE, TOTH.
GREGOR DO Δ-1! TOTH ROZWALA JEŃCÓW! ATAKUJEMY!
TU BARLEY! OSTROZNIE! MUSICIE TYLKO ZNISZCZYC ICH RADIOSTACJĘ I ODSKAKUJCIE! MY WŁACZAMY PROGRAM „CHAOS”!
W Δ-2...
ZOBACZYMY, CZY RUSZY ICH TEZ POD OSŁONĄ PANCERZA?
WTEM!...
UWAGA, UWAGA! OGŁASZAM CZERWONY ALARM DLA CAŁEJ PLANETY! POJMANA GRUPA BARLEYA PRZEDOSTAŁA SIE NA Δ-2! REBELIA! RENEGAT TOTH W ZMOWIE Z BUNTOWNIKAMI! ATAKOWAC WSZYSTKIMI SIŁAMI OBÓZ Δ-2! POWTARZAM...
! COOO? ?
TEN STARY DUREŃ OSZALAŁ! A MOZE?.. CHOLERA, MUSIMY ZARAZ OGŁOSIC DEMENTI ORAZ WEZWAC ANKUZOW!...
PUŁKOWNIKU TOTH! ZWARCIE W GŁOWNYM OBWODZIE ENERGETYCZNYM! JAKIŚ DROLL TU...
OSŁY! ZASTRZELIĆ GO I USUNĄC AWARIĘ! ALE JUZ, BO WAS WSZYSTKICH POROZP...WALAM!
...ATAKOWAC WSZYSTKIMI SIŁAMI OBÓZ Δ-2! NIE MA LITOSCI DLA REBELIANTOW I ZDRAJCOW! WSZYSTKICH JEŃCOW ROZKAZUJĘ DOSTARCZYC MI ZYWYCH NA Δ-1... UWAGA KOSMODROM! PRZYGOTOWAC DO LOTU DWIE KORWETY TRANSPRZESTRZENNE!
TYMCZASEM W Δ-7 PODOBNIE JAK W POZOSTAŁYCH PODOBOZACH...
ALARM! DO MASZYN!


ZNÓW W A-2.
OSTRZELIWUJĄ NAS! ZATRZYMAĆ ICH OGNIEM! SKIEROWAĆ WYLOT GENERATORA NA ZEWNĄTRZ! DAMY IM POPALIĆ!
WYPOLEROWALIŚMY MU TĘ BROŃ, A TERAZ... MURZYN ZROBIŁ SWOJE, MURZYN MOŻE ODEJŚĆ! NIEDOCZEKANIE, GRETZ! PRZEĆWICZYMY TĘ ZABAWKĘ TAKŻE NA TOBIE!
ZMASOWANY ATAK RUNĄŁ NA BAZĘ A-2!
PO KILKUMINUTOWEJ WYMIANIE OGNIA...
MASZTY RADIOSTACJI ZNISZCZONE!
MAMY RANNYCH! ODSKAKUJEMY!
PATRZCIE!
! UWAŻAJ ALEX! ŚLEPAK JEST PRZECIĄŻONY!
...UDAŁO SIĘ! SKOCZYLI SOBIE DO GARDEŁ, DRANIE!...
CHOLERA, NIE MA DROLLA!
TOTH UŻYŁ GENERATORA!
?! ...NIEWIARYGODNE! TYLKO 0,01 MOCY?!
! CONTI, A CO BĘDZIE PRZY PEŁNYM WZMOCNIENIU ?
STRASZNE, TOTH. MOŻEMY POKONAĆ WSZECHŚWIAT!
HIT
OUT
UNITRA DIORA


TYMCZASEM NA ORBICIE DB-4 W PATROLOWCU ANKUZÓW...
CO ONI TAM WYPRAWIAJĄ? OSZALELI CZY CO ?...
UWAGA! ESKADRA ASF WYSZŁA Z PODPRZESTRZENI W NASZYM SEKTORZE! IDĄ NA PODŚWIETLNEJ W SZYKU BOJOWYM! CO ROBIMY?
JEDNOCZEŚNIE W KABINIE KOMANDORA DUPREE...
KOMANDORZE! 3. PATROLOWCE ANKUZAŃSKIE WLOKĄ SIĘ PO ORBICIE DB-4! NIE WIEM, CZY POWINNIŚMY...
WYKORZYSTAĆ PRZEWAGĘ SZYBKOŚCI! AKCJA TYPU SHILLELAGH 200! 6. ŚLEPYCH FANTOMÓW I 3. KILLERY WIĄŻĄ BOJEM ANKUZÓW. RESZTA SCHODZI HAMUJĄC NA DB-4 W SZYKU OBRONNYM! POŁĄCZCIE MNIE Z BARLEYEM!
PULL
WARNING!
WYBUCHŁA OSTRA POTYCZKA!...
JEDEN TRAFIONY: ZNISZCZONY!
DRUGI TRAFIONY: UCIEKA!
HVYZZ DOSTAŁ! JUŻ PO NIM! MNIE NIC. WYCOFUJEMY SIĘ!
ZA DUŻO ICH! PEŁNA MOC!
NIE ŚCIGAĆ! BLOKOWAĆ PLANETĘ!
CO POWIEMY DOWÓDZTWU, RAVH?
WYMYŚLIMY COŚ, NHOLL... NIE MOŻEMY SIĘ PRZYZNAĆ DO PRYWATNYCH UKŁADÓW ZE STELLAR-FOXEM...
KOMANDOR DUPREE DO MAJORA BARLEYA. SENATOR BOBBER PRZEKAZAŁ MI SPRAWĘ. PRZYPADKIEM BYŁEM BLIŻEJ DB-4 NIŻ ZWYKLE. ZLOKALIZOWAŁEM JUŻ POLE BITWY. BRONICIE SIĘ, CZY ATAKUJECIE? KOMU POMAGAĆ? ODBIÓR.
WITAM KOMANDORZE! TU BYŁY PODWŁADNY, FUNKY KOVAL! BARLEY ODSYPIA SWOJĄ KOLEJKĘ. PROSZĘ NIKOMU NIE POMAGAĆ, TYLKO OTOCZYĆ POLE BITWY I ZWIĄZAĆ ZWYCIĘZCÓW I POKONANYCH! ALE CZUJNIE! MAJĄ TAM PASKUDNĄ BROŃ! MY SIEDZIMY NA DNIE MORZA I ROBIMY TU PORZĄDKI. PODAJĘ WSPÓŁRZĘDNE...
DUPREE
FUNKY, SZATANIE! ZDROWO NAMIESZAŁEŚ, CO? UWINĄŁEŚ SIĘ SAM I NIC NIE ZOSTAŁO DO ROBOTY DLA STARSZEGO PANA? POZNAŁBYM CIĘ Z ZAMKNIĘTYMI OCZAMI PO TEJ ZACHŁANNOŚCI...
BEZ PRZESADY KOMANDORZE. ANKUZÓW JUŻ PAN POPĘDZIŁ. ŁADNE TO BYŁO! I JESZCZE KOSMODROM POZOSTAŁ DLA PANA. GRZEJĄ TAM DLA NAS 2. RAKIETKI. GDYBY MÓGŁ PAN JE PRZEJĄĆ, BYŁOBY ŚWIETNIE! TYLKO OSTROŻNIE. OBSŁUGA MOŻE BYĆ TROCHĘ NERWOWA! NARAZIE NIE WIEDZĄ DLA KOGO PRACUJĄ...
CAUTION
© by M. PAROWSKI & J. RODEK B. POLCH '83

LISTA BESTSELLERÓW

Jeszcze trochę, a chyba zaczniemy znowu wierzyć w realność obietnic Wydawców. Nowe książki SF zaczynają – jak na warunki, do których ostatnio się przyzwyczailiśmy – pojawiać się w takim tempie, że wprost trudno nam być „na bieżąco". Tym bardziej, że tylko nieliczne wydawnictwa dotrzymały danych naszej redakcji obietnic i na bieżąco zaopatrują nas w informacje i egzemplarze sygnalne. Toteż często redaktorzy naszej gazety zmuszeni są do poszukiwania nowości po Polsce, co oczywiście odbija się na aktualności naszej informacji.
Cóż więc było nowego na wydawniczym rynku w m a j u? W Wydawnictwie Literackim **„Ogród czasu"** J. G. Ballarda (nakład: 20 000 egzemplarzy, cena: 190 zł.) i **„Tytus Groan"** – fantastyczna powieść zmarłego w 1968 roku angielskiego pisarza Mervyna Peake (nakład: 30 000 egz., cena: 190 zł.), w „Czytelniku" długo oczekiwane **„Syreny z Tytana"** Kurta Vonneguta jr. (nakład: 30 000 egz., cena: 100 zł.) i wznowienie słynnej powieści braci Strugackich **„Trudno być bogiem"** (ceny i nakładu nie znamy, bo książkę widzieliśmy jedynie pod szybką gabloty na warszawskich Targach Książki), w Krajowej Agencji Wydawniczej dwie powieści Adama Hollanka: w serii zeszytowej **„Olśnienie"** (nakład: 100 000 egz., cena: 35 zł., świetna oprawa plastyczna Wiktora Żwikiewicza) i w „czarnej serii" **„Kochać bez skóry"** (nakład: 100 000 egz., cena: 40 zł.). I tu uwaga – podczas „Masconu" 83, który odbył się w maju w Bydgoszczy, czytelnicy prosili delegację naszej redakcji, by przekazać Wydawnictwu serdeczne podziękowania za dbałość o ich kieszeń i nie zawyżanie cen książek. Niniejszym czynimy to i przy okazji zapytujemy: co na to inni edytorzy tej literatury, czytanej na ogół przez młodych, a więc nie nazbyt przecież bogatych ludzi.
I jeszcze kolejna nowość – tym razem po dość długiej przerwie zaprezentowana przez „Naszą Księgarnię" w serii „Stało się jutro" – zbiór opowiadań Jacka Sawaszkiewicza **„Mistyfikacje"** (nakład: 40 000 egz. cena: 35 zł.).

* * *

Na liście bestsellerów Czytelników wprowadzamy pewną modyfikację: każdorazowo będziemy podawać liczbę punktów zdobytych przez znajdujące się na liście pozycje. Dla prowadzących statystyki: na m a j o w ą listę Czytelnicy oddali 3321 głosów.

CZYTELNICY

1.	1.	Philip K. Dick	**Słoneczna loteria**	Czytelnik	430
2.	2.	Antologia	**Spotkanie w przestworzach**	KAW	232
3.	4.	Stefan Wul	**Remedium**	KAW	192
4.	7.	Janusz A. Zajdel	**Limes inferior**	Iskry	175
5.	3.	Harry Harrison	**Planeta śmierci**	Czytelnik	170
6.	10.	Tadeusz Markowski	**Tak bardzo chciał być człowiekiem**	KAW	169
7.	–	Marcin Wolski	**Numer**	KAW	116
8.	6.	Stanisław Lem	**Niezwyciężony**	Iskry	113
9.	9.	Kate Wilhelm	**Gdzie dawniej śpiewał ptak**	Czytelnik	109
10.	–	Andrzej Krzepkowski	**Kreks**	KAW	109
–	8.	Maciej Parowski	**Twarzą ku ziemi**	Czytelnik	104
–	5.	Stanisław Lem	**Solaris**	Iskry	103
–	–	Stanisław Lem	**Bajki robotów**	KAW	98
–	–	Andrzej Krzepkowski	**Śpiew kryształu**	Wydawnictwo Lubelskie	95
–	–	Adam Wiśniewski-Snerg	**Robot**	Wydawnictwo Literackie	85

REDAKCJA

1.	1.	Janusz A. Zajdel	**Limes inferior**	Iskry
2.	2.	Philip K. Dick	**Słoneczna loteria**	Czytelnik
3	3.	Adam Wiśniewski-Snerg	**Robot**	Wydawnictwo Literackie
4.	4.	Stanisław Lem	**Wizja lokalna**	Wydawnictwo Literackie
5.	5.	Kirył Bułyczow	**Retrogenetyka**	Iskry
6.	6.	Stanisław Lem	**Bajki robotów**	KAW
7.	7.	James G. Ballard	**Wyspa**	Czytelnik
8.	8.	Stanisław Lem	**Dzienniki gwiazdowe**	Wydawnictwo Literackie
9.	9.	Marek Oramus	**Senni zwycięzcy**	Czytelnik
10.	10.	Wiktor Żwikiewicz	**Druga jesień**	Wydawnictwo Poznańskie
–	–	Andrzej Krzepkowski	**Kreks**	KAW
–	–	Stanisław Lem	**Solaris**	Iskry
–	–	Maciej Parowski	**Twarzą ku ziemi**	Czytelnik
–	–	Antologia	**Spotkanie w przestworzach**	KAW
–	–	Marcin Wolski	**Numer**	KAW

(jasną czcionką podano pozycję na liście w poprzednim miesiącu)

chris achilleos



